

Mózg

Cook Robin



calibre 0.9.43

ROBIN COOK

MÓZG

tytuł oryginału: "Brain"

Przekład: MAREK MASTALERZ

Książka ta jest dedykowana Barbarze

z miłością

Z mózgu bowiem, i z mózgu jedynie,

początek swój biorą wszystkie rozkosze

nasze i radości, śmiech oraz żarty, a także

smutki nasze i bóle, żale i łzy...

Hipokrates, O świętej chorobie, Rozdział XVII

ROZDZIAŁ 1

7 marca

Z pewnym wahaniem Katherine Collins weszła po trzech stopniach

prowadzących z chodnika. Znalazła, się przed drzwiami ze szkła

i nierdzewnej stali. Pchnęła je, lecz się nie otworzyły. Odchyliła się, podniosła głowę i przeczytała napis wycięty na nadprożu: POLI-KLINIKA AKADEMII MEDYCZNEJ IM. HOBSONA. DLA CHO-

RYCH I INWALIDÓW MIASTA NOWEGO JORKU. Katherine

wydawało się, że bardziej adekwatne byłoby: "Porzućcie wszelką

nadzieję ci, którzy tu wchodzicie".

Obróciła się, jej źrenice zwęziły się od blasku marcowego słońca.

Kusiło ją, by uciec i wrócić do wynajmowanego ciepłego mieszkania.

Szpital był ostatnim miejscem na ziemi, w którym chciałaby się

znaleźć. Nim jednak zdążyła się ruszyć, minęło ją kilkoro pacjentów

i po schodach weszło do środka. Natychmiast zostali pożarci przez złowieszcze wnętrza budynku.

Katherine przymknęła na chwilę oczy, zdumiewając się własną głupotą. Oczywiście, drzwi do przychodni otwierały się na zewnątrz! Przyciskając do boku torbę ze spadochronowego płótna, pociągnęła drzwi i wstąpiła do piekielnego wnętrza.

Jako pierwsza zaatakowała ją woń. Z niczym podobnym nie miała do czynienia w ciągu dwudziestu jeden lat swojego życia.

Dominował chemiczny zapach mieszaniny alkoholu i dezodorantu tak słodkiego, że przyprawiającego o mdłości. Domyślała się, że alkohol ma za zadanie powstrzymywać czające się w powietrzu choroby, a dezodorant ma likwidować biologiczne zapachy wiążące się z dolegliwościami. Pod naporem nieprzyjemnej woni zniknęły wszelkie tłumaczenia, jakimi starała się uzasadnić sobie konieczność wizyty.

7

Do czasu pierwszej wizyty w szpitalu, parę miesięcy temu, nigdy nie zastanawiała się nad własną śmiertelnością, a zdrowie i dobre samopoczucie traktowała jako coś jej należnego. Teraz było inaczej; wstąpienie w otchłanie polikliniki z powrotem przywiodło na myśl wszystkie niedawne kłopoty ze zdrowiem. Przygryzając wargę, by się opanować, zdecydowanie skierowała się w stronę wind.

Źle znosiła tłum ludzi kręcący się po korytarzach przychodni.

Pragnęła się schować we własnej skórze jak w kokonie, by uniknąć czyjegoś dotyku, oddechu lub kaszlu. Z trudem znosiła widok wykrzywionych twarzy, mszczących się wysypek i sączących się krost. Jeszcze gorzej było w windzie, gdzie napierająca na nią grupka ludzkich istot przywiodła jej na myśl malowidło Breughla. Wlepiwszy wzrok w światelka wskazujące mijane piętra, usiłowała zignorować otoczenie przez powtarzanie tekstu, jaki zamierzała wygłosić wobec rejestratorki w przychodni ginekologicznej: "Dzień dobry, moje nazwisko Katherine Collins. Jestem studentką, byłam tu już czterokrotnie. Właśnie jadę do domu i zamierzam udać się do lekarza domowego mojej rodziny, i dlatego chciałabym dostać kopię swojej karty". Brzmiało to dość prosto.

Katherine pozwoliła swemu spojrzeniu spocząć na windziarzu.

Jego twarz wydawała się niezwykle szeroka, ale gdy odwrócił głowę bokiem, okazało się, że ma płaski profil. Mimowolnie utkwiała wzrok w zniekształconym obliczu i kiedy windziarz odwrócił się, by oświadczyć, że dojechali na trzecie piętro, uchwycił jej spojrzenie. Odwrócił wzrok, lecz jedno oko wciąż wpatrywało się w nią z gniewną intensywnością. Odkręciła się, czując, że się rumieni. Koło niej przecisnął się masywny, obrośnięty mężczyzna, który chciał wysiąść.

Dla zachowania równowagi oparła się o ścianę windy i opuściła wzrok na pięcioletnią jasnowłosą dziewczynkę. Dziecko spojrzało na nią zielonym okiem i uśmiechnęło się. Drugie oko ginęło pod fioletowej barwy fałdami dużej guzowatej masy.

Drzwi zamknęły się i winda ruszyła wyżej. Katherine poczuła zawrót głowy. Był odmienny od tych, jakie poprzedzały dwa napady, których doświadczyła w ciągu ostatniego miesiąca, ale w dusznym zamknięciu kabiny windy wciąż czuła przerażenie. Zacisnęła oczy, starając się przewyciężyć uczucie klaustrofobii. Ktoś za nią zakaszłał, na karku poczuła lekką wilgoć.

Kabina podskoczyła, drzwi otworzyły się. Katherine znalazła się na czwartym piętrze. Posuwała się przy ścianie i oparła się o nią, pozwalając ludziom przejść koło niej. Zawrót głowy szybko minął.

8

Gdy znów poczuła się normalnie, ruszyła korytarzem, dwadzieścia lat temu pomalowanym na zielono.

Poczekalnia przychodni ginekologicznej znajdowała się na końcu korytarza. Gęsto w niej było od pacjentek, dzieci i papierosowego dymu. Katherine przeszła przez środek do ślepego korytarzyka na prawo. Dział przychodni przeznaczony dla studentek oraz pracownic szpitala miał własną poczekalnię, choć jej wystrój i umeblowanie były takie same jak w głównej.

Gdy Katherine weszła do niej, na krzesłach z metalowych rurek obciążonych winylem siedziało siedem kobiet. Wszystkie nerwowo przerzucały kartki nieaktualnych magazynów. Rejestratorka - mniej

więcej dwudziestopięcioletnia kobieta o wypłowiałych włosach i ptasich, wąskich rysach bladej twarzy - siedziała za biurkiem. Tabliczka

przypięta do fartucha na płaskiej piersi głosiła, że jej właścicielka nosi nazwisko Ellen Cohen. Gdy Katherine podeszła do biurka, podniosła

wzrok.

- Dzień dobry, nazywam się Katherine Collins... - Zauważyła,

że w jej głosie brak jest zamierzonego zdecydowania. W rzeczywistości, gdy dokończyła wyłuszczenie swojej prośby, uświadomiła sobie, że

zabrzmiało to niemal jak błaganie.

Rejestratorka popatrzyła na nią przez chwilę.

- Chce pani kartę? - spytała. W jej głosie odbijała się mieszanina pogardy i niedowierzania.

Katherine skinęła głową i spróbowała się uśmiechnąć.

- Hm, będzie pani musiała o tym porozmawiać z siostrą Blackman. Proszę usiąść. - Głos Ellen Cohen stał się szorstki i autorytatywny.

Katherine odwróciła się i usiadła niedaleko biurka rejestratorki, która podeszła do szafek z dokumentacją i wyciągnęła jej kartę przychodnianą. Następnie zniknęła w jednych z drzwi prowadzących do gabinetów lekarskich.

Katherine zaczęła nieświadomie wygładzać swe błyszczące brązowe włosy, zgarniając je na lewe ramię. Był to dla niej typowy gest, zwłaszcza gdy znajdowała się w stanie napięcia.

Była młodą, przystojną dziewczyną o uważnych szaroniebieskich oczach. Miała sto pięćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu, lecz jej energiczna osobowość sprawiała, że wydawała się wyższa. Przy-

jaciółki w college'u lubiły ją bardzo, zapewne za sprawą jej otwartości; była też głęboko kochana przez rodziców, aż nadto lękających

się o to, co mogło się stać z ich jedynaczką w dżungli Nowego

Jorku. Właśnie troska i nadopiekuńczość rodziców skłoniły ją do

wyboru nowojorskiego college'u; wierzyła, że w wielkim mieście będzie mogła się wykazać wrodzoną siłą osobowości. Aż do chwili obecnej choroby to się jej udawało i mogła sobie kpić z ostrzeżeń rodziców. Nowy Jork stał się jej miastem, uwielbiała jego tętniącą witalność.

Rejestratorka pojawiła się ponownie i wróciła do stukania na maszynie.

Katherine ukradkowo powiodła wzrokiem po poczekalni, przypatrując się młodym kobietom siedzącym z opuszczonymi głowami, czekającym na swoją kolej jak nieświadome swego losu bydło. Czowała ogromną wdzięczność, że tym razem nie czekało jej badanie. Nienawidziła tego doznania, które już czterokrotnie stało się jej udziałem; ostatni raz niecały miesiąc temu. Przychodzenie do polikliniki stanowiło dla niej pogwałcenie własnej niezależności. Prawdę mówiąc, o wiele bardziej wolałaby wrócić do Weston w Massachusetts i umówić się na wizytę u swego ginekologa, doktora Wilsona.

Był to jedyny lekarz, który ją przedtem badał. Przewyższał wiekiem i doświadczeniem lekarzy, którzy stanowili obsadę polikliniki, i miał poczucie humoru, które łagodziło upokarzające strony badania ginekologicznego, czyniąc je przynajmniej znośnym.

Tu było inaczej. Przychodnia była bezosobowa i zimna, a w połączeniu z wyposażeniem miejskiego szpitala każda wizyta stawała się koszmarem. Mimo to Katherine uparła się. Domagało się tego jej poczucie niezależności, przynajmniej na czas trwania choroby.

Pani Blackman, pielęgniarka przełożona, wyłoniła się z jednego

z pokojów. Była to krępa czterdziestopięcioletnia kobieta o smolisto-czarnych włosach, ściągniętych w ciasny kok na czubku głowy. Miała na sobie nieskazitelnie biały fartuch profesjonalnie wykrochmalony. Jej strój był odzwierciedleniem sposobu, w jaki lubiła rządzić przychodnią - z beznamiętną skutecznością. Pracowała w poliklinice od jedenastu lat.

Rejestratorka powiedziała coś do siostry Blackman. Katherine usłyszała swoje nazwisko. Pielęgniarka pokiwała głową, na moment odwracając się, by spojrzeć w jej kierunku. Zadając kłam szorstkiej powierzchowności, ciemnobrązowe oczy siostry Blackman sprawiały wrażenie wielkiego ciepła. Katherine pomyślała nagle, że zapewne poza przychodnią pani Blackman jest bardzo miłą osobą.

Siostra Blackman nie podeszła jednak, by z nią porozmawiać.

Zamiast tego wyszeptała coś do Ellen Cohen i wróciła do gabinetu.

Katherine poczuła, że się czerwieni. Zorientowała się, iż jest rozmyślnie i lekceważona; w ten sposób personel przychodni chciał okazać niezadowolenie, że wolała swojego lekarza. Nerwowo sięgnęła po pochodzący sprzed roku egzemplarz Ladies' Home Journal bez okładek, ale nie mogła się nad nim skupić.

Usiłowała zabić czas myśląc o tym, jak będzie wyglądał jej powrót do domu tego wieczora, jak będą zaskoczeni na jej widok rodzice.

Wyobrażała sobie, jak wchodzi do swego starego pokoju. Nie była w nim od Bożego Narodzenia, ale wiedziała, że niczego w nim nie zmieniono: ani żółtej narzuty na łóżko, ani dopasowanych do niej

kolorystycznie zasłon, ani rozmaitych pamiątek z okresu dorostania, starannie przechowywanych przez matkę.

Tchnący spokojem obraz matki kazał jej jeszcze raz zastanowić się, czy nie powinna zadzwonić do niej i powiadomić ją o przyjeździe.

Zaletą tego byłoby to, że zostałaby zabrana z lotniska Logana, a wadą to, że prawdopodobnie zostałaby zmuszona do wyjaśnienia, dlaczego

wraca, a Katherine nie chciała dyskutować o swojej chorobie przez telefon.

Po dwudziestu minutach pojawiła się z powrotem siostra Blackman

i znów zaczęła przyciszoną dyskusję z rejestratorką. Katherine udawała, że jest pochłonięta lekturą magazynu. W końcu pielęgniarka skończyła

rozmowę i podeszła do niej.

- Pani Collins? - spytała siostra Blackman z subtelną nutą irytacji.

Katherine podniosła wzrok.

- Powiedziano mi, że życzy pani sobie zwrotu swojej karty?

- Owszem - odrzekła Katherine, odkładając pismo.

- Jest pani niezadowolona z naszej opieki? - spytała siostra Blackman.

- Nie, bynajmniej. Jadę do domu, mam zamiar pójść do lekarza naszej rodziny i chciałabym zabrać ze sobą komplet moich kart z przychodni.

- To raczej niespotykane - powiedziała pielęgniarka. - Za-
zwyczaj przesyłamy dokumentację wyłącznie na życzenie lekarza.

- Wyjeżdżam jeszcze dzisiaj i chciałabym zabrać karty ze sobą.

Nie chcę, by lekarz na nie czekał, jeśli będzie ich potrzebować.

- Nie mamy w zwyczaju tak postępować w poliklinice.

- Wiem, że mam prawo otrzymać na życzenie kopię mojej karty.

Po jej ostatnich słowach zapadła niewygodna cisza. Nie przywykła do tak stanowczego artykułowania swoich życzeń. Siostra Blackman wpatrywała się w nią jak zrozpaczony rodzic w zbuntowane dziecko.

11

Katherine oddała jej spojrzenie, nie odrywając wzroku od ciemnych wilgotnych oczu pielęgniarki.

- Musi pani porozmawiać z lekarzem - powiedziała oschle siostra Blackman.

Nie czekając na odpowiedź zostawiła Katherine i weszła do jednego z najbliższych gabinetów. Rygiel zamka szczęknął za nią z mechaniczną ostatecznością.

Katherine zaczerpnęła tchu i rozejrzała się. Reszta pacjentek wpatrywała się w nią ostrożnie, jak gdyby podzielała niechęć personelu do burzenia ustalonego porządku przychodni. Z trudem utrzymywała równowagę, powtarzając sobie, że zachowuje się w paranoidalny sposób. Udawała, że czyta magazyn, czując na sobie spojrzenia obcych kobiet. Miała ochotę wstać i wyjść lub schować się w sobie jak żółw, ale zarówno jedno, jak i drugie było niemożliwe. Czas włókł się niebywale powoli. Kilka pacjentek wezwano na badanie. Stało się dla niej oczywiste, że jest lekceważona.

Minęło czterdzieści pięć minut, nim pojawił się lekarz w po-
gniecionej białej koszuli i spodniach, trzymający w ręce jej kartę.

Rejestratorka wskazała ją ruchem głowy i doktor Harper wolnym krokiem podszedł i stanął na wprost niej.

Był łysy, jeśli pominać obwarzanek kręconych włosów, zaczynający się nad uszami i schodzący się u szczytu karku. Właśnie on badał ją ostatnim i przedostatnim razem. Dokładnie pamiętała jego owłosione dłonie i palce, które pod powłoką półprzezroczystych lateksowych rękawic wyglądały jak z filmu science fiction.

Podniosła oczy na jego twarz, szukając w niej choć śladu ciepła.

Lecz zawiodła się. Doktor Harper w milczeniu przeglądał jej kartę, podtrzymując ją lewą dłonią i wodząc kciukiem prawej po czytanych tekście. Wyglądał, jakby wygłaszał kazanie.

Katherine spuściła wzrok. Na przodzie lewej nogawki spodni doktora widać było ścieg zaschniętych drobnutkich kropelek krwi. Po prawej stronie miał zatknięty za pasek kawałek gumowej rurki, po lewej wystawał zza niego komunikator.

- Po co pani karta od ginekologa? - spytał lekarz, nie patrząc na nią.

Katherine powtórzyła, o co jej chodziło.

- Myślę, że to strata czasu - powiedział doktor Harper, wciąż przerzucając kartki, - Właściwie nic w niej nie ma. Parę średnio atypowych rozmazów Papanicolaou, kilka wyników z bakteriami gram-dodatnimi, co można wytłumaczyć niewielką nadżerką szyjki macicy. Chodzi mi o to, że i tak to nic nikomu nie da. Miała pani

12

epizod zapalenia pęcherza, ale to najwyraźniej wynik tego, że uprawiała pani seks poprzedniego dnia przed wystąpieniem objawów; sama

zresztą podała to pani...

Katherine poczuła, że czerwieni się z upokorzenia. Wiedziała, że słyszą to wszystkie kobiety w poczekalni.

- Proszę posłuchać, pani Collins, te napady nie mają nic wspólnego ze sprawami ginekologicznymi. Radzę pani skierować się do przychodni neurologicznej...

- Już w niej byłam - przerwała mu Katherine. - Dostałam stamtąd kartę. - Przełknęła łzy. Nie była nadmiernie uczuciowa, ale w rzadkich przypadkach, kiedy zbierało się jej na płacz, trudno jej było się opanować.

Doktor David Harper powoli podniósł wzrok znad karty. Zaczepnął tchu i głośno wypuścił powietrze między częściowo zaciśniętymi ustami. Był znudzony.

- Proszę posłuchać, pani Collins, miała tu pani znakomitą opiekę...

- Nie narzekam na leczenie - powiedziała Katherine, nie podnosząc wzroku. Łzy, które wezbrały w jej oczach, groziły, że popłyną po policzkach. - Chcę tylko swoją kartę.

- Mówię pani przecież - ciągnął doktor Harper - że nie potrzebuje pani ponownej oceny stanu narządów rodnych.

- Proszę - powiedziała powoli Katherine. - Da mi pan tę kartę, czy będę musiała pójść do dyrektora? - Powoli podniosła spojrzenie na lekarza. Kłykiem otarła łzę, która przelała się przez powiekę.

Ostatecznie doktor Harper wzruszył ramionami i Katherine usły-

szała wypowiedziane półszepem przekleństwo, gdy rzucił kartę na

biurko rejestratorki, polecając jej sporządzić kopię. Zniknął w jednym z gabinetów, nawet się nie pożegnawszy ani obejrzawszy do tyłu.

Gdy zakładała płaszcz, uświadomiła sobie, że dygocze i znów czuje

zawrót głowy. Podeszła do biurka rejestratorki i chwyciła jego brzeg, opierając się, by nie upaść.

Blondynka o ptasim wyglądzie zignorowała ją, kończyła pisać

jakiś list. Gdy wkręciła do maszyny kopertę, Katherine przypomniała

o swoim istnieniu.

- Dobrze, jeszcze chwileczkę - powiedziała Ellen Cohen, z iryta-

cją podkreślając każde słowo. Dopiero gdy zaadresowała kopertę,

włożyła list, zamknęła ją i nakleiła znaczek, wstała, wzięła jej kartę i zniknęła za rogiem. Przez cały czas unikała jej spojrzenia.

Nim Katherine otrzymała brązową kopertę, na badanie poproszono

13

jeszcze dwie pacjentki. Udało jej się zmusić do podziękowania

rejestratorce, kobieta jednak nie zadała sobie trudu, by odpowiedzieć.

Katherine było to obojętne. Z kopertą pod pachą i torbą na ramieniu

odwróciła się i niemal biegiem wymknęła się do zatłoczonego holu

główniej poczekalni przychodni ginekologicznej.

Dławiąc się ciężkim powietrzem, przystanąła, czekając, aż minie

zawrót głowy. Delikatna równowaga emocjonalna nie zniosła dodat-

kowego obciążenia w postaci szybkiego marszu. Wszystko, co widzia-

ła, stało się zamglone. Wyciągnęła rękę, szukając po omacku opar-

cia krzesła w poczekalni. Brązowa koperta wysliznęła się jej spod

ramienia i upadła na posadzkę. Pokój wokół niej zawirował. Jej

kolana ugięły się.

Poczuła, że czyjeś silne ramiona chwytają ją pod pachy i podtrzymują. Usłyszała, że ktoś ją pociesza, iż wszystko będzie dobrze.

Usiłowała powiedzieć, że dojdzie do siebie, jeśli na chwilę usiądzie, ale język nie był jej posłuszny. Niejasno uświadamiała sobie, że jest

prowadzona prosto w dół korytarza, a jej stopy nieudolnie uderzają o podłogę, jak gdyby należały do marionetki.

Później były drzwi, a za nimi mały pokój. Okropne zawroty głowy

nie ustawały. Bała się, że zwymiotuje, na jej czole pojawił się zimny pot. Zorientowała się, że została ułożona na podłodze. Prawie

natychmiast zaczęła wyraźniej widzieć i ustało wirowanie pokoju.

Koło niej znajdowało się dwóch lekarzy. Z niejakimi kłopotami podciągnęli rękaw jej płaszcza i założyli opaskę uciskową. Była zadowolona, że zabrano ją z zatłoczonej poczekalni, gdzie byłaby widowiskiem dla wszystkich.

- Chyba czuję się lepiej - powiedziała, mrugając powiekami.

- Dobrze - powiedział jeden z lekarzy. - Damy pani mały zastrzyk.

- Po co?

- Na uspokojenie.

Katherine poczuła, jak igła przebija wrażliwą skórę w zgięciu łokcia. Staza została zdjęta i poczuła tętno w palcach.

- Ale czuję się znacznie lepiej - zaprotestowała.

Odwróciła głowę i zobaczyła dłoń naciskającą tłok strzykawki.

Obydwaj lekarze nachylali się nad nią.

- Czuję się dobrze - powiedziała Katherine.

Lekarze nie zareagowali. Bez słowa przytrzymywali ją, wpatrując się w jej twarz.

- Naprawdę czuję się już lepiej - powiedziała raz jeszcze.

Przeniosła spojrzenie z jednego lekarza na drugiego. Jeden z nich

14

miał najzieleńsze oczy, jakie zdarzyło się jej kiedykolwiek widzieć; przypominały szmaragdy. Spróbowała się ruszyć. Nacisk lekarskich dłoni wzmógł się.

Nagle jej wzrok zamglił się i lekarze się oddalili. Równocześnie usłyszała dzwonięcie w uszach i poczuła ciężar w całym ciele.

- Bardzo mi... - Głos Katherine był niewyraźny, a usta poruszały się powoli. Głowa opadła jej na bok. Dostrzegła jeszcze, że leży na podłodze składziku, a później zapadły ciemności.

ROZDZIAŁ 2

14 marca

Pan i pani Wilburowie Collins podtrzymywali się nawzajem, czekając na otwarcie drzwi. Z początku klucz nie chciał wejść

w zamek, gospodarz domu wyciągnął go, by upewnić się, że rzeczywiście jest to klucz od numeru 92. Włożył go z powrotem, gdy zorientował się, że za pierwszym razem wsuwał go do góry nogami. Drzwi otworzyły się

i gospodarz odsunął się, by wpuścić do środka panią dziekan.

- Miłe mieszkanko - powiedziała.

Była to drobna, mniej więcej pięćdziesięcioletnia kobieta, którą cechowała szybka, nerwowa gestykulacja. Wyraźnie widać było, że jest

spięta.

Pan i pani Wilburowie Collins oraz dwaj umundurowani nowojorscy policjanci weszli do środka za panią dziekan.

Było to miniaturowe mieszkanie z jedną sypialnią, które wedle ogłoszeń miało widok na rzekę. Nie wspomniano jedynie, że ten widok roztaczał się z niewielkiego okienka w przypominającej szafę łazience.

Obydwaj policjanci stanęli z założonymi za plecami dłońmi.

Licząca sobie pięćdziesiąt dwa lata pani Collins zawahała się w wejściu, jak gdyby obawiała się tego, co może zastać w środku.

Natomiast pan Collins pokuśtykał prosto na środek pokoju. W 1952

roku przeszedł polio, co odbiło się na jego prawej nodze, lecz nie na talencie do interesów. W wieku lat pięćdziesięciu pięciu był osobistością numer dwa w Pierwszym Narodowym Banku Miejskim bostońskiego

imperium finansowego. Od otoczenia domagał się poszanowania i działania.

- Ponieważ nie ma jej dopiero od tygodnia, być może troska państwa jest przedwczesna - zasugerowała pani dziekan.

16

- Nigdy nie powinniśmy byli Katherine pozwolić przyjeżdżać do Nowego Jorku - powiedziała pani Collins, nie wiedząc, co począć z rękami.

Wilbur Collins zignorował obydwaj komentarze. Skierował się do sypialni i zajrzał do środka.

- Jej walizka leży na łóżku.

- To dobry znak - powiedziała pani dziekan. - Mnóstwo studentów odreagowuje obciążenie nauką parodniowymi wyjazdami.

- Gdyby Katherine wyjechała, zabrałaby walizkę - powiedziała pani Collins. - Poza tym zadzwoniłaby do nas w niedzielę. Zawsze to robi.

- Jako dziekan wiem, jak wielu studentów nagle potrzebuje chwili wytchnienia. Nawet tak pilnych jak Katherine.

- Katherine jest inna - powiedział pan Collins, znikając w łazience.

Pani dziekan przewróciła oczyma, odwracając się w stronę policjantów. Pozostali niewzruszeni.

Utykając Wilbur Collins wrócił do saloniku.

- Nigdzie nie pojechała - powiedział tonem nie dopuszczającym sprzeciwu.

- Co chcesz przez to powiedzieć, kochanie? - spytała z narastającym lękiem pani Collins.

- Dokładnie to, co powiedziałem - odparł Collins. - Nie wyjechałaby nigdzie bez tego. - Rzucił na siedzenie sofy opróżnione do połowy opakowanie pigułek antykoncepcyjnych. - Jest w Nowym Jorku. Chcę, by ją znaleziono. - Spojrzał na policjantów. - Proszę mi wierzyć, że dopilnuję, czy w tej sprawie coś się robi.

ROZDZIAŁ 3

15 kwietnia

Doktor Martin Philips oparł głowę o ścianę kabiny kontrolnej.

Chłód tynku sprawił mu przyjemność. Przed nim czworo studentów trzeciego roku rozplaszczalo czoła o szklaną przegrodę, przyglądając się z pełnym przerażeniem przygotowaniom do badania TK, czyli - jak głosiła pełna nazwa - komputerowej tomografii osiowej (CAT).

Był to pierwszy dzień ich bloku radiologii - tak się złożyło, że najpierw trafili na neuroradiologię. Philips przyprowadził ich na początek do sali TK, ponieważ wiedział, że wywrze to na nich wrażenie i uczyni pokorniej szymi. Niektórym studentom wydawało się czasem, że są mądrzejsi od fachmanów.

Wewnątrz sali TK technik nachylał się nad pacjentem, sprawdzając, czy jego głowa znajduje się w prawidłowym położeniu wobec siedmiuset, ułożonych w gigantyczny pierścień, czujników. Wyprostował się, oderwał od fartucha pasek plastra i przylepił głowę pacjenta do formy ze styropianu.

Philips przechylił się i wziął skierowanie oraz kartę pacjenta. Na obydwu odszukał rozpoznanie i dane o przebiegu choroby.

- Pacjent nazywa się Schiller, ma czterdzieści siedem lat - powiedział. Studenci tak byli zaabsorbowani przygotowaniem do badania, że nawet nie odwrócili twarzy w jego stronę. - Główne dolegliwości to osłabienie siły mięśniowej w prawej ręce i nodze. - Philips spojrział na pacjenta. Z doświadczenia wiedział, że ten mężczyzna jest prawdopodobnie niezwykle przerażony.

Philips odłożył skierowanie i kartę, podczas gdy w sali badań technik uruchomił napęd stołu. Głowa chorego wsunęła się powoli w otwór pierścienia czujników, jak gdyby miała zostać pożarta. Obrzuciwszy

ostatnim spojrzeniem pacjenta, technik wycofał się do dyspozytorni.

18

- Dobrze, odejdźcie na chwilę od okna - powiedział Philips.

Czworo studentów usłuchało natychmiast, przechodząc na stronę komputera, którego światelka mrugały wyczekująco. Tak jak przypuszczał, wrażenie, jakie wywierała na nich aparatura, skłaniało ich do bezwarunkowego uznania własnej niewiedzy.

Technik sprawdził, czy łączące drzwi są zamknięte, i zdjął mikrofon z haczyka.

- Proszę się nie ruszać, panie Schiller, ani odrobinę.

Wskazującym palcem nacisnął na konsolecie klawisz uruchamiający tomograf. Wewnątrz sali badań olbrzymi pierścień, w którego środku znajdowała się głowa pana Schillera, zaczął wykonywać nagłe przerywane obroty jak tryb niesamowicie wielkiego mechanicznego zegara.

Głośne dla pana Schillera szcęknięcie po drugiej stronie szyby słychać było jako słabe tykanie.

- W tej chwili - powiedział Martin - tomograf wykonuje dwieście czterdzieści odczytów pochłaniania promieni rentgenowskich na każdy stopień obrotu pierścienia.

Jeden ze studentów zrobił do sąsiada minę wyrażającą, że niczego nie pojmuje. Martin zignorował jego mimikę i przyłożył dłonie do twarzy, starannie masując palcami najpierw oczy, a następnie skronie.

Nie wypił jeszcze kawy i czuł się otępiały. Normalnie wpadłby o tej porze do szpitalnej kawiarenki, dziś jednak przez studentów nie miał na to czasu.

Jako zastępca ordynatora oddziału neuroradiologii Philips zawsze odbywał ze studentami pierwsze zajęcia na bloku. Był to przymus, od którego nie mógł się uwolnić, co powodowało, że się wściekał, ponieważ często przeszkadzało mu to w jego pracach badawczych. Przez pierwsze dwadzieścia czy trzydzieści wykładów lubował się w prezentowaniu studentom swej wyśmienitej znajomości anatomii mózgu. Ale ta nowość już się znudziła. Obecnie sprawiało mu to przyjemność jedynie wtedy, jeśli zjawiał się jakiś szczególnie inteligentny student, co na zajęciach z neuroradiologii nie zdarzało się specjalnie często.

Po kilku minutach pierścień czujników zamarł, natomiast ożyła konsola komputera. Miała imponującą strukturę niczym tablica rozdzielcza filmu science fiction. Wszystkie oczy przeniosły się z pacjenta na mrugające światełka, z wyjątkiem wzroku Philipsa, który, wpatrując się w dłoń, usiłował oderwać skrawek martwego naskórka wzdłuż podstawy paznokcia prawego palca wskazującego. Jego myśli błądziły.

- W ciągu trzydziestu sekund po naświetleniu komputer równo-

19

częściej dokonuje przeliczenia czterdziestu trzech tysięcy dwustu pomiarów gęstości elektronowej tkanek - powiedział technik, z chęcią przejmujący rolę Philipsa, zresztą za jego przyzwoleniem.

W istocie Philips dokonywał jedynie formalnego wprowadzenia, praktyczną naukę pozostawiając kolegom z neuroradiologii lub doskonale przeszkolonym technikom.

Uniósłszy głowę, Philips stwierdził, że studenci wpatrują się jak

zaczarowani w konsolę komputera. Przeniósł wzrok na szybę ze szkła ołowiowego. Widać było za nią jedynie stopy pana Schillera.

W jednej chwili pacjent stał się zapomnianym uczestnikiem odgrywanego przedstawienia, maszyna była dla studentów nieskończenie bardziej interesująca.

Na szafce ze środkami medycznymi pierwszej pomocy znajdowało się małe lusterko. Philips spojrzął w nie. Jeszcze się nie ogolił i jednodniowa szczecina sterczała jak ze szczotki do butów. Zawsze zjawiał się na godzinę przed resztą pracowników i przywykł się golić w gabinecie chirurgów. Po wstaniu zwykle ćwiczył jogging, brał prysznic i golił się w szpitalu, a później wstępował do kawiarenki. Pozwalało mu to bez przeszkód pracować dwie godziny dziennie nad swoimi badaniami.

Wciąż wpatrując się w lusterko, przegarnął palcami w tył swe rudawoblond włosy. Jasny kolor ich końców i ciemny odcień przy skórze sprawiał, iż niektóre pielęgniarki żartowały, że je sobie farbuje. Nic bardziej odległego od prawdy.

Philips bardzo mało uwagi poświęcał swemu wyglądowi zewnętrznemu i czasami sam siepał włosy, kiedy nie miał czasu pójść do szpitalnego fryzjera. Mimo tej bez troski był jednak przystojnym

mężczyzną. Miał czterdzieści jeden lat i kreseczki, jakie pojawiły się wokół jego ust i oczu, jedynie poprawiły jego prezencję, wcześniej

bowiem wyglądał nieco chłopięco. Teraz sprawiał wrażenie bardziej zdecydowanego; jeden z pacjentów zauważył, że wygląda bardziej na telewizyjnego kowboja niż lekarza. Niezupełnie pozbawiony podstaw

komentarz sprawił mu przyjemność.

Philips miał prawie sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, szczup-

łą, lecz atletyczną budowę ciała. Jego twarz nie wyglądała jak oblicze naukowca. Była kanciasta, o wytyczonym jak pod linijkę nosie

i wyrazistych ustach. Miał jaskrawoniebieskie oczy, w których bardziej niż w czymkolwiek innym odbijała się jego inteligencja. Ukończył

Harvard w 1961 roku, summa cum laude.

Na konsolce komputera ożyła lampka katodowa i na monitorze

20

pojawił się pierwszy obraz. Technik spiesznie poprawił szerokość okna i gęstość, by uzyskać jak najlepsze obrazowanie. Studenci ścieśnili się wokół monitora, jak gdyby mieli oglądać pucharowe rozgrywki futbolu,

na ekranie widniał jednak owal o białym skraju i ziarnistym wnętrzu.

Był to stworzony w komputerze obraz wnętrza głowy pacjenta w takiej

prezentacji, jak gdyby ktoś patrzył na nie od góry po zdjęciu

wierzchołka czaszki.

Martin spojrział na zegarek. Była za kwadrans ósma. Miał nadzieję,

że lada chwila zjawi się doktor Denise Sanger i przejmie oprowadzanie studentów. Tym, co rzeczywiście zaprzętało jego umysł tego ranka,

było spotkanie z jego współpracownikiem w badaniach, Williamem

Michaelsem.

Michaels zadzwonił poprzedniego dnia, by powiedzieć, że przy-

jdzie wcześniej rano z drobną niespodzianką dla Philipsa, czym

niebawem zaostrzył jego ciekawość. Przedłużające się oczekiwanie

niemal zabijało go.

Przez cztery lata obydwaj pracowali nad programem komputero-

wym umożliwiającym czytanie w zastępstwie radiologa rentgeno-

gramów czaszki. Głównym problemem było opracowanie programu pozwalającego komputerowi interpretować różnice zacielenia poszczególnych obszarów zdjęcia rentgenowskiego. Gdyby komputer potrafił to robić w sposób jakościowy, nie tylko ilościowy, byłby to prawdziwy przełom o konsekwencjach nie do przecenienia. Ponieważ zasada oceny zdjęć rentgenowskich czaszki była identyczna z wszelkimi innymi, program interpretujący klisze można by zastosować w obrębie całej rentgenodiagnostyki. A gdyby to się powiodło... Od czasu do czasu Philips pozwalał sobie marzyć o własnym dziale badawczym, a nawet o Nagrodzie Nobla...

Na ekranie pojawił się kolejny obraz, wytrącając Martina z zamyślenia.

- Przekrój ten dokonany jest trzynaście milimetrów powyżej poprzedniego - zaczął technik. Palcem wskazał jego dolną część. -

Tu mamy mózdzek oraz...

- Jest patologia - powiedział Philips.

- Gdzie? - spytał siedzący na małym krzeselku przed klawiaturą komputera technik.

- Tutaj - powiedział Philips, przeciskając się między studentami.

Dotknął palcem pokazywanego właśnie przez technika obrazu mózdzku. - Patologiczne jest to przejaśnienie w prawej półkuli mózdzku.

To miejsce powinno mieć taką samą gęstość jak po drugiej stronie.

- Co to jest? - spytał jeden ze studentów.

21

- W tej chwili trudno powiedzieć - rzekł Philips. Nachylił się,

by dokładniej przyjrzeć się omawianemu polu. - Ciekawe, czy

pacjent miał jakieś kłopoty z chodzeniem?

- Owszem - powiedział technik. - Od tygodnia ma ataksję.

- Pewnie guz - powiedział Philips prostując się.

Na twarzach wszystkich studentów natychmiast odbił się przestach,

gdy wpatrywali się w niewinne jaśniejsze miejsce na ekranie. Z jednej strony zdumiewała ich naoczna demonstracja możliwości nowoczesnej

techniki diagnostycznej, z drugiej - byli przerażeni pojęciem "guz mózgu", myślą, że każdy może go mieć, nawet oni.

Na miejsce przejrzanego obrazu pojawił się kolejny skan.

- Tu mamy jeszcze jedno przejaśnienie w płacie skroniowym -

powiedział Philips szybko, wskazując następne pole. - Zobaczymy je

dokładniej na kolejnym przekroju. I tak jednak będziemy potrzebować

badania kontrastowego.

Technik wstał i poszedł wstrzyknąć Schillerowi do żyły kontrast.

- Do czego jest potrzebny kontrast? - spytała Nancy McFadden.

- Pomaga dokładnie uwidocznąć nieprawidłowości takie jak guz,

gdzie dochodzi do złamania bariery krew-mózg - powiedział Philips,

który obejrzał się, by zobaczyć, kto wszedł do środka. Moment

wcześniej usłyszał, że drzwi się otwierają.

- Czy kontrast zawiera jod?

Philips nie usłyszał ostatniego pytania, ponieważ do środka weszła

Denise Sanger. Uśmiechnęła się ciepło do niego za plecami po-

chłoniętych badaniem studentów. Zsunęła z ramion krótki biały

fartuch i powiesiła go koło szafki z lekami pierwszej pomocy. Tak

właśnie zazwyczaj zabierała się do pracy, choć efekt, jaki to wywierało na Martinie, był wręcz przeciwny. Denise miała na sobie różową

bluzeczkę z aplikacjami i cienką niebieską wstążeczką związaną na

kokardę pod szyją. Gdy wyciągnęła rękę, by powiesić fartuch, jej

piersi pod bluzką napięły się. Philips zapatrzył się w nie jak koneser podziwiający dzieło sztuki. Uważał Denise za jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie dane mu było widzieć.

Mówiła, że ma sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, podczas

gdy faktycznie miała sto sześćdziesiąt. Miała szczupłą figurę, czterdzie-

ści osiem kilogramów wagi i niewielkie, lecz wspaniale ukształtowane

i sprężyste piersi. Jej gęste włosy były brązowe i lśniące. Zazwyczaj nosiła je ściągnięte z czoła i spięte na tyle głowy pojedynczą zapinką.

Jasnobrązowe oczy nakrapiane były szarymi plamkami, co nadawało

jej spojrzeniu żywy, chochlikowaty wyraz. Bardzo niewielu domyślało

się, że trzy lata wcześniej ukończyła akademię medyczną z pierwszą

22

lokata wśród swojego rocznika, podobnie jak niewielu skłonnych było

uwierzyć, że ma dwadzieścia osiem lat.

Zdjawszy i wygładziwszy fartuch, Denise otarła się o Martina,

w przelocie ściskając go ukradkowo za lewy łokieć. Usiadła przed

monitorem, poprawiła obraz tak, jak było wygodniej jej go oceniać,

i przedstawiła się studentom. Wrócił technik i oświadczył, że podał

kontrast oraz przygotował skaner do kolejnych przekrojów.

Philips przechylił się tak, że musiał oprzeć się o ramię Denise

i wskazał obraz na ekranie.

- Widzimy tu zmianę w płacie skroniowym i jedną, a być może

dwie, w płacie czołowym. - Odwrócił się do studentów. - Przeczy-

tałem w karcie, że pacjent dużo pali. Mówi wam to coś?

Studenci wpatrzyli się w ekran, bojąc się wykonać jakikolwiek ruch. Czuli się, jak gdyby znaleźli się na aukcji bez pieniędzy, a najdrobniejsze poruszenie mogło być potraktowane jak przystąpienie do licytacji.

- Pozwólcie, że wam podpowiem - rzekł Philips. - Pierwotne guzy mózgu są zazwyczaj pojedyncze, podczas gdy guzy wychodzące z innych części ciała, zwane przerzutami, mogą być pojedyncze lub mnogie.

- Rak płuca? - wyrzucił z siebie jeden ze studentów, jak gdyby brał udział w teleturnieju.

• - Bardzo dobrze - powiedział Philips. - W tym stadium nie możesz być w stu procentach pewny, gotów byłbym się jednak o to założyć.

- Ile pacjentowi zostało jeszcze życia? - zapytał student, najwyraźniej przytłoczony diagnozą.

- Kto go prowadzi? - spytał Philips.

- Jest na neurochirurgi u Curta Mannerheima - powiedziała Denise.

- No to niedługo - rzekł Martin. - Mannerheim będzie go operować.

Denise odwróciła się szybko.

- Taki przypadek jest nieoperacyjny.

- Nie znasz Mannerheima. Tnie wszystko, zwłaszcza guzy.

Martin znów nachylił się nad ramieniem Denise, wyczuwając nieomylnie woń jej świeżo umytych włosów. Była dla niego równie niepowtarzalna jak odcisk palca i mimo zawodowego otoczenia poczuł słaby przypływ pożądania. Wstał, by się opanować.

- Pani doktor, mógłbym z panią porozmawiać przez moment? -

powiedział nagle i przeprowadził ją w kąt pokoju.

23

Denise posłuchała go chętnie, acz z zaskoczeniem malującym się na twarzy.

- Na ile pozwala mi doświadczenie zawodowe... - powiedział tym samym formalnym tonem głosu Martin, po czym zawiesił głos i po chwili wyszeptał znacznie ciszej - ...stwierdzam, że wyglądasz dziś niewiarygodnie seksownie.

Wyraz twarzy Denise zmienił się powoli, znaczenie uwagi nie dotarło do niej od razu. Kiedy w końcu pojęła, o mało się nie roześmiała.

- Martin, zaskoczyłeś mnie. Zacząłeś tak surowo, iż z początku myślałam, że zrobiłam coś nie tak.

- Owszem. Założyłaś te rajcowne łaszki specjalnie po to, by nie dać mi się skoncentrować.

- Rajcowne? Jestem zapięta po szyję.

- Na tobie wszystko wygląda szałowo.

- Tylko dla ciebie, stary satyrze!

Martin nie zdołał powstrzymać śmiechu. Denise miała rację. Za

każdym razem, kiedy na nią spoglądał, mimowolnie przypominał sobie, jak cudownie wygląda nago.

Spotykał się z Denise Sanger od ponad sześciu miesięcy, a wciąż czuł się podekscytowany jak nastolatek. Z początku podejmowali wszelkie możliwe środki ostrożności, by nikt w szpitalu nie zwietrył

ich romansu, lecz w miarę jak coraz bardziej upewniali się, że to, co się między nimi dzieje, to coś poważnego, coraz mniej dbali o zachowanie tajemnicy. Szczególnie, że odkąd lepiej się poznali, coraz

mniej znaczenie miała dzieląca ich różnica wieku. Fakt, że Martin

był zastępcą ordynatora, a Denise drugi rok asystentem na radiologii, był dla nich obojga bodźcem w sprawach zawodowych. Zwłaszcza że

Denise trzy tygodnie wcześniej zaczęła staże specjalizacyjne. Już w tej chwili dorównywała dwóm lekarzom ze specjalizacją. Do tego wszystkiego dochodziła przyjemność i radość.

- Stary satyr, co? - wyszeptał Martin. - Za tę uwagę zostajesz

ukarana. Zostawiam cię na pastwę tych studenciaków. Jeśli cię znudzą, wyślij ich do sali angiografii. Damy im dawkę ponadmaksymalną

praktyki przed teorią.

Denise skinęła głową z rezygnacją.

- A kiedy skończysz na dzisiaj tomografie - ciągnął dalej

szepem Martin - wpadnij do mojego gabinetu. Może uda nam się wykraść do kawiarenki.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, złapał swój długi fartuch i wymknął się.

24

Pokoje chirurgów znajdowały się na tym samym piętrze co

radiologia. Philips skierował się w ich stronę. Lawirując w korytarzu zatłoczonym wózkami z pacjentami czekającymi na fluoroskopię,

przeciał opisownię klisz rentgenowskich.

Była to wielka sala podzielona na przegródki przez negatoskopy służące do podświetlania klisz. Znajdował się w niej obecnie mniej więcej tuzin asystentów gawędzących i popijających kawę. Nie dotarła tu jeszcze codzienna lawina rentgenogramów, choć aparaty pracowały już od pół godziny. Po cienkim strumyczku klisz zwała się prawdziwa ich powódź; Philips aż za dobrze przypominał to sobie z czasów, gdy sam był asystentem. Pracował właśnie w tym szpitalu i częstokroć spędzał na opisywaniu zdjęć dwanaście godzin bez przerwy, takie były bowiem wymogi jednego z największych i najlepszych oddziałów radiologicznych kraju.

W nagrodę tu właśnie dostał propozycję specjalizacji w neuro-radiologii. Po jej zakończeniu miał tak doskonałe rezultaty, że zaproponowano mu stałą pracę i asystenturę w akademii medycznej.

Z tej podrzędnej posady awansował błyskawicznie na obecne stanowisko zastępcy ordynatora.

Philips zatrzymał się na moment na środku opisowni. Wyjątkowe oświetlenie, rzucane przez neonówki za mlecznymi szybami negatoskopów[^] nadawało lekarzom niesamowity wygląd. Przez moment pomyślał, że wyglądają jak trupy o pustych oczodołach i zbielełej skórze. Zastanowił się, dlaczego nigdy wcześniej nie zwrócił na to uwagi. Opuścił spojrzenie na swą rękę, miała ten sam trupi odcień. Ruszył dalej, osobliwie wytrącony z równowagi. Po raz kolejny w ciągu ostatnich lat spojrzał na szpital nieprzychylnym wzrokiem. Być może działało się tak za sprawą niewielkiego, tłącego się jednak,

niezadowolenia ze swojej pracy; nabierała ona coraz bardziej administracyjnego charakteru. Co więcej, wyczuwał stagnację swojego położenia. Ordynator neuroradiologii, Tom Brockton, miał pięćdziesiąt osiem lat i ani myślał o odejściu. Poza tym ordynator oddziału radiologii ogólnej, Harold Goldblatt, również był neuroradiologiem.

Philips uświadomił sobie z konieczności, że jego błyskawiczna kariera w oddziale uległa zahamowaniu nie przez brak zdolności z jego strony, lecz dlatego, iż obydwie wyższe pozycje były solidnie obstawione. Od

prawie roku nosił się z niechętną myślą o rzuceniu pracy w szpitalu

Hobsona i przeniesieniu się gdzie indziej, gdzie miałby szansę wdrzeć się na sam szczyt.

Skręcił w korytarz prowadzący do kliniki chirurgii. Minał podwójne wahadłowe drzwi, na których widniało ostrzeżenie, że dalej wstęp dla

25

osób nie upoważnionych jest wzbroniony, i przeszedł przez kolejne podwójne drzwi do sali przedoperacyjnej, w której spora liczba wylęknionych pacjentów na wózkach czekała na swoją kolejkę do zabiegów. Na końcu dużej sali znajdowało się drugie biurko z blatem z formiki, strzegące wejścia na korytarz, do którego przylegało trzydzieści sal operacyjnych i sale pooperacyjne. Za biurkiem trzy instrumentariuszki w zielonych chirurgicznych strojach pilnie sprawdzały, czy właściwy pacjent trafia na właściwą salę i na właściwą operację. Przy prawie dwustu operacjach przez dwadzieścia cztery godziny na dobę była to prawdziwa mordęga.

- Możecie mi coś powiedzieć o przypadku Mannerheima? -

spytał Martin, nachylając się nad biurkiem.

Wszystkie trzy pielęgniarki zaczęły mówić jednocześnie. Jako jeden z niewielu lekarzy stanu wolnego, Martin był mile widzianym gościem na sali przedoperacyjnej. Gdy pielęgniarki uświadomiły sobie, co się dzieje, wszystkie umilkły, a po chwili roześmiały się, wdając się w wyszukaną ceremonię udzielania sobie pierwszeństwa w zabraniu głosu.

- Może powinienem zapytać kogoś innego - powiedział Philips, udając, że odchodzi.

- Och, nie - powiedziała blondynka.

- Możemy pójść do magazynku bielizny, żeby o tym podyskutować - zasugerowała brunetka.

Trakt operacyjny był w szpitalu miejscem, gdzie panowała luźniejsza dyscyplina, atmosfera była tu całkowicie odmienna niż na jakimkolwiek innym oddziale. Philips uważał, że pewnie ma to coś wspólnego z tym, iż wszyscy nosili takie same, przypominające pizamy stroje, oraz z wielkim napięciem, które sprawiało, że sprawy seksu stanowiły mile widzianą dystrakcję. Bez względu na przyczynę Philips pamiętał to bardzo dobrze: rok był asystentem na chirurgii, nim zajął się radiologią.

- Którym z pacjentów Mannerheima pan się interesuje, doktorze? - spytała jasnowłosa pielęgniarka. - Marino?

- Zgadza się - powiedział Philips.

- Leży prosto za panem.

Philips odwrócił się. Mniej więcej sześć metrów od niego stał

wózek noszowy, na którym leżała przykryta prześcieradłem dwudziestoletnia dziewczyna. Prawdopodobnie poprzez oszołomienie, wywołane działaniem środków podanych w ramach premedykacji przed operacją, usłyszała swoje nazwisko, ponieważ powoli odwróciła się w stronę Philipsa. Przed zabiegiem ogolono jej całkowicie głowę,

26

przez co przypominała mu pozbawionego upierzenia śpiewającego ptaka. Widział ją już przelotnie dwa razy podczas przedoperacyjnej diagnostyki rentgenowskiej. Zaszokowała go zmiana w jej wyglądzie.

Nie uświadamiał sobie wcześniej, jak jest drobna i delikatna. W jej oczach kryło się rozpaczliwe spojrzenie porzuconego dziecka. Jedyne, co mógł zrobić, to odwrócić się z powrotem w stronę pielęgniarek.

Jednym z powodów, dla których przerzucił się z chirurgii na radiologię, było uświadomienie sobie, że nie może wyzbyć się współczucia dla

niektórych pacjentów.

- Dlaczego jeszcze nie zaczęto? - zapytał pielęgniarki, zły, że chorą zostawiono samą z jej lękami.

- Mannerheim czeka na specjalne elektrody ze szpitala Gibsona - powiedziała jasnowłosa pielęgniarka. - Chce zrobić zapisy z części mózgu, które ma zamiar usunąć.

- Rozumiem... - powiedział Philips, usiłując zaplanować sobie ranek. Mannerheimowi z wyjątkowym powodzeniem udawało się psuć innym rozkład dnia.

- Mannerheim ma dwóch gości z Japonii - dodała pielęgniarka. - Przez cały tydzień chodzi dumny jak paw. W każdym razie

zaczynają za parę minut, zadzwonili już po pacjentkę, ale nie mieliśmy kogo z nią wysłać.

- No dobrze - powiedział Philips, ruszając z powrotem do

wyjścia z sali przedoperacyjnej. - Zadzwońcie do mnie do gabinetu,

kiedy Mannerheimowi będą potrzebne zdjęcia śródoperacyjne. Zyska

parę minut.

Wracając Philips przypomniał sobie, że musi się ogolić, i skiero-

wał się do pokojów chirurgów. Dziesięć po ósmej było tu zupełnie

pusto, ponieważ zaczęły się już operacje wyznaczone na siódmą

trzydzieści, a następne nie miały jeszcze szans się rozpocząć. Był tam tylko jeden chirurg, drapiący się w roztargnieniu podczas telefonicznej rozmowy ze swoim maklerem giełdowym. Philips przeszedł do

przebieralni i szybko ustawił właściwą kombinację na kłódce cyfrowej

swojej szafki o wymiarach trzydzieści na trzydzieści centymetrów,

której Tom, staruszek doglądający szatni chirurgów, pozwolił mu

używać.

Gdy tylko skończył namydlać twarz, odezwał się komunikator, co

sprawiło, że aż podskoczył do góry. Nie zdawał sobie sprawy z tego,

jak ma napięte nerwy. Podeszedł do wiszącego na ścianie telefonu

i przysunął słuchawkę do ucha, starając się nie dotykać nią spienionego kremu. Jego sekretarka, Helen Walker, powiadomiła go, że przybył

William Michaels i czeka na niego w jego gabinecie.

27

Philips dokończył golenia z odnowionym entuzjazmem. Wróciła

cała ekscytacja wywołana zapowiedziami Michaelsa. Natarł twarz

wodą kolońską i, walcząc z rękawami, nałożył z powrotem długi

fartuch. Wracając przez gabinet chirurgów, zauważył, że lekarz wciąż

jeszcze rozmawia z maklerem.

Martin dotarł do swego gabinetu, pod koniec prawie biegnąc.

Helen Walker poderwała głowę znad maszyny, gdy przed oczyma

mignęła jej rozmazana plama jej szefa. Zaczęła się podnosić, sięgając po stertę korespondencji i zanotowanych wiadomości telefonicznych,

ale usiadła z powrotem, gdy drzwi gabinetu zatrzasnęły się. Wzruszyła ramionami i wróciła do pisania na maszynie.

Philips oparł się o drzwi, oddychając ciężko. Michaels beztrąsko

kartkował jedno z jego pism radiologicznych.

- No i? - spytał z podnieceniem Martin.

Michaels był jak zwykle ubrany w jedną ze swych źle dopasowanych,

lekko znoszonych, tweedowych marynarek, które kupił na trzecim roku

MIT - Politechnice Massachusetts. Miał trzydziestkę, choć wyglądał na dwadzieścia lat, i włosy tak jasne, że czupryna Martina wyglądała

w porównaniu prawie na brązową. Uśmiechnął się z zadowoleniem

drobnymi ustami, w jego bladoniebieskich oczach zamigotały ogniki.

- Co się dzieje? - zapytał, udając, że z powrotem zagłębia się

w lekturze pisma.

- Daj spokój - powiedział Philips. - Wiem, że chcesz mnie

rozdrażnić. Kłopot w tym, że udaje ci się to aż nazbyt dobrze.

- Nie wiem, czy... - zaczął Michaels, ale nie zdołał powiedzieć

ani słowa więcej. Jednym płynnym ruchem Philips zrobił krok do

przodu i wyrwał mu pismo z rąk.

- Nie udawaj głupola - powiedział. - Wiesz, że mówiąc Helen,

iż masz dla mnie niespodziankę, doprowadziłeś mnie do szału. O mało

co nie zadzwoniłem dziś do ciebie o czwartej nad ranem. Teraz tego

żałuję. Chyba na to zasługujesz.

- Ach, prawda, niespodzianka - drażnił się Michaels. - Byłbym zapomniał. - Nachylił się nad swoim neseserem. Po minucie wyjął z niego niewielki pakunczek w zielonym papierze, przewiązany szeroką żółtą wstążką. Twarz Martina wydłużyła się.

- Co to jest? - Spodziewał się jakichś papierów, czegoś w rodzaju komputerowego wydruku, co stanowiłoby przełom w ich poszukiwaniach - ale nie podarunku.

- Oto twoja niespodzianka - powiedział Michaels, podając Martinowi paczuszkę.

28

Philips przeniósł z powrotem spojrzenie na podarunek. Odczuwał graniczące z gniewem rozczarowanie.

- Po cholere robisz mi prezenty?

- Ponieważ jesteś cudownym partnerem w badaniach - powiedział Michaels, wciąż wyciągając rękę z paczuszką w kierunku Philipa. - No, bierz.

Philips wyciągnął dłoń. Na tyle odzyskał równowagę, by być zakłopotanym z powodu swojej gniewnej reakcji. Bez względu na to, co czuł, nie chciał urazić uczuć Michaelsa. Poza tym był to przecież miły gest.

Podziękował i zważył paczuszkę w ręce. Była lekka, miała około dziesięciu centymetrów szerokości i dwa i pół grubości.

- Nie otworzysz? - spytał Michaels.

- Pewnie - powiedział Philips, spojrzawszy przez moment

badawczo na Michaela.

Kupno prezentu było czymś zupełnie nie przystającym do cudownego dziecka Wydziału Nauk Cybernetycznych. Nie dlatego, by nie

był przyjaźnie nastawiony do ludzi czy szczodry, lecz po prostu

w nawale skomplikowanych prac badawczych nie zwracał sobie

głowy konwenansami. W istocie podczas czterech lat wspólnej pracy

Philips nigdy nie spotkał Michaela na gruncie towarzyskim. W końcu

nabrał przekonania, że Michaels nigdy nie wyłącza cudownej maszyny,

którą miał pod czaszką. Było nie było w wieku lat dwudziestu sześciu

wyznaczono go do kierowania Działem Sztucznej Inteligencji na

uniwersytecie, a magisterium zrobił w MIT w wieku lat dziewiętnastu.

- To otwórz - ponaglił go Michaels.

Philips pociągnął za kokardę i ceremonialnie złożył wstążkę na

zagraconym stole. Za nią powędrował zielony papier opakowania.

Pod nim znajdowało się czarne pudełko.

- Jest w tym pewna symbolika - powiedział Michaels.

- Tak? - rzekł Philips.

- Tak - potwierdził Michaels. - Wiesz, jak psychologowie

traktują mózg: jako czarną skrzynkę. No więc zajrzyj do środka.

Philips uśmiechnął się blado. Nie miał pojęcia, o czym Michaels

mówi. Odchylił wierzch pudełka i wyjął płatki bibuły. Ku swojemu

zaskoczeniu wyjął ze środka kasetę zespołu Fleetwood Mac opisaną

jako Rumours.

- A niech cię - uśmiechnął się Philips. Nie miał zielonego pojęcia, dlaczego Michaels miałby mu kupować kasetę Fleetwood Mac.

- To też jest symboliczne - wyjaśnił Michaels. - Zapis na kasecie będzie czymś więcej niż muzyką dla twoich uszu.

29

Nagle cała szarada [^]stała się jasna. Philips otworzył z trzaśnięciem pudełko i wyjął kasetę. Zapisana była na niej nie muzyka, lecz program dla komputera.

- Jak daleko zaszliśmy? - zapytał niemal szeptem.

- Do samiuteńkiego końca - powiedział Michaels.

- Niemożliwe! - rzekł z niedowierzaniem Philips.

- Przypominasz sobie ostatnie materiały, jakie mi dałeś? Cudow-

nie się sprawdziły. Pozwoliły rozwiązać problem interpretacji granicznej i zacień. W tym programie masz wszystko, co uwzględniłeś w swoich

schematach diagnostyki. Odczyta każde zdjęcie rentgenowskie czaszki

pod warunkiem, że wprowadzisz je do tego urządzenia - Michaels

wskazał w głąb gabinetu Philipsa.

Stało tam na biurku urządzenie wielkości telewizora. Z wyglądu

można było od razu ocenić, że jest to prototyp. Płytę czołową

z nierdzewnej stali przytrzymywały sterzące śruby. W lewym górnym

rogu znajdował się otwór do wprowadzania kasety. Z boków wybiegały

dwa kable, jeden prowadził do klawiatury, służącej jednocześnie za

drukarce, drugi do prostopadłościennego pudła ze stali o długości

boku około metra dwudziestu i mniej więcej trzydziestocentymetrowej

wysokości. Na przodzie znajdowała się długa szczelina z widocznymi

w środku wałkami, służąca do wprowadzania do środka klisz rentgenowskich.

- Nie mogę uwierzyć - powiedział Philips, obawiając się, że Michaels znów sobie z niego kpi.

- My również - przyznał Michaels. - Wszystko nagle się zgrało. - Zrobił dwa kroki i poklepał wierzch komputera. -

Wykonana przez ciebie praca dotycząca rozpoznawania obrazów radiologicznych i ich różnicowej oceny uświadomiła nam, że nie tylko potrzebujemy nowego hardware'u, ale dała nam też pojęcie, jak go zaprojektować. Rezultat przed nami.

- Z zewnątrz wygląda prosto.

- Jak zwykle pozory mylą - powiedział Michaels. - Zawartość tego komputera zrewolucjonizuje świat cybernetyki.

- Pomyśleć tylko, co stanie się z radiologią, jeśli to urządzenie rzeczywiście potrafi czytać klisze - rzekł Martin.

- Będzie je czytać - powiedział Michaels. - Program może mieć jeszcze wady. Musisz teraz przepuścić przez nie tyle klisz, ile tylko uda ci się wygrzebać z archiwów. Jeśli będziesz miał jakieś problemy, to, jak sądzę, z wynikami fałszywie ujemnymi. To znaczy komputer będzie twierdził, że obraz radiologiczny jest w normie, podczas gdy widać na nim będzie zmiany patologiczne.

30

- Ten sam problem mają radiolodzy - powiedział Philips.

- Cóż, myślę, że uda się to wyeliminować z programu -

powiedział Michaels. - Będzie to zależało od ciebie. Żeby skorzystać z tego urządzenia, najpierw trzeba je uruchomić. Jak sądzę, nawet zwykły lekarz będzie to potrafił.

- Bez wątplenia - odrzekł Philips - ale będzie potrzebny ktoś z doktoratem, żeby je włączyć do sieci.

- Bardzo dobrze - roześmiał się Michaels. - Twoje poczucie humoru poprawia się. Po włączeniu i uruchomieniu komputera podłączasz do procesora kasetę, a drukarka na wyjściu powiadomi cię, kiedy wprowadzić kliszę do czytnika laserowego.

- A co z pozycją kliszy? - spytał Philips.

- Nie ma znaczenia, tylko emulsja powinna być z dołu.

- Dobrze - powiedział Philips, zacierając dłonie i przypatrując się komputerowi jak dumny rodzic. - Wciąż nie mogę w to uwierzyć.

- Ja również - przyznał Michaels. - Kto pomyślałby cztery lata temu, że uda się nam do tego dojść? Ciągle przypominam sobie, jak zjawileś się któregoś dnia nie zapowiedziany w Wydziale Nauk Cybernetycznych potulnie pytając, czy kogoś interesuje identyfikacja obrazu.

- Miałem zwykły fart, że wpadłem na ciebie - zrewanżował się Philips. - Pomyślałem sobie, że jesteś jeszcze studentem. Nie wiedziałem nawet, czym jest Dział Sztucznej Inteligencji.

- Szczęście odgrywa wielką rolę we wszystkich naukowych przełomach - zgodził się Michaels. - Do szczęścia dochodzi jednak mnóstwo pracy, takiej, jaka cię teraz czeka. Pamiętaj, że im więcej

klisz przepuścisz przez aparaturę, tym lepiej będzie działać program, nie tylko dlatego, że usunie z siebie wady, ale dlatego, że jest

heurystyczny.

- Mówże do mnie może po ludzku - powiedział Philips. - Co

to znaczy "heurystyczny"?

- Tak jakby lekarze mówili po ludzku - roześmiał się Mi-

chaels. - Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby lekarz wyjaśniał jakieś

niezrozumiałe słowo. Program heurystyczny to taki, który zdolny jest się uczyć.

- To znaczy, że będzie coraz inteligentniejszy?

- Trafiłeś w dziesiątkę - powiedział Michaels, ruszając w stronę

drzwi. - To jednak zależy teraz od ciebie. Pamiętaj też, że ten sam

algorytm da się zastosować w innych polach radiologii, jeśli więc

zostanie ci trochę wolnego czasu, zacznij rozpracowywać angiografie

naczyń mózgowych. Porozmawiamy o tym później.

31

Zamknawszy drzwi za Michaelsem, Philips podszedł do stołu

i zapatrzył się w aparat czytający zdjęcia rentgenowskie. Miał ochotę zacząć z nim pracę natychmiast, wiedział jednak, że uniemożliwia mu

to brzemień powszednich obowiązków. Jak gdyby na potwierdzenie

tego do środka weszła Helen ze stertą korespondencji, telefonicznych

wiadomości i radosną wieścią, że jeden z aparatów rentgenowskich

w sali angiografii naczyń mózgowych ma awarię. Z niechęcią pozostawił

nowe urządzenie.

ROZDZIAŁ 4

-
Lisa Marino? - zapytał jakiś głos, sprawiając, że otworzyła
oczy. Pochylała się nad nią pielęgniarka nazwiskiem Carol Bigelow.
Z jej twarzy widać było jedynie ciemnobrązowe oczy. Włosy były
zgarnięte w drukowany w kwiatuszki czepek, a usta i nos zakryte
maseczką chirurgiczną.

Lisa poczuła, jak pielęgniarka podnosi i obraca jej ramię, by móc
przeczytać opaskę identyfikacyjną, po czym kładzie je z powrotem
i poklepuje.

— No co, jesteś gotowa, żebyśmy doprowadzili cię do ładu? -
spytała Carol, odblokowując mechanizm zakleszczający kółka wózka
noszowego i odciągając go od ściany.

— Bo ja wiem - powiedziała Lisa, starając się wyczytać coś
w twarzy pielęgniarki.,

Carol jednak obróciła się ze słowami:

-
Na pewno - i przeciągnęła wózek z pacjentką koło białego
politurowanego biurka.

Automatyczne drzwi zamknęły się za nimi i Lisa Marino zaczęła
brzemienną w skutki drogę do sali operacyjnej numer dwadzieścia jeden.

Operacji neurochirurgicznych dokonywano zazwyczaj na czterech
salach - od dwudziestej do dwudziestej trzeciej. Sale te były specjalnie wyposażone do
przeprowadzania zabiegów na mózgu i innych częściach
układu nerwowego. Były tam podwieszane zeissowskie mikroskopy
operacyjne, zamknięte układy wideo z aparaturą nagrywającą oraz

specjalne stoły operacyjne. W sali dwudziestej pierwszej znajdowała się również galeryjka dla widzów. Była to ulubiona sala doktora Curta

Mannerheima, ordynatora oddziału neurochirurgii i szefa kliniki neurochirurgicznej akademii medycznej.

33

Lisa miała nadzieję, że do wjazdu na salę operacyjną zaśnie, ale tak się nie stało. Ba, zdawało się jej nawet, że zmysły ma bardziej wyostrzone niż zwykle i wszystko postrzega wyraźniej. Nawet zapachy środków sterylizacyjnych wydawały się jej wyjątkowo ostre.

Jeszcze czas, pomyślała. Jeszcze mogła zerwać się z łóżka i uciec. Nie chciała zostać poddana operacji, zwłaszcza głowy. Wszędzie, byle nie głowa.

Ruch ustał. Odwróciwszy głowę, spostrzegła, że pielęgniarka znika za rogiem. Wózek z Lisa został zaparkowany na rogu ruchliwego korytarza. Minęła ją grupka ludzi transportująca pacjenta, którym wstrząsały torsje. Jeden z posługaczy przyciskał do łóżka jego podbródek, a głowa stanowiła zabandażowaną okropność.

Po policzkach Lisy zaczęły spływać łzy. Widok pacjenta przypominał jej o tym, co ją czekało. Siedziba jej umysłu miała zostać brutalnie otwarta, pogwałcona. Nie jakaś tam część poboczna, jak stopa czy ramię, lecz głowa... gdzie mieściła się jej osobowość, jej dusza... Czy po tym będzie tą samą osobą?

Gdy miała jedenaście lat, przeszła ostre zapalenie wyrostka robaczkowego. I wówczas operacja wydawała się czymś strasznym, w ogóle jednak nie dawała się porównać z tym, co miało ją spotkać

obecnie. Była przekonana, że straci swoją tożsamość, o ile nie życie.

W każdym razie rozpadała się na kawałki, które byle kto mógł podnieść i zbadać.

Wróciła Carol Bigelow.

- No dobrze, Liso, jesteśmy gotowi na twoje przyjęcie.

- Proszę, nie - wyszeptała Lisa.

- Daj spokój - powiedziała Carol Bigelow. - Nie chcesz chyba, żeby doktor Mannerheim zobaczył, że płaczesz.

Lisa nie chciała, by ktokolwiek zobaczył, że płacze. Pokręciła głową w odpowiedzi na uwagę Carol, miejsce rozpacz zastąpił jednak gniew. Dlaczego ją to spotkało? To niesprawiedliwe. Jeszcze rok temu była zwyczajną uczennicą college'u. Zdecydowała, że będzie zdawała z angielskiego, mając nadzieję, iż uda jej się dostać na prawo.

Uwielbiała cykle zajęć z literatury i była doskonałą uczennicą, przynajmniej dopóki nie spotkała Jima Conwaya. Wiedziała już, że nie wybierze się na studia, ale zdecydowała się na to dopiero przed miesiącem.

Nim poznała Jima, kochała się kilkakrotnie przy rozmaitych okazjach, nigdy jednak nie sprawiało jej to wielkiej przyjemności i dziwiła się, dlaczego ludzie robią o to tyle hałasu. Z Jimem było jednak inaczej. Natychmiast zorientowała się, że seks z nim był tym,

34

czym być powinien. Nie, nie zachowywała się nieodpowiedzialnie. Nie wierzyła w pigułkę, zdecydowała się zaufać wkładce dopochwowej.

Doskonale sobie przypominała, ile hartu ducha kosztowała ją pierwsza wizyta w przychodni ginekologicznej oraz zjawianie się na wyznaczone kontrole.

- Wózek został wepchnięty na salę operacyjną. Był to idealny kwadrat o boku mniej więcej pięciu metrów. Aż do szyb galeryjki ściany pokryte były szarymi płytkami ceramicznymi. Pod sufitem dominowały dwie baterie reflektorów operacyjnych w korpusach z nierdzewnej stali, przypominające odwrócone patelnie. Na środku sali stał stół operacyjny. Był wąski, wyglądał ohydnie, przypominał ołtarz przeznaczony do jakichś pogańskich obrządków. Z jednego końca sterczała podkładka z zagłębieniem w środku, Lisa natychmiast zorientowała się, że jest ona przeznaczona do podtrzymywania głowy. Z małego tranzystorowego radia w kącie dobiegały trele Bee Gees, co stanowiło kompletny dysonans w stosunku do otoczenia.

- No i już - powiedziała Carol Bigelow. - Chciałabym cię prosić teraz, byś przesunęła się na stół.

- Dobrze - odrzekła Lisa. - Dziękuję. - Zirytowała ją ta odpowiedź. Podziękowania były ostatnią rzeczą, jakie powinny powstać jej w głowie. Mimo to chciała, by otaczający ją ludzie obdarzyli ją sympatią, ponieważ była od nich zależna.

Zsuwając się z wózka na stół operacyjny, Lisa starała się przytrzymać na sobie prześcieradło w daremnym usiłowaniu zachowania przynajmniej odrobiny godności. Gdy znalazła się na stole, znieruchomiała, wpatrując się w reflektory operacyjne. Tuż koło nich rozróżniła szklane ściany galeryjki. Trudno było coś dojrzeć przez świetlne

refleksy, zorientowała się jednak, że zza szyb wpatrują się w nią obce twarze. Lisa zamknęła oczy. Nie chciała być przedstawieniem.

Wszystko było w porządku do owego fatalnego wieczoru, po którym jej życie stało się koszmarem. Była z Jimem, obydwójce uczyli się. Stopniowo uświadamiała sobie, że ma kłopoty z czytaniem, zwłaszcza gdy natrafiała na zdania zaczynające się od słowa "zawsze". Była pewna, że zna to słowo, jednak umysł odmawiał podania jego znaczenia. Musiała zapytać o to Jima. Zareagował śmiechem, myśląc, że sobie z niego żartuje. Po jej naleganiach powiedział głośno "zawsze". Mimo że Jim wypowiedział to słowo, gdy patrzyła na jego drukowaną postać, nie mogła sobie uświadomić, o co chodzi.

Przypominała sobie, że poczuła niezwykle silną frustrację i strach.

Później zaczęła czuć dziwny zapach. Był to nieprzyjemny odór i mimo że uświadamiała sobie, iż miała z nim wcześniej do czynienia, nie

35

mogła skojarzyć, co oznaczał. Jim zaprzeczył, by czuł cokolwiek, i to było ostatnie, co pamiętała. Właśnie wtedy miała pierwszy atak.

Prawdopodobnie był okropny, ponieważ kiedy odzyskała przytomność, Jim trząsł się ze strachu. Uderzyła go kilkakrotnie i podrapała twarz.

- Dzień dobry, Liso - powiedział sympatyczny męski głos

z kulturalnym angielskim akcentem. Patrząc do góry za siebie,

dostrzegła ciemne oczy doktora Bala Ranadego, Hindusa wykładają-

cego w akademii. - Przypominasz sobie, co mówiłem ci wczoraj

wieczór?

Lisa skinęła głową.

- Nie kaszleć ani nie wykonywać gwałtownych ruchów -

powiedziała, pragnąc wprawić go w dobry nastrój.

Przypominała sobie dokładnie wizytę doktora Ranadego. Zjawił

się po kolacji i przedstawił jako anesteziolog, który będzie się nią

zajmował podczas operacji. Po czym przystąpił do zadawania pytań

dotyczących jej zdrowia, na które odpowiadała wielokrotnie przedtem.

Różnica polegała na tym, że doktor Ranade wydawał się nie zainteresowany

odpowiedziami. Jego mahoniowej barwy twarz nie zmieniała

wyrazu z wyjątkiem chwili, kiedy opowiadała o usunięciu wyrostka.

Pokiwał głową, gdy Lisa potwierdziła, że nie miała żadnych kłopotów

ze znieczuleniem. Interesował go jedynie brak reakcji alergicznych.

Gdy stwierdziła, że nie była na nic uczulona, również skinął głową.

Lisa zazwyczaj preferowała otwartych ludzi. Doktor Ranade

zachowywał się wręcz odwrotnie. Nie przejawiał żadnych emocji,

jedynie spokojne skupienie. Stwierdziła jednak, że w tych okolicznościach

odpowiada jej jego chłód. Była zadowolona, iż ma do czynienia

z kimś, dla kogo podobne przejścia są rutyną. W końcu jednak doktor

Ranade zaszokował ją. Tym samym precyzyjnym oksfordzkim akcentem

powiedział:

- Zakładam, że doktor Mannerheim przedstawił pani technikę

znieczulenia, jakiej użyjemy?

- Nie - powiedziała Lisa.

- To osobliwe - powiedział w końcu doktor Ranade.

- Dlaczego? - spytała Lisa, wyczuwając kłopoty. Myśl, że ktoś

mógł nie powiadomić kogoś o tym, o czym powinien, była dla niej alarmująca. - Dlaczego to osobliwe?

- Zazwyczaj kraniotomię przeprowadzamy w znieczuleniu ogólnym - powiedział doktor Ranade. - Doktor Mannerheim powiadomił nas jednak, że tę operację chce przeprowadzić w znieczuleniu miejscowym.

36

Lisa jeszcze nie wiedziała, że jej operacja nosi nazwę kraniotomii.

Doktor Mannerheim powiedział, iż zamierza "odłożyć fałd skóry"

i wykonać niewielkie okienko w czaszce, by móc usunąć nieprawidłowo

funkcjonujący fragment prawego płata skroniowego. Powiedział jej, że

w jakiś sposób ta część mózgu uległa uszkodzeniu i wywołuje u niej

napady. Gdyby udało się ją usunąć, napady ustaną. Wykonał już

prawie sto podobnych operacji z doskonałymi wynikami. Wprawiło to

Lisę niemal w ekstazę, ponieważ do tej pory spotykała się u lekarzy

jedynie z pełnym współczuciem i wamiłowaniem głowami.

A napady były okropne. Zazwyczaj wiedziała, że nadchodzą,

ponieważ ich wystąpienie poprzedzała dziwna, znajoma woń. Czasem

jednak zwały się na nią bez ostrzeżenia jak lawina.

Pewnego razu, po przebyciu długiej intensywnej terapii farmako-

logicznej, połączonej z zapewnieniami, że choroba jest opanowana,

wyczuła dziwny odór w kinie. W panice zerwała się z fotela, rzuciła do przejścia i wypadła do holu.

Nie pamiętała, co działo się z nią dalej.

Oprzytomniała na podłodze, wsparta o ścianę koło automatu z cukier-

kami, z dłonią wetkniętą między uda. Zadarła sobie ubranie i mastur-

bowwała się gorączkowo jak kot w rui. Grupka ludzi wpatrywała się w nią jak w dziwaczne monstrum; był wśród nich i Jim. Rzuciła się na niego, używając rąk i nóg. Później dowiedziała się, że rzuciła się również na dwie dziewczyny, jedną z nich raniąc tak silnie, że wymagała hospitalizacji. Gdy doszła do siebie po raz drugi, była w stanie jedynie zamknąć oczy i płakać. Wszyscy bali się do niej podejść. Niejasno przypominała sobie, że gdzieś daleko słychać było wycie syreny karetki. Myślała, że kompletnie oszalała.

Jej życie stanęło w miejscu. Nie postradała zmysłów, jednak farmakologicznie nie udawało się powstrzymać ataków. Gdy więc pojawił się doktor Mannerheim, wydał się jej zbawicielem. Dopiero wizyta doktora Ranadego uświadomiła jej, co naprawdę ją czekało. Po wyjściu Hindusa zjawił się fryzjer, by całkowicie ogolić jej głowę. Od tej chwili doznawała jedynie przerażenia.

- Czy jest jakiś powód, dla którego doktor Mannerheim chce użyć miejscowego znieczulenia? - spytała Lisa. Dłonie zaczęły jej drżeć.

Doktor Ranade starannie przemyślał odpowiedź.

- - Tak - rzekł w końcu - doktor Mannerheim chce zlokalizować chorą część pani mózgu i w tym celu potrzebuje pani pomocy.

- To znaczy, że będę przytomna, gdy... - *Nie dokończyła zdania, nie będąc w stanie wydobyć głosu. Sama myśl wydała się jej niedorzecznością.

- Owszem - rzekł doktor Ranade.

- Ależ on wie, gdzie znajduje się ta chora część - zaprotestowała.

- Niedokładnie. Proszę się jednak nie przejmować, będę tam. Nie będzie panią bolało. Proszę jedynie pamiętać, by nie kaszleć i nie wykonywać gwałtownych ruchów.

Z zamyślenia wyrwało ją odczucie bólu w lewym ramieniu.

Podniósłszy wzrok, ujrzała pęcherzyki unoszące się do góry w zawieszanej nad nią butelce. Doktor Ranade zaczął przetaczać jej dożylnie płyny. To samo zrobił z prawym ramieniem, wprowadzając w nie cienką plastikową rurkę na przewodnicy - wenflon.

Następnie poprawił położenie stołu tak, że jej głowa znalazła się nieco poniżej stóp.

- Liso - powiedziała Carol Bigelow - założę ci cewnik.

Lisa podniosła głowę i spojrzała w dół. Carol rozpakowywała plastikowe opakowanie. Nancy Donovan, druga instrumentariuszka, podciągnęła do pasa okrywające ją prześcieradło.

- Cewnik? - spytała Lisa.

- Tak - powiedziała Carol Bigelow, naciągając luźne gumowe rękawiczki. - Wprowadzę ci rurkę do pęcherza.

Lisa pozwoliła swej głowie opaść z powrotem. Nancy Donovan

ujęła ją za nogi, złożyła razem podeszwy stóp i szeroko rozchyliła jej kolana. Lisa czuła się, jak gdyby była wystawiona na widok całemu

światu.

- Podam ci lek o nazwie mannitol - wyjaśnił doktor Ranade. -

Sprawi on, że będziesz oddawała więcej moczu.

Lisa skinęła głową, jak gdyby rozumiała, podczas gdy Carol

Bigelow zaczęła wycierać gazikami jej krocze.

- Cześć, Lisa, jestem doktor George Newman, przypominasz
mnie sobie?

Otworzywszy powieki, Lisa spojrzała w jeszcze jedną twarz okrytą
chirurgiczną maską. Oczy nad nią były niebieskie. Po swej drugiej
stronie dostrzegła jeszcze jedną twarz, tym razem o piwnych oczach.

- Jestem starszym asystentem neurochirurgii - powiedział dok-
tor Newman. - A to doktor Ralph Lowry, jeden z asystentów.

Jak ci wczoraj wyjaśniłem, będziemy pomagać doktorowi Manner-
heimowi.

Nim zdążyła odpowiedzieć, poczuła ostry ból pomiędzy nogami,
po którym nastąpiło osobliwe uczucie wypełnienia w pęcherzu.

Zaczerpnęła tchu. Poczowała, że cewnik jest przyklejany plastrem do
wewnętrznej części jej uda.

- Proszę się odprężyć - powiedział doktor Newman, nie czekając

38

na jej odpowiedź. - Wykurujemy cię raz dwa. - Lekarze przenieśli
uwagę na serię rentgenogramów, które pokrywały ściany.

Tempo czynności wykonywanych na sali operacyjnej stało się
szybsze. Nancy Donovan pojawiła się z parującą tacą ze stali

z narzędziami i z łoskotem postawiła ją na znajdującym się przy stole operacyjnym blacie. Darlene
Cooper, jeszcze jedna instrumentariuszka, już ubrana i w rękawiczkach, zaczęła rozkładać
instrumenty na tacy.

Lisa odwróciła głowę, gdy ujrzała, jak Darlene podnosi duży świder.

Doktor Ranade owinał dookoła prawego ramienia Lisy mankiet

ciśnieniomierza. Carol Bigelow odsłoniła jej pierś i przykleiła zelem elektrody EKG. Wkrótce, kojarzące się z sonarem, popiskiwanie

kardiomonitora zaczęło konkurować z dobywającą się z radyjka

melodią Johna Denvera.

Doktor Newman wrócił do studiowania rentgenogramów i poprawił

położenie głowy Lisy. Przyłożył kciuk do wierzchołka jej głowy,

a mały palec do nosa, i specjalnym flamastrem nakreślił linię od ucha poprzez czubek głowy do drugiego ucha. Druga linia, przecinająca

pierwszą, brała początek pośrodku czoła i ciągnęła się do potylicy.

- Liso, odwróć teraz głowę w lewo - powiedział doktor Newman.

Lisa nie otwierała oczu. Poczowała, jak lekarz bada palcami grzbiet

kostny biegnący spod jej prawego oka w stronę ucha. Następnie

poczowała, jak flamaster kreślił łukowatą linię zaczynającą się na jej

prawej skroni, omijającą ucho i kończącą się poza nim. U podstawy

wyznaczonej w ten sposób podkowy znalazł się jej przewód słucho-

wy. Tak właśnie miał wyglądać opisany przez Mannerheima płat

skórny.

Nieoczekiwana senność rozlała się w jej ciele. Sprawiało to wrażenie, jak gdyby powietrze stało się płynne, a kończyny ołowiane. Otworzenie powiek wymagało od niej wielkiego wysiłku. Doktor Ranade uśmiechnął się do niej z góry. W jednej ręce trzymał przewód od kroplówki,

w drugiej strzykawkę.

- Coś na odprężenie - powiedział.

Czas utracił ciągłość. Dźwięki wpływały i wypływały z jej świadomości.

Chciała zapaść w sen, jednak jej ciało podświadomie się temu

sprzeciwiało. Czowała, że zostaje do połowy odwrócona na bok, a pod

uniesiony prawy bark zostaje wetknięta poduszka. Mając wrażenie,

jakby nie należały do niej, poczuła, że jej nadgarstki są przywiązywane do poręczy wystających z obydwu stron stołu operacyjnego. Czowała

w ramionach taki ciężar, że w żaden sposób nie byłaby w stanie nimi

39

poruszyć. Przez talię przełożono krępujący jej ruchy skórzany pas.

Czowała, jak jej głowa jest przecierana i smarowana, a skóry dotyka

kilka ostrych igieł. Towarzyszył temu ulotny ból, nim jej głowa została unieruchomiona w czymś w rodzaju imadła. Wbrew własnej woli Lisa

zapadła w sen.

Wyrwał ją z niego gwałtowny, silny ból. Nie miała pojęcia, ile

czasu minęło. Ból zlokalizowany był gdzieś nad prawym uchem. Po

jakimś czasie powtórzył się. Z jej ust dobył się jęk, spróbowała się

poruszyć. Z wyjątkiem prześcieradła zawieszzonego na ramie na

wysokości jej barków cała była okryta chirurgicznymi serwetami.

U wylotu tunelu utworzonego przez prześcieradło widziała twarz

doktora Ranadego.

- Wszystko w porządku - powiedział. - Nie ruszaj się teraz.

Dostaniesz środek do znieczulenia miejscowego. Będiesz czuła to

tylko przez chwilę.

Ból powtórzył się kilkakrotnie. Lisa miała wrażenie, jakby wierz-

chołek jej czaszki miał zamiar eksplodować. Usiłowała unieść ramiona, ale nie mogła tego zrobić przez powstrzymujące ją pasy.

- Proszę - usiłowała krzyknąć, lecz jej głos był zbyt słaby.

- Wszystko w porządku, Liso. Postaraj się odprężyć.

Ból ustał. Słyszała głośnie oddechy lekarzy, dobiegające wprost

znad jej prawego ucha.

- Nóż - powiedział doktor Newman.

Lisa skuliła się. Uczuła nacisk, jak gdyby do jej skroni przyłożono palec. Nóż zakreślił łuk wytyczony flamastrem. Czowała, jak przez serwety na jej kark ścieka ciepła ciecz.

- Klemy - powiedział doktor Newman.

Usłyszała ostre metaliczne szczęknięcia.

- Kleszcze Raneya - powiedział doktor Newman. - I za-

dzwońcie do Mannerheima. Powiedzcie mu, że będziemy gotowi za pół godziny.

Lisa starała się nie myśleć o tym, co dzieje się z jej głową, a miast tego skupić się na nieprzyjemnym uczuciu w pęcherzu. Zawołała

doktora Ranadego i powiedziała mu, że czuje potrzebę oddania moczu.

- Masz cewnik założony do pęcherza - powiedział.

- Ale muszę się wysiusiać - powiedziała.

- Już dobrze, Liso, odpręż się - powiedział doktor Ranade. -

Podam ci jeszcze trochę lekarstwa na sen.

Następną rzeczą, jaka dotarła do świadomości Lisy, było wysokie

wycie gazowego silniczka połączone z uczuciem nacisku na czaszkę

i wibrowania głowy. Przeraziła się, ponieważ wiedziała, co ten odgłos 40

oznacza. Otwierano jej czaszkę za pomocą piły; nie wiedziała wcześniej, że nazywa się ona kraniotomem. Na szczęście nie czuła żadnego bólu,

choć liczyła się z możliwością, że w każdej chwili może się pojawić.

Smród przypalanej kości przeniknął przez serwety znajdujące się nad

jej twarzą. Poczowała, że doktor Ranade ujmuje jej dłoń w swe ręce. Była mu za to wdzięczna. Uścisnęła je, jak gdyby w nich tkwiła jej jedyna

nadzieja na ocalenie.

Dźwięk kraniotomu ucichł. Z nagłej ciszy wyłonił się dźwięk kardiomonitora. Po chwili Lisa ponownie poczuła ból, tym razem bardziej przypominający dyskomfort wywołany przez zlokalizowany ból głowy. Na końcu tunelu, w jej polu widzenia, pojawiła się twarz doktora Ranadego. Wpatrywał się w nią, pompując mankiet ciśnieniomierza.

- Kleszcze kostne - powiedział doktor Newman.

Lisa poczuła i usłyszała chrupanie kości. Dobiegało gdzieś bardzo blisko jej prawego ucha.

- Elewator.

Poczuła jeszcze kilka dębnięć, po których dobiegło ją głośnie klaśnięcie. Wiedziała, że otworzono jej czaszkę.

- Mokry gazik - powiedział rzeczowym tonem doktor Newman.

Jeszcze podczas mycia rąk do operacji doktor Curt Mannerheim

przechylił się i przez drzwi rzucił spojrzenie na salę numer dwadzieścia jeden, a także na zegar na przeciwległej ścianie. Była prawie dziewiąta.

Właśnie w tym momencie jego starszy asystent, doktor Newman,

odszedł od stołu. Skrzyżował dłonie w rękawiczkach na piersi i podszedł

do rentgenogramów rozwieszonych na negatoskopie. Mogło to ozna-

czać tylko jedno: wykonano kraniotomię i czekano na szefa.

Doktor Mannerheim wiedział, że nie ma czasu do stracenia.

W południe miała przybyć inspekcja z Narodowego Instytutu Zdrowia.

Stawką w tej grze była dwunastomilionowa dotacja, która pozwoliłaby

mu prowadzić prace badawcze przez następne pięć lat. Musiał dostać

tę dotację, inaczej groziła mu utrata laboratorium zwierzęcego, a wraz z nim rezultatów czterech lat pracy. Mannerheim był przekonany, że

znalazł się na skraju wykrycia, które ośrodki w mózgu odpowiedzialne są za gniew i agresję.

Splukując mydliny, dostrzegł Lori McInter, siostrę przełożoną traktu operacyjnego. Zawołał ją po imieniu. Zatrzymała się w miejscu.

- Lori, moja droga! Przyjechało dwóch lekarzy z Tokio. Mogłabyś

41

pchnąć kogoś, żeby dojrzał, czy Japończycy znaleźli stroje operacyjne i całą resztę?

Lori McInter skinęła głową w sposób, który wskazywał, że nie jest zadowolona z polecenia. Krzyki Mannerheima w korytarzu irytowały ją.

Mannerheim dostrzegł jej milczącą wymówkę i zaklął pod nosem.

- Ach, te baby - mruknął. Pielęgniarki coraz bardziej działały mu na nerwy. Nie był pewny, czy nie celowo.

Na salę operacyjną wpadł jak byk na arenę. Pogodna atmosfera natychmiast zniknęła. Darlene Cooper podała mu sterylny ręcznik.

Osuszając po kolei dłonie i przedramiona, Mannerheim nachylił się nad operowaną głową Lisy Marino.

- Szlag by cię trafił, Newman - burknął. - Kiedy się wreszcie nauczysz robić przyzwoitą kraniotomię? Raz ci powiedziałem, mówiłem ci tysiące razy, żebyś ścinał brzegi bardziej skośnie. Chryste, ale narobiłeś bajzlu!

Przykryta serwetami Lisa poczuła nowy przypływ lęku. Jej operacja najwidoczniej przebiegała nie tak, jak powinna.

- Ja... - zaczął Newman.

- Ani jednej wymówki, Newman! Albo będziesz to robić porządnie, albo szukaj sobie nowej pracy. Będzie tu dziś dwóch Japońców, jak ci się wydaje, co sobie pomyślą, gdy to zobaczą?

Nancy Donovan podeszła do Mannerheima, by wziąć od niego ręcznik, lecz on wolał cisnąć go na podłogę. Lubił robić wokół siebie zamieszanie i, jak dziecko, gdziekolwiek się znalazł, domagał się, by wszyscy skupiali na nim uwagę. I to mu się udawało.

Uważany był za jednego z najlepszych pod względem zręczności, o ile nie za najszybszego, neurochirurga w kraju. Sam zwykł o tym mawiać: "Jak się człowiekowi włazi do głowy, to nie ma czasu na obijanie się". A jego encyklopedyczna znajomość zawiłości budowy ludzkiego mózgu sprawiała, że osiągał wyjątkowe rezultaty.

Darlene Cooper rozwinęła opakowanie ze specjalnymi brązowymi rękawiczkami, jakich domagał się Mannerheim. Gdy wyszarpywał je, spojrzał jej prosto w oczy.

- Ach... - wyszeptał, jak gdyby akt wetknięcia dłoni w rękawiczki sprawiał mu niemal orgiastyczną przyjemność. - Dziecino, jesteś cudowna.

Wręczając Mannerheimowi wilgotny ręcznik do otarcia talku z rękawiczek, Darlene Cooper unikała spojrzenia jego szaroniebieskich oczu. Była przyzwyczajona do jego komentarzy i z doświadczenia wiedziała, że najlepiej je ignorować.

42

Zajmując miejsce u szczytu stołu operacyjnego, między Newmanem po prawej i Lowrym po lewej, Mannerheim przypatrzył się półprzezroczystej oponie twardej, okrywającej mózg Lisy Marino. Newman

starannie założył nici do szwów, nie podkluwając całkowicie na wylot opony, i zakotwiczył je do skrajów otworu kraniotomii. W ten sposób opona twarda nie mogła zapaść się na powierzchnię mózgu.

- No dobrze, wszyscy na scenę - powiedział Mannerheim. -

Hak twardówkowy i skalpel.

Instrumenty klasnęły w dłoni chirurga.

- Spokojnie, dziecino - powiedział Mannerheim. - Nie jesteśmy

w telewizji. Nie chcę, byś mi sprawiała ból za każdym razem, kiedy poproszę o instrument.

Nachylił się i zręcznie podniósł hakiem oponę. Za pomocą noża wykonał w niej mały otwór, przez który widać było szaroróżowawe wybrzuszenie odsłoniętego mózgu.

Przystąpiwszy do operacji, Mannerheim stał się skończenie fachowy.

Jego względnie małe dłonie poruszały się z ekonomiczną rozwagą,

spojrzenie wypukłych oczu nie odrywało się od pola operacyjnego. Był

typem raczej fizycznym niż intelektualnym, o wyjątkowej koordynacji

ruchowej. Fakt, że był niskiego wzrostu - miał jedynie sto sześćdziesiąt osiem centymetrów - stanowił dla niego źródło ustawicznej irytacji.

Miał wrażenie, że los okradł go z dodatkowych piętnastu centymetrów,

dzięki którym jego wielkość fizyczna odpowiadałaby duchowej, utrzy-

mywał jednak swe ciało w wysmienitej formie, dzięki czemu nie

wyglądał na swoje sześćdziesiąt jeden lat.

Za pomocą niewielkich nożyczek Mannerheim odsunął oponę

twardą z całej powierzchni okna kostnego w czaszce Lisy Marino, dla

ochrony podtykając pod jego brzegi, między oponę i mózg, gąbkę

hemostatyczną. Palcem wskazującym delikatnie obmacał płat skroniowy mózgu. Przy swoim doświadczeniu był w stanie wykryć każdą nieprawidłowość. Interakcja między nim a żywym, pulsującym ludzkim mózgiem była dla niego apoteozą jego egzystencji. Czyste podniecenie stąd płynące częstokroć wywoływało u niego podczas operacji erekcję.

- Teraz stymulator i elektrody EEG - powiedział.

Doktor Newman i doktor Lowry zaczęli porać się z gąszczem cienkich przewodów. Nancy Donovan, jako dodatkowa instrumentariuszka, odbierała od lekarzy właściwe przewody i podłączała je do aparatu. Doktor Newman starannie umieścił punktowe elektrody w dwóch równoległych liniach. Jedna para znalazła się w środku płata skroniowego, druga nad bruzdą środkową. Giętkie elektrody zakończone srebrnymi kuleczkami znalazły się pod podstawą mózgu. Nancy

43

Donovan przekręciła przełącznik i ekran elektroencefalografii znajdujący się koło kardiomonitora ożył. Pojawiły się na nim świecące punkty kreślące chaotyczne zygzaki.

Do sali operacyjnej weszli doktor Karata i doktor Nagamoto.

Mannerheim był zadowolony nie tyle dlatego, że goście mogli się czegoś nauczyć, ile dlatego, iż uwielbiał mieć publiczność.

- Proszę posłuchać - powiedział Mannerheim żywo gestyku-

lując. - W literaturze wypisuje się mnóstwo bredni na temat tego,

czy w czasie usunięcia płata skroniowego powinno się wycinać również

jego górną część. Niektórzy lekarze obawiają się, że może to wywołać

u pacjenta zaburzenia mowy. Jest na to jedyna odpowiedź - sprawdzić.

Trzymając stymulator elektryczny jak dyrygencką batutę, Mannerheim dał znak doktorowi Ranademu, który nachylił się i uniósł prześcieradło.

- Liso - powiedział.

Lisa otworzyła oczy. Odbijało się w nich oszołomienie wywołane usłyszaną konwersacją.

- Liso - powiedział doktor Ranade - chcę, byś wyrecytowała tyle dziecięcych rymowanek, ile tylko zdołasz sobie przypomnieć.

Lisa usłuchała, mając nadzieję, że jeśli wykona polecenie, operacja szybciej się skończy. Zaczęła recytować, jednak w chwilę później doktor Mannerheim dotknął powierzchni jej mózgu stymulatorem.

Urwała w pół słowa. Wiedziała, co chce powiedzieć, nie była jednak w stanie tego zrobić. W tej samej chwili w jej umyśle powstał obraz osoby przechodzącej przez drzwi.

Podkreślając fakt, że dziewczyna przestała mówić, Mannerheim rzekł:

- Proszę, oto odpowiedź! Nie usuniemy tej pacjentce zakrętu skroniowego górnego.

Japończycy ze zrozumieniem przytaknęli.

- Czeka nas teraz ciekawsza część doświadczenia - powiedział

Mannerheim, biorąc dwie elektrody głębokie, które udało mu się sprowadzić ze szpitala Gibsona. - Przy okazji, niech ktoś wezwie rentgenologów. Chcę mieć zdjęcie, żebyśmy później wiedzieli, gdzie

znajdowały się elektrody.

Sztywne elektrody igłowe służyły zarówno do zapisywania aktyw-

ności elektrycznej mózgu, jak i do stymulacji. Przed wysterylizowaniem ich Mannerheim odznaczył na obu za pomocą niewielkiej metalowej

linijki mniej więcej czterocentymetrowy odcinek. Trzymając elektrodę

pod kątem prostym do powierzchni mózgu, Mannerheim wprowadził

ją pewną ręką, jedynie pod kontrolą wzroku, na głębokość czterech

44

centymetrów. Drugą umieścił dwa centymetry w tyle za pierwszą.

Tkanka mózgowa stawiała minimalny opór. Końcówki elektrod

wystawały z mózgu na mniej więcej pięć centymetrów.

W tym właśnie momencie zjawiał się Kenneth Robbins, przełożony

techników rentgenowskich. Miał szczęście; gdyby się spóźnił, Manner-

heim urządziłby jedną ze swoich osławionych awantur. Ponieważ sala

operacyjna wyposażona była w odpowiednią aparaturę, zrobienie

dwóch zdjęć zabrało mu zaledwie parę minut.

- Świetnie - powiedział Mannerheim, podnosząc wzrok na

zegar i uświadamiając sobie, że musi się pospieszyć. - Teraz

dokonamy stymulacji elektrodami głębokimi, by zorientować się,

czy uda nam się wywołać fale charakterystyczne dla napadów

padaczkowych. Z mojego doświadczenia wynika, iż jeśli nam się

to uda, szansę, że lobektomia skutecznie zapobiegnie dalszym atakom,

wynoszą właściwie sto procent.

Lekarze rozstawili się inaczej wokół pacjentki.

- Doktorze Ranade - powiedział Mannerheim - niech pan

poprosi pacjentkę, by opisywała swoje myśli i odczucia wywołane bodźcem.

Doktor Ranade skinął głową i zniknął za prześcieradłem. Wyłoniwszy się zza niego, dał znak Mannerheimowi, że może zaczynać.

Według Lisy pierwsze podrażnienie było jak eksplozja bomby, której nie towarzyszył żaden dźwięk ani ból. Po okresie nicości, który mógł trwać równie dobrze sekundę jak godzinę, z twarzą doktora Ranadego na końcu długiego tunelu zlał się kalejdoskop obrazów. Nie rozpoznawała lekarza ani nie zdawała sobie sprawy, gdzie się znajduje.

Docierał do niej jedynie potworny smród, który był zwiastunem jej ataków. Była przerażona.

- Liso, co czujesz? - spytał doktor Ranade.

- Pomocy! - krzyknęła Lisa. Usiłowała się poruszyć, powstrzymywały ją jednak pasy. Wiedziała, że zbliża się napad. - Pomocy!

- Liso - powiedział doktor Ranade, coraz bardziej zaniepokojony. - Liso, wszystko jest w porządku, uspokój się.

- Pomocy! - krzyczała Lisa, dopóki nie straciła władzy nad swym umysłem.

Obejma na głowie nie puszczała, podobnie jak skórzany pas w talii. Skupiła wszystkie siły w prawym ramieniu, którym szarpnęła niespodziewanie z niesamowitą siłą. Pasek na nadgarstku trzasnął i jej ramię uniosło się nad serwety.

Mannerheim jak zahipnotyzowany wpatrywał się w nietypowy zapis elektroencefalogramu, gdy kącikiem oka dostrzegł unoszącą się

rękę Lisy. Gdyby zareagował szybciej, byłby w stanie zapobiec temu,

co się stało. Ponieważ jednak skupił uwagę na czym innym, był tak

przerażony, że nie zdołał zrobić niczego. Miotająca się dziko dłoń

Lisy, pragnąca oswobodzić jej ciało od więzów krępujących ją do stołu operacyjnego, uderzyła prosto w wystające z mózgu elektrody i wbiła

je na całą głębokość.

Philips rozmawiał przez telefon z pediatrą nazwiskiem George

Rees, kiedy Robbins zapukał i otworzył drzwi. Kontynuując rozmowę,

ręką dał znak technikowi, by wszedł. Rees dzwonił w sprawie zdjęcia

czaszki dwuletniego chłopca, który rzekomo spadł ze schodów. Martin

zmuszony był powiadomić pediatrę, że podejrzewa złamanie się nad

dzieckiem, ponieważ na zdjęciu klatki piersiowej dostrzegł ślady po

starych złamaniach żeber. Sprawa była śliska, więc poczuł ulgę, gdy

odłożył słuchawkę.

- Co tam masz? - spytał Robbinsa, obracając się w fotelu.

To właśnie Philips wyznaczył Robbinsa na przełożonego techników.

Obydwaj wyśmienie się dogadywali.

- Tylko zdjęcia z lokalizacją elektrod,, których życzył sobie

Mannerheim.

Philips skinął głową. Robbins przyczepił klisze do negatoskopu.

Zazwyczaj przełożony techników nie opuszczał oddziału, by robić

zdjęcia śródoperacyjne, tym razem jednak Philips prosił go o to, by

nie było żadnej wpadki przed Mannerheimem.

Śródoperacyjne rentgenogramy Lisy Marino rozświetliły się na

negatoskopie. Zdjęcie w projekcji bocznej ukazywało przejaśnienie

w postaci wielokąta, odpowiadające wyciętemu okienku kostnemu.

Wewnątrz wyraźnie widocznego pola widniały jaskrawobiałe cienie

licznych elektrod. Najwyraźniejsze były dwie elektrody głębokie, które Mannerheim wprowadził w płat skroniowy pacjentki. Właśnie ich

położenie interesowało chirurga.

Stopą uruchomił silnik ściennej przeglądarki zdjęć rentgenowskich,

zwanej alternatorem. Tak długo, jak trzymał stopę na pedale, nad

światłówkami negatoskopu przesuwaly się kolejne zdjęcia. W alternator można było wprowadzić dowolną liczbę klisz do przejrzenia. Philips

przerzucał zdjęcia, dopóki nie pojawiły się poprzednie rentgenogramy

Lisy Marino.

Porównując nowe klisze ze starymi, ustalił dokładnie położenie

elektrod głębokich.

46

- Cacy - powiedział do Robbinsa. - Robisz świetne zdjęcia.

Gdybym mógł cię sklonować, miałbym połowę problemów z głowy.

Robbins wzruszył ramionami, jak gdyby nic go to nie obchodziło,

był jednak zadowolony z pochwały. Philips był wymagającym, ale

sprawiedliwym szefem.

Za pomocą dokładnie wyskalowanej linijki Martin pomierzył na

starych zdjęciach odstępów od drobnych naczyń krwionośnych. Dzięki

swjej znajomości anatomii mózgu i położenia naczyń krwionośnych

mógł sobie w umyśle stworzyć trójwymiarową projekcję interesującego

go pola. Przenosząc tę projekcję na nowe klisze, ustalił położenie

końcówek elektrod.

- Zdumiewające - powiedział odchylając się na oparcie. -

Mannerheim jest fantastyczny. Umieścił elektrody dokładnie tam, gdzie trzeba. Gdyby jeszcze miał w głowie tyle sprytu co w rękach.

- Mam odnieść klisze na salę operacyjną? - spytał Robbins.

Philips pokręcił głową.

- Nie, sam je zaniosę. Chcę pogadać z Mannerheimem. Wezmę też kilka starych klisz. Niepokoi mnie trochę położenie tętnicy mózgowej tylnej.

Zebrał klisze i skierował się do wyjścia.

Choć sytuacja na sali operacyjnej numer dwadzieścia jeden nabrała pozorów normalności, to, co się wydarzyło, wywołało u Mannerheima furję. Nawet obecność zagranicznych gości nie tłumila jego gniewu, którego odium spadło na Lowry'ego i Newmana, jak gdyby Mannerheim doszedł do wniosku, że cała sprawa wynikała wskutek ich knowań.

Podjął lobektomię skroniową, gdy tylko Ranade indukował u pa-

cjentki ogólne znieczulenie dotchawicze. Po napadzie Lisy nastąpiła

chwila paniki, choć wszyscy sprawili się świetnie. Mannerheimowi

udało się schwycić dłoń pacjentki, nim zdążyła wyrządzić sobie więcej szkody. Prawdziwy bohater chwili, Ranade, podał Lisie dożylnie

dawkę stu pięćdziesięciu miligramów tiopentalu, wywołując natych-

miastowe uśpienie, po czym dostrzyknął środek zwiotczający, zwany

d-tubokuraryną. Leki te nie tylko pograżyły ją we śnie, lecz również

przerwały jej napad. W ciągu kilku minut Ranade wprowadził pacjentce

do tchawicy rurkę intubacyjną, zaczął podawać podtlenek azotu

i rozmieścił czujniki.

W tym samym czasie Newman usunął dwie mimowolnie wbite na całą długość elektrody głębokie, a Lowry zdjął elektrody

47

powierzchowne. Nim Lowry przykrył pole operacyjne sterylną serwetą, obłożył je również wilgotnymi gazikami. Pacjentkę przykryto nowymi serwetami, a lekarze zmienili stroje do operacji i rękawiczki.

Wszystko wróciło do normy, z wyjątkiem nastroju Mannerheima.

- Kurza twarz - powiedział Mannerheim, prostując się, by ulżyć swemu grzbietowi. - Lowry, jeśli chcesz zajmować się czymś innym, gdy dorośniesz, powiedz mi, a teraz trzymaj haki tak, bym coś widział.

Lowry mógłby powiedzieć, że on również nic nie widzi, zdecydował się jednak milczeć.

Drzwi do sali operacyjnej otworzyły się. Wszedł Philips z kliszami.

- Uważaj - wyszeptała Nancy Donovan - Napoleon jest w podłym humorze.

- Dzięki za ostrzeżenie - powiedział w zdenerwowaniu Philips.

Bez względu na to, jak dobrym Mannerheim był chirurgiem, irytowało go, że wszyscy tolerują jego niedojrzałą osobowość. Przyczepił zdjęcia do negatoskopu, świadom, że chirurg go dostrzegł.

Minęło parę minut, nim dotarło do niego, iż Mannerheim celowo go ignoruje.

- Doktorze Mannerheim - powiedział głośno Philips, by być słyszany mimo kardiomonitora.

Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. Mannerheim wyprostował się i odwrócił głowę tak, że światło jego, przypominającej górniczą, lampki na czole padało wprost na twarz radiologa.

- Być może nie zdaje pan sobie sprawy z tego, że trwa tu operacja na ludzkim mózgu i raczej nie powinien pan przeszkadzać - powiedział Mannerheim z kontrolowaną wściekłością.

- Życzył pan sobie zdjęć lokalizacyjnych - odrzekł spokojnie Philips. - Uważałem za swój obowiązek dostarczyć panu te informacje.

- Niech pan uważa go za wypełniony - powiedział Mannerheim, wracając wzrokiem do pola operacyjnego.

Philips martwił się nie tyle położeniem elektrod, bo wiedział, że jest idealne, ile orientacją elektrody tylnej, czyli hipokampalnej, w stosunku do dość szerokiej tętnicy mózgowej tylnej.

- Jest coś jeszcze... - zaczął mówić.

Mannerheim podniósł głowę. Wiązka światła z latarki przejechała po ścianie i suficie, a jego głos rozległ się jak smagnięcie biczem:

- Doktorze Philips, raczy się pan zabrać stąd z pańskimi zdjęciami, bym mógł skończyć operację? Jeśli będę potrzebował pańskiej pomocy, zawołam pana.

48

Następnie normalnym głosem zażyczył sobie od instrumentariuszki pincety kątovej i wrócił do pracy.

Martin spokojnie zdjął klisze i wyszedł z sali operacyjnej. Przebiegając się w szatni chirurgów, starał się nie myśleć o tym, co zaszło.

Wiedział, że inaczej popsułby sobie nastrój jeszcze bardziej. Wracając do siebie, pozwolił sobie na

refleksję, iż incydent ten nadwierał jego poczucie odpowiedzialności. Współpraca z Mannerheimem wymagała

większego zasobu sił, niż podejrzewał, że może być potrzebny radiologowi. Nie doszedł do żadnych wniosków, nim wrócił na oddział.

- Czekają na pana w sali angiografii - powiedziała Helen

Walker, kiedy znalazł się przed swym gabinetem. Wstała i podążyła za nim.

Była to wyjątkowo zgrabna, trzydziestoosmioletnia Murzynka

z Queens, która od pięciu lat pracowała jako sekretarka Philipsa.

Współpraca układała się im wspaniale. Zgrozą napawała Martina

sama myśl o jej odejściu, ponieważ, jak każda dobra sekretarka,

odgrywała ona wyjątkowo ważną rolę również w jego życiu codzien-

nym. Nawet obecna garderoba Philipsa była efektem jej troski. Wciąż

nosiłby te same workowate portki co w college'u, gdyby Helen nie

podpuściła go do zaproszenia jej któregoś sobotniego wieczoru do

Bloomingdale, w rezultacie czego powstał nowy Philips, którego

modne dopasowane stroje odpowiadały jego wygimnastykowanej

sylwetce.

Cisnął zdjęcia dla Mannerheima na biurko, gdzie upadły między

inne klisze, papiery, pisma fachowe i książki. Było to jedyne miejsce w gabinecie, którego zabraniał dotykać Helen. Bez względu na to, jak

wyglądało biurko, musiał wiedzieć, gdzie co leży.

Helen stanęła za nim, recytując nieprzerwany potok wiadomości,

które uważała za konieczne mu przekazać. Doktor Rees dzwonił, by

umówić TK dla swojego pacjenta, aparat rentgenowski w sali angiografii został naprawiony i funkcjonował normalnie, z izby przyjęć dzwoniło, że spodziewają się pacjenta z urazem czaszki, u którego trzeba wykonać TK ze wskazań doraźnych. Nieskończony ciąg rutyny.

Philips polecił jej załatwić wszystko samej, co i tak zamierzała zrobić, i Helen wyszła z gabinetu.

Martin zdjął biały fartuch i rzucił go na ołowiany kaftan, który nosił na sobie podczas wykonywania zdjęć dla ochrony przed promieniowaniem. Napierśnik kaftana udekorowany był spłowiałą kal-komanią z monogramem Supermana, która opierała się wszelkim wysiłkom usunięcia jej. Dwa lata temu umieścili ją tu dla żartu jego

49

koledzy z neuroradiologii. Nie zdenerwował go ten gest, ponieważ wiedział, że wypływa z szacunku.

Gdy miał już wychodzić, obrzucił jeszcze wzrokiem biurko, szukając uspokajającego widoku kasety, by upewnić się, że nie wyobraził sobie

fantastycznych wiadomości Michaela. Nie dostrzegł jej, więc zawrócił, by przeszukać najnowsze warstwy osadu na biurku. Znalazł kasetę

pod rentgenogramami dla Mannerheima. Zawrócił do wyjścia, lecz

znow się zatrzymał. Wziął kasetę i boczne zdjęcie czaszki Lisy Marino.

Krzyknął do Helen przez otwarte drzwi, że zaraz będzie w sali angiografii, i podszedł do stolika z komputerem.

Zdjął ołowiowy kaftan i powiesił go na oparciu. Wpatrzył się w prototypowy komputer, zastanawiając się, czy rzeczywiście będzie działać. Przyjrzał się śródoperacyjnemu zdjęciu czaszki Lisy Marino w świetle padającym od rzędu negatoskopów. Nie interesowały go

sylwetki elektrod, więc myślowo usunął je ze zdjęcia. Interesowało go, co komputer powie o kraniotomii. Wiedział, że tego zabiegu nie

włączyli do oprogramowania.

Wcisnął przełącznik procesora centralnego. Gdy powoli wsunął kasetę, zapaliło się czerwone światelko. Znajdowała się w trzech czwartych w środku, gdy urządzenie połknęło ją jak wygłodniały pies.

Natychmiast ożyła drukarka. Philips przesunął się, by móc czytać tekst.

CZEŚĆ! JESTEM RADREAD, CZASZKA I. WPROWADŹ NAZWISKO PACJENTA.

Palcami wskazującymi Philips wystukał "Lisa Marino" i nacisnął "Enter".

DZIĘKUJĘ. WPROWADŹ DOLEGLIWOŚCI PACJENTA.

Philips napisał: "Napady drgawkowe" i nacisnął "Enter".

DZIĘKUJĘ. WPROWADŹ ISTOTNE DANE Z WYWIADU.

Philips wprowadził: "Pacjentka dwudziestojednoletnia, w wywiadzie - z powtarzającymi się od roku napadami padaczki skroniowej".

DZIĘKUJĘ. WPROWADŹ KLISZĘ DO CZYTNIKA LASEROWEGO.

Philips przeszedł do czytnika. Wałki w szczeliny na klisze obracały się. Starannie wprowadził rentgenogram do szczeliny, sprawdzając, czy strona pokryta emulsją znajduje się pod spodem. Urządzenie wciągnęło zdjęcie do środka. Uruchomiła się drukarka. Philips przeszedł do niej. Wiadomość brzmiała: DZIĘKUJĘ. WYPIJ FILIŻANKĘ KAWY. Uśmiechnął się. Poczucie humoru Michaela objawiało się w najbardziej niespodziewanych miejscach.

Czytnik wydał z siebie ciche brzęczenie. Drukarka milczała. Philips

wziął kaftan i wyszedł z gabinetu.

50

W sali operacyjnej dwadzieścia jeden panowała cisza, gdy Mannerheim powoli zmobilizował prawy płat skroniowy Lisy, czyli uwolnił go od otaczających tkanek i uniósł nad podstawę mózgu. Można było dostrzec kilka małych żył łączących płat z zatokami żylnymi. Newman zręcznie skoagulował je i przeciął. W końcu płat skroniowy stracił połączenie z mózgiem i innymi tkankami. Mannerheim wyjął go z czaszki Lisy i położył na tacce trzymanej przez instrumentariuszkę

Darlene Cooper. Spojrzał na zegar. Miał niezły czas. W miarę postępów operacji jego nastrój ponownie się odmienił. Odczuwał obecnie euforię i słuszne zadowolenie z osiągniętego rezultatu. Dokonał całego zabiegu w połowę zwykłego czasu. Był pewien, że do południa wróci do swego gabinetu.

- Jeszcze nie skończyliśmy - powiedział Mannerheim, ujmując metalowy ssak w lewą dłoń, a pincetę w prawą.

Ostrożnie przejechał końcówką ssaka nad miejscem, w którym był prawy płat skroniowy, usuwając pozostałości tkanki mózgowej - to, co nazywał jądrami głębokimi. Była to najprawdopodobniej najbardziej ryzykowna część zabiegu, ale przez Mannerheima ulubiona. Z absolutną pewnością siebie przesuwał ssak, omijając ważne dla życia struktury.

W pewnym momencie spora porcja tkanki zatkała otwór ssaka.

Rozległo się nieprzyjemne siorbnięcie, nim kawałek tkanki został wciągnięty w rurę.

- I po co były te lekcje muzyki - powiedział Mannerheim.

Była to pospolita odzywka chirurgów, ponieważ jednak padła z ust Mannerheima po całym napięciu, którego był przyczyną, wydała się śmieszniejsza niż zwykle. Rozweseliła wszystkich, nawet dwóch Japończyków.

Gdy tylko Mannerheim skończył usuwanie tkanki nerwowej, Ranade zmniejszył wentylację pacjentki. Chciał, by ciśnienie krwi nieco podniosło się u niej na czas, gdy Mannerheim będzie przeglądał pole operacyjne w poszukiwaniu krwawiących miejsc. Po starannym sprawdzeniu Mannerheim doszedł do wniosku, że pole operacyjne jest suche. Ujął kocherem igłę i zaczął zszywać oponę twardą, by z powrotem szczelnie osłonić mózg. Od tej chwili Ranade zaczął powoli wyprowadzać pacjentkę ze znieczulenia. Chciał natychmiast po założeniu wszystkich szwów usunąć rurkę intubacyjną z krtani Lisy, nim zacznie krztusić się czy prężyć. Wymagało to delikatnego wyważenia działania wszystkich stosowanych leków. Podstawową zasadą było, iż ciśnienie tętnicze pacjenta nie może się podnieść.

Zaszywanie opony szło szybko. Zręcznym obrotem nadgarstka

51

Mannerheim założył ostatni szew przerywany. Mózg Lisy był znów otoczony oponą twardą, choć w miejscu, gdzie niegdyś był prawy płat skroniowy, była ona ciemniejsza i zapadnięta. Mannerheim przekrzywił głowę, podziwiając dzieło swoich rąk, po czym odsunął się i z głośnymi kłaśnięciami ściągnął lateksowe rękawiczki. Po sali operacyjnej przetoczył się pogłos.

- W porządku - powiedział. - Zaszycie ją, ale niech wam to nie zabierze reszty życia.

Dając znak dwóm Japończykom, by szli za nim, Mannerheim opuścił salę operacyjną. Jego miejsce przy stole zajął Newman.

- No dobrze, Lowry - powiedział Newman, imitując tonację głosu swego szefa. - Zobaczymy, czy uda ci się na coś przydać, zamiast przeszkadzać.

Opuściwszy wycięty kawałek kości jak wierzch dyni z Halloween i podwiązawszy szwy, Newman był gotów zamykać. Pincetą o karbowanych kleszczach ujął brzeg rany operacyjnej i częściowo wywinął go na wierzch, wbił igłę głęboko w skórę, upewniając się, że dotarł do okostnej, i wyciągnął ją, przenosząc uchwyt kochera ze środka hakowanej igły ku jej podstawie. Stosując tę samą technikę, przeciągnął jedwabną nić chirurgiczną przez drugą stronę rany, przekazując ją w podstawione dłonie doktora Lowry'ego, czekającego, by ją związać. Powtarzali to, dopóki cała rana nie pokryła się czarnymi szwami, przez co przypominała duży zamek błyskawiczny założony na głowę Lisy.

Podczas tej części zabiegu doktor Ranade wciąż wspomagał oddech pacjentki za pomocą gumowego worka respiratora. Zamierzał, gdy tylko zostanie założony ostatni szew, podać Lisie czysty tlen i środek odwracający działanie zwiotczające d-tubokuraryny, której nie zmetabolizował jej organizm. Równomiernie ścisnął worek.

Przy kolejnym z rzędu uciśnięciu wyczuł, że opór różni się nieznacznie od poprzednich razów. W ciągu ostatnich kilku minut Lisa podejmowała próby samodzielnego oddychania, co w pewnym stopniu utrudniało prowadzenie jej wentylacji za pomocą worka.

Przy ostatnim uciśnięciu tego oporu nie było. Obserwując worek

respiratora i nasłuchując odgłosu w stetoskopie przełykowym, Ranade stwierdził, że pacjentka nagle zaprzestała prób oddychania. Sprawdził to za pomocą stymulatora nerwów obwodowych. Dowiedział się dzięki temu, że środek zwiotczający jest rozkładany tak, jak należy. Dlaczego jednak nie oddychała? Puls Ranadego przyspieszył. Anestezja była dla niego manewrowaniem na bezpiecznej, lecz wąskiej półce nad przepaścią.

52

Natychmiast oznaczył ciśnienie krwi Lisy. Wzrosło do 150/90.

Podczas operacji było ustabilizowane na poziomie 105/60. Coś było nie w porządku!

- Poczekajcie - powiedział do doktora Newmana, obrzucając wzrokiem kardiomonitor. Rytm był miarowy, zwalniał jednak, a przerwy między iglicami były coraz dłuższe.

- Coś się stało? - spytał Newman, wyczuwając niepokój w głosie Ranadego.

- Jeszcze nie wiem.

Anestezjolog sprawdził ośrodkowe ciśnienie żyłne, przygotowując się do podania leku zwanego nitroprusydkiem sodu, obniżającego ciśnienie. Do tej chwili sądził, że wahania ciśnienia i tętna Lisy wywołane są szokiem operacyjnym i manipulacjami na odsłoniętym mózgu. Teraz jednak zaczął się obawiać, że doszło do krwotoku śródczaszkowego. To tłumaczyłoby zwyżkę ciśnienia i kolejność występowania objawów. Ponownie zmierzył ciśnienie. Wzrosło do

170/100. Natychmiast wstrzyknął nitroprusydek, równocześnie czując, jak ze strachu żołądek zwija mu się w kłębek.

- Może krwawić - powiedział, schylając się, by zbadać reakcję źrenic. Gdy podniósł powieki, ujrzał to, czego się obawiał. Źrenice rozszerzały się. - Na pewno leje! - krzyknął.

Dwóch asystentów spojrzało na siebie nad pacjentką. Myśleli o tym samym.

- Mannerheim się wścieknie - powiedział Newman. - Lepiej go wezwać. Dzwon po niego - powiedział do Nancy Donovan. - Powiedz, że sprawa jest pilna.

Nancy Donovan podbiegła do interkomu i połączyła się z pielęgniarką na sali przedoperacyjnej.

- Otwieramy ją z powrotem? - spytał Lowry.

- Bo ja wiem - powiedział nerwowo Newman. - Jeśli to krwotok śródmózgowy, lepiej jej najpierw zrobić tomografię. Jeśli krwawi z pola operacyjnego, trzeba otworzyć.

- Ciśnienie krwi wciąż rośnie - powiedział doktor Ranade, z niedowierzaniem wpatrując się w manometr ciśnieniomierza. Zaczął się przygotowywać do jeszcze intensywniejszego wkroczenia z lekami obniżającymi ciśnienie.

Dwóch asystentów stało nieruchomo.

- Ciśnienie dalej rośnie! - krzyknął Ranade. - Na miłość boską, zróbcie coś!

- Nożyczki - warknął Newman.

Wciśnięto mu je w rękę. Poprzecinał szwy, które właśnie założył.

53

Jeszcze nim skończył, rana operacyjna otworzyła się sama. Gdy odkładał płat skóry, wycinek kości podniósł się w górę. Zdawał się pulsować.

- Cztery jednostki krwi na cito! - krzyknął doktor Ranade.

Newman przeciął dwa szwy kostne przytrzymujące płat, który wycięto w ramach kraniotomii. Nim jeszcze zdążył go złapać, kawałek kości odskoczył. Opona twarda wybrzuszała się, pod nią widać było złowieszczy czarny cień.

Drzwi do sali operacyjnej otworzyły się z łoskotem. Do środka

Wpadł Mannerheim. Bluzę stroju operacyjnego zapiętą miał jedynie na dwa dolne guziki.

- Co tu się, do cholery, dzieje! - wrzasnął. Dostrzegł tętniącą, wybrzuszoną się oponę twardą. - Jezu Chryste! Rękawiczki! Dajcie mi rękawiczki!

Nancy Donovan zaczęła rozpakowywać nowe rękawiczki. Mannerheim wyrwał je pielęgniarce z rąk i naciągnął bez wycierania.

Natychmiast po przecięciu szwów na oponie twardej trysnęła jaskrawoczerwona krew, zalewając Mannerheimowi koszulę. Zalała całe pole operacyjne i przecinania szwów musiał dokończyć na ślepo.

Wiedział, że musi odnaleźć źródło krwawienia.

- Ssak! - krzyknął.

Z obrzydliwym odgłosem maszyna zaczęła wciągać krew. Manner-

heim natychmiast natrafił na mózg. Uświadomił sobie, że albo uległ przemieszczeniu, albo obrzękowi.

- Ciśnienie spada - rzekł Ranade.

Mannerheim zawołał, by podano mu hak. Chciał zajrzeć na spód pola operacyjnego, lecz krew wezbrała natychmiast po odsunięciu ssaka.

- Ciśnienie krwi... - zaczął Ranade i urwał. - Ciśnienie krwi nieoznaczalne.

Natrętny dźwięk kardiomonitora dobiegający przez całą operację zwolnił złowieszczo i ucichł.

- Zatrzymanie krążenia! - krzyknął Ranade.

Asysta zerwała serwety i prześcieradła okrywające ciało Lisy.

Newman wspiął się na podstawkę stojącą koło stołu operacyjnego i zaczął masaż zewnętrzny serca. Doktor Ranade odebrał dostarczoną w trybie natychmiastowym krew i podłączył ją z maksymalną szybkością do wszystkich wejść do wenflonów.

- Koniec! - krzyknął Mannerheim, który odszedł od stołu operacyjnego w chwili, gdy Ranade oznajmił o zatrzymaniu krążenia.

54

Czując krańcowy zawód, Mannerheim rzucił hak na podłogę. Stał nieruchomo przez chwilę, zwiesiwszy ręce wzdłuż ciała. Krew skapywała kroplami po jego palcach.

- To na nic - powiedział w końcu. - Najwidoczniej puściła

jakaś duża tętnica. Cholera, musiała sobie wbić w łeb te elektrody!

Pewnie przebiła tętnicę, która się obkurczyła, a napad zamaskował to do reszty. Kiedy skurcz ustąpił, zaczęła lać. Nie ma co jej resuscytować.

Podciągając grożące osunięciem się spodnie stroju operacyjnego, Mannerheim skierował się do wyjścia. W drzwiach odwrócił się do asysty.

- Macie ją zaszyć, jak gdyby jeszcze żyła, zrozumieliście?

ROZDZIAŁ 5

- Nazywam się Kristin Lindquist - powiedziała młoda kobieta, która zgłosiła się do uniwersyteckiej przychodni ginekologicznej. Zdołała się uśmiechnąć, kąciki jej ust jednak drżały lekko. - Mam wyznaczoną wizytę u doktora Johna Schonfelda na jedenastą piętnaście. Na zegarze ściennym widniała dokładnie jedenasta.

Ellen Cohen, rejestratorka, podniosła wzrok znad czytanego paperbacku na miłą twarz spoglądającą na nią z góry. Natychmiast dostrzegła, że Kristin Lindquist była tym wszystkim, czym nie była ona.

Dziewczyna miała autentycznie płowe włosy, delikatne jak jedwab, mały zadarty nos, wielkie ciemnoniebieskie oczy i długie kształtne nogi. Ellen natychmiast ją znenawidziła, przylepiając jej w myślach

etykietkę jednej z kalifornijskich dziwek. Fakt, iż Kristin pochodziła z Madison w stanie Wisconsin, nie sprawiłby Ellen żadnej różnicy.

Rejestratorka zaciągnęła się głęboko papierosem i wydmuchnęła

dym przez nos, wpatrzywszy się w książkę przyjęć. Wykreśliła nazwisko Kristin i poleciła jej sięść i czekać, dodawszy, że zbada ją doktor

Harper. -

- Dlaczego nie doktor Schonfeld? - zapytała Kristin. Schonfelda

poleciała jej jedna z dziewcząt w akademiku.

- Bo go nie ma. Zadowala panią taka odpowiedź?

Kristin skinęła głową, Ellen jednak tego nie dostrzegła. Wróciła do lektury, choć gdy dziewczyna odchodziła, wpatrzyła się w jej plecy z zawistną irytacją.

W tym momencie Kristin powinna wyjść. Zastanawiała się nad tym, przekonana, że gdyby nie zatrzymała się i skierowała prosto ku drzwiom, nikt by tego nie zauważył. Zdążył ją już zniechęcić obskurny wygląd przychodni, przypominający o wszystkim, co kojarzyło się

56

z chorobą i rozkładem. Gabinet doktora Waltera Petersona w Madison był schludny i czysty, i choć Kristin mimo to nie lubiła odbywanych co pół roku przeglądów, przynajmniej nie wywoływały one u niej przygnębienia.

Jednak nie opuściła polikliniki. Umówienie się na wizytę wymagało od niej sporej odwagi i raz podjąwszy decyzję nie chciała przestawać w pół drogi. Wiedziona wewnętrznym przymusem zajęła więc miejsce na wyświechtanym winylowym krześle, skrzyżowała nogi i zaczęła czekać.

Wskazówki zegara posuwały się wręcz boleśnie powoli. Po kwad-

ransie zorientowała się, że pocą się jej dłonie. Uświadomiła sobie, że coraz bardziej się denerwuje, i zastanowiła się, czy nie oznacza to

przypadkiem jakichś zaburzeń emocjonalnych. W poczekalni znajdo-

wało się jeszcze sześć kobiet. Wszystkie siedziały spokojnie, co jeszcze nasilało dyskomfort Kristin. Rozmyślanie o własnym wnętrzu przyprawiało ją o mdłości, a wizyta u ginekologa stanowiła w istocie

brutalne i wstrętne doznanie.

Wzięła do ręki obszarpane pismo, starając się czymś zająć. Nie udało się jej odwrócić uwagi. Prawie wszystkie reklamy przypominały jej o tym, co ją czekało. Wreszcie natrafiła na fotografię przedstawiającą kobietę i mężczyznę, przez co przyszła jej do głowy nowa myśl: ile czasu po uprawianiu seksu można w pochwie odnaleźć spermę? Dwa dni wcześniej przespała się po randce ze swoim chłopakiem, Thomasem Huronem, studentem ostatniego roku. Zdawała sobie sprawę, że jeśli doktor to rozpozna, będzie upokorzona.

Właśnie jej związek z Thomasem stanowił przyczynę, dla której zdecydowała się na wizytę w przychodni. Od jesieni spotykali się coraz częściej. Kristin uświadamiała sobie, że decydowanie za każdym razem od nowa, czy miała właśnie bezpieczny dzień, nie było najlepszą metodą zapobiegawczą. Thomas odmawiał wzięcia na siebie jakiegokolwiek odpowiedzialności i nalegał na nią, by kochała się z nim coraz częściej. Poprosiła o pigułki antykoncepcyjne w infirmerii w akademiku, lecz dowiedziała się, że najpierw musi przejść badanie ginekologiczne w poliklinice. Wolałaby pojechać do starego lekarza, który zajmował się nią w domu, uniemożliwiła jej to jednak chęć zachowania sprawy w tajemnicy.

Zaczerpnąwszy głębokiego oddechu, Kristin uświadomiła sobie, że doznała skurczu żołądka, z którego dobiegało nieprzyjemne burczenie. Biegunka była ostatnią rzeczą, na którą miałaby ochotę. Brzydziła ją sama myśl o niej. Podnosząc spojrzenie na zegar, zażyczyła sobie w duchu, by nie musiała dłużej czekać.

gabinetu. Gdy rozbierała się za parawanikiem, czuła pod stopami chłód linoleum. Na ścianie znajdował się tylko jeden haczyk do wieszania ubrania. Jak jej polecono, nałożyła szpitalną koszulę, wiązaną z przodu i sięgającą do połowy ud. Opuściwszy wzrok, dostrzegła, że jej sutki wyprężyły się z zimna i sterczą pod wytartą bawełnianą tkaniną jak dwa twarde guziki. Miała nadzieję, że skurczą się, nim znajdzie się przed lekarzem.

Gdy wyszła zza parawanu, dostrzegła, że pielęgniarka, nazwiskiem Blackman, rozkłada instrumenty na serwecie. Odwróciła natychmiast oczy, zdążyła jednak jeszcze dojrzeć szereg lśniących stalowych narzędzi, wśród nich wzierniki i pincetę. Sam ich widok sprawił, że poczuła się słabo.

- Aha, bardzo dobrze - powiedziała siostra Blackman. -

Sprawiłaś się błyskawicznie, to lubię. Chodź tu! - poklepała fotel ginekologiczny. - Wespnij się tutaj. Zaraz przyjdzie lekarz. -

Przesunęła stopą niewielki stołek w strategiczne położenie.

Przytrzymując obydwoma rękami lichą koszulę, Kristin podeszła do fotela. Metalowe strzemiona, sterczące po bokach, nadawały mu wygląd jakiegoś średniowiecznego narzędzia tortur. Weszła na stołek i usiadła twarzą do pielęgniarki.

Siostra Blackman zebrała od niej szczegółowy wywiad, który swą drobiazgowością wywarł na Kristin wrażenie. Nikt jeszcze nie zrobił tego równie dokładnie; zawierał on również liczne pytania o choroby innych członków jej rodziny. Gdy po raz pierwszy zobaczyła siostrę Blackman, złąkała się, że może być równie nie-

przystępna i oziębła, jak sugerował jej wygląd; w czasie zbierania wywiadu okazała się jednak tak sympatyczna i zaciekawiona osobą pacjentki, że dziewczyna odtajała. Z objawów pielęgniarka zanotowała jedynie, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy Kristin miała w okresach międzymiesiączkowych niewielkie upławy i sporadyczne plamienia, które pojawiały się u niej, odkąd pamiętała.

- No dobrze, przygotuj się na spotkanie z lekarzem - powiedziała siostra Blackman, odkładając kartę. - Połóż się i wesprzyj stopy na strzemionach.

Kristin zastosowała się do polecenia, daremnie starając się nie dopuścić do rozchylenia się skraju koszuli. Gdy okazało się to niemożliwe, ponownie poczęła ją opuszczać pewność siebie. Metalowe strzemiona były lodowate, przez co ziębło całe jej ciało.

Siostra Blackman strzepnęła świeżo wyprane prześcieradło i przy-

58

kryła nim dziewczynę. Zawinęła jego skraj i zajrzała do środka.

Kristinomalże czuła spojrzenie siostry na odsłoniętym kroczu.

- Świetnie - powiedziała pielęgniarka. - Zsuń się na brzeg fotela.

Skრęcając kręgosłup Kristin zsunęła biodra bliżej stóp. Siostry

Blackman nie zadowolilo to jeszcze,

- Jeszcze trochę.

Kristin zsunęła się jeszcze bardziej, póki połowa jej pośladków nie wystawała poza fotel.

- Wyśmienicie - powiedziała siostra Blackman. - Odpręż się,

za chwilę przyjdzie doktor Harper.

Dobre sobie, odpręż się, pomyślała Kristin. Jak mogła się odprężyć?

Czuła się jak kawał mięsa na ladzie rzeźniczej, czekający, aż zaczną

go obmacywać klienci. Za jej głową znajdowało się okno. Fakt, iż nie

było do końca zasłonięte, niewymownie ją denerwował.

Drzwi do gabinetu otworzyły się bez pukania i do środka wepchnął

głowę szpitalny chłopiec na posyłki zapytując, gdzie są próbki krwi,

które miał zanieść do laboratorium? Siostra Blackman powiedziała, że

mu pokaże, i wyszła.

Kristin została pozostawiona samej sobie w sterylnej atmosferze,

przesiąkniętej aseptyczną wonią alkoholu. Zamknęła oczy i zaczęła

głęboko oddychać. Czekanie pogarszało całą sprawę.

Otworzyły się drugie drzwi. Uniosła głowę, spodziewając się, że to

lekarz, do środka weszła jednak rejestratorka, pytając o siostrę

Blackman. Kristin jedynie pokręciła głową. Ellen Cohen zatrzasnęła

drzwi za sobą. Kristin odchyliła głowę i ponownie zamknęła oczy.

Powiedziała sobie, że długo tego nie zniesie.

Gdy wreszcie zdecydowała, że wstaje i wychodzi, do środka wszedł

lekarz.

- Cześć, moje dziecko, jestem doktor David Harper. Jak się dziś

miewamy?

- Dobrze - odrzekła niepewnie.

Doktor David Harper nie spełnił jej oczekiwań. Zdawał się zbyt

młody jak na lekarza. Pyzata, dziecięca twarz klóciła się z prawie łysą czaszką. Brwi miał tak krzaczaste, że sprawiały wrażenie podrabianych.

Doktor Harper podszedł do małej umywalki i szybko opłukał dłonie.

- Studiujesz na uniwersytecie? - spytał.

- Tak - odpowiedziała Kristin.

- A co?

- Sztukę - powiedziała.

59

Wiedziała, że doktor Harper jedynie uprzejmie ją zagaduje, ale to jej nie obchodziło. W rzeczywistości odczuwała niewymowną ulgę, że skończyło się przydługie oczekiwanie.

- Sztukę, to wspaniale - powiedział obojętnie doktor Harper.

Osuszywszy dłonie, rozdarł opakowanie lateksowych rękawiczek.

Stanąwszy na wprost Kristin, naciągnął je na dłonie, głośno trzaskając nimi o nadgarstki i podciągając wszystkie palce po kolei. Wykonał to

skrupulatnie, jak gdyby dopełniał jakiegoś rytuału. Kristin dostrzegła, że na całym ciele doktora Harpera, z wyjątkiem głowy, znajdowało się

mnóstwo włosów. Widoczne przez lateks włoski na grzbietach jego

dłoni wyglądały wulgarnie.

Ulokowawszy się w nogach fotela, wypytywał Kristin o jej upławy

i sporadyczne plamienia. Najwyraźniej objawy te nie wywarły na nim

szczególnego wrażenia. Bez dalszej zwłoki usiadł na stołeczku, znikając jej z oczu. Poczowała panikę w chwili, gdy prześcieradło zostało uniesione w górę.

- W porządku - powiedział beztrąsko doktor Harper. - Zsuń

się jeszcze trochę do mnie, moje dziecko.

Gdy zsuwała się niżej, drzwi do gabinetu otwały się. Wróciła siostra Blackman. Kristin odczuła ulgę na jej widok. Poczwała, że jej nogi zostają rozsunięte na boki tak szeroko, jak to tylko było możliwe. Bardziej już nie mogła być obnażona.

- Proszę wziernik - powiedział doktor do pielęgniarki.

Kristin nie widziała, co się dzieje, usłyszała jednak ostre metaliczne szczęknięcie. Poczwała, że serce podchodzi jej do gardła.

- W porządku - powiedział doktor Harper. - Proszę się teraz rozluźnić.

Nim Kristin zdołała coś rzec, lekarz rozwarł palcem w rękawiczce jej wargi sromowe. Mięśnie jej ud skurczyły się odruchowo. Poczwała chłód wślizgującego się do środka wziernika.

- Już dobrze, proszę się rozluźnić. Kiedy pani miała ostatni rozmaz Papanicolaou?

Minęło kilka sekund, nim Kristin uświadomiła sobie, że pytanie jest skierowane do niej.

- Mniej więcej rok temu.

Poczwała, że łyżki wziernika rozchodzą się.

Doktor Harper zamilkł. Kristin nie miała pojęcia, co się dzieje.

Z wziernikiem tkwiącym w pochwie bała się poruszyć jakimkolwiek mięśniem. Dlaczego trwało to tak długo? Wziernik nieznacznie zmienił położenie. Usłyszała, jak lekarz pomrukuje. Czyżby coś było nie w porządku? Podniósłszy głowę, stwierdziła, że doktor Harper nawet

na nią nie patrzy. Odwrócony, przechylił się nad małym stolikiem,

manewrując nad nim obydwiema dłońmi. Siostra Blackman skinęła głową, szepcząc coś do lekarza. Kristin chciała, by pospieszyli się i wyjęli wziernik. W końcu poczuła, jak się przesuwa, przez co serce ponownie podeszło jej do gardła.

- Dobrze - powiedział wreszcie doktor Harper.

Wziernik wysunął się równie szybko, jak został wprowadzony.

Poczuła przy tym jedynie nikły ból. Zdążyła tylko westchnąć głęboko, nim badanie potoczyło się dalej.

- Przydatki przy obmacywaniu bez zmian - powiedział w końcu

doktor Harper, wyjmując pokrytą śluzem rękawiczkę. Ściągnął obydwie i wrzucił je do wiadra z przykrywką.

- Cieszę się - powiedziała Kristin, mając na myśli raczej zakończenie badania.

Szybko zbadawszy Kristin piersi, doktor Harper kazał się jej ubierać. Działał szybko i rzeczowo. Kristin weszła za parawan, zaciągając go za sobą. Ubrała się tak szybko, jak tylko zdołała, nie chcąc, by lekarz wyszedł, nim będzie miała szansę z nim porozmawiać.

Wyszła zza parawanu, dopinając jeszcze bluzkę. Udało się jej, ponieważ doktor Harper właśnie kończył opisywać jej kartę.

- Doktorze - powiedziała - chciałam z panem porozmawiać o kontroli urodzeń.

- Co chciałaby pani wiedzieć?

- Ciekawi mnie, jaka jest najskuteczniejsza metoda antykoncepcji.

Doktor Harper wzruszył ramionami.

- Wszystkie sposoby mają swoje wady i zalety. O ile mogłem się

zorientować, w pani przypadku nie ma przeciwwskazań do zastosowania którejkolwiek z metod. Wybór należy do pani. Niech pani porozmawia o tym z siostrą Blackman.

Kristin kiwnęła głową. Chciała z nim podyskutować dłużej, onieśmieliła ją jednak stanowczość w jego zachowaniu.

- Pani badanie - kontynuował doktor Harper, wtykając pióro w kieszeń fartucha i wstając - w zasadzie nie ujawniło żadnych nieprawidłowości. Zauważyłem niewielkiego stopnia nadżerkę szyjki macicy, co tłumaczyłoby nieznaczne upławy. Nie ma powodów się tym przejmować, pewnie jednak trzeba to będzie skontrolować za parę miesięcy.

- Co to jest nadżerka? - zapytała Kristin. Nie była pewna, czy chce się tego dowiedzieć.

- To pole pozbawione pokrywy typowych dla tego miejsca komórek nabłonkowych - powiedział doktor Harper. - Ma pani

61

jeszcze jakieś pytania? - Wyraźnie dawał jej do zrozumienia, że nie ma ochoty na dalsze konsultacje, Kristin zawahała się.

- Cóż, czekają na mnie pacjentki - powiedział szybko doktor Harper. - Jeśli potrzebuje pani jeszcze jakichś informacji o antykoncepcji, proszę się zwrócić z tym do siostry Blackman. Bardzo dobrze doradza. Może pani również mieć niewielkie krwawienie po badaniu, proszę się tym jednak nie przejmować. Oczekujemy pani za kilka miesięcy. - Uśmiechnąwszy się na pożegnanie i poklepawszy Kristin

po ramieniu, doktor Harper wyszedł.

Chwilę później przez uchylone drzwi zajrzała do środka siostra

Blackman. Wydawała się zaskoczona, że doktor Harper już wyszedł.

- Szybko to poszło - powiedziała biorąc kartę." - Niech pani
pójdzie ze mną do laboratorium, uzupełnimy kartę i panią puszczę.

Kristin przeszła za pielęgniarką do drugiego pokoju, w którym
prócz dwóch foteli ginekologicznych znajdowały się również stoły
laboratoryjne z najprzeróżniejszymi akcesoriami, włącznie z mikrosko-

pami. Na przeciwległej ścianie wisiała przeszklona szafka z instrumentami sprawiającymi wrażenie,
jak gdyby służyły do składania ofiar z ludzi.

Koło niej znajdowała się tablica okulistyczna. Kristin zwróciła na nią uwagę, ponieważ była ona
złożona wyłącznie z liter "E".

- Nosi pani okulary? - spytała siostra Blackman.

- Nie - odrzekła Kristin.

- Bardzo dobrze - powiedziała siostra. - Proszę się położyć,
pobiorę pani krew.

Kristin usłuchała.

- Przy pobieraniu krwi robi mi się trochę słabo - powiedziała.

- To dość częste - odrzekła siostra Blackman. - Dlatego
właśnie kazałam się pani położyć.

Kristin odwróciła wzrok, by nie patrzeć na igłę. Siostra bardzo
szybko pobrała krew, po czym zmierzyła jej tętno i ciśnienie krwi.

Następnie zgasiła światło, by zbadać jej wzrok.

Kristin usiłowała wciągnąć pielęgniarkę w rozmowę o antykoncepcji,
udało się to jej jednak dopiero wtedy, gdy badanie zostało

zakończone. Siostra Blackman i tak zresztą odesłała ją do Ośrodka Planowania Rodziny przy uniwersytecie, stwierdzając, że teraz, po badaniu ginekologicznym, nikt nie będzie jej robił żadnych wstrętów.

Co do nadżerki, siostra posłużyła się odręcznie wykonanym szkicem dla pewności, że pacjentka zrozumiała wszystko, jak należy. W końcu

dowiedziała się, jaki jest numer telefonu Kristin i zapowiedziała, że zadzwonią do niej, jeśli w wynikach badań będą jakiegokolwiek odchylenia od normy.

62

Z wielką ulgą Kristin w pośpiechu opuściła przychodnię. W końcu miała spokój. Zdecydowała się po doznanym napięciu odpuścić sobie popołudniowe zajęcia. Dotarłszy do głównej poczekalni przychodni ginekologicznej, poczuła się zdezorientowana, nie przypominała sobie bowiem dokładnie, którędy tu weszła. Obróciwszy się na pięcie, rozejrzała się za windą. Wypatrzyła ją w końcu sąsiedniego korytarza.

Gdy jednak widok przedmiotu o nazwie "winda" znalazł się na siatkówce Kristin, w jej mózgu stało się coś dziwnego. Poczowała się

dziwnie, doznała niewielkich zawrotów głowy i doszła do niej nieprzyjemna woń. Choć z niczym nie mogła skojarzyć tego odoru, wydał się jej znajomy.

Ze złym przeczuciem spróbowała zignorować te objawy. Ruszyła zatłoczonym korytarzem. Musiała wydostać się z polikliniki. Zawrót głowy jednak nie ustępował. Korytarz zaczął zataczać koła. Kristin zamknęła oczy i uchwyciła się drzwi, by utrzymać się na nogach.

Zawrót głowy przeszedł. Zrazu bała się otworzyć oczy, by objawy nie powróciły, w końcu zdecydowała się zrobić to stopniowo. Na szczęście

zawroty się nie powtórzyły i po paru chwilach zdołała rozluźnić uścisk na ościeżnicy.

Nim zdołała zrobić krok, na jej ramieniu zacisnęła się jakaś dłoń.

Wzdrygnęła się ze strachu, odetchnęła, gdy ujrzała, że to doktor

Harper.

- Nic się pani nie stało? - zapytał.

- Nie, dziękuję - powiedziała szybko w zakłopotaniu, nie chcąc się przyznać do swych doznań.

- Na pewno?

Kristin skinęła dobitnie głową i uwolniła ramię z uchwytu Harpera.

- W takim razie przepraszam, że przeszkadzałem - powiedział doktor Harper i ruszył dalej korytarzem.

Kristin przyglądała się, jak ginie w tłumie. Zaczepnęła głęboko tchu i na gumowych nogach ruszyła do windy.

ROZDZIAŁ 6

Martin opuścił salę angiografii, gdy tylko wyjęto cewnik z tętnicy pacjenta i upewnił się, że wszystko jest w porządku. Miał nadzieję, rażno idąc korytarzem do swojego gabinetu, że Helen wyszła na obiad, zdążył jednak tylko minąć zakręt, gdy go dostrzegła i rzuciła się ku niemu jak kocica, z wieczną garścią nadzwyczaj pilnych wiadomości. Philips nie tyle nie miał ochoty jej w ogóle oglądać na oczy, ile wiedział, że wieści, którymi go uraczy, będą przeważnie złe.

- W drugiej sali od angiografii znowu jest usterka - po-

wiedziała Helen, gdy tylko udało się jej zwrócić na siebie jego

uwagę. - Prawdopodobnie nie chodzi o sam aparat, ale o podajnik

klisz.

Philips skinął głową i odwiesił ołowiany fartuch. Już o tym

wiedział i miał nadzieję, że Helen zdążyła zatelefonować do firmy,

która świadczyła im serwis usług naprawczych. Obrzucił pobieżnym

spojrzeniem drukarkę na stoliku, stwierdzając, że wypłuła z siebie całą stronę sporządzonych przez komputer notatek.

- Wynikła również sprawa Claire O'Brian i Josepha Abbodan-

zy - ciągnęła Helen.

Claire i Joseph byli parą techników - neuroradiologów, którzy

szkolili się tu już ponad dwa lata.

- Co z nimi? - spytał Martin.

- Zdecydowali się pobrać.

- I co? - roześmiał się Martin. - Dopuszczali się nieprzystojnych aktów w ciemni?

- Nie! - warknęła Helen. - Zdecydowali się pobrać w czerwcu

i wybrać na całe wakacje do Europy.

- Całe wakacje! - wykrzyknął Philips. - Nie mogą nam wykręcić

64

takiego numeru! Ledwie byśmy sobie poradzili, gdybyśmy puścili ich

razem na urlop na dwa tygodnie. Mam nadzieję, że im to powiedziałaś.

- Oczywiście - odrzekła Helen. - Dowiedziałam się, że nic ich

to nie obchodzi. Pojadą, nawet jeśli byłoby to równoznaczne z ich

wyrzuceniem.

- Jezu Chryste - powiedział zdesperowany Philips, uderzając się

w czoło. Wiedział, że ze swoją praktyką Joseph i Claire dostaliby

pracę w każdym ośrodku klinicznym.

- Dzwonił również dziekan wydziału medycyny - ciągnęła

Helen. - Powiadomił nas, że na ostatnim posiedzeniu rady wydziału

przegłosowano podwojenie liczby grup studenckich na blokach z neuro-

radiologii. Tłumaczył, że studenci sami ocenili zajęcia na oddziale jako jedne z najlepszych.

Philips zamknął oczy i potarł skronie. Jeszcze więcej studenciaków!

Tego tylko mu brakowało! Chryste!

- I jeszcze ostatnia sprawa - powiedziała Helen, kierując się ku

drzwiom. - Dzwonił wielce szanowny Michael Ferguson z administ-

racji i kazał opróżnić pokój, którego używamy jako składziku.

Potrzebują go na pokój socjalny.

- A może raczył powiedzieć, co mamy zrobić z zapasami?

- Zadałam mu to samo pytanie - powiedziała Helen. -

Wyjaśnił, że i tak przez cały czas było wiadomo, iż to pomieszczenie

nie należy do oddziału neuroradiologii i że na pewno coś wymyślimy.

No dobrze, skoczę szybko na obiad. Zaraz wracam.

- Oczywiście - odrzekł Philips. - Życzę smacznego.

Odczekał parę minut, pozwalając swojemu ciśnieniu wrócić do

normy. Coraz ciężiej znosił chandryczenie się z administracją. Podszedł

do drukarki i oderwał wydruk.

Radread, Czaszka I

Marino, Lisa

?

Dane kliniczne

Pacjentka dwudziestojednoletnia. W wywiadzie - padaczka skroniowa od roku. Zdjęcie lewoboczne czaszki wykonane przenośnym aparatem rentgenowskim. Oś prezentacji odchylona od osi strzałkowej o około osiem stopni. W prawej okolicy skroniowej widoczne duże przejaśnienie odpowiadające ubytkowi kostnemu. Brzegi przejaśnienia są ostre, co sugeruje pochodzenie jatrogenne. Dodatkowo potwierdza to obecność dużej ilości tkanek miękkich poniżej ubytku kostnego, odpowiadająca odłożonemu płatowi skórnemu. Zdjęcie zostało najprawdopodobniej

65

3 - Mózg

wykonane w trakcie operacji. Liczne metalowe obiekty odpowiadają elektrodom powierzchniowym. Dwa wąskie, cylindryczne, metalowe przedmioty w płacie skroniowym to prawdopodobnie elektrody głębokie, najprawdopodobniej zlokalizowane w ciele migdałowatym i zakręcie hipokampa. Intensywność zacinienia tkanki mózgowej w potylicznych, śródcieniowych i bocznych częściach płatów skroniowych wydaje się wykazywać nieznaczne różnicowanie.

Wnioski

Zdjęcie rtg śródoperacyjne, ze sporym ubytkiem kostnym w prawej okolicy skroniowej. Liczne elektrody powierzchniowe oraz dwie elektrody głębokie. Rozsiane zmiany zacinienia o charakterze nie uwzględnionym w programie.

Zalecenia

Dla lepszego uwidocznienia liniowych zmian zacinienia tkanki mózgowej oraz zlokalizowania elektrod głębokich zaleca się wykonanie

zdjęć w projekcji przedniobocznej i skośnej oraz badania tomograficznego. Dane z badania angiograficznego należy uwzględnić przy określeniu położenia elektrod wobec dużych naczyń.

**** Prośba o wprowadzenie do pamięci programu informacji o charakterze i znaczeniu liniowych zmian zacielenia.

Dziękuję, proszę o przesłanie czeku dla

dr. Williama Michaela i dr. Martina Philipsa

Philips nie wierzył własnym oczom. Opis był dobry; mało tego, był doskonały. Żarcik na końcu był zaś ostatnią kroplą przepelniającą kielich. Powtórnie przeczytał fragmenty opisu. Prawie nie mógł uwierzyć, że czyta tekst sporządzony przez maszynę, nie przez wytrawnego neuroradiologa. Choć do procesora nie wprowadzono danych o kraniotomiach, wyglądało na to, że komputer jest w stanie prawidłowo zinterpretować obraz na podstawie niepełnych informacji, podając właściwą odpowiedź. Trzeba się było również zastanowić nad liniowymi zmianami zacielenia. Philips nie miał pojęcia, o co tu może chodzić.

Wyciągnął zdjęcie Lisy Marino z laserowego czytnika i zawiesił je na negatoskopie. Poczł się nieco zaalarmowany, gdy nie udało mu się dostrzec opisywanych zmian. Być może, nowa metoda opracowana

przez nich do odczytywania różnic zacielenia nie była tak dobra, jak im się wydawało. Uruchomił alternator i dopóty przewijał zdjęcia,

dopóki nie wrócił do angiogramu Lisy Marino. Zatrzymał alternator

i wyciągnął jedno z wcześniejszych zdjęć czaszki w projekcji bocznej.

Powiesił je-koło nowej kliszy i powtórnie zaczął szukać opisywanych

zmian zacielenia. Ku jego rozczerowaniu zdjęcie wyglądało na normalne.

Do gabinetu weszła Denise Sanger. Philips uśmiechnął się do niej i wrócił do przyglądania się kliszom. Złożył na pół kartkę papieru i wyciął z niej mały kawałeczek. Gdy ją rozłożył, w środku kartki znajdował się otwór.

- No, no - powiedziała Denise, otaczając go ramionami - nie wiedziałam, że bawisz się w wycinanki.

- Nauka posuwa się do przodu dzięki użyciu niezwykłych, nietypowych metod - powiedział Martin. - Kupę rzeczy wydarzyło się od rana. Michaels podrzucił mi pierwszy program czytający zdjęcia. Tu jest pierwszy wydruk.

Podczas gdy Denise zajęła się czytaniem opisu, Philips przyłożył kartkę z otworem do kliszy na negatoskopie. W ten sposób mógł się skupić na jednym, wybranym polu, pomijając wszystkie inne, rozpraszające szczegóły. Bardzo dokładnie przyjrzał się wybranemu wycinkowi. Odłożył kartkę i spytał Denise, czy dostrzega coś niezwykłego. Odpowiedziała, że nie. Gdy z powrotem przyłożył kartkę, także nic nie widziała, dopóki nie zwrócił jej uwagi na szeregowo układające się miniaturowe plamki. Oderwał kartkę. Tym razem nie mieli kłopotów z ich dostrzeżeniem, wiedzieli bowiem, czego się spodziewać.

- Jak myślisz, co to jest? - zapytała Denise, w czasie gdy bardzo dokładnie przyglądała się kliszy.

- Nie mam zielonego pojęcia.

Philips przeszedł do klawiatury i przygotował komputer do

odczytania wcześniejszego zdjęcia Lisy Marino. Miał nadzieję, że

program zidentyfikuje takie same różnice zacienienia. Laserowy czytnik połknął kliszę z identyczną gorliwością co wcześniej.

- Ale mnie to niepokoi - dodał.

Odsunął się od drukarki, która zaczęła klekotać.

- Dlaczego? - zapytała Denise. Jej twarz podświetlała słaba

poświata bijąca z negatoskopu. - Myślę, że ten opis jest fantastyczny.

- Zgadza się - powiedział Philips. *- O to właśnie chodzi.

Sugeruje, że maszyna może lepiej odczytywać rentgenogramy niż jej

twórcy. W ogóle nie dostrzegłem tych zacienień. Przychodzą mi do

głowy myśli o Frankensteinie. - Martin zaśmiał się nagle.

- I co w tym śmiesznego? - spytała Denise.

- Michaels! Najwidoczniej zaprogramował ten bajer tak, że za

każdym razem, gdy wprowadzam w niego zdjęcie, każe mi się odprężyć.

67

Za pierwszym razem, zalecił mi filiżankę kawy, tym razem pisze, żebym

coś przekąsił.

- Nie najgorszy pomysł - powiedziała Denise. - Co z tym

romantycznym rendez-vous w kawiarence, które mi obiecałeś? Nie

mam dużo czasu, muszę wracać do tomografu.

- Nie mogę teraz wyjść - powiedział Philips przepraszająco.

Wiedział, że sam zaproponował, by razem zjedli lunch, i nie chciał jej rozczarować. - Naprawdę nie mogę się od tego oderwać.

- No dobrze - powiedziała Denise. - Pójdę jednak przegryźć

jakąś kanapkę. Przynieść ci coś?

- Nie, dziękuję - odrzucił Philips. Dostrzegł, że znów ożyła drukarka.

- Naprawdę się cieszę, że tak dobrze idą ci badania - powiedziała Denise w drzwiach. - Wiem, ile dla ciebie znaczą. - I wyszła.

Gdy tylko drukarka przestała stukać, Philips wyciągnął wydruk.

Podobnie jak pierwszy, opis był bardzo szczegółowy i ku zachwytowi Martina również stwierdzał obecność zmian zacienienia, zalecając wykonanie dodatkowych zdjęć w różnych projekcjach oraz badania tomograficznego.

Odrzuciwszy w tył głowę, Philips wydał z siebie triumfalny okrzyk, bębniąc w blat jak w perkusję. Zdjęcia Lisy Marino wysunęły się spod podtrzymujących je wałeczków i spadły z negatoskopu. Gdy schylił się by je podnieść, do środka zajrzała Helen Walker. Wpatrywała się w niego, jak gdyby był szalony.

- Nic się nie stało, doktorze? - spytała.

- Pewnie - powiedział Philips, czując, że się rumieni, gdy podnosił zdjęcia. - Wszystko doskonale. Jestem trochę podekscytowany. Myślałem, że idziesz na obiad?

- Już wróciłam - powiedziała Helen. - Przyniosłam sobie kanapkę, by zjeść ją przy biurku.

- A może połączyłabyś mnie z Michaelsem?

Helen skinęła głową i zniknęła. Philips z powrotem powiesił rentgenogramy. Przyglądając się niewielkim białym plamkom, za-

stanawiał się, co oznaczają. Nie wyglądały na złogi wapnia, nie były

również położone w przebiegu naczyń krwionośnych. Rozmyślał,

w jaki sposób mógłby ustalić, czy znajdują się w istocie szarej mózgu, czyli korze, w której znajdowały się neurony, czy też w istocie bia-

łej - we włóknach nerwowych.

Rozdzwonił się telefon. Martin podniósł słuchawkę. Był to Mi-

chaels.

Opisując niewiarygodne rezultaty zastosowania programu, Martin

68

nie zdołał ukryć podniecenia. Powiedział Michaelsowi, że udało się

wykryć niedostrzegalne wcześniej różnice w zacienieniu. Mówił tak

szybko, że Michaels musiał poprosić go o zwolnienie.

- Fajnie, cieszę się, że pracuje tak, jak powinien - powiedział

Michaels, korzystając z chwili przerwy w potoku słów Philipa.

- Jak powinien? Działa lepiej, niż ośmielałem się marzyć.

- Świetnie - rzekł Michaels. - Ile rentgenogramów przez niego

przepuściłeś?

- Tylko jeden - przyznał Martin. - Właściwie dwa, ale tej

samej pacjentki.

- Przepuściłeś tylko dwa zdjęcia? - spytał z niedowierzaniem

Michaels. - Mam nadzieję, że się nie przemęczyłeś.

- No dobrze, dobrze. Nie miałem dziś dużo czasu na zajmowanie

się aparatem.

Michaels powiedział, że rozumie, poprosił jednak Philipa, by

przepuścił przez maszynę wszystkie klisze, które Martin opisywał

w ciągu ostatnich lat, a nie dawał się zwieść pojedynczemu odkryciu.

Jeszcze raz podkreślił, że na tym etapie pracy najistotniejsze było dla nich wyeliminowanie wyników fałszywie ujemnych.

Philips słuchał go, nie odrywał jednak wzroku od pajęczych

linii znaczących rentgenogramy Lisy Marino. Lisa miała padaczkę,

zastanawiał się więc, czy istnieje jakikolwiek związek między wy-

stępowaniem napadów a subtelnymi zmianami w obrazie radio-

logicznym. Być może reprezentowały jakieś rozsiane schorzenie neu-

rologiczne...

Zakończył rozmowę z Michaelsem z odnowionym uczuciem pod-

niecenia. Przypominał sobie, że jedna z hipotez diagnostycznych

w przypadku Lisy Marino dotyczyła stwardnienia rozsianego. Czyżby

natrafił na obraz radiologiczny tego schorzenia? Byłoby to fantastyczne odkrycie. Lekarze już od wielu lat szukali badań laboratoryjnych

potwierdzających rozpoznanie stwardnienia rozsianego. Pomyślał, że

będzie musiał zrobić kolejne zdjęcia rentgenowskie Lisy i przeprowadzić badanie tomograficzne. Nie zapowiadało się to na łatwą robotę,

ponieważ pacjentka właśnie była operowana, a poza tym potrzebował-

by zgody Mannerheima. Ponieważ jednak Mannerheim doceniał

potrzebę badań naukowych, Philips postanowił porozumieć się z nim

w tym przypadku osobiście.

Krzyknął przez drzwi do Helen, żeby połączyła go z neurochirur-

giem, i wrócił do studiowania klisz Lisy. Wedle mianownictwa

radiologicznego zmiany zacielenia na rentgenogramach należało

opisać jako siatkowate, czyli retikularne, choć zdawały się tworzyć

raczej układ równoległych linii. Martin przyjrzał się rentgenogramom przy użyciu szkła powiększającego i zastanowił się, czy zmiany mogą odpowiadać przebiegowi dróg nerwowych. Miało to sens, ponieważ do zdjęć czaszki stosowano dość twarde promieniowanie. Tok jego rozumowania przerwał dźwięk telefonu. Dzwonił Mannerheim.

Philips rozpoczął rozmowę od paru zwyczajowych grzeczności, ignorując ostatni incydent z radiogramami w sali operacyjnej. W przypadku Mannerheima zawsze lepiej było nie wracać do takich spraw.

Chirurg wydawał się dziwnie milczący, więc Martin kontynuował, wyjaśniając, że dzwoni w sprawie pewnych szczególnych zmian w obrazie radiologicznym czaszki Lisy Marino.

- Uważam, że należy bliżej zbadać te zmiany zacielenia. Gdy tylko pacjentka będzie to mogła znieść, chciałbym zrobić jej kolejne zdjęcia i tomografię. Oczywiście, jeśli pan się zgadza, doktorze.

Zapadła niewygodna cisza. Philips już miał coś powiedzieć, gdy Mannerheim warknął:

- To ma być jakiś żart? Jeśli tak, to w bardzo złym guście.

- Nie żartuję - powiedział zaskoczony Philips.

- Proszę posłuchać! - krzyknął Mannerheim nieco piskliwym głosem. - Już za późno, żeby radiolodzy czytali jej zdjęcia! Chryste! - Rozległo się szcęknięcie i buczyk sygnału.

Egocentryzm Mannerheima zdawał się wspinać na nowe szczyty.

Zamyślony Martin odłożył słuchawkę. Wiedział, że nie może sobie pozwolić, by emocje wzięły górę; poza tym mógł podejść do sprawy

od innej strony. Miał świadomość, że Mannerheim nie prowadzi starannego nadzoru nad chorymi pooperacyjnymi, a naprawdę zajmuje się tym na co dzień starszy asystent, doktor Newman. Martin zdecydował się zadzwonić do niego z pytaniem, czy Lisa Marino znajduje się jeszcze na sali pooperacyjnej.

- Newman? - spytała pielęgniarka z traktu operacyjnego. -

Wyszedł jakiś czas temu.

- Och - rzekł Philips i przełożył słuchawkę do drugiego ucha. -

Czy Lisa Marino jest jeszcze na sali pooperacyjnej?

- Nie - powiedziała pielęgniarka. - Nie dotarła tam.

- Nie dotarła? - Philips nagle zrozumiał przyczynę nieprzyjemnego zachowania Mannerheima.

- Umarła na stole - powiedziała pielęgniarka. - Prawdziwa

tragedia, zwłaszcza że Mannerheimowi zdarzyło się to po raz pierwszy.

Philips odwrócił się z powrotem do negatoskopu. Zamiast klisz

widział jej twarz, taką, jaka była tego ranka w sali przedoperacyjnej na trakcie operacyjnym. Przypomniał sobie, że skojarzyła się mu

70

z pozbawionym upierzenia ptakiem. Było to przygnębiające, więc

zmusił się do skupienia uwagi na zdjęciach. Zastanowił się, czego

można było się jeszcze z tego przypadku dowiedzieć. Impulsywnie

ześliznął się ze stołka. Chciał przejrzeć historię choroby Lisy Marino i ustalić, czy da się powiązać obraz radiologiczny z jakimikolwiek

objawami stwardnienia rozsianego w badaniach neurologicznych. Nie

mogło to zastąpić kolejnych zdjęć, zawsze jednak było czymś.

Mijając zajadającą kanapkę Helen, powiedział jej, by zadzwoniła do sali angiografii i powiadomiła ich, by radzili sobie na razie bez niego i że niebawem do nich dołączy. Helen przełknęła raptownie i spytała, co powinna odpowiedzieć w sprawie składziku, jeśli by zadzwonił szanowny pan Michael Ferguson. Philips zdecydował udać, że nie usłyszał pytania.

- Niech się odpieprzy - powiedział pod nosem, ruszając głównym korytarzem w stronę chirurgii. Nauczył się nienawidzić szpitalnej biurokracji.

Gdy dotarł na trakt operacyjny, w sali przedoperacyjnej czekało jeszcze kilkoro pacjentów, daleko jednak było do panującego tam rankiem zamieszania. Zauważył Nancy Donovan, która właśnie wyszła z jednego z gabinetów. Podeszedł do pielęgniarki, która powitała go uśmiechem.

- Mieliście kłopoty z Lisą Marino? - zapytał ze współczuciem.

Uśmiech, którym odpowiedziała na jego powitanie Nancy Donovan, znikł.

- To było straszne, po prostu straszne. Taka młoda dziewczyna.

Tak mi żal doktora Mannerheima.

Philips skinął głową, choć było dla niego zdumiewające, że można współczuć takiemu skurczybykowi jak Mannerheim.

- Co się stało? - spytał.

- Tuż pod koniec operacji pękła jakaś duża tętnica.

Radiolog pokiwał głową ze zrozumieniem i przerażeniem. Przypo-

minał sobie, jak blisko tętnicy mózgowej tylnej znajdowała się jedna z elektrod głębokich.

- Gdzie może być jej historia? - spytał.

- Nie wiem - przyznała Nancy Donovan. - Zaraz zapytam przełożoną.

Stał z boku, podczas gdy Nancy wypytywała trzy pielęgniarki przy biurku. Kiedy wróciła, powiedziała:

- Chyba jest w pokoju anestezyjologicznym przy sali dwudziestej pierwszej.

Philips wrócił do zatłoczonej teraz przebieralni chirurgów i nałożył

71

zielony strój, po czym ruszył między salami operacyjnymi. Korytarz

ciągnący się między nimi nosił ślady porannych zmaganiań. Wokół

każdego z koszy na używaną bieliznę operacyjną widniały kałuże

wody o opalizującej od mydła powierzchni. Na umywalkach leżały

gąbki i szczotki do mycia rąk, parę z nich pospadało na podłogę. Jakiś chirurg spał na wózku przesuniętym do ściany. Prawdopodobnie

operował przez całą noc i gdy wyszedł z sali, pomyślał sobie, że położy się na moment na wózku, po czym zasnął na dobre, a nikt nie miał

serca go budzić.

Philips dotarł do salki anestezyjologicznej przy sali operacyjnej

numer dwadzieścia jeden. Drzwi były zamknięte. Odsunął się i przez

niewielkie okienko zajrzał do wnętrza sali operacyjnej. Światła były

wygaszone, drzwi jednak otworzyły się po naciśnięciu klamki. Przekręcił

przełącznik i jeden ze spodków z reflektorami operacyjnymi ożył

z cichym elektrycznym szumem. Rzucił skupioną wiązkę światła prosto na stół operacyjny, pozostawiając resztę sali we względnych ciemnościach. Doznał wstrząsu, gdy zorientował się, że sali nie sprzątnięto po porannym nieszczęściu. Pusty stół operacyjny z mechanicznymi podnośnikami wyglądał szczególnie złowieszczo. Na podłodze, u węzłowia stołu, widniały plamy zgęstniałej krwi, od których w rozmaitych kierunkach ciągnęły się szkarłatne odciski stóp.

Na ten widok Martinowi zrobiło się niedobrze, przypomniały mu się wszystkie nieszczęśliwe wypadki z czasów stażu. Wzdrygnął się, po chwili mdłości ustały. Celowo wymijając szerokim łukiem plamy krwi, przeszedł przez wahadłowe drzwi do salki anestezyjologicznej. Przytrzymał otwarte drzwi stopą i zapalił światło. W środku nie było jednak tak ciemno, jak się spodziewał. Drzwi były uchylone mniej więcej na piętnaście centymetrów, wpuszczając do wnętrza trochę światła z korytarza. Philips zapatrzył się w nie zaskoczony, nim nad głową rozbłysły mu świetlówki.

Na środku mniej więcej o połowę mniejszego od sali operacyjnej pokoju stał wózek z przykrytym prześcieradłem ciałem. Wystawały spod niego jedynie palce stóp, co wywierało obsceniczne wrażenie. Stanowiły dobitne potwierdzenie, że pod spodem znajduje się rzeczywiście ludzkie ciało. Na prześcieradle leżała niedbale rzucona historia choroby.

Oddychając płytko, jak gdyby śmierć była zaraźliwa, Philips ominął wózek i otworzył na całą szerokość drzwi na korytarz. W jego polu widzenia znalazł się śpiący chirurg i kilku noszowych. Rozejrzał się w obie strony, zastanawiając się, dlaczego wcześniej nie zauważył otwartych drzwi. Nie potrafiąc sobie wytłumaczyć tej niezgodności,

zdecydował się ją zbagatelizować. Wrócił po kartę.

72

Miał ją już otworzyć, gdy zawładnął nim przymus odsłonięcia

ciała. Wiedział, że nie chce na nie patrzeć, mimo to jego wyciągnięta dłoń ściągnęła prześcieradło z twarzy. Nim to się jeszcze stało, Philips przymknął oczy. Gdy je otworzył, znalazło się przed nimi pozbawione

życia, porcelanowe oblicze Lisy Marino. Jedna na poły otwarta

powieka ukazywała zaszkloną, nieruchomą źrenicę, drugie oko było

zamknięte. Po prawej stronie wygolonej głowy ciągnęło się starannie

zeszyte podkowiaste cięcie. Po operacji ciało zostało wymyte, nie

widać więc było krwi. Philips zastanawiał się, czy Mannerheim kazał

to zrobić, by móc twierdzić, że pacjentka zmarła po operacji.

Zimna ostateczność śmierci przeniknęła jego umysł jak arktyczny

wiatr. Szybko przykrył ogoloną głowę i przeniósł historię choroby na

stolik anestezjologa. Jak większość pacjentów kliniki, Lisa miała już opasłą kartę, choć leżała w szpitalu zaledwie dwa dni. Znajdowały się w niej obszerne konsultacje i obserwacje rozmaitych, różnego stopnia

studentów-stażystów i asystentów. Philips przerzucił wodniste konsul-

tacje neurologiczne i okulistyczne. Znalazł nawet konsultację Manner-

heima, nie udało mu się jednak rozszyfrować jego bazgrołów. W końcu

znalazł to, czego szukał: epikryzę sporządzoną przez starszego asystenta kliniki neurochirurgii, doktora Newmana.

Pacjentka to dwudziestojednoletnia kobieta, biała, z postępującą od roku padaczką skroniową, przyjęta do szpitala w celu usunięcia w znieczuleniu ogólnym prawego płata skroniowego.

Występujące u pacjentki napady

były całkowicie odporne na intensywne leczenie farmakologiczne. Napady stawały się coraz częstsze, zazwyczaj poprzedzała je aura w postaci

odczuwania nieprzyjemnej woni. W okresie międzynapadowym daje się

zauważyć wzrost agresywności, dotyczącej również zachowań seksualnych (autoerotyzm). Za pomocą EEG zlokalizowano obszary mózgu, w których

pojawiają się nieprawidłowe wyładowania; jest ich zdecydowanie więcej po stronie prawej.

W wywiadzie brak jest informacji o urazach głowy i mózgu. Dotychczas

pacjentka cieszyła się dobrym zdrowiem, aczkolwiek kilka ostatnich

wymazów Papanicolaou było atypowych.

Poza nieprawidłowościami w zapisie EEG brak innych neurologicznych

odchyleń od normy.

Wszystkie badania laboratoryjne, włącznie z, angiografią naczyń móż-

gowych i tomografią komputerową, nie wykazują odchyleń od normy.

Pacjentka podaje w wywiadzie subiektywne zaburzenia percepcji wzroko-

wej, nie potwierdzają ich jednak badania neurologiczne ani okulistyczne.

Chora zgłasza również przejściowe parestezje i osłabienie mięśniowe, nie zostało to jednak potwierdzone w badaniach. Wysunięto nie potwierdzoną diagnozę stwardnienia rozsianego.

Pacjentka została przedstawiona na

73

połączonej wizycie na oddziałach neurologii i neurochirurgii; wspólnie zdecydowano, że jest dobrą kandydatką do prawostronnej lobektomii

skroniowej.

(podpisano)

George Newman

Philips delikatnie odłożył kartę na prześcieradło okrywające Lisę

Marino, jak gdyby wciąż jeszcze miała czucie. Później przemknął do

przebieralni chirurgów, by założyć zwykłe ubranie. Musiał przyznać,

że historia okazała się mniej wartościowa, niż się spodziewał. Wspo-

minano w niej o możliwości, iż pacjentka cierpiała na stwardnienie

rozsiane, brak jednak było informacji mogących zastąpić dodatkowe zdjęcia radiologiczne czy tomografię.

Przez cały czas podczas przebierania się towarzyszył mu obraz bladej twarzy zmarłej Lisy. Przypominał mu, że prawdopodobnie zostanie poddana sekcji, zmarła bowiem podczas zabiegu operacyjnego.

Ze ściennego telefonu zadzwonił do doktora Jeffreya Reynoldsa z patologii. Był to jego przyjaciel i kolega ze studiów. Opowiedział mu o przypadku Lisy Marino.

- Jeszcze o tym nie słyszałem - powiedział Reynolds.

- Zmarła na sali operacyjnej około południa - odrzekł Philips. - Trochę czasu zabrało im jednak zeszyście jej.

- To typowe - rzekł Reynolds, - Czasami przenoszą zmarłych pacjentów na gwałt do sal pooperacyjnych, żeby im to nie mąciło statystyki.

- Zrobisz sekcję? - zapytał Philips.

- Bo ja wiem... - odpowiedział Reynolds. - To zależy, komu ją przydzielą.

- Jeśli padnie na ciebie, kiedy to będzie? - ciągnął Philips.

- Mamy teraz masę roboty. Pewnie dziś wieczorem.

- Jestem bardzo zainteresowany tym przypadkiem - powiedział

Philips. - Słuchaj, poczekam w szpitalu, dopóki nie będzie wyników sekcji. Mógłbyś zostawić wiadomość, żeby mnie powiadomiono, kiedy będą robić mózg?

- Pewnie - odpowiedział Reynolds. - Coś się zorganizuje

i zrobimy sobie przyjątko. A jeśli nie będzie się robić jej sekcji,

dam ci znać.

Philips wepchnął wszystko do swej szafki i wybiegł z przebieralni.

Od czasów studenckich piekielnie nie lubił spóźniać się z robotą.

Spiesząc zatłoczonym korytarzem, odczuwał to samo nieprzyjemne

uczucie. Wiedział, że już dawno powinien być w sali angiografii, że na 74

pewno czekają na niego asystenci. Choć miał wielką ochotę zignorować

Fergusona, musiał zadzwonić do tego sukinsyna, musiał też poroz-

mawiać z Robbinsem o technikach, którym zachciało się wziąć wolne

na całe cholerne lato. Wiedział też, że Helen na pewno czeka na niego z tuzinem nowych spraw niecierpiących zwłoki.

Gdy przechodził koło sali tomografu, zdecydował się wpaść tam

na chwilę. Cóż znaczyły dwie dodatkowe minuty, gdy i tak był już

spóźniony. Wchodząc na salę, z przyjemnością wciągnął do płuc

chłodne, klimatyzowane powietrze niezbędne do właściwego funk-

cjonowania komputerów.

Koło monitora stała całkowicie pochłonięta badaniem Denise

i czworo studentów. Za nimi przystanął doktor George Newman.

Philips podszedł do nich nie zauważony i wpatrzył się w ekran. Denise opisywała duży lewostronny krwiatek podtwardówkowy, wskazując, jak

przesuwał mózg w lewo. Newman wtrącił się z uwagą, że skrzep może

być zlokalizowany w samym mózgu. Wydawało mu się, iż krew

znajduje się wśród tkanki mózgowej, nie na jego powierzchni.

- Nie, doktor Sanger ma rację - powiedział Martin.

Wszyscy odwrócili się, zaskoczeni jego obecnością. Nachylił się

i wskazał palcem klasyczne objawy krwiatka podtwardówkowego. Nie

było wątpliwości, że Denise miała rację.

- No, to sprawa załatwiona - powiedział dobrodusznie doktor

Newman. - Przenieślę tego klienta na chirurgię.

- Im szybciej, tym lepiej - zgodził się Philips.

Zasugerował również, by Newman dokonał zwiadowczej trepanacji,

aby szybciej ewakuować przynajmniej część krwi. Miał zadać starszemu

asystentowi kilka pytań dotyczących Lisy Marino, namyślił się jednak

i pozwolił Newmanowi odejść.

Nim pospieszył dalej, odciągnął Denise na bok.

- Posłuchaj, co powiedziałaś na romantyczną kolacyjkę w za-

mian za nieudany obiad?

Denise pokręciła głową i uśmiechnęła się.

- Co! knujesz. Wiesz, że mam dziś dyżur.

- Wiem - przyznał Martin. - Zastanawiałem się nad szpitalną

kawiarenką.

- Cudownie - rzuciła sarkastycznie Denise. - A co z twoim

racketballem*.

- Wypada z rozkładu.

- Rzeczywiście coś knujesz.

- Racketball - gra stanowiąca mutację squasha; odbijanie rakietał piłki tenisowej od ściany

w parach (przyp. tłum.).

75

Martin uśmiechnął się. Istotnie, rezygnował z partyjek racketballu

jedynie wtedy, gdy działo się coś niezwykłego. Powiedział Denise, by

wpadła do niego do gabinetu, aby przejrzeć rentgenogramy z tego dnia, gdy skończy już planowe tomografie. Jeśli miała ochotę, mogła przyprowadzić ze sobą studentów. Pożegnali się szybko na korytarzu i Philips ruszył do siebie, natychmiast zaczynając biec. Chciał się tak rozpędzić, by w momencie mijania Helen stanowiąc jedynie niemożliwą do zatrzymania, rozmytą plamę.

ROZDZIAŁ 7

Wyczekując w długiej kolejce do rejestracji, Lynn Annę Lucas zastanawiała się, czy zgłoszenie się do izby przyjęć było dobrym pomysłem. Zadzwoiła wcześniej do infirmerii na kampusie, mając nadzieję, że zostanie jeszcze lekarza, ale wyszedł o trzeciej, więc jedynym miejscem, w którym mogła otrzymać natychmiastową pomoc medyczną, był szpital. Lynn Annę przemyśliwała nawet, czy nie zaczekać do dnia następnego, ale wystarczyło jej podnieść książkę i spróbować czytać, by przekonać się, że musi szukać pomocy natychmiast. Była przerażona.

Późnym popołudniem w izbie przyjęć panował taki natłok ludzi, że kolejka posuwała się w ślimaczym tempie. Wyglądało to tak, jak gdyby zwalił się tu cały Nowy Jork. Pijany, ubrany w szmaty mężczyzna czekający za Lynn Annę śmierdział zastarzałym moczem i tanim winem. Za każdym razem, kiedy kolejka posuwała się, potykał się na nią i obłapiał ją, rzekomo chcąc się jej przytrzymać. Przed nią stała opasła baba z dzieckiem kompletnie okutym w wyplamiony koc; w milczeniu wyczekiwali swojej kolejki.

Po prawej stronie Lynn Annę otworzyły się wielkie drzwi i kolejka do rejestracji musiała się przesunąć, by przepuścić nosze wiozące

ofiary kraksy sprzed paru minut. Ranni i zabici zostali natychmiast

zabrani do właściwej izby przyjęć, reszta, która musiała włączyć się do kolejki, zdawała się domyślać, ile czasu im to zabierze.

W kącie rodzina Portorykańczyków pożywiała się z wiaderka

z kurczakami firmy Kentucky Fried Chicken. Zdawało się, że nie

obchodzi ich nic, co się tu dzieje, i nawet nie zauważyli przybycia ofiar wypadku.

W końcu w kolejce przed Lynn Annę czekała jedynie tłusta kobieta

77

z dzieckiem. Po brzmieniu jej mowy można było poznać, że jest

imigrantką. Powiedziała rejestratorce, że "dziecko nie płacze więcej".

Na co ta odpowiedziała jej, że zazwyczaj matki skarżyły się na

odwrotne zachowanie dzieci, lecz kobieta nie rozumiała. Rejestratorka poprosiła o rozwinięcie dziecka. Kobieta ściągnęła skraj koca. Pod

spodem ukazała się niemowlęca twarzyczka koloru letniego nieba

przed burzą. Dziecko nie żyło od tak dawna, że zeszywniało jak deska.

Lynn Annę była tak wstrząśnięta, że kiedy przyszła jej kolej, nie

była w stanie wydusić z siebie słowa. Rejestratorka okazała jej

rozumienie i powiedziała, że tu muszą być przygotowane na wszystko.

Lynn Annę wrócił głos. Odgarnęła kasztanowate włosy z czoła i podała

swoje nazwisko oraz numer legitymacji studenckiej. Powiedziała, co jej dolegało. Rejestratorka poleciła jej usiąść i zapowiedziała, by nastawiła się na dłuższe czekanie. Zapewniła ją, że zajmą się nią najszybciej, jak będzie to możliwe.

Odczekawszy prawie dwie godziny, Lynn Annę została przepro-

wadzona do niewielkiego kącika oddzielonego od reszty izby wy-

plamionym nylonowym parawanikiem. Rzeczowa pielęgniarka zmie-

rzyła jej włożonym do ust termometrem temperaturę, oznaczyła

ciśnienie i wyszła. Siedząc na skraju starej leżanki, Lynn Annę nasłuchiwała dobiegających jej rozmaitych odgłosów. Dłonie spocły się jej z obawy. Miała dwadzieścia lat, studiowała na pierwszym roku i przemyśliwała o zdawaniu na akademię medyczną po zaliczeniu odpowiednich kursów. Rozejrzawszy się wokół siebie, zaczęła jednak zmieniać zdanie. Nie tego się spodziewała po medycynie.

Była zdrową dziewczyną, a jedyny kontakt z medycyną miała w wieku jedenastu lat, gdy przydarzył się jej wypadek w czasie jazdy na wrotkach. Osobliwym zbiegiem przypadków została wtedy przywieziona do tej samej izby przyjęć, ponieważ, nim przenieśli się na Florydę, mieszkała z rodziną w pobliżu. Lynn Annę nie wspominała jednak niemile tamtego pobytu w szpitalu. Wnioskowała, że od czasu, gdy była dzieckiem, szpital zmienił się tak bardzo jak sąsiedztwo. Pół godziny później zjawił się młodzieńczo wyglądający internista, doktor Huggens. Wydawał się ucieszony, że Lynn Annę mieszkała w Coral Gables, ponieważ sam pochodził z West Palm Beach. Czytając jej kartę, wymieniał z nią banalne uwagi o Florydzie. Najwyraźniej podobała mu się przeciętna uroda amerykańskiej dziewczyny, jaką była obdarzona Lynn Annę, bo było to coś odmiennego od ostatniego tysiąca jego pacjentów. Miał nawet zamiar poprosić ją o numer telefonu.

- Co panią sprowadza do izby przyjęć? - zapytał na wstępie.

78

- To trudno opisać - powiedziała Lynn Annę. - Czasami mam

kłopoty z widzeniem. Zaczęło się to mniej więcej tydzień temu, zauważyłam to przy czytaniu. Od pewnego momentu zaczęłam mieć kłopoty z niektórymi słowami. Miałam je przed oczyma, ale nie byłam pewna ich znaczenia. Równocześnie dostałam okropnego bólu głowy, tutaj. - Lynn Annę przyłożyła dłoń do potylicy i przesunęła nią na bok do punktu nad uchem. - To nasilający się i niknący tępy ból.

Doktor Huggens skinął głową.

- Czuję też jakiś zapach - powiedziała Lynn Annę.

- Jaki?

Lynn Annę była nieco zakłopotana.

- Sama nie wiem - powiedziała w końcu. - To nieprzyjemny odór i choć wydaje mi się znajomy, nie potrafię go z niczym skojarzyć.

Doktor Huggens kiwnął głową, choć objawy Lynn Annę nie pasowały do żadnego prostego schorzenia.

- Coś jeszcze?

- Mam dość silne zawroty głowy i ciężą mi nogi. Dzieje się to coraz częściej, prawie za każdym razem, kiedy próbuję czytać.

Doktor Huggens odłożył kartę i zaczął badać Lynn Annę. Zajrzał

jej w oczy i do uszu, do jamy ustnej. Osłuchał serce i płuca. Sprawdził

jej odruchy, kazał jej brać do ręki rozmaite przedmioty i opisywać, co czuje, przejść po linii prostej i powtarzać ciągi cyfr.

- Wydaje mi się pani całkowicie zdrowa - powiedział w końcu.

- Zalecałbym pani zażycie dwóch lekarzy i kontrolę w aspiry-

nie. - Sam roześmiał się ze swego żartu.

Lynn Annę nie dołączyła do jego wesołości. Zdecydowała, że nie

da się zbyć tak łatwo, zwłaszcza po długim wyczekiwaniu. Doktor

Huggens zauważył, że pacjentka nie podziela jego wesołości.

- Mówiąc poważnie uważam, że powinna pani zażyć aspirynę dla złagodzenia objawów i zgłosić się jutro na neurologię. Może oni coś znajdą.

- Chciałabym tam pójść natychmiast - powiedziała Lynn Annę.

- To izba przyjęć, nie przychodnia - odrzekł doktor Huggens.

- Nic mnie to nie obchodzi! - powiedziała Lynn Annę, wrogą postawą maskując uczucie lęku.

- No już dobrze! - rzekł Huggens. - Zadzwońię po konsultację neurologiczną i okulistyczną, choć na tę drugą pewnie trzeba będzie poczekać.

Lynn Annę pokiwała głową. Przez chwilę bała się cokolwiek powiedzieć, by jej zdecydowanie nie zniknęło we łzach.

Rzeczywiście znów przyszło jej czekać. Minęła szósta, nim parawa-

79

nik został ponownie odsunięty. Przed Lynn Annę znalazł się brodaty

doktor Wayne Thomas. Pochodzący z Baltimore doktor Thomas

zaskoczył Lynn Annę, która nigdy jeszcze nie miała do czynienia

z lekarzem - Murzynem. Szybko jednak zamaskowała swą począt-

kową reakcję i zaczęła odpowiadać na jego szczegółowe, nie pomijające niczego pytania.

Doktorowi Thomasowi udało się odkryć jeszcze kilka faktów,

które uznał za znaczące. Trzy dni wcześniej Lynn Annę miała jeden ze

swych "epizodów", jak je nazywała. W jednej chwili wypadła z łóżka, na którym czytała. Straciła przytomność i doszła do siebie na podłodze.

Najprawdopodobniej uderzyła się w głowę, nabiła sobie bowiem sporego guza nad prawą skronią. Doktor Thomas dowiedział się również od niej, że kilka jej ostatnich wymazów Papanicolaou było atypowych i wyznaczono jej za tydzień kontrolną wizytę w przychodni ginekologicznej. Niedawno przeszła również infekcję dróg moczowych, z powodzeniem leczoną sulfonamidami.

Po wypełnieniu karty doktor Thomas wezwał siostrę i przeprowadził najdokładniejsze badanie przedmiotowe, jakie Lynn Annę kiedykolwiek miała. Zrobił znacznie więcej niż doktor Huggens.

Większość badania stanowiła dla Lynn Annę kompletną tajemnicę, jego dokładność dodała jej jednak ducha. Ze wszystkich przeprowadzonych badań nie podobała się jej jedynie punkcja płynu mózgowo-rdzeniowego. Wbito jej, gdy leżała na boku z kolanami podciągniętymi pod brodę, igłę w lędźwiową część kręgosłupa, czuła jednak ból jedynie przez chwilę.

Po zakończeniu badań doktor Thomas powiedział Lynn Annę, że chce wykonać jej kilka zdjęć rentgenowskich, by przekonać się, czy nie uszkodziła sobie czaszki przy upadku z łóżka. Tuż przed wyjściem powiedział jej, że w badaniu stwierdził jedynie, iż niektóre regiony ciała ma pozbawione czucia. Przyznał, że nie wie, czy ma to jakieś znaczenie.

Lynn Annę przyszło znów czekać.

- Dasz wiarę? - spytał Philips, wpychając do ust kolejny kęs

tetrazzini z indyka. Przeżuł szybko mięso i przełknął. - Pierwszy zgon Mannerheima na sali operacyjnej, i musiała to być właśnie pacjentka,

której robiłem zdjęcie.

- Miała dwadzieścia jeden lat, prawda? - powiedziała Denise.

- Zgadza się. - Martin dodał sobie do smaku więcej soli

i pieprzu. - Tragedia. Podwójna tragedia, bo nie mogę teraz zrobić więcej zdjęć.

80

Wzięli ze sobą tacki ze szpitalnej kawiarenki jak najdalej od kuchni, by odseparować się od instytucjonalnego otoczenia. Z miernym skutkiem.

Ściany pomalowane były na brudny, musztardowy kolor, posadzkę pokrywało szare linoleum, a profilowane plastikowe krzesła miały obrzydliwą zielonożółtą barwę. W tle z głośników bez przerwy sączyły się nazwiska lekarzy, którzy mieli się zgłosić pod podane numery wewnętrzne.

- Dlaczego robiono jej operację? - spytała Denise, nabierając sałatki d la carte.

- Miała napady padaczkowe. Co jednak ciekawsze, mogła mieć stwardnienie rozsiane. Kiedy poszłaś, przyszło mi do głowy, że zmiany zaciemnienia mogą reprezentować jakieś rozsiane schorzenie neurologiczne. Zajrzałem do jej historii: brano pod uwagę stwardnienie rozsiane.

- Wyciągnąłeś jakieś klisze pacjentów, u których z pewnością rozpoznano stwardnienie? - spytała Denise.

- Zaczęę dziś wieczór - odrzekł Philips. - Muszę przepuścić przez aparat Michaela tyle klisz, ile się da, by sprawdzić program. Ciekawe, czy uda mi się odnaleźć kogoś z takimi samymi zmianami.

- Wygląda na to, że twoje badania rzeczywiście ruszyły z kopyta.

- Mam nadzieję. - Martin włożył do ust jeszcze jedną porcję

szparagów i zdecydował, że to będzie ostatnia. - Staram się nie

podniecać za bardzo na samym początku, ale na Boga, to zapowiada

się wspaniale. Dlatego właśnie tak chodzi za mną przypadek Marino.

Wyglądało na to, że uda się od razu położyć na czymś rękę. Właściwie

wciąż jeszcze jest szansa. Dziś wieczór będzie miała sekcję i spróbuję skorelować jej wyniki z obrazem radiologicznym. Jeśli to okaże się

stwardnienie rozsiane, trafiamy do pierwszej ligi. Mówię ci, muszę coś znaleźć, żeby wyrwać się ze szcurzego wyścigu w klinice, choćby na

parę tygodni.

Denise odłożyła widelec i zajrzała w niespokojne niebieskie oczy

Martina.

- Uciec z kliniki? Nie możesz tego zrobić. Jesteś jednym z najlep-

szych neuroradiologów. Pomyśl, ilu pacjentom możesz pomóc dzięki

swoim umiejętnościom. Jeśli przestaniesz pracować jako klinicysta, to będzie prawdziwa tragedia.

Martin odłożył widelec i ujął jej lewą dłoń. Po raz pierwszy nie

obchodziło go, kto z pracowników szpitala może na to patrzeć.

- Denise - powiedział łagodnie - w tej chwili liczą się dla mnie

w życiu tylko dwie sprawy: ty i moje badania. Jeśli w jakiś sposób

mógłbym żyć z tobą bez badań, poświęciłbym je również.

81

Denise utkwiała w nim spojrzenie, niepewna, czy powinno to jej

pochlebiać, czy ją ostrzegać. Była coraz bardziej pewna jego uczucia, nie podejrzewała jednak, że mogło ono przybrać aż taką głębię. Od

samego początku odczuwała podziw dla jego osiągnięć i encyk-

lopedycznej znajomości radiologii. Był dla niej równocześnie kochan-

kiem i idolem w sprawach zawodowych. Nie pozwalała sobie na

rozmyślania, czy ich związek ma przyszłość. Nie była pewna, czy jest na to gotowa.

- Posłuchaj - kontynuował Martin - to ani czas, ani miejsce

na taką rozmowę. - Odsunął od siebie szparagi, jak gdyby chciał tym

podkreślić istotność swych słów. - Trzeba jednak, byś wiedziała, na

czym stoisz. Znajdujesz się we wczesnym stadium bardzo dobrze

zapowiadającej się kariery klinicznej. Cały czas poświęcasz nauce

i badaniu pacjentów. Na nieszczęście dla mnie jest to najmniejsza część zajęć. Przede wszystkim muszę się użerać z administracją i nurzać

w biurokratycznym szambie. Mam tego potąd.

Denise uniosła dłoń, której nie wypuścił ze swego uścisku,

i przesunęła delikatnie wargami po jego kłykciach, po czym szybko

podniosła na niego spojrzenie spod swych ciemnych brwi. Celowo

zachowywała się kokieteryjnie, wiedząc, że w ten sposób rozbroi jego

nagły gniew. Zadziałało, jak zwykle, i Martin roześmiał się. Przed

wypuszczeniem uściśnął jej rękę, po czym rozejrzał się, czy nikt tego nie widział.

Obydwoje wytrąciło z równowagi buczenie jego komunikatora.

Natychmiast wstał od stolika i podszedł do telefonu na ścianie. Denise powiodła za nim wzrokiem.

Od samego początku ich znajomości czuła

do niego pociąg, coraz bardziej jednak doceniała jego poczucie humoru i zdumiewającą zmysłowość. Świeże przyznanie się do niezadowolenia

i wrażliwości nasilało jedynie jej uczucie do niego.

Czy rzeczywiście był jednak wrażliwy? Czy zrzucenie winy na

konieczność chandryczenia się z administracją nie było ze strony

Martina jedynie wymówką usprawiedliwiającą starzenie się oraz to, że

w kwestiach zawodowych i osobistych zaczął posuwać się utartymi

koleinami? Nie była w stanie sobie na to odpowiedzieć. Odkąd znała Martina, zawsze odnosiła się do jego pracy z takim zaangażowaniem, że nigdy nie przyszło jej do głowy, iż może być z niej niezadowolony.

Wzruszyło ją okazane jej uczucie. Musiało to oznaczać, że ich związek jest dla Martina istotniejszy, niż podejrzewała.

Przyglądając się rozmawiającemu przez telefon Martinowi, przypomniała sobie, że ich romans pomógł jej i w czymś innym. Dał jej siłę do zerwania innego, kompletnie destrukcyjnego związku. Jeszcze

82

jako studentka została oczarowana przez zręcznie manipulującego jej uczuciami neurologa. Wywołująca wyobcowanie atmosfera akademii medycznej czyniła Denise podatną na miraż trwałego związku.

Nigdy nie wątpiła, że mogłaby z powodzeniem łączyć dom i pracę z osobą równie jak ona oddaną medycynie. Richard Dunker, jej kochanek, był na tyle przenikliwy, by zdawać sobie sprawę z jej emocjonalnych potrzeb. Przekonał ją, że czuje to samo, w rzeczywistości było jednak inaczej. Ich związek trwał przez lata, podczas których unikał jakiegokolwiek uzależnienia, zręcznie jednak podsycił jej niezaspokojenie. W rezultacie czego nie była w stanie z nim zerwać, choć musiała cierpieć kilkakrotnie upokorzenie wywołane innymi jego romansami. Wracała do niego jak stary pies po nowe razy, daremnie żywiąc nadzieję, że uda się jej go zmienić, że stanie się osobą, za którą się podawał. Nadzieja przeszła w desperację, zaczęła wątpić w swą kobiecość, miast upewnić się co do jego niedojrzałości. Nie była w stanie go opuścić aż do pojawienia się

Martina Philipsa.

Gdy Martin wrócił do stolika, poczuła przyływ uczucia i wdzięcz-

ności. Jednocześnie jeszcze raz powiedziała sobie, że to mężczyzna i że powinna żywić obawę przed jednostronnym angażowaniem się, bez

wzajemności drugiej strony.

- Mam zdecydowanie zły dzień - powiedział Martin, siadając

naprzeciw niej. - Dzwonił Reynolds. Nie będzie się robić sekcji Lisy

Marino.

- Chyba to obowiązkowe - powiedziała zaskoczona Denise,

usiłując przestawić tok myśli na medyczny tor.

- Zgadza się. Przypadek był do sekcji, odstąpiono jednak od niej

ze względu na Mannerheima. Została przekazana patologom, a oni

zwrócili się o zgodę do rodziny, która odmówiła. Ponoć dostali hysterii na samo słowo "sekcja".

- To zrozumiałe - powiedziała Denise.

- Pewnie tak - rzekł oklapnięty Martin. - Cholera... cholera!

- Dlaczego nie wyciągniesz paru zdjęć pacjentów z udokumen-

towanym stwierdzeniem rozsianym i nie spróbujesz odnaleźć identycz-

nych zmian?

- Chyba będę musiał - westchnął Philips.

- Powinieneś raczej współczuć pacjentce, a nie ubolewać nad

własnym rozczarowaniem.

Martin na parę chwil w milczeniu utkwiał wzrok w Denise, dając jej

do zrozumienia, że przekroczyła nie nakreśloną granicę. Nie chciała

83

moralizować. W końcu starł z twarzy niezadowolenie i uśmiechnął się

szeroko.

- Masz rację! - powiedział z ożywieniem. - Właśnie podrzuciłaś mi fantastyczny pomysł.

Naprzeciw izby przyjęć znajdowały się szare drzwi z napisem LEKARZE IZBY PRZYJĘĆ. Mogli w niej odpoczywać interniści i inni asystenci, choć rzadko korzystali z tej możliwości. Z tyłu znajdowała się łazienka z prysznicami dla mężczyzn; kobiety musiały iść na górę do pokoju socjalnego pielęgniarek. Z boku znajdowały się trzy małe nisze z dwoma kozetkami każda, jednak rzadko, a praktycznie nigdy, ktoś miał czas na coś więcej niż krótką drzemkę.

Doktor Wayne Thomas rozsiadł się wygodnie w jedynym fotelu w pokoju: starym skórzanym monstrum z włosiem wystającym przez otwarty szew przypominający ranę, której brzegi się rozeszły.

- Myślę, że Lynn Annę Lucas jest chora - powiedział właśnie z przekonaniem.

Dookoła niego siedzieli na drewnianych krzesłach lub stali oparci o biurka lekarze: Huggens, internista Carolo Langone, neurochirurg Ralph Lowry, ginekolog David Harper oraz Sean Farnsworth z okulistyki. Z dala od nich dwóch starszych lekarzy odczytywało rozłożoną na blacie wstęgę EKG.

- Zabijałeś się w niej czy co? - spytał Lowry z cynicznym uśmiechem. - To najzdrowsza dziewczucha, jaką tu widzieliśmy przez cały dzień. Szukasz jakiegoś pretekstu, żeby ją przyjąć na swoim dyżurze.

Wszyscy z wyjątkiem Thomasa roześmiali się. Ten nawet nie

drgnął, zwrócił jedynie spojrzenie ku Langonemu.

- Nic nie ma - powiedział internista. - Nie ma gorączki, ciśnienie i tętno w normie, krążenie i oddawanie moczu bez odchyień od normy, płyn mózgowo-rdzeniowy również.

- Oraz zdjęcie czaszki bez zmian - dorzucił doktor Lowry.

- Cóż - powiedział doktor Harper, wstając z krzesła - cokolwiek to jest, nie ma nic wspólnego z ginekologią. Ma parę atypowych rozmazów Papanicolaou, ale tym zajmują się w przychodni. Pozostawiam wam, panowie, rozwikłanie tego problemu. Mówiąc prawdę myślę, że dziewczyna dostaje hysterii.

- Zgadzam się - powiedział doktor Farnsworth. - Utrzymuje, że ma kłopoty ze wzrokiem, ale w badaniu okulistycznym nie znalazłem żadnych odchyień od normy. Potrafi bez problemu odczytać dolny rząd liter.

84

- A co z polem widzenia? - spytał doktor Thomas.

- W porządku - powiedział Farnsworth. - Dziękuję za możliwość konsultacji. Wiele wniosła. - Podniósł walizeczkę ze swoimi instrumentami i wyszedł.

- Gównu wniosła - powiedział doktor Lowry. - Jak mi jeszcze raz jakiś cacany gałoznawca powie, że w nocy nie zajmują się badaniem przy użyciu tablicy Goldmanna, to mu przyłożę.

- Zamknij się, Ralph. Zaczynasz gadać jak chirurg - powiedział doktor Thomas.

Doktor Langone wstał i przeciągnął się.

- Chyba też sobie pójdę. Powiedz mi, Thomas, dlaczego uważasz, iż ta dziewczyna jest chora? Tylko dlatego, że ma zaburzenia czucia?

To przecież subiektywne.

- Nie wiem, po prostu to czuję. Jest przestraszona, ale to na pewno nie histeryczka. Poza tym zaburzenia czucia powtarzają się przy każdym badaniu. Ona tego nie udaje, coś się pieprzy w jej mózgu.

- W tym przypadku jedyne, co miałoby coś wspólnego z pieprzeniem, to to, co byś z nią zrobił, gdybyś ją spotkał na gruncie towarzyskim - roześmiał się Lowry. - Daj spokój, Thomas, jakby to był jakiś tłuk, powiedziałbyś jej po prostu, żeby przyszła po południu do przychodni.

Wszyscy w pokoju się roześmiali. Doktor Thomas zbył ich machnięciem ręki i uniósł się z fotela.

- Mam was dosyć, błazny. Sam się zajmę tym przypadkiem.

- Nie zapomnij poprosić jej o numer telefonu! - zawołał za nim Lowry. -

Doktor Huggens uśmiechnął się i znów pomyślał, że to nie najgorszy pomysł.

Wróciwszy na izbę przyjęć, Thomas rozejrzał się. Od siódmej do dziewiątej panował tu względny spokój, jak gdyby na czas kolacji ludzie wzięli przepustkę od bólu, nieszczęścia i choroby. Około dziesiątej zaczęły się pojawiać pijacy, ofiary złodziei, psychopatów

i wypadków samochodowych; około jedenastej przyjdzie pora na przestępstwa w afekcie. Thomasowi nie zostało więc wiele czasu na zajęcie się Lynn Annę Lucas. Coś go niepokoiło w jej przypadku; czuł, że pominął jakąś istotną oznakę.

Zatrzymał się przy biurku rejestratorki i zapytał, czy wyciągnięto ze statystyki historię choroby Lynn Annę. Rejestratorka sprawdziła; okazało się, że nie, ale powiedziała, iż zadzwoni, kiedy zostanie przyniesiona. Thomas skinął nieuważnie głową, bo właśnie pomyślał,

85

że Lynn Annę mogła zażywać jakiś egzotyczny narkotyk. Obrócił się na pięcie i ruszył korytarzem do gabinetu, w którym czekała na niego dziewczyna.

Denise nie miała pojęcia, na czym polega "fantastyczny pomysł"

Martina. Poprosił ją, by przysłała do jego gabinetu około dziewiątej.

Mniej więcej piętnaście po dziewiątej, po opisaniu wszystkich zdjęć

pacjentów urazowych, udało jej się wysliznąć z izby przyjęć. Zeszła po schodach naprzeciwko warsztatów sprzętu medycznego na piętro, na

którym mieściła się radiologia. W nocy, po dziennym hałasie i zamęcie, panował tu zadziwiający spokój. W końcu korytarza za pomocą

elektrycznie zasilanej polerki jakiś salowy czyścił winylową wykładzinę podłogową.

Przez uchylone drzwi do gabinetu Philipa Denise usłyszała jego

monotonny głos dyktujący opis zdjęcia. Gdy weszła, stwierdziła, że

kończy opracowywanie angiografii z tego dnia. Na alternatorze wisiała seria klisz przedstawiających naczynia mózgowie, których tysięczne

rozgałęzienia wyglądały jak drzewa odwrócone do góry korzeniami.

Dyktując opis, Martin wskazał palcem Denise patologiczne naczynia.

Przyjrzała się i skinęła głową, choć ciągle nie mogła pojąć, jak

Martinowi udaje się zapamiętać właściwe położenie i średnicę każdej z tętnic.

- Wniosek: - dyktował Philips - u dziewiętnastoletniego

pacjenta badanie naczyniowe mózgu uwidocznilo dużych rozmiarów

przetokę tętniczo-żylną w zwojach podstawnych, kropka. Naczynia

doprowadzające do patologicznej sieci naczyniowej odchodzą od prawej

tętnicy środkowej mózgu przez gałązki soczewkowo-prążkowiowe

oraz od prawej tętnicy tylnej mózgu przez gałązki wzgórzowo-

-przeszywające i wzgórzowo-kolankowate, kropka. Koniec opisu.

Proszę o przesłanie kopii dla doktora Mannerheima, Prince'a i Clau-

sona. Dziękuję.

Dyktafon zatrzymał się ze szczękiem. Martin obrócił się w fotelu.

Uśmiechał się chytrze z miną szekspirowskiego łotrzyka.

- Idealnie wcelowałaś - powiedział.

- Co cię napadło? - zapytała, udając, że jest przestraszona.

- Chodź - powiedział Philips i wyprowadził ją z gabinetu.

Pod ścianą stały przewoźne nosze ze stelażem do kroplówki,

butelkami płynów, z aparatami do wkłuc dożylnych, pościelą i po-

dušką. Uśmiechem odpowiedział na jej zaskoczoną minę i zaczął

pchać wózek korytarzem. Denise dołączyła do niego koło windy.

86

- To jest ten fantastyczny pomysł? - spytała, pomagając we-

pchnąć nosze do kabiny dźwigu.

- Zgadza się - powiedział Martin. Nacisnął guzik podziemia.

Drzwi się zamknęły.

Wynurzyli się z windy w trzewiach szpitala. W obydwu kierunkach ciągnęły się, jak naczynia krwionośne, splątane rury, owijające się wokół siebie, jak gdyby cierpiały. Wszystko było pomalowane na czarno i szaro, co skutecznie unicestwiało widzenie barwne. Z rzadko rozłokowanych żarówek w siatkowych kloszach padało mętne światło, tworząc jaskrawobiałe łaty, przerywane długimi odcinkami gęstego cienia. Naprzeciw windy widniała tabliczka: DO KOSTNICY
WZDŁUŻ CZERWONEJ LINII.

Szkarłatna linia ciągnęła się środkiem korytarza jak pasmo krwi.

Wiernie podążała krętym korytarzem, ostro skręcając w miejscach rozwidleń. W końcu dotarli do stromej rampy, na której wózek o mało co nie wysunął się Martinowi z rąk.

- Na miłość boską, co my tu robimy? - spytała Denise. Jej kroki odbijały się głośnie echem w martwej przestrzeni.

- Zobaczysz - odrzekł Martin.

Jego głos stał się napięty, a uśmiech znikł. Początkowe podniecenie ustąpiło obawie, czy to, co zamierzał, jest zgodne z przepisami.

Korytarz niespodziewanie rozszerzył się w obszerną podziemną jamę. Oświetlenie było tu równie podłe jak po drodze, znajdujący się piętro wyżej sufit ginął w ciemnościach. W murze na lewo było wejście do krematorium, zza którego dobiegał gniewny syk buzującego ognia.

Znaleźli się przed podwójnymi wahadłowymi drzwiami kostnicy.

Czerwona linia na posadzce kończyła się nieodwołalnie. Philips zatrzymał wózek i podszedł do wejścia. Pchnąwszy połowę drzwi, rozejrzał się w obie strony.

- Mamy fart - powiedział. - Cała kostnica jest do naszej dyspozycji.

Denise niechętnie podążyła za nim.

Kostnica (mieściła się w wielkiej, zaniedbanej sali, której stopień rozkładu przywodził na myśl odkopane portyki z Pompei. Spod sufitu zwieszało się mnóstwo odratowanych żarówek na gołych kablach, jednak niewiele z nich świeciło. Posadzka wyłożona była poplamioną terakotą, a ściany potrzaskanymi i poobłupywanymi ceramicznymi płytkami. Na środku sali, w zagłębieniu, znajdował się stary marmurowy stół sekcyjny, nie używany od lat dwudziestych. Pośród panującego w środku zapuszczenia wyglądał jak pogański ołtarz.

87

Sekcji dokonywano obecnie na nowoczesnym, lśniącym stalą oddziale patologii na piątym piętrze.

W ścianach znajdowały się liczne drzwi, włącznie z drewnianymi wierzejami przypominającymi drzwi chłodni do mięsa w masarni. Po przeciwnej stronie biegł pochyły korytarz prowadzący w całkowitych ciemnościach do drzwi otwierających się na tyłach szpitalnych zabudowań. W kostnicy panowała trupa cisza. Jedyne odgłosami było sporadyczne skapywanie kropel z kranów i stukot ich kroków.

Martin zablokował koła wózka i powiesił butelkę z płynem do kroplówki.

- Chodź tu - powiedział do Denise, po czym kazał jej podetkać świeże prześcieradło pod materac na noszach.

Podszedł do gigantycznych drewnianych drzwi, wyciągnął rygiel z zasuwki i otworzył je ze sporym wysiłkiem. Zza drzwi wypłynął obłoczek lodowatej mgiełki, rozplývając się nad terakotą.

Znalazłszy przełącznik, Philips włączył światło. Zauważył, że Denise nawet nie drgnęła.

- No rusz się! Przyrowadź tu nosze.

- Nie ruszę się, dopóki nie powiesz mi, co chcesz zrobić - odpowiedziała.

- Udajemy, że znaleźliśmy się w piętnastym stuleciu.

- To znaczy?

- Porwiemy ciało dla dobra nauki.

- Lisę Marino? - spytała Denise z niedowierzaniem.

- Właśnie.

- Ja się na to nie piszę - powiedziała Denise i cofnęła się, jak gdyby miała zamiar uciec.

- Denise, nie wygłupiaj się. Chcę tylko zrobić zdjęcia i tomografię, o której ci mówiłem, potem odwieziemy ciało z powrotem. Nie sądzisz chyba, że chcę je sobie zatrzymać, co?

- Nie wiem, co mam sądzić.

- Ale masz wyobraźnię - westchnął Philips.

Uchwycił poręcz noszy i pociągnął je za sobą do staromodnej chłodni. Butelka z płynem infuzyjnym zabrzęczała uderzając o stelaż. Denise podążyła szybko za nim, rozglądając się po całkowicie wyłożonym płytkami wnętrzu. Kiedyś były białe, obecnie miały nieokreśloną szarą barwę. Sala miała mniej więcej sześć na dziewięć metrów. Pod ścianami stały stareńkie drewniane wózki noszowe na kółkach tak dużych jak w rowerach. Na każdym z nich znajdowało się przykryte prześcieradłem ciało. Środkiem ciągnęło się nie zastawione przejście.

88

Philips powoli ruszył środkiem, rozglądając się na boki. Na końcu sali zatrzymał się i zaczął unosić skraj każdego prześcieradła po kolei.

Denise zadygotała w przesyconym wilgocią chłodzie. Usiłowała nie patrzeć na najbliższe ciała, które pochodziły z makabrycznej wieczornej kraksy. Spod jednego z prześcieradeł sterczała pod dziwnym kątem

obuta stopa - co świadczyło o złamaniu podudzia. Gdzieś dudniła niewidoczna sprężarka.

- Ach, tu jest - powiedział Philips, zaglądając pod jedno z prześcieradeł.

Na szczęście dla Denise nie odkrył ciała. Gestem kazał jej podprowadzić nosze. Usłuchała go jak automat.

- Pomóż mi ją przełożyć - powiedział.

Denise uchwyciła kostki Lisy przez prześcieradło, by nie dotknąć

jej nagiego ciała. Philips dźwignął ją pod ramiona. Doliczył do trzech i przerzucili ją na wózek, stwierdzając, że ogarnęło ją już stężenie

pośmiertne, Martin pchał wózek, a Denise nim kierowała, w ten

sposób wyprowadzili go z lodowni. Philips zamknął i zaryglował drzwi.

- Po co ci kroplówka? - spytała Denise.

- Nie chcę, by ktoś zauważył, że przewozimy zwłoki - od-

powiedział. - Zawieszenie kroplówki to mistrzowska zagrywka.

Ściągnął prześcieradło, obnażając pozbawione życia oblicze Lisy

Marino. Denise odwróciła się, gdy Martin uniósł głowę Lisy i włożył

pod nią poduszkę. Następnie wetknął pod prześcieradło pusty przewód

od kroplówki.

- Doskonale. - Poklepał zwłoki po ramieniu i rzekł: - Wygod-

nie ci teraz?

- Martin, na miłość boską, musisz się zachowywać tak okropnie?

- Hmmm, prawdę mówiąc to tylko obrona. Nie jestem pewny,

czy powinniśmy to robić.

- Teraz mi to mówisz - poskarżyła się Denise, pomagając mu

przepchnąć wózek noszowy przez podwójne drzwi.

Wrócili po własnych śladach podziemnym labiryntem i wtoczyli

wózek do windy osobowej. Ku ich zaskoczeniu, zatrzymała się na

parterze. Dwóch posługaczy czekało z pacjentem na wózku. Prze-

straszeni, Martin i Denise utkwili w sobie wzrok. Denise odwróciła

spojrzenie pierwsza, gromiąc się w myślach za zgodę na udział w tej

ohydnej eskapadzie.

Posługacze wtoczyli wózek do windy tak, że znalazł się tyłem do

wejścia, co było sprzeczne z przepisami. Obydwóch pochłaniała

dyskusja o nadchodzącym sezonie baseballowym. Jeśli nawet zwrócili

uwagę na wygląd Lisy Marino, nie pofatygowali się o tym wspomnieć.

89

Co innego pacjent; ten (odwrócił głowę i utkwiał spojrzenie w cięciu w kształcie podkowy na skroni Lisy.

- Kroili ją? - spytał.

- Taa... - rzucił Philips.

- Wylize się?

- Jest trochę zmęczona - powiedział Philips. - Potrzebuje odpoczynku.

Pacjent skinął głową ze zrozumieniem. Drzwi otworzyły się na drugim piętrze. Denise i Martin wysiedli. Jeden z posługaczy pomógł im nawet wyprowadzić wózek.

- To idiotyzm - powiedziała Denise, gdy ruszyli pustym korytarzem. - Czuję się jak przestępca.

Dotarli do sali tomografii. Rudowłosy technik dostrzegł ich przez okienko dyspozytorki i podszedł im pomóc. Philips powiedział, że to nagłe badanie. Technik ustawił ławę tomografu, stanął za głową Lisy Marino i wsunął dłonie pod ramiona, przygotowując się do przełożenia jej. Odskokzył, gdy poczuł, że ciało jest lodowato zimne.

- Ona nie żyje! - wykrzyknął wstrząśnięty.

Denise zasłoniła oczy.

- Powiedzmy, że miała ciężki dzień - rzekł Philips. - Nie mów nikomu o naszych manewrach.

- Nadal chce pan zrobić jej tomografię, doktorze? - spytał

z niedowierzaniem technik.

- Bezwarunkowo - odpowiedział Martin.

Technik wziął się w garść i pomógł przenieść Lisę Marino na ławę tomografu. Ponieważ nie było potrzeby zakładać jej pasów przytrzymujących, natychmiast uruchomił ławę i głowa Lisy wsunęła się do wnętrza urządzenia. Sprawdziwszy jej ułożenie, przeszedł z Martinem i Denise do dyspozytorni.

- Trochę blada - powiedział technik - ale i tak prezentuje się o wiele lepiej od części pacjentów, których dostajemy z neurochirurgii.

Nacisnął klawisz, uruchamiając pierścień tomografu. Gigantyczny aparat ożył i zaczął obracać się wokół głowy Lisy.

Ścisnęli się przed monitorem, czekając. U góry ekranu pojawiła się pierwsza kreska. Powoli komputer stworzył jakby odsłaniany przez kurtynę pierwszy skan. Widać było kostną strukturę czaszki, jednak nie dawało się rozróżnić żadnych struktur w jej wnętrzu. Widać tam było jedynie ciemną, jednorodną plamę.

- Co, u diabła? - spytał Martin.

Technik przesunął się do klawiatury i sprawdził regulację parametrów, po czym wrócił, kręcąc głową. Oczekali do pojawienia się

90

następnego obrazu. Znow we wnętrzu wyraźnego zarysu kości nie było nic widać.

- Tomograf działał dziś sprawnie? - spytał Philips.

- Idealnie - odpowiedział technik.

Philips wprowadził na ekran parametry obrazu, sprawdził poziom i szerokość okna.

- Mój Boże - powiedział po chwili. - Wiecie, na co patrzymy?

To powietrze. W środku nie ma mózgu!

Popatrzyli po sobie z zaskoczeniem i niedowierzaniem. Martin odwrócił się raptownie i wybiegł z dyspozytorni. Denise i technik podążyli za nim. Martin uniósł obydwoma rękami głowę Lisy. Za sprawą stężenia pośmiertnego uniósł się z nią cały korpus zwłok.

Technik pomógł Martinowi zajrzeć na tył czaszki Lisy. Martin musiał

się dokładnie przyjrzeć, znalazł jednak, czego szukał: cienkie cięcie w kształcie litery "U" ciągnące się u podstawy czaszki, zamknięte szwami podskórnymi, których nie było widać z wierzchu.

- Chyba lepiej odwieźmy ciało z powrotem - powiedział nie-spokojnie Martin.

Drogę do kostnicy odbyli szybko, prawie w ogóle się nie odzywając.

Denise nie chciała iść z Martinem, przekonał ją jednak, że jest mu potrzebna do przełożenia zwłok. Gdy dotarli do krematorium, Martin ponownie sprawdził, czy w kostnicy nie ma nikogo. Machnął Denise ręką, przytrzymał dla niej otwarte drzwi i pomógł jej przeprowadzić wózek noszowy do lodowni, błyskawicznie odryglowawszy drewniane drzwi. Denise przyglądała się wydobywającym się przy przyspieszonych oddechach kłębowi pary z jego ust, gdy tyłem ciągnął przed sobą nosze w przejściu. Zatrzymali je przy starym drewnianym wózku i już mieli przełożyć zwłoki, gdy w lodowatym powietrzu rozległ się przerażający dźwięk.

Obojgu załomotały serca. Minęło parę chwil, nim dotarło do nich,

że to tylko komunikator Denise. Wyłączyła go pospiesznie zaambarasowana, jak gdyby była to jej wina, uchwyciła kostki Lisy i wspólnie, odliczywszy do trzech, przełożyli ciało.

- Na ścianie w kostnicy jest telefon - powiedział Martin, naciągając prześcieradło. - Dowiedz się, czego od ciebie chcą, a ja upewnię się, że wszystko zostawiamy tak, jak zastaliśmy.

Nie potrzebując dalszej zachęty, Denise opuściła lodownię. Była kompletnie nie przygotowana na to, co się stało. Skręcając w stronę telefonu, wpadła na mężczyznę, kierującego się do uchylonych drzwi lodowni. Mimowolnie jęknęła i przycisnęła dłonie do ust, by pozbić się po wstrząsie.

91

-

Co pani tu robi? - warknął mężczyzna, wyciągniętą ręką chwytając Denise za nadgarstek. Nazywał się Werner, pracował w szpitalnej kostnicy.

Usłyszawszy zamieszanie, Philips wyszedł na próg lodowni.

-

Jestem doktor Martin Philips, a to doktor Denise Sanger. -

Chciał, by jego głos brzmiał mocno i zdecydowanie, wypadł jednak niewyraźnie i nieprzekonywająco.

Werner puścił nadgarstek Denise. Był to szczupły mężczyzna

o

wysokich kościach policzkowych i zapadniętej twarzy. Mętne światło uniemożliwiało spojrzenie mu w oczy. Zapadnięte oczodoły wyglądały

jak wypalone w masce otwory. Miał wąski, ostry jak maczeta nos.

Ubrany był w czarny golf i również czarny gumowy fartuch.

-

Co robicie z moimi ciałami? - spytał Werner, tarasując sobą wejście do lodowni. Przeliczył zwłoki i wskazał na nosze z Lisą

Marino. - Wywoziliście ją stąd?

Odzyskawszy równowagę po początkowym wstrząsie, Philips zwrócił uwagę na poczucie własności, z jakim pracownik kostnicy mówił o zwłokach.

-

Nie jestem pewny, czy można powiedzieć o tych ciałach, że są pańskie, panie...

- Werner - powiedział mężczyzna, wracając na próg i mierząc wielkim palcem wskazującym w twarz Philipsa. - Należą do mnie, dopóki ktoś nie pokwituje ich odbioru. Odpowiadam za nie.

Przemyślawszy sprawę, Philips postanowił się z nim nie sprzeczać.

Wąskie usta Wenera zaciśnięte były w twardą, bezkompromisową

kreskę. Wyglądał jak napięta sprężyna. Philips otworzył usta, wydobyło się z nich jednak tylko zakłopotane skrzeczenie. Odchrząknął i zaczął

od nowa:

-

Chcielibyśmy porozmawiać z panem o jednym z tych ciał.

Mamy powody sądzić, że naruszono jego spokój.

Komunikator Denise odezwał się powtórnie. Przeprosiła i ruszyła do telefonu, by odpowiedzieć na wezwanie.

— O którym ciełe pan mówi? - zapytał Werner, nie odrywając nawet na chwilę wzroku od twarzy Philipa.

— O Lisie Marino - powiedział Martin, wskazując częściowo przykryte zwłoki. - Co panu wiadomo o tej kobiecie?

— Niewiele - powiedział Werner, odwracając się w stronę Lisy

i

nieznacznie odprężając. - Przywiozłem ją z chirurgii. Chyba zeszła przed lub około południa.

-

A co pan powie o samym ciełe? - Martin zwrócił uwagę, że pracownik kostnicy nosi grzywkę, przegarniętą równo na boki.

92

- Milutka - powiedział Werner, nie spuszczając oczu z Philipa.

- Co to znaczy, milutka? - spytał Philip.

- Najładniejsza kobieta, jaka mi się tu od dawna trafiła -

powiedział Werner. Nieznacznie obrócił twarz i wyszczerzył zęby w obleśnym uśmiechu.

Martin poczuł, że broń została mu wytrącona z ręki. Zaszło mu w ustach, więc przełknął. Poczł zadowolenie, gdy wróciła Denise ze słowami:

- Muszę iść. Dzwoniono z izby przyjęć, żebym obejrzała zdjęcie czaszki.

- Dobrze - powiedział Martin, usiłując zebrać myśli. - Przyjdź do mojego gabinetu, kiedy będziesz wolna.

Denise skinęła głową i odeszła z uczuciem ulgi.

Zdecydowanie źle się czując w towarzystwie Wenera, Martin zmusił się do podejścia do ciała Lisy Marino. Ściągnął prześcieradło i przekręcił Lisę na bok. Wskazał starannie zaszyte cięcie i zapytał:

- Wie pan coś o tym?

- Absolutnie nic - odpowiedział szybko Werner.

Philips nie był nawet pewny, czy pracownik kostnicy spojrział na wskazane przez niego miejsce. Pozwolił ciału Lisy opaść na nosze i przyjrzał się mężczyźnie. Jego nieruchome oblicze przypominało mu sztamkowy wizerunek nazistowskich oficerów.

- Proszę mi powiedzieć, czy któryś z ludzi Mannerheima był tu na dole? - zapytał Martin.

- Nie wiem - odparł Werner. - Powiedzieli mi, że ma nie być sekcji.

- Hmm, to nie jest cięcie sekcyjne - rzekł Philips. Ujął w dłoń

skraj prześcieradła i przykrył ciało Lisy Marino. - Dzieje się tu coś dziwnego. Na pewno nic pan o tym nie wie?

Werner pokręcił głową.

- Pożyjemy, zobaczymy - rzekł Philips.

Wyszedł z lodowni, Wernerowi pozostawiając uprzątnięcie wózka noszowego. Pracownik kostnicy odczekał, dopóki nie usłyszał zamknięcia się zewnętrznych drzwi, po czym pchnął potężnie wózek, który wyprysnął z lodowni, przejechał przez pół kostnicy i wpadł na marmurowy stół sekcyjny, przewracając się z potwornym łoskotem. Butelka z płynem do wlewu kroplowego roztrzaskała się na tysiące odłamków.

Doktor Wayne Thomas oparł się o ścianę, złożył rękę na piersiach. Lynn Annę Lucas siedziała na starej leżance. Ich oczy

93

znajdowały się na tym, samym poziomie: jego czujne i zarazem pełne zastanowienia, jej znużone i zdesperowane.

- Co to było z tą niedawną infekcją dróg moczowych? - zapytał doktor Thomas. - Ustąpiła po zastosowaniu sulfonamidów. Czy jest jeszcze coś dotyczącego tej choroby, o czym mi pani nie powiedziała?

- Nie - odrzekła powoli Lynn Annę. - Tyle tylko, że wysłano mnie do urologa. Powiedział mi, że prawdopodobnie problem polega na tym, iż idę do toalety wtedy, gdy w pęcherzu mam już za dużo moczu. Polecił mi konsultację u neurologa.

- I była pani u niego?

- Nie. Choroba przeszła sama, więc nie chciało mi się zawracać neurologowi głowy.

Przez szparę w parawanie do środka zajrzała Denise Sanger.

- Przepraszam, ktoś prosił o konsultację w sprawie radiogramu czaszki.

Thomas odepchnął się od ściany, mówiąc, że za chwilę wróci. Po drodze do pokoju lekarzy podał Denise skróconą historię choroby Lynn Annę. Powiedział, że dla niego rentgenogram czaszki wyglądał normalnie, chciał jednak, by ktoś jeszcze rzucił okiem na okolice szyszynki.

- Jaka jest diagnoza? - spytała Denise.

- W tym sęk - powiedział Thomas, otwierając przed nią drzwi

do pokoju lekarzy. - Biedactwo siedzi tu już pięć godzin, a mnie nie

udało się jeszcze ułożyć wszystkiego w jakąś całość. Myślałem, iż może coś ćpa, ale wygląda, że nie. Nawet nie pali trawki.

Thomas wsunął zdjęcie pod wałki negatoskopu. Denise przyjrzała

się mu w przepisowej kolejności, zaczynając od kości.

-- Musiałem się nasłuchać głupot od reszty lekarzy na izbie -

powiedział Thomas. - Uważają, że zainteresowałem się przypadkiem,

bo dziewczyna to niezła dupcia.

Denise odwróciła gwałtownie wzrok od zdjęcia i spojrzała ostro na

lekarza.

- Nie o to chodzi - rzucił natychmiast Thomas. - Coś się dzieje

w mózgu dziewczyny. Jakiegolwiek są to zmiany, mają duży zasięg.

Denise wróciła do oglądania kliszy. Struktura kostna, włącznie

z okolicami szyszynki, nie wykazywała odchyień od normy. Przyjrzała

się niewyraźnym cieniom wewnątrz czaszki. Dla celów orientacyjnych

sprawdziła, czy w szyszynce nie ma zwapnień. Nie było. Miała już

stwierdzić, że radiogram jest prawidłowy, gdy dostrzegła delikatne

zmiany faktury. Złożyła dłonie, zostawiając między nimi niewielki

prześwit, i przyjrzała się polu, które ją zaciekało. Była to sztuczka 94

podobna do tego, co zrobił z kartką papieru Philips. Gdy oderwała

dłonie od zdjęcia, była już pewna, że natrafiła na kolejny przypadek

identycznych zmian zacienienia, jakie Martin pokazał jej wcześniej na zdjęciach Lisy Marino.

- Chcę, by ktoś jeszcze rzucił okiem na to zdjęcie - powiedziała,

wyciągając radiogram z negatoskopu.

- Znalazła pani coś? - spytał z otuchą w głosie Thomas.

- Tak mi się wydaje. Niech pan zatrzyma tu pacjentkę do mojego powrotu, doktorze. - Denise zniknęła, nim Thomas miał szansę odpowiedzieć.

Dwie minuty później była już w gabinecie Martina.

- Jesteś pewna? - zapytał.

- Zupełnie. - Podała mu zdjęcie.

Martin wziął je od niej, ale nie włożył go od razu do aparatu.

Przesuwał palcami po brzegu kliszy z obawą, że może go czekać jeszcze jedno rozczarowanie.

- Daj spokój, bierz się za nie - powiedziała Denise. Pałała chęcią potwierdzenia swoich podejrzeń.

Martin wsunął zdjęcie pod wałeczki. Światłówki negatoskopu zamigotały i zaświeciły równo. Wyćwiczonym spojrzeniem Philips obrzucił w tę i z powrotem obszar zdjęcia, który ich interesował.

- Myślę, że masz rację - powiedział w końcu.

Za pomocą kartki papieru z wyciętym otworkiem dokładniej przyjrzał się radiogramowi. Nie miał żadnych wątpliwości, że na tym

zdjęciu widać było takie same zmiany zacielenia jak na rentgenogramie Lisy Marino. Różniły się jedynie tym, że zmiany u Lynn Annę były mniej zaznaczone i nie tak rozległe.

Usiłując opanować swe podniecenie, Martin włączył komputer

Michaela i wystukał nazwisko. Odwrócił się do Denise i zapytał, na co uskarżała się pacjentka. Odpowiedziała, że Lynn Annę miała kłopoty z czytaniem, połączone z epizodami utraty przytomności.

Philips wprowadził te dane do komputera i przeszedł do laserowego czytnika. Kiedy zapaliło się czerwone światełko, wsunął do szczeliny kliszę. Drukarka ożyła i napisała:

DZIĘKUJE, MOŻESZ SIĘ ZDRZEMNAĆ.

Podczas oczekiwania na odczyt Denise opowiedziała Martinowi, czego jeszcze dowiedziała się o przypadku Lynn Annę Lucas. Philipsa najbardziej jednak cieszyła myśl, że pacjentka żyje i jest osiągalna na izbie przyjęć.

Gdy tylko drukarka stacatto wystukała opis kliszy, Martin oderwał wydruk. Przeczytał go wspólnie z Denise zaglądającą mu przez ramię.

95

- Zdumiewające! - powiedział, gdy skończył czytać. - Kom-

puter całkowicie potwierdza twoje spostrzeżenia. Pamięta też, że takie same zmiany zacielenia dostrzegł na kliszach Lisy Marino, a na

domiar wszystkiego znów doprasza się, żeby mu powiedzieć, co one

oznaczają! Cholera, to ustrojstwo jest niesamowite! Chce się uczyć!

Jest tak ludzkie, że aż się go boję. Jeszcze trochę i poprosi o pozwolenie na ślub z procesorem tomografu i danie im wolnego na całe lato, by

mogli wyjechać w podróż poślubną!

- Ślub? - zapytała Denise ze śmiechem.

Martin zbył pytanie machnięciem ręki.

- Takie tam administracyjne troski. Nie zbijaj mnie z tropu.

Przyprowadź mi tu tę Lynn Annę Lucas, zrobimy tomografię i zdjęcia czaszki jej zamiast Lisie Marino.

- Nie wiem, czy sobie uświadamiasz, że jest dość późno. Technik

od tomografu zamyka sklepik o dziesiątej i idzie do domciu. Mu-

sielibyśmy po niego zadzwonić. Jesteś pewny, że chcesz to zrobić

jeszcze dziś?

Philips spojrział na zegarek. Było wpół do jedenastej.

- Masz rację. Ale nie chcę stracić tej pacjentki. Dopatrzę, by przyjęto ją do szpitala przynajmniej na tę noc.

Denise zeszła z Martinem do izby przyjęć i poprowadziła go prosto do jednego z dużych gabinetów zabiegowych. Wskazała mu prawy róg; gdy tam podeszli, odciągnęła parawanik oddzielający niewielką niszę przeznaczoną do badania. Lynn Annę spojrzała na nich nabiegłymi krwią oczyma. Siedziała na krześle koło stolika, opierając głowę na łokciu.

Zanim Denise zdążyła, przedstawić Martina, zabrzączał jej komunikator. Zostawiła go samego z Lynn Annę. Natychmiast zorientował się, że dziewczyna jest wyczerpana. Uśmiechnął się do niej ciepło i zapytał, czy nie miałyby nic przeciwko pozostaniu na oddziale na noc, by rano mógł jej wykonać kilka zdjęć. Lynn Annę odrzekła, że jest jej wszystko jedno, byle tylko mogła opuścić izbę przyjęć i przespać się. Philips uścisnął jej delikatnie ramię i powiedział, iż wszystko załatwi.

Musiał się wyklócać w rejestracji jak w sklepie z wyprzedazą, krzycząc i nawet waląc w blat biurka, byle tylko zwrócić na siebie uwagę zacharowanej siostry. Zapytał, kto opiekował się Lynn Annę Lucas. Pielęgniarka sprawdziła w grafiku i powiedziała, że doktor Wayne Thomas, który na sali siódmej akurat zajmował się zawałem. Kiedy Philips tam dotarł, okazało się, że pacjent właśnie miał nagłe

zatrzymanie krążenia. Był to otyły mężczyzna, rozlewający się na stole zabiegowym jak rozlazły naleśnik. Brodaty Murzyn, który, jak się

Martin wkrótce zorientował, był doktorem Thomasem, stał na krześle

koło stołu i stosował pacjentowi zewnętrzny masaż serca. Jego dłonie

znikały wśród fałdów tłuszczu. Po drugiej stronie pacjenta stał lekarz trzymający w rękach elektrody defibrylatora i regulujący obraz na

kardiomonitorze. Stojący koło głowy pacjenta anestezjolog prze-

prowadzał sztuczne oddychanie aparatem Ambu, dostosowując na-

dmuchiwanie gumowego worka do manewrów doktora Thomasa.

- Przestańcie - powiedział lekarz zajmujący się defibrylatorem.

Wszyscy się cofnęli. Lekarz przyłożył pokryte poprawiającym

przewodzenie żelem elektrody do zatopionej w tłuszcz klatki piersiowej chorego mężczyzny. Gdy nacisnął guzik na wierzchu rękojeści elektrody na mostku, przez ciało pacjenta przeniknął prąd, docierając do

najdalszych zakątków organizmu. Kończyny pacjenta zadygotały, jak

gdyby był tłustym oskubanym kurczakiem próbującym latać.

Anestezjolog natychmiast podjął przerwana resuscytację oddecho-

wą. Obraz na ekranie kardiomonitora wyrównał się, ukazując wolną,

lecz miarową czynność serca.

- Puls na tętnicy szyjnej dobrze wypełniony - powiedział

anestezjolog, przyłożywszy dłoń do boku szyi pacjenta.

- Świetnie - powiedział lekarz trzymający elektrody defib-

rylatora.

Nie odrywał wzroku od kardiomonitora, gdy na ekraniku pojawił

się zapis pierwszego dodatkowego pobudzenia komorowego, zlecił

podanie siedemdziesięciu pięciu miligramów lidokainy.

Philips podszedł do Thomasa i zwrócił na siebie jego uwagę,

stuknąwszy go w nogę. Asystent zszedł z krzesła i odszedł od stołu, nie spuszczać jednak z niego wzroku.

- Chodzi o pańską pacjentkę, Lynn Annę Lucas, doktorze - powiedział Philips. - Ma pewne zmiany w obrazie radiologicznym płata potylicznego, szerzące się do przodu.

- Cieszę się, że pan coś znalazł - powiedział Thomas. - Intuicja podpowiadała mi, że coś tu jest nie tak, ale nie mogłem ustalić co.

- Nie potrafię jeszcze zaproponować żadnej diagnozy - odrzekł Philips. - Chciałbym jej zrobić jutro parę dodatkowych zdjęć. Da pan radę przyjąć ją na noc?

- Pewnie. Sam miałem na to ochotę, ale tak mi dopiekła reszta chłopaków, że nawet nie miałem czasu ustalić wstępnego rozpoznania.

- Może stwardnienie rozsiane?

Thomas poskrobał się po brodzie.

- Stwardnienie rozsiane? To trochę naciągane.

- Jest jakiś powód, dla którego nie mogłoby to być właśnie to?

97

4 - Mózg

- Nie - rzekł Thomas. - Nie ma jednak również dowodów na poparcie takiego rozpoznania.

- A gdyby to było bardzo wczesne stadium?

- Możliwe, ale zazwyczaj stwardnienie rozsiane diagnozuje się później, kiedy konstelacja objawów staje się ewidentna.

- O to właśnie chodzi. Chcielibyśmy zaproponować wcześniejsze

rozpoznanie.

- W porządku - powiedział Thomas. - Zamierzam jednak w obserwacji z izby przyjąć odnotować, że diagnoza została zaproponowana przez radiologów.

- Jak pan uważa - powiedział Philips. - Niech pan tylko na pewno wpisze w zleceniach, że pacjentka ma mieć jutro TK i politomografię. Wciągnę ją na listę do badania.

Gdy Philips z powrotem znalazł się w rejestracji izby przyjęć, musiał odstać swoje, nim otrzymał kartę Lynn Annę Lucas. Zabrał ją wraz z poprzednią historią choroby do opustoszałego pokoju lekarzy.

Na początek przeczytał obserwacje wpisane przez doktorów Huggensa i Thomasa. Nie było w nich nic szczególnego. Następnie zabrał się do historii choroby. Kolorowy kod na skraju kartek powiedział mu, że istnieje dokumentacja radiologiczna tego przypadku. Otworzył historię na stronie, gdzie wpisany był wynik zdjęcia czaszki, wykonanego po wypadku na wrotkach. Klisza była opisana przez znajomego Martinowi lekarza. Był o kilka lat starszy od Philipsa, obecnie pracował w Houston. Opis nie stwierdzał odchyień od normy.

Przeglądając historię choroby, Martin dotarł do powtarzających się w ciągu ostatnich dwóch lat infekcji górnych dróg oddechowych, leczonych w infirmerii na kampusie. Zauważył również, że dziewczyna chodziła do przychodni ginekologicznej z powodu stwierdzenia średniego stopnia atypii w rozmazach Papanicolaou. Informacja ta wywarła na nim może mniejsze wrażenie, niż powinna, od czasów stażu bowiem

zapomniał masę zagadnień z medycyny ogólnej. W latach 1969-1970

nie było żadnych wpisów do karty.

Nim wrócił do swego gabinetu, zostawił kartę Lynn Annę w rejestracji izby przyjęć. Po drodze pokonywał po dwa stopnie; rozpierała go energia wywołana odkrywczą gorączką. Powtórne stwierdzenie takich samych nieprawidłowości u Lynn Annę Lucas było tym bardziej pobudzające po niepowodzeniu z Lisą Marino. Wróciwszy do siebie, wyciągnął z półki zakurzony podręcznik interny i zajrzał pod hasło: "stwardnienie rozsiane".

Tak jak sobie przypominał, diagnoza w przypadku tego schorzenia opierała się na stwierdzonych w badaniu fizykalnym objawach. Z badań

98

dodatkowych jedyną pewną diagnozę dawała sekcja zwłok. Natychmiast uświadomił sobie, jak ogromną wartość miałyby radiologiczne diagnozowanie tej choroby. Czytał dalej; dotarł do tego, iż typowymi objawami stwardnienia rozsianego były zaburzenia widzenia i dysfunkcja pęcherza moczowego. Philips przestał czytać po dwóch pierwszych zdaniach kolejnego akapitu. Odczytał je powtórnie na głos:

W ciągu pierwszych lat choroby diagnoza może nie być pewna. Pewne rozpoznanie choroby mogą opóźnić długie okresy utajenia występujące między pojawieniem się pierwszych objawów, mogących nawet ujść uwagi lekarskiej, a rozwojem dalszych, bardziej charakterystycznych symptomów.

/

Philips chwycił słuchawkę i wystukał domowy numer Michaela.

Przy dość niepewnej diagnozie radiologicznej należało się wstrzymać z ostatecznym rozpoznaniem.

Dopiero po usłyszeniu pierwszego sygnału w słuchawce Martin spojrzął na zegarek. Z zaskoczeniem stwierdził, że już po jedenastej.

W tej samej chwili słuchawkę z drugiej strony podniosła żona Michaela, Eleanor, której Martin nigdy nie widział na oczy. Natychmiast wdał się w przydługie tłumaczenia, dlaczego dzwoni o tak późnej porze, lecz nie wyglądało na to, by Eleanor została wyrwana ze snu. Zapewniła Martina, że nigdy nie kładą się przed północą i przekazała słuchawkę mężowi.

Gdy Michaels dowiedział się, że Philips jeszcze siedzi w pracy, wyśmiał jego entuzjazm, który określił jako niedojrzały.

- Byłem zajęty - wyjaśnił Martin. - Wypiłem filiżankę kawy, coś przekąsiłem i zdrzemnąłem się.

- Nie pokazuj nikomu tych wydruków - powiedział Michaels, na nowo wybuchając śmiechem. - Dorzuciłem do programu również kilka nieprzystojnych propozycji.

Philips wyjaśnił Michaelsowi, że w izbie przyjęć znalazła się pacjentka nazwiskiem Lynn Annę Lucas, u której stwierdził takie same zmiany zacienienia jak na zdjęciach Lisy Marino. Powiedział, że z oczywistych powodów nie mógł zrobić kolejnych zdjęć Lisie, tym razem jednak wykona decydujące radiogramy już rano. Dodał, iż komputer sam go poprosił o wyjaśnienie, co oznaczają patologiczne zmiany.

- To cholerstwo chce się uczyć!

- Pamiętaj, że program podchodzi do radiologii tak samo jak

ty - przypomniał mu Michaels. - Wykorzystuje twój sposób

postępowania.

99

- Tak, ale już stał się lepszy ode mnie. Dostrzegł zmiany

zacienienia, na które nie zwróciłem uwagi. Jeśli wzoruje się na moim postępowaniu, w jaki sposób to wytłumaczysz?

- Bez problemu. Pamiętaj, że komputer przetwarza zdjęcie

w obraz o dwustu pięćdziesięciu sześciu pikselach w pionie i dwustu

pięćdziesięciu sześciu w poziomie, z których każdy oceniany jest

w dwustopniowej skali szarości. Kiedy cię testowałem, okazało się, że rozróżniasz jedynie pięćdziesiąt stopni szarości. Aparat jest po

prostu czulszy.

- Przepraszam, że pytałem - powiedział Philips.

- Wykorzystałeś program do oceny jakichś starych radiogramów?

- Nie - przyznał Philips. - Miałem dopiero zacząć.

- Hm, nie musisz wszystkiego robić w jedną noc. Einstein się nie

spieszył, więc i ty możesz poczekać do rana, nie?

- Zamknij dziób - powiedział dobrodusznie Martin i odłożył

słuchawkę.

Dysponując numerem historii Lynn Annę Martin, ze względu

łatwością odnalazł stare zdjęcia. W kopercie znajdowały się jedynie

dwa ostatnie zdjęcia przeglądowe klatki piersiowej i seria radiogramów czaszki wykonana po wypadku na wrotkach. Jedno z nich powiesił na

negatoskopie koło zdjęcia wykonanego tego dnia po południu.

Porównawszy je, upewnił się, że patologiczne zmiany powstały w ciągu czasu, jaki minął od wykonania tamtego zdjęcia. Dla całkowitej pewności jedno ze zdjęć przepuścił w projekcji bocznej przez komputer, który potwierdził jego wniosek.

Philips włożył stare klisze Lynn Annę do koperty, a na jej wierzchu położył nowe. Zostawił je na biurku, wiedząc, że Helen ich tam nie tknie. Do czasu wykonania nowych zdjęć nic nie mógł począć z przypadkiem Lynn Annę Lucas.

Zastanowił się, co powinien zrobić. Mimo późnej pory nie chciało mu się spać, poza tym powinien zaczekać na Denise. Miała nadzieję, że przyjdzie do jego gabinetu, kiedy tylko skończy robotę, która jej przypadła. Rozwahał, czyby jej nie wezwać przez szpitalny system komunikowania się, ale zdecydował się tego nie robić.

Postanowił spędzić czas na wyciąganiu z akt starych radiogramów. Stwierdził, że równie dobrze może już teraz wykorzystywać program. Na wypadek, gdyby zjawiła się Denise, na drzwiach zostawił kartkę: Jestem w centralnym archiwum radiologicznym.

Na jednym z terminali szpitalnego systemu komputerowego w pocie czoła wystukał, o co mu chodziło: listę wszystkich pacjentów, którzy w ciągu ostatnich dziesięciu lat mieli robione zdjęcia czaszki w postaci 100 wydruku. Kiedy skończył wprowadzać komendy, nacisnął "Enter" i odwrócił się do drukarki. Po krótkiej zwłóce maszyna zaczęła wypluwać z siebie w alarmującym tempie wstęgę papieru. Kiedy wreszcie skończyła, przed Philipsem znalazła się lista zawierająca tysiące nazwisk. Jedno spojrzenie na nią sprawiło, że poczuł wyczerpanie.

Nie zniechęcony, odszukał Randy'ego Jacobsa, jednego z pracowników nocnej zmiany na oddziale, segregującego wykorzystane zdjęcia i wyszukującego klisze potrzebne na dzień następny. Był to student farmakologii, utalentowany flecista i otwarcie deklarujący się ze swymi upodobaniami homoseksualista. Martin uważał go za wymownego, świetnego pracownika o ostrym jak brzytwa dowcipie.

Poprosił Randy'ego, by na początek wyciągnął klisze z pierwszej strony wydruku. Znajdowało się na niej około sześćdziesięciu nazwisk pacjentów. Z typową dla siebie sprawnością w ciągu dwudziestu minut Randy wyszukał tyleż pierwszych kopert i przyniósł je do gabinetu Martina. Philips jednak nie przepuścił zdjęć przez komputer, o co go prosił Michaels, zaczął je natomiast przeglądać na negatoskopie, nie mogąc się oprzeć pokusie odnalezienia innych pacjentów, u których można by było stwierdzić takie same zmiany zacielenia tkanki mózgowej jak w przypadku Lisy Marino i Lynn Annę Lucas.

Posługując się kartką papieru z wyciętym otworem jako pomocą naukową, dla zyskania na czasie przesuwał nożnym pedałem zdjęcia w przeglądarce. Przejrzał mniej więcej połowę zdjęć, gdy zjawiała się Denise.

- Tak się rozwodziłeś, że masz zamiar rzucić medycynę kliniczną, i proszę, ślęczysz nad zdjęciami, choć już prawie północ.

- Pewnie to głupota z mojej strony - powiedział Martin, odchylając się w fotelu i pocierając kostkami dłoni powieki - ale musiałem przejrzeć stare zdjęcia z ciekawości, czy nie uda mi się

znaleźć takich samych zmian jak u tych dwóch dziewczyn.

Denise podeszła do niego z tyłu i pogładziła go po karku. Wyglądał na zmęczonego.

- Znalazłeś coś? - spytała.

- Nie - odparł Philips. - Przejrzałem tylko coś koło tuzina zdjęć.

- Zawęziłeś pole poszukiwań?

- To znaczy?

- No, masz do czynienia z dwoma przypadkami. Obydwa są świeże, obydwie dotyczą kobiet około dwudziestki..

Philips spojrział na stertę kopert z kliszami i westchnął. W ten sposób, nie mówiąc ani słowa, przyznał Denise rację. Zadumał się, dlaczego sam na to nie wpadł.

101

Przeszła wraz z nim do komputerowego terminalu, ani na chwilę nie przerywając potoku komentarzy dotyczących wyczerpującego dyżuru w izbie przyjęć. Wprowadzając nowe polecenia, Martin słuchał jej jednym uchem.

Poleciał komputerowi podać listę nazwisk i numerów kart pacjentek w wieku od dwudziestu do dwudziestu pięciu lat, którym w ciągu ostatnich dwóch lat robiono zdjęcia czaszki. Kiedy drukarka wreszcie ożyła, wystukała zaledwie jedną linijkę. Okazało się, że oprogramowanie nie przewidywało wyszukiwania zdjęć według płci.

Philips poprawił polecenie. Drukarka ruszyła od nowa, stukając w szaleńczym tempie, nie trwało to jednak długo. Lista obejmowała

jedynie stu trzech pacjentów. Szybko przejrzawszy ją, stwierdził, że

kobiet było nieco mniej niż połowa.

Randy'emu spodobała się nowa lista. Powiedział, że poprzednia była demoralizująca. Na oczekaniu wyciągnął siedem kopert i powiedział, żeby na razie zajęli się nimi, a on wyszuka resztę.

Po powrocie do gabinetu Martin musiał przyznać, że jest skonany i znużenie zaczyna podgryzać jego entuzjazm. Rzucił rentgenogramy przed alternatorem i otoczył Denise ramionami, tuląc się do niej.

Głowa opadła mu na jej bark. Oddała mu uścisk, splatając dłonie tuż poniżej jego łopatek. Stali tak przez chwilę, podtrzymując się nawzajem i nie mówiąc ani słowa. Wreszcie Denise spojrzała w twarz Martina

i odgarnęła jasne włosy z jego czoła. Nie otwierał oczu.

- Może dajmy sobie spokój na dziś - zaproponowała.

- Dobry pomysł - powiedział Martin, otwierając oczy. -

Pójdiesz do mnie? Chyba jeszcze jestem w maniakalnym nastroju; mam ochotę rozmawiać.

- Tylko to?

- Niekoniecznie.

- Szkoda, że jestem pewna, iż wezwą mnie z powrotem do szpitala.

Philips mieszkał w bloku z mieszkaniami do wynajęcia, zwanym Towers, wybudowanym przez szpital i przylegającym do niego. Choć został zaprojektowany z minimalną dozą twórczego myślenia, był nowy, bezpieczny i wyjątkowo dogodny. Znajdował się nad rzeką, na którą Martin mógł wyglądać z okna.

Dla odmiany Denise mieszkała w starym budynku na zatłoczonej

bocznej uliczce. Jej mieszkanie znajdowało się na trzecim piętrze, a okna wychodziły na wiecznie pograżony w cieniu szyb wariacyjny. Martin stwierdził, że jego mieszkanie jest w takiej samej odległości od izby przyjęć jak dyżurka pielęgniarek, z której mogła korzystać Denise, i trzykrotnie bliżej niż jej własne mieszkanie.

102

- Jeśli cię wezwą, to trudno - zakończył.

Zawahała się. Wspólne spędzenie czasu podczas dyżuru było dla nich czymś nowym. Denise bała się, że tak szybki rozwój ich związku wymusi na niej przedwczesną decyzję.

- Może - powiedziała wreszcie. - Zejdę jeszcze do izby i dowiem się, czy nic się nie szykuje.

Czekając na nią, Martin zaczął przeglądać na negatoskopie nowe radiogramy. Przejrzał trzy, nim przypadkiem wrócił wzrokiem do pierwszego. Podskoczył na fotelu i przysunął nos prawie do samej kliszy. Jeszcze jeden przypadek! Stwierdził obecność takiego samego nakrapiania ciągnącego się od wysuniętych najbardziej do tyłu części

płata potylicznego do przodu. Spojrzał na kopertę. Pacjentka nazywała się Katherine Collins, miała dwadzieścia jeden lat. Wystukane na

maszynie skierowanie stwierdzało, że zostało ono wykonane z powodu napadów padaczkowych.

Martin przeniósł kliszę Katherine Collins do czytnika. Wyciągnął zdjęcia z pozostałych czterech kopert i zaczął rozwieszać je na negatoskopie, nim jednak dobrze wsunął pierwszy radiogram, stwierdził, że natrafił na kolejny przypadek. Był tak wyczulony, iż natych-

miast wyszukiwał na zdjęciu zmiany, o które mu chodziło. Tym razem była to Ellen McCarthy, lat dwadzieścia dwa, dane kliniczne: bóle głowy, zaburzenia widzenia, osłabienie prawych kończyn. Inne radiogramy były normalne.

Martin wyjął z koperty Ellen McCarthy parę bocznych zdjęć, wykonanych pod nieznacznie różniącymi się kątami, i włożył je do przeglądarki stereo wizyjnej, po czym włączył w niej źródło światła. Z wielkimi kłopotami rozróżnił przez okular plamki, których szukał. Stwierdził, że sprawiają wrażenie zlokalizowanych raczej powierzchownie, w korze mózgowej, nie w głębszych warstwach włókien nerwowych. Była to dość nieoczekiwana informacja. Zmiany patologiczne w stwardnieniu rozsianym dotyczyły bowiem zazwyczaj istoty białej mózgu. Oddarł wydruk z komputera i odczytał go. U wierzchu

kartki-znajdowało się podziękowanie za umieszczenie kliszy w drukarce, a po nim dziewczęce imię i fikcyjny numer telefonu. Kolejny przykład

humoru Michaela.

Opis zdjęcia był taki, jak się Martin spodziewał. Stwierdzone zostały zmiany w zacienieniu, komputer ponownie zadał pytanie o naturę nie zaprogramowanych zmian patologicznych.

Prawie dokładnie w tej samej chwili z izby przyjęć wróciła Denise oraz przybył Randy z nowo wyszukаныmi piętnastoma kopertami.

Philips głośno cmoknął Denise. Powiedział, że dzięki jej sugestiom

103

znalazł jeszcze dwa przypadki, obydwa dotyczące młodych dziewczyn.

Wziął jedną z kopert, które przytargał Randy, i już miał się zabrać do oglądania zdjęć, gdy Denise

położyła mu dłoń na ramieniu.

- W izbie spokojnie. Kto wie, jak tam będzie za godzinę?

Philips westchnął. Czuł się jak dziecko, któremu właśnie podarowano nową zabawkę i kazano zostawić ją na noc. Niechętnie odłożył kopertę, po czym kazał Randy'emu wyszukać resztę zdjęć i, zostawić

je na jego biurku, a jeśli chłopakowi zostanie jeszcze trochę wolnego czasu, żeby wygrzebał część zdjęć z pierwszej listy i złożył je pod ścianą za stolikiem z komputerem. Po namyśle dorzucił do tego jeszcze

prośbę, by Randy zadzwonił do statystyki, aby Martinowi dostarczono do gabinetu historii choroby Katherine Collins i Ellen McCarthy.

W końcu rozejrzał się po gabinecie i powiedział:

- Zastanawiam się, czy czegoś nie zapomniałem.

- Siebie - powiedziała Denise ze zniechęceniem. - Siedzisz tu od osiemnastu godzin. Chodźmy stąd, zanim zapuścisz korzenie.

Ponieważ Towers był częścią kompleksu zabudowań szpitala, łączyło go z nim jasno oświetlone, pomalowane w żywe barwy podziemne przejście. Tą samą drogą biegły ukryte pod płytami pod sufitem ciągi zasilania w elektryczność i ciepłą wodę.

Trzymając się za ręce, Denise i Martin minęli najpierw stary, a później nowy budynek akademii medycznej. Dalej przeszli koło odgałęzienia prowadzącego do Kliniki Pediatrii im. Brennera i Kliniki Psychiatrii im. Goldmanna.

Towers znajdował się na końcu tunelu, reprezentując obecną granicę rakowatego naciekania otoczenia przez kompleks medyczny.

Klatka schodowa prowadziła prosto do holu na parterze bloku mieszkalnego. Strażnik rozpoznał ich zza tafli kuloodpornego szkła

i wpuścił do środka.

Wystawne, eleganckie mieszkania Towers zajmowali przeważnie

lekarze i inni fachowcy ze szpitala. Mieszkało tu jeszcze paru

wykładowców akademii medycznej, ci jednak przeważnie uważali

koszta najmu mieszkań za zbyt wysokie. Większość lekarzy stanowili

rozwodnicy, narastał jednak odsetek młodych "turków" z agresywnymi żonami poświęcającymi całą uwagę karierom zawodowym mężów.

Dzieci prawie w ogóle się tu nie widywało, poza weekendami, kiedy

przychodziła pora, by "tatuś obejrzał sobie pociechy". Z posiadanych przez Martina informacji wynikało, że mieszkało tu również sporo

psychiatrów oraz - homoseksualistów.

104

Martin należał do rozwodników. Zdarzyło się to cztery lata temu

po sześciu latach podmiejskiego małżeńskiego zawieszenia broni.

Jak większość swoich kolegów ożenił się na stażu podyplomowym,

by w ten sposób jakoś ulżyć swej ciężkiej doli lekarza zaczynającego

praktykę. Jego żona miała na imię Shirley. Kochał ją, a przynajmniej

tak mu się wydawało. Był wstrząśnięty, gdy zbiesiła się i go porzuciła.

Na szczęście nie mieli dzieci.

Zareagował na rozwód depresją i jeszcze większym wydłużeniem

czasu pracy, jeśli,-to w ogóle było możliwe. Stopniowo, w miarę

upływu czasu, był w stanie spojrzeć na swoje przeżycia z dystansu,

pozwalającego ustalić, dlaczego właściwie do tego wszystkiego doszło.

Stwierdził, że jego prawdziwą żoną okazała się medycyna, a Shirley

była jedynie kochanką.

Shirley wybrała na opuszczenie go rok, w którym został zastępcą ordynatora na neuroradiologii, ponieważ dopiero wtedy ostatecznie poznała jego skalę wartości. Nim wyznaczono go na zastępcę ordynatora, tłumaczył się przed żoną, że pracuje siedemdziesiąt godzin tygodniowo dlatego, iż mierzy w to stanowisko. Gdy w końcu zdobył tę funkcję, tłumaczył się, że nie zredukował czasu pracy dlatego, iż teraz jest odpowiedzialny jako szef. Shirley uświadomiła sobie, o co chodzi, wcześniej niż Martin. Nie chciała być zamężna i samotna, więc go porzuciła.

- Doszedłeś do jakichś wniosków co do zniknięcia mózgu Lisy Marino? - spytała Denise, przywołując Martina do rzeczywistości.

- Nie - powiedział. - Mannerheim musi jednak w jakiś sposób za to odpowiadać.

Czekali na windę pod olbrzymim, krzykliwym kandelabrem. Dywan o przypalanej żółtej barwie był pokryty wzorem splatających się złotych kół.

- Zamierzasz coś z tym zrobić?

- Nie wiem, czy mogę. Na pewno miałbym ochotę dowiedzieć się, dlaczego został wyjęty.

Najmilszą cechą mieszkania Philipsa był widok na łagodne rzeczne zakole/Poza tym nie wyróżniało się niczym szczególnym. Philips przeprowadził się tu nagle; umówił wynajem przez telefon, tak samo zaangażował firmę do umeblowania mieszkania. Został więc skazany na wynajęte umeblowanie: sofę, parę stolików narożnych, "jamnik" do kawy, parę foteli do saloniku, kącik śniadaniowy oraz łóżko

z dopasowanym stolikiem nocnym w sypialni. Nie było tego wiele, zresztą był to układ tymczasowy. Jakoś nie przyszło Martinowi do głowy, że ta prowizorka trwa już cztery lata.

105

Martin nie pił wiele, dziś miał jednak ochotę na whisky z lodem.

Dla konwenansu wyciągnął w stronę Denise butelkę ze szkocką, ale

jak się spodziewał, jedynie pokręciła głową. Piła wino i przy sporadycznych okazjach gin z tonikiem, a już nigdy w czasie dyżuru. Zamiast

alkoholu nalała sobie wysoką szklankę soku pomarańczowego wyjętego

z lodówki.

Wróciła do saloniku i słuchała paplaniny Martina, mając nadzieję,

że wkrótce będzie miał dosyć. Nie interesowała jej rozmowa o po-

szukiwaniu zaginionych mózgow. Wciąż miała w uszach jego uczuciowe

wyznanie. Podniecała ją możliwość, że mówił serio; pozwalało to

przyznać się przed samą sobą do własnych uczuć.

- Życie potrafi być zdumiewające - mówił Martin. - Potrafi się

niesamowicie odmienić w ciągu jednego dnia.

- O czym mówisz? - spytała Denise, mając nadzieję, że chodzi

mu o ich stosunek.

- Jeszcze wczoraj nie miałem pojęcia, że możemy być tak blisko

stworzenia programu odczytującego radiogramy. Jeśli tak dalej...

Zdesperowana wstała, pociągnęła go za sobą i zaczęła wyjmować mu

ze spodni poły koszuli, mówiąc, że powinien się odprężyć i zapomnieć na razie o szpitalu.

Kokieteryjnie spojrzała z dołu w jego zamyślane oblicze, by cokolwiek miało stać się dalej, nie wypadło to niezręcznie.

Martin przyznał, iż jest spięty, i powiedział, że poczuje się lepiej, jeśli weźmie szybko prysznic.

Niezupełnie o to jej chodziło, ale zachęcił

ją, by dotrzymała mu towarzystwa. Przyglądała mu się przez szklaną taflę, matową z jednej, a rżniętą z drugiej strony. Rozmazany obraz skręcającego się pod strumieniem wody nagiego ciała Martina był poprzelamywany w osobliwie erotyczny sposób.

Denise popijała sok pomarańczowy, podczas gdy zza szklanej tafli

Martin usiłował, mimo szumu wody, ciągnąć rozmowę. Nie słyszała

ani słowa i wcale jej to nie przeszkadzało. W tej chwili wolą patrzeć, niż słuchać. Wzbierała w niej czułość, wypełniając ją swym ciepłem.

Wreszcie Martin zakręcił kurki i, chwytając ręcznik, wyszedł spod

prysznicza. Ku niezadowoleniu Denise ciągle mówił o komputerach

i lekarzach. Zirytowana wyrwała mu ręcznik i zaczęła wycierać plecy.

Kiedy skończyła, odwróciła Martina do siebie.

- Zrób mi tę łaskę i zamknij się - powiedziała, jak gdyby była

zezłoszczona.

Chwyliła go za rękę i wyciągnęła za sobą z łazienki. Zaskoczony

jej nagłym wybuchem Philips dał się powlec w ciemnościach do łóżka.

Na tle pełnego widoku na rzekę i spinający ją dramatycznie most

Denise zarzuciła mu ramiona na szyję i namiętnie pocałowała.

106

Zareagował natychmiast. Nim jednak zdążył ją choćby rozebrać,

jej komunikator wypełnił pokój natarczywym buczeniem. Przez chwilę

tulili się do siebie, odwlekając nieuniknione, ciesząc się swą bliskością.

Wiedzieli bez potrzeby mówienia o tym, że ich związek osiągnął nową

głębię.

Była 2.40 w nocy, gdy karetka pogotowia miejskiego podjechała pod izbę przyjęć Szpitala Klinicznego. Stały już przed nim dwie takie same karetki i nowo przybyła wpasowała się pomiędzy nie, opierając się gumową nakładką zderzaka o słupek. Silnik zaparaskał i zgasł, nim jeszcze kierowca i pasażer wysiedli z samochodu. Wtuliwszy głowy w ramiona przed zacinającym równo kwietniowym deszczem, podbiegli do rampy przed wejściem i wskoczyli na nią. Szczuplejszy z dwóch mężczyzn otworzył tylne drzwi karetki. Drugi, solidnie umięśniony, wyciągnął ze środka pusty wózek noszowy. To, że nie wieźli żadnego chorego, było dość dziwne. Choć dla kogoś, kto by wiedział, że przyjechali po pacjenta, byłoby to mniej osobliwe.

Obydwaj mężczyźni podnieśli nosze za końce i ich podwozie wysunęło się jak w desce do prasowania. W jednej chwili nosze zamieniły się w wąski, lecz wygodny wózek. Mężczyźni przeprowadzili wózek przez automatycznie rozsuwające się drzwi izby przyjęć i nie rozglądając się na boki, skręcili w główny korytarz. Windą wjechali do zachodniego skrzydła kliniki neurologii na czternastym piętrze.

Pełniło tu dyżur pięć pielęgniarek, w tym dwie dyplomowane, lecz cztery z nich właśnie miały przerwę i na oddziale znajdowała się jedynie pielęgniarka dyplomowana, pani Claudine Arnette. Właśnie jej szczuplejszy z mężczyzn przedstawił dokumenty przeniesienia pacjentki. Opiewały one na przewiezienie jej do izolatki w Centrum Medycznym Nowego Jorku, gdzie miał prawo kierować ją lekarz, który się nią opiekował.

Siostra Arnette przejrzała papiery, zaklęła pod nosem, ponieważ

właśnie > skończyła papierkową robotę z przyjęciami, i podpisała formularz. Poprosiła Marię Gonzales o zaprowadzenie noszowych do sali 1420 i wróciła do sprawdzania apteczki z narkotykami przed przekazaniem dyżuru. Nawet w zredukowanym nocnym oświetleniu zauważyła, że kierowca ma zdumiewająco zielone oczy.

Maria Gonzales otworzyła drzwi do sali 1420 i spróbowała obudzić Lynn Annę. Szło jej opornie. Wyjaśniła noszowym, że telefonicznie zlecono podanie pacjentce podwójnej dawki środka nasennego oraz fenobarbital ze względu na możliwość wystąpienia

107

napadu padaczkowego. Odpowiedzieli, że nie ma problemu, i podstawili nosze koło łóżka. Gładkimi, wyćwiczonymi ruchami, unieśli pacjentkę i ułożyli ją na kocach. Lynn Annę Lucas nawet się nie przebudziła.

Mężczyźni podziękowali Marii, która od razu zaczęła zmieniać pościel na łóżku. Wyjechali z wózkiem noszowym na korytarz. Siostra Arnette nawet nie podniosła wzroku, gdy minęli ją i skierowali się do windy.

Godzinę później karetka odjechała spod szpitala. Syrena ani obracające się światło nie było potrzebne. Karetka była pusta.

ROZDZIAŁ 8

Chwilę przedtem, nim rozdzwonił się budzik, Martin nacisnął

gałkę i leżał dalej w ciemności, wpatrując się w sufit. Jego organizm tak przywykł do wstawania o piątej dwadzieścia pięć, że rzadko

potrzebował wspomagania, bez względu na to, kiedy szedł spać.

Zebrał siły, poderwał się szybko i włożył strój do joggingu.

Nocny deszcz przesycał powietrze wilgocią. Pasma mgły wisiały nad mostem, wywołując wrażenie, że jego wsporniki podtrzymywane są przez obłoki oparu. Wilgoć tłumiła dźwięki tak, iż odgłosy porannego szczytu nie zakłócały myśli Martina, dotyczących przeważnie Denise.

Od lat nie czuł podniecenia wynikłego z romantycznej miłości.

Przez parę tygodni nawet nie uświadamiał sobie przyczyny swej bezsenności i nagłych zmian nastroju, w końcu jednak stwierdził, że dokładnie pamięta, co którego dnia Denise miała na sobie. Wreszcie z mieszaniną cynizmu i zachwytu zdał sobie sprawę, co przeżywa.

Cynizm pochodził z obserwacji kilku kolegów, którym również stuknęła czterdziątka i którzy robili z siebie idiotów, zakochawszy się w o wiele młodszych kobietach; a zachwyt z samego ich stosunku. Denise

Sanger nie była dla niego jedynie ciałem, które wykorzystywał dla zaprzeczenia nieodwracalności czasu. Jej osobowość stanowiła zachwycającą kombinację kapryśnej żywości umysłu i przenikliwej inteligencji. Fakt, że na dodatek była piękna, stanowił jakby polewę na cięcie. Musiał przyznać, że nie tylko za nią szaleje, ale też uzależnił się od niej jako ucieczki od samospełniającego się proroctwa, którym stało się jego życie.

Kiedy Martin przebiegł dwie i pół mili, zawrócił. Po drodze spotykał teraz więcej amatorów joggingu, których część była mu znajoma, podobnie jednak jak oni udawał, że nie zwraca na nich

109

uwagi. Jego oddech stał się trochę bardziej nierówny, udało mu się jednak utrzymać stałe tempo przez całą drogę z powrotem.

Philips miał świadomość, że bez względu na swoją miłość do medycyny wykorzystywał ją jako pretekst do niepoświęcania większej uwagi innym aspektom życia. Wstrząs, jaki przeżył, gdy odeszła od niego żona, był tak wielki, że nie mógł się co do tego dłużej oszukiwać. Co powinien z tym zrobić, to była zupełnie inna sprawa.

Potencjalnym ratunkiem stały się badania naukowe. Rozszerzył je, nie wycofując się z codziennych rutynowych obowiązków, mając nadzieję, że w końcu uda mu się zyskać trochę swobody. Nie chciał porzucić medycyny klinicznej, jedynie rozluźnić jej duszący uścisk.

Teraz, gdy pojawiła się Denise, był na to zdecydowany jeszcze bardziej niż przedtem. Poprzysiągł sobie, że nie popełni powtórnie tego samego błędu. Jeśli ich związek się sprawdzi, Denise zostanie jego żoną

w pełnym sensie tego słowa. Musiał jednak w tym celu odnieść sukces na polu naukowym.

O siódmej piętnaście, wykąpany i ogolony, znalazł się przed drzwiami swego gabinetu. Po wejściu zatrzymał się zaskoczony. Po nocy gabinet zaczął przypominać składowisko starych klisz rentgenowskich. Z typową dla siebie sprawnością Randy Jacobs przetransportował do niego większość zdjęć, o które prosił. Chwiejna sterta kopert z dłuższej listy piętrzyła się ryzykownie koło stolika komputera, te

z drugiej, krótszej, złożone były koło alternatora. Zdjęcia w projekcji bocznej z kopert z drugiej listy zostały już do niego włożone.

Odczuwając nowy przypływ entuzjazmu, Philips zasiadł przed alternatorem i od razu zaczął szukać podobnych zmian patologicznych jak w przypadku Marino, Lucas i McCarthy. Przejrzał mniej więcej połowę zdjęć, kiedy zjawiała się Denise.

Wyglądała na wyczerpaną. Jej zwykle lśniące włosy były przetłuszczone, a na bladej twarzy malowały się ciemne kręgi pod oczyma.

Obdarzyła go krótkim uściskiem i usiadła koło niego. Zauważywszy jej bladość spytał, czy nie położyłaby się na parogodzinną drzemkę.

Zastąpiłby ją w sali angiografii. Oczywiście chodziło mu o to, że nie chciał się dalej kryć z ich związkiem.

- Poczekaj - powiedziała Denise. - Żadnych przywilejów dla kochanki szefa. Dziś moja kolej na przeprowadzenie angiografii i stanę przy aparacie bez względu na to, czy spałam, czy nie.

Martin uświadomił sobie, że popełnił błąd. Nie było żadnych szans, by Denise podchodziła do swej pracy w inny niż profesjonalny sposób. Uśmiechnął się i poklepał jej dłoń, stwierdzając, że jest zadowolony z jej postawy.

110

Częściowo udobruchana, powiedziała:

- Wskoczę się tylko wykapać. Wracam za pół godziny.

Philips przypatrzył się jej, gdy wychodziła, po czym odwrócił się

z powrotem do alternatora. Po drodze jego spojrzenie prześliznęło się po biurku i odnotowało nowy element wśród panującego na nim

chaosu. Podeszedł do niego i znalazł dwie koperty z historiami choroby oraz notkę od Randy'ego, głoszącą jedynie, że resztę kopert ze

zdjęciami wyciągnie tego wieczora. Historie choroby należały do

Katherine Collins i Ellen McCarthy.

Philips przeniósł je na stolik przed przeglądarką. Najpierw otworzył

kartę Katherine. Odsianie podstawowych informacji zajęło mu jedynie

parę minut: Katherine Collins miała dwadzieścia jeden lat, była biała.

Stwierdzono u niej liczne odchylenia od normy w badaniach neurologicznych, nie postawiono jednak pewnego rozpoznania. W diagnostyce różnicowej brano pod uwagę stwardnienie rozsiane.

Philips przeczytał uważnie całą kartę. Dotarłszy do końca, stwierdził, że notatki z wizyt oraz wyniki badań laboratoryjnych urywały się miesiąc wcześniej. Do tego czasu wpisy były coraz częstsze, a niektóre z nich sugerowały, że należy się spodziewać wizyt kontrolnych.

Najwidoczniej w ogóle się na nie nie zjawiała.

Następnie Philips przeczytał zdecydowanie chudsza kartę Ellen

McCarthy. Była to dwudziestojednoletnia dziewczyna, której historia

choroby obejmowała dwa napady drgawkowe. Była w trakcie diag-

nozowania, kiedy dotyczące jej wpisy raptownie się urwały. Miało to

miejsce dwa miesiące temu. Philips znalazł nawet notatkę, że pacjentka została skierowana na następny tydzień na badanie elektroencefalo-graficzne włącznie z zapisem w czasie snu. Nigdy nie zostało wykonane.

Diagnostyka nie została zakończona, nie odnotowano również, co

zrozumiałe, diagnozy różnicowej.

Zjawiała się Helen ze zwykłym bagażem trosk, nim je jednak zwała

na barki Martina, obdarzyła go filiżanką kawy i pączkiem, które

przyniosła z "Orzechów Do Udławienia". Dzwonił znów Ferguson, kategorycznie domagając się usunięcia zapasów z magazynku, odgrażał

się, że inaczej wszystko zostanie wywalone na ulicę. Helen przerwała, czekając na reakcję Martina.

Martin nie miał pojęcia, co zrobić ze sprzętem. Na oddziale, i tak

mieli tylko połowę potrzebnego im miejsca. W końcu, by przynajmniej

na razie pozbyć się problemu, kazał przenieść wszystko do jego

gabinetu i złożyć pod ścianą. Powiedział, że do końca tygodnia coś

wymyśli.

Usatysfakcjonowana jego decyzją Helen wróciła do sprawy

111

pragnących się pobrać techników. Philips polecił jej podzucić ten kłopot Robbinsowi.- Helen cierpliwie wyjaśniła mu, że to właśnie Robbins przedstawił jej tę sprawę, by Martin z nią sobie radził.

- A niech to szlak - zgrzytnął zębami Martin.

Nie mógł wykonać naprawdę żadnego posunięcia. Było za późno na przeszkolenie nowych techników przed ich odejściem. Gdyby ich wywalił, miałby kłopoty ze znalezieniem zastępców, podczas gdy tamci bez kłopotów dostaliby nową pracę.

- Dowiedz się dokładnie, na jak długo planują swój wyjazd - powiedział, starając się ukryć desperację. Sam od dwóch lat nie brał urlopu.

Helen odwróciła kartkę notatnika i powiedziała, że Cornelia Rogers, maszynistka z opisowni, zadzwoniła, że jest chora, już ósmy raz w tym miesiącu. Przez pięć miesięcy, odkąd pracowała na neuroradiologii, chorowała przynajmniej pięć dni w miesiącu. Helen spytała, co Philips chce, by w tej sprawie zrobić.

Philips miałby ochotę stłuc dziewczynę na kwaśne jabłko, poćwiartować i wrzucić do East River.

- A co ty byś zrobiła? - spytał Helen.

- Uważam, że powinna dostać upomnienie.

- Świetnie. Załatw to.

Nim wyszła, Helen uraczyła go jeszcze jedną wiadomością: o pierwszej miał mieć wykład o tomografii komputerowej w nowej grupie

studenckiej. Miała już zamknąć drzwi, gdy Philips zatrzymał ją.

- Słuchaj, zrób coś dla mnie. Wczoraj została przyjęta pacjentka,

nazywa się Lynn Annę Lucas. Dopilnuj, by wpisano ją na dzisiaj na

listę do TK i politomografii. Jak będą jakieś kłopoty, powiedz, że to moja osobista prośba. Powiedz też technikom, żeby zadzwonili po

mnie, nim zaczną, ją badać.

Helen zapisała sobie polecenie i wyszła. Martin wrócił do historii

chorób. Zachęcające było, że u obydwu pacjentek stwierdzono objawy

schorzeń neurologicznych, zwłaszcza to, iż u Katherine Collins brano

pod uwagę możliwość występowania stwardnienia rozsianego. Wróciw-

szy do przypadku Ellen McCarthy, Philips sprawdził, jak często

w przebiegu stwardnienia rozsianego zdarzały się napady drgawkowe.

Mniej niż w jednym procencie przypadków, ale zdarzały się. Dlaczego

jednak obydwie dziewczyny nie zgłosiły się na dalsze badania?

Przyszło mu do głowy, że trudno będzie wyciągnąć zdjęcia

dziewczyn, jeśli zostały gdzieś przeniesione, zwłaszcza gdyby zaczęły być leczone w innym mieście.

Na dole czekała na niego Denise. Wzięła prysznic, umyła włosy

i przebrała się, co w cudowny sposób odmieniło jej wygląd w ciągu

112

niecałych trzydziestu minut. Nie wyglądała już na wykończoną, a znad

chirurgicznej maseczki jej oczy migotały jak zwykle. Martin miał

nieodpartą ochotę jej dotknąć, zamiast tego jedynie błędził wzrokiem

po jej sylwetce sekundę dłużej, niż przystało.

Przeprowadziła już wystarczająco dużo angiografii, by mógł pełnić

zaledwie rolę asystenta. W milczeniu z ręcznie wprowadziła cewnik,

wsuwając go do tętnicy pacjenta. Philips przyglądał się temu uważnie, gotów w razie potrzeby służyć radą. Potrzeby nie było.

Pacjentem był ten sam Harold Schiller, któremu poprzedniego dnia robiono tomografię. Tak jak się domyślał, Mannerheim kazał u niego przeprowadzić angiografię, prawdopodobnie w ramach przygotowania do operacji, choć przypadek był nieoperacyjny.

Godzinę później praktycznie skończyli robotę.

- Mówię ci - powiedział Martin do Denise - robisz się lepsza niż ja, choć bierzesz udział w angiografiach dopiero parę tygodni.

Denise zarumieniła się, Martin wiedział jednak, że jest zadowolona.

Pozostawił jej dokończenie badania i powiedział, by brzęknęła po niego, kiedy przygotują się do następnego. Chciał skończyć przegląd

klisz na alternatorze i zacząć przepuszczać stare zdjęcia przez aparat Michaela. Obliczył, że jeśli będzie pozwalał komputerowi czytać sto

pięćdziesiąt klisz dziennie, w ciągu półtora miesiąca upora się z pierwotną wersją listy. Pomyślał również, że w miarę posuwania się pracy

będzie podawał Michaelsowi ewentualne nieścisłości, by ten mógł

doszlifować program. Gdyby wszystko się powiodło, mogliby zaskoczyć

niczego nieświadomy lekarski światek już w lipcu.

Gdy jednak minął zakręt korytarza przed swoim gabinetem,

okazało się, że czatuje tam już na niego Helen ze złymi wieściami. Nie powiodło się jej z żadnym z jego poleceń. Lynn Annę Lucas nie mogła

mieć zrobionych ani zdjęć, ani TK, ponieważ została przeniesiona do

Centrum Medycznego Nowego Jorku. Udało się jej za to ustalić, że

Katherine Collins i Ellen McCarthy były studentkami pierwszego

roku. Do Katherine Collins nie było jednak dojścia, ponieważ zniknęła miesiąc temu i ogłoszono ją za zaginioną, Ellen McCarthy zaś nie żyła.

Dwa miesiące temu zginęła w tragicznym wypadku samochodowym na West Side Highway.

- Jezu Chryste! - westchnął Philips. - Powiedz mi, że żartujesz.

- Niestety - odrzekła Helen. - Tyle udało mi się ustalić.

Philips z niedowierzaniem pokręcił głową. Był pewien, że uda mu się przebadać przynajmniej jedną z trzech pacjentek. Wszedł do gabinetu i utkwiał nie widzące spojrzenie w ścianie. Jego impulsywna natura nie przywykła do radzenia sobie z takimi przeciwnościami.

113

Rąbnął pięścią w otwartą dłoń, aż echo poniosło się po gabinecie.

Ruszył dookoła niego, starając się uporządkować myśli. Katherine Collins odpadała. Skoro policja nie mogła jej odnaleźć, tym bardziej on nie miał na to szans. McCarthy? Jeśli zginęła w wypadku, musiała być przewieziona do szpitala. Którego? A Lynn Annę... ona przynajmniej została przeniesiona do Centrum Medycznego, w którym miał dobrego przyjaciela. Dobrze, że nie była to klinika Bellevue; tam nie miałyby żadnych szans.

Philips polecił Helen dowiedzieć się, dlaczego Lynn Annę została przeniesiona do Centrum Medycznego Nowego Jorku, i połączyć go z pracującym tam doktorem Donaldem Travisem. Poprosił ją również, by sprawdziła, czy policji było wiadomo, dokąd zostało po wypadku zabrane ciało Ellen McCarthy.

Wciąż wytrącony z równowagi, usiłował się skupić na radiogramach w alternatorze. Na żadnym z nich nie znalazł szukanych zmian zacienienia. Gdy wyszedł do sekretariatu, okazało się, że Helen

ma dla niego dla odmiany trochę dobrych wiadomości. Doktor

Travis był zajęty, ale obiecał, że oddzwoni. Niewiele się dowiedziała, jeśli chodziło o Lynn Anne, ponieważ pielęgniarka z nocnej zmiany

zeszła o siódmej z dyżuru i była nieuchwytna. Jedyne, co udało się jej ustalić, to to, iż po wypadku Ellen McCarthy została przewieziona do ich kliniki.

Nim Philips zdążył ją poprosić, by szła dalej tym śladem, zjawił się konserwator z wielkim wózkiem wypełnionym pod wierzch pudłami, papierem i innym barachłem. Bez słowa wepchnął go do gabinetu Philipsa i zaczął rozładowywać.

- Co jest, do cholery? - spytał Philips.

- To te zapasy z magazynku, które pan kazał tu przewieźć, doktorze - wyjaśniła Helen.

- Jasny gwint - rzucił Philips.

Konserwator dalej rozładowywał wózek. Martin miał niemiłe uczucie, że wypadki zaczynają wymykać się spod jego kontroli. Usiadł wśród bałaganu i zadzwonił do rejestracji izby przyjęć. Jego nastrój pogarszał się coraz bardziej, gdy w nieskończoność nikt nie odpowiadał na telefon.

- Masz chwilę czasu? - spytał William Michaels, opierając się o ościeżnicę otwartych drzwi. Jego pogodny uśmiech ostro kontrastował z marszem Martina. Z niedowierzaniem w oczach obrzucił wzrokiem gabinet.

- Nawet nie pytaj - powiedział Martin, przewidując jakiś cięty komentarz.

- Mój Boże - rzekł Michaels. - Albo się pracuje, albo się robi

bajzel.

W tym momencie wreszcie ktoś podniósł słuchawkę. Okazało się,

że to świeżo przyjęta do pracy rejestratorka, która natychmiast

przekazała słuchawkę, ponieważ i tak zajmowała się tylko przyjęciami, a nie wypisami czy przeniesieniami. W końcu dowiedział się, że osoba, z którą powinien rozmawiać, wyszła na kawę. Odwiesił słuchawkę,

wściekły na biurokrację, i rzucił:

- Dlaczego nie zostałem hydraulikiem?

Michaels roześmiał się i zapytał Philipa, jak się sprawuje ich

program. Martin odpowiedział, że kazał wyciągnąć większość radio-

gramów i pokazał je. Stwierdził, że być może uda mu się przepuścić je przez maszynę w półtora miesiąca.

- Wyśmienicie - powiedział Michaels. - Im szybciej, tym lepiej,

bo okazuje się, że nowy system gromadzenia i kojarzenia danych

funkcjonuje lepiej, niż się spodziewaliśmy. Nim skończysz, przygotu-

jemy nowy procesor, pozbawiony wad prototypu. Nie masz nawet

pojęcia, jaki będzie doskonały.

- Wręcz przeciwnie - powiedział Martin, wstając zza biurka. -

Mam zupełnie niezłe pojęcie. Pozwól, że ci pokażę, co znalazł program.

Pozdejmował zdjęcia z negatoskopu i przyczepił klisze Lisy Marino,

Lynn Annę Lucas, Katherine Collins i Ellen McCarthy. Za pomocą

palca wskazującego i kartki z wyciętym otworkiem pokazał Michael-

sowi zmiany zacienienia.

- Dla mnie wyglądają identycznie jak reszta - przyznał Michaels.

- O to właśnie chodzi - powiedział Philips. - Ten program jest aż tak dobry. - Rozmowa z Michealsem wystarczyła, by na nowo rozbudzić jego entuzjazm.

W tej właśnie chwili zadzwonił telefon. Philips odebrał. Okazało się, że dzwoni Travis z Centrum Medycznego Nowego Jorku. Martin powiedział, że chodzi mu o pacjentkę nazwiskiem Lynn Annę Lucas,

starannie jednak ominął swe radiologiczne ustalenia. Zapytał Travisa, czy dałby radę zlecić przeprowadzenie u Lynn Annę badania TK

i paru celowanych zdjęć czaszki. Travis wyraził zgodę i rozłączył się.

Telefon natychmiast zadzwonił ponownie. Helen przekazała Martinowi, że Denise jest gotowa do następnej angiografii.

- I tak miałem już sobie iść - powiedział Michaels. - Powodzenia ze zdjęciami. Pamiętaj, wszystko zależy teraz od ciebie. Potrzebujemy informacji tak szybko, jak tylko będziesz w stanie nam je przekazywać.

Philips zdjął kaftan z haczyka i wyszedł za Michaelsem z gabinetu.

ROZDZIAŁ 9

Bateria świetlówek znajdująca się bezpośrednio nad Kristin Lindquist funkcjonowała wadliwie: migotała z wielką częstością i bez przerwy bzyczała na wysoką nutę. Kristin usiłowała to ignorować, jednak bez powodzenia. Od samego rana nie czuła się dobrze;

przebudziła się z lekkim bólem głowy, a mrugające i brzęczące światło jedynie nasiliło tę dolegliwość. Ból głowy był teraz ciągły i tępy.

Zauważyła, że wysiłek fizyczny nie nasila go tak, jak to jej zwykle się zdarzało.

Spojrzała na nagą modelkę na środku pracowni, a następnie na

swój szkic. Sprawiał wrażenie płaskiego, dwuwymiarowego i pozbawionego uczucia. Zwykle lubiła zajęcia z rysunku, tym razem jednak nie miała do niego serca, co odbijało się na jej pracy.

Gdyby tylko to światło przestało migotać. Doprowadzało ją to do szału. Lewą dłonią osłoniła oczy. Już lepiej. Węgłem zaczęła kreślić podium, na którym siedziała modelka. Wyszła od linii pionowej, zjeżdżając prosto w dół arkusza. Gdy podniosła węgiel, zdziwiła się, że pod spodem nie widać było żadnej kreski. Powiódłszy wzrokiem wzdłuż linii, dostrzegła jedynie wgłębienie w papierze. Pomyślała, że trafił się jej wadliwy węgiel, odwróciła się nieco bokiem, by wypróbować go w kącie arkusza. Obracając się, kącikiem oka na skraju

pola widzenia dostrzegła nakreśloną linię. Wróciła do niej wzrokiem - linia zniknęła. Odwróciwszy lekko głowę, sprawiła, że pojawiła się z powrotem.

Musiała to jeszcze parokrotnie powtórzyć, by dotarło do niej, że

nie ma halucynacji. Jej oko nie było w stanie postrzec linii pionowej, gdy znajdowała się ona na wprost niej. Linia pojawiała się, gdy tylko obracała głowę w dowolną stronę. Niesamowite!

116

Słyszała o bólach migrenowych i choć nigdy nie miała migreny,

pomyślała, że właśnie dostała jej ataku. Odłożyła węgiel, uporząd-

kowała swoje przybory i mówiąc nauczycielce rysunku, iż nie czuje się dobrze, zwolniła się z reszty zajęć.

Po drodze przez kampus stwierdziła u siebie takie same zawroty

głowy, jakie dolegały jej po drodze na zajęcia. Wyglądało to tak, jak gdyby cały świat nagle obracał się o ułamek stopnia po to, by

pozbawić ją poczucia równowagi. Towarzyszył temu nieprzyjemny,

choć znajomy odór oraz nieznaczne dzwonienie w uszach.

Mieszkanie Kristin znajdowało się na trzecim piętrze domu z kwaterami do wynajęcia, bez windy, o przecznicy od kampusu.

Dzieliła je z koleżanką, Carol Danforth. Przy wejściu po schodach poczuła taki ciężar w nogach, że zaczęła się zastanawiać, czy nie oznacza to początku grypy.

Mieszkanie było puste. Carol niewątpliwie była na zajęciach.

Z jednej strony dobrze, ponieważ potrzebowała nie zakłóconego odpoczynku, z drugiej jednak przydałoby się jej trochę współczucia Carol. Wzięła dwie aspiryny, zdjęła ubranie, wśliznęła się do łóżka i naciągnęła na głowę zimną pościel. Prawie natychmiast poczuła się lepiej. Ulga była tak nagła, że bała się w ogóle poruszyć, by objawy nie wróciły.

Gdy zadzwonił telefon, ucieszyła się, ponieważ miała ochotę z kimś porozmawiać. Nie był to jednak nikt z jej przyjaciół. Dzwoniono z przychodni ginekologicznej z informacją, że jej rozmaz Papanicolaou okazał się atypowy.

Kristin słuchała, usiłując zachować spokój. Powiedziano jej, że nietypowość rozmazów Papanicolaou nie jest niczym nadzwyczajnym, zwłaszcza w połączeniu z faktem, iż miała niewielką nadżerkę szyjki macicy, lecz dla pewności powinna się zgłosić tego popołudnia do przychodni w celu powtórzenia rozmazu.

Usiłowała protestować, powołując się na swoją migrenę. W przychodni ktoś jednak wykazał się uporem, twierdząc, że im szybciej, tym lepiej. Mieli dziś po południu okienko, dzięki czemu mogła błyskawicznie zostać przyjęta.

Niechętnie wyraziła zgodę. Może rzeczywiście dolegało jej coś poważnego; w takim przypadku winna zachowywać się odpowiedzial-

nie. Bała się jednak iść sama. Usiłowała dodzwonić się do swojego chłopaka, Thomasa, ale oczywiście nie było go w domu. Wiedziała, że jej odczucia są irracjonalne, nie mogła jednak pozbyć się uczucia, że w przychodni ginekologicznej czyha na nią coś złego.

117

Przed wejściem na oddział patologii Martin zaczerpnął głęboko oddechu. Gdy był jeszcze studentem, zajęcia z patomorfologii uważał za najniewdzięczniejsze ze wszystkich. Jego pierwsza sekcja udowodniła, że nie jest przygotowany do takich przejść. Założył, że będzie przypominać zajęcia z anatomii prawidłowej na pierwszym roku, na których preparowane, zakonserwowane w formalinie zwłoki były tyleż podobne do ludzi, co drewniane figury. Woń była nieprzyjemna, pochodziła jednak przynajmniej od środka chemicznego. Poza tym napięcie na anatomii likwidowały nieustanne żarty i wygłupy. Na patologii było zupełnie inaczej.

Sekcji poddawano dziesięcioletniego chłopca, który zmarł na białaczkę. Jego ciało było białe, szczupłe i aż nazbyt obdarzone pozorami życia. Gdy otworzono je brutalnie i opróżniono z trzewi jak rybę, kolana Martina stały się jak z waty, a obiad wezbrał w ustach. Udało mu się uniknąć wymiotów dzięki odwróceniu głowy, paliło go jednak w przełyku od soku żołądkowego. Wykładowca mamrotał bez ustanku, lecz do Martina nic z tego nie docierało. Wytrzymał do końca, jednak kosztem wielkich męczarni; jego serce wyrywało się do pozbawionego życia chłopca.

Philips pchnął drzwi do oddziału patologii. Było tu zupełnie

inaczej niż w klinice patomorfologii, w której miał zajęcia na studiach. Oddział przeniesiono do charakteryzującego się super-nowoczesnym wystrojem nowego gmachu akademii medycznej. Zamiast niewielkich, ponurych salek o wysokich sufitach, marmurowych podłogach, od których głośno odbijało się echo kroków, nowy oddział był czysty i przestronny. Przeważały biała politura i stal. Oddzielne sale zastąpione zostały przez wydzielone przegrodami wysokości ponad półtora metra części wspólnej hali. Ściany były pokryte kolorowymi reprodukcjami obrazów impresjonistów, przeważnie Moneta.

Sekretarka skierowała Martina do sali, na której doktor Jeffrey Reynolds nadzorował pracę stażystów. Martin miał nadzieję, że zastanie Jeffreya w jego gabinecie, sekretarka powiedziała mu jednak, iż może spokojnie iść na salę sekcyjną, ponieważ doktorowi Reynoldsowi nie będzie to przeszkadzało. Philips nie chciał tam iść nie ze względu na Jeffreya, lecz na siebie, mimo to jednak podążył za wyciągniętym palcem sekretarki.

Nie mógł się oszukiwać, że nie wie, czego się spodziewać. Zwłoki leżały na stole sekcyjnym jak rozplątane ciele. Sekcję dopiero co rozpoczęto od cięcia w kształcie litery "Y", schodzącego przez pierś do spojenia łonowego. Skórę i tkankę podskórną odłożono, ukazując

118

klatkę żebrową i narządy jamy brzusznej. W chwili wejścia Philipsa jeden ze stażystów głośno przecinał żebra.

Reynolds dostrzegł radiologa i podszedł do niego. W jednej ręce trzymał wielki przypominający rzeźnicki nóż sekcyjny. Martin rzucał

spojrzenia po kątach sali, byle tylko nie patrzeć w stronę stołu.

Sala sekcyjna przypominała operacyjną. Miała nowoczesny wystrój,

wyłożona była płytkami, by można ją było w całości splukać.

Znajdowało się w niej pięć stołów ze stali. Na tylnej ścianie ciągnął się rząd kwadratowych drzwi do lodówek.

- Zdróweczko, Martin - powiedział Reynolds, wycierając dłonie

w fartuch. - Szkoda tej Marino. Chciałbym ci pomóc, jak się da.

- Rozumiem, dzięki za chęci. Ponieważ sekcji miało nie być,

zdecydowałem się zrobić tomografię na zwłokach. Coś niesamowitego.

Wiesz, co się okazało?

Reynolds pokręcił głową. /

- Nie było mózgu - powiedział Philips. - Ktoś go wyjął i zszył

skórę z powrotem tak, że praktycznie nie było tego widać.

- Nie mów!

- Tak - rzekł dobitnie Philips.

- Boże! Wyobrażasz sobie, jaka wybuchłaby afera, gdyby to

zwęszyła prasa albo, odpukać, ktoś z rodziny? Bardzo stanowczo nie

zgadzali się na sekcję.

- Dlatego właśnie chciałem z tobą porozmawiać - powiedział

Philips.

Na chwilę zapadła cisza.

- Zaczekaj chwilę - powiedział Reynolds. - Nie sądzisz chyba,

że patologia ma z tym coś wspólnego?

- Nie wiem - przyznał Philips.

Twarz Reynoldsa pokryła się rumieńcem, na jego czole wystąpiły

żyły.

- Cóż, mogę cię o tym zapewnić. Ciało w ogóle tu nie dotarło.

Trafiło prosto do kostnicy.

- A na neurochirurgii? - spytał Philips.

- Hm, chłopaki Mannerheima mają świra, ale nie przypuszczam, żeby aż takiego.

Martin wzruszył ramionami. Powiedział Reynoldsowi, że naprawdę zjawił się po to, by zapytać o niejaką Ellen McCarthy, która została około dwóch miesięcy temu przywieziona do szpitala martwa. Chciał wiedzieć, czy poddano ją sekcji.

Reynolds z trzaskiem ściągnął rękawiczki i bokiem pchnął wahadłowe drzwi wyjściowe. Z komputerowego terminalu oddziału połączył

119

się z głównym komputerem i wprowadził do niego nazwisko Ellen McCarthy oraz numer jej karty. Na ekranie natychmiast pojawiła się data i numer sekcji oraz przyczyna zgonu: uraz głowy powodujący masywne krwawienie śródmózgowe z wkliniowaniem pnia mózgu w otwór wielki. Reynolds szybko odnalazł kopię protokołu sekcji i wręczył ją Martinowi.

- Badaliście mózg? - spytał Philips.

- Oczywiście! - odparł Reynolds i wyciągnął Martinowi protokół z ręki. - Czy myślisz, że moglibyśmy tego nie zrobić przy urazie głowy? - Błyskawicznie przejrzał kartki kopii.

Philips przypatrzył się mu. Od czasów gdy wspólnie wykonywali

ćwiczenia na zajęciach na studiach, Reynoldsowi przybyło dwadzieścia kilogramów wagi, a brzeg kołnierzyka na karku zakrywał mu fałd tłuszczu. Policzki obwisły, a tuż pod skórą widać było .delikatny rysunek rozszerzonych naczyń włoskowatych.

- Przed wypadkiem mogła mieć napad - powiedział Reynolds, nie odrywając wzroku od kartek.

- Można to jakoś ustalić?

- Miała kilkakrotnie przygryziony język. Nie daje to pewności, sugeruje jednak, że tak właśnie było...

Na Philipsie wywarło to wrażenie. Wiedział, że na takie drobiazgi zwracali uwagę przeważnie jedynie lekarze z zakładów medycyny sądowej.

- Tu jest ustęp dotyczący mózgu - powiedział Reynolds. -

Masywny krwotok. Ale tu masz coś interesującego. Na przekroju kory płata skroniowego widać izolowane ogniska martwicy komórek nerwowych. Bardzo niewielki odczyn glejowy. Nie wysunięto żadnej diagnozy.

- A w płacie potylicznym? - spytał Philips. - Na radiogramach znalazłem w nim niewielkie odchylenia od normy.

- Pobrano jeden wycinek - powiedział Reynolds. - Był bez zmian patologicznych.

- Cholera, tylko jeden. Szkoda, że nie więcej.

- Chyba masz szczęście. Jest tu notatka, że mózg został utrwalony.

Poczekaj minutę.

Reynolds podszedł do katalogu i wyciągnął szafkę z literą "M".

Philips poczuł przypływ nadziei.

- Hmm, został utrwalony i zakonserwowany, ale my go nie mamy. Prosiła o niego neurochirurgia, więc pewnie jest w tamtejszym laboratorium.

Philips wpadł na chwilę na oddział, gdzie właśnie Denise bezbłędnie
120

przeprowadzała angiografię selektywną, po czym poszedł na chirurgię.

Wymijając wózki z pacjentami na sali przedoperacyjnej, podszedł do biurka sióstr.

- Szukam Mannerheima - powiedział jasnowłosej pielęgniarce. - Macie pojęcie, kiedy skończy operację?

- Wiem dokładnie.

- A powiesz mi?

- Dwadzieścia minut temu. - Pozostałe dwie pielęgniarce roześmiały się. Najwidoczniej na salach operacyjnych wszystko szło bez kłopotów i nic nie mąciło, ich dobrych humorów. - Asystenci szyją pacjenta. Mannerheim jest w gabinecie lekarzy.

Philips znalazł Mannerheima odbierającego hołdy. Dwóch, goszczących w szpitalu, japońskich lekarzy stało przed nim uśmiechniętych i w regularnych odstępach kłaniali mu się. W środku znajdowało się jeszcze pięciu popijających kawę lekarzy. Mannerheim trzymał papierosa w tej samej dłoni co filiżankę. Rok temu rzucił palenie, co znaczyło, że nie kupował papierosów, lecz wydębiał je od

wszystkich naokoło.

- I wiecie, co powiedziałem temu cwanemu najmimordzie? -

spytał Mannerheim z dramatycznym gestem wolnej ręki. - Powiedziałem, że oczywiście odgrywam Boga, a jak myśli, kto się pieprzy w ich mózgach, śmieciarz?

Lekarze z aprobatą ryknęli śmiechem i zaczęli się rozchodzić.

Martin podszedł do Mannerheima, który spojrzał nań z góry.

- No no, nasz pomocny radiolog.

- Robimy, co możemy - powiedział uprzejmie Martin.

- Hmm, muszę stwierdzić, że doceniam pański wczorajszy telefoniczny żarcik.

- To nie miał być żart - powiedział Philips. - Przykro mi, że

mój komentarz okazał się nie na miejscu, doktorze. Nie wiedziałem, iż Lisa Marino nie żyje, a stwierdziłem na jej radiogramach nieznaczne

odchylenia od normy.

- Powinniście oceniać zdjęcia przed zgonem pacjenta - powiedział złośliwie Mannerheim.

- Proszę posłuchać, ciekawi mnie, dlaczego usunięto mózg ze zwłok Lisy Marino.

Mannerheim wybałuszył oczy. Jego twarz spąsowiała. Ujął Martina za ramię i odprowadził od dwóch Japończyków.

- Pozwoli pan, doktorze, że coś panu powiem - warknął. -

Doszło do mojej wiadomości, iż zeszłej nocy robił pan bez upoważnienia tomografię zwłokom mojej pacjentki. I szczerze się panu

przyznam, nie lubię, jak się ktoś z nimi pieprzy. Zwłaszcza z tymi przypadkami, w których były komplikacje.

- Proszę teraz mnie posłuchać - powiedział Martin, uwalniając ramię z uścisku Mannerheima. - Interesują mnie jedynie patologiczne zmiany w obrazie radiologicznym, których rozszyfrowanie może stanowić wielki przełom w nauce. Nie obchodzą mnie pańskie komplikacje.

- I bardzo dobrze. Jeśli ktoś zrobił coś sprzecznego z przepisami z ciałem Lisy Marino, spadnie to na pańską głowę. Z tego, co wiadomo, jedynie pan wywoził jej zwłoki z kostnicy. Proszę o tym pamiętać. - Mannerheim pogroził palcem przed twarzą Philipsa. Nagła obawa, że istotnie może to zagrozić jego pozycji zawodowej, kazała Martinowi zawahać się. Choć nie miał najmniejszej ochoty, musiał jednak przyznać, że Mannerheim miał częściowo rację. Gdyby stało się rzeczą ogólnie wiadomą, iż w zwłokach Lisy Marino nie ma mózgu, na Martina spadłoby zadanie udowodnienia, że to nie jego dzieło. Jako jedyne go świadka swych poczynań miał Denise, z którą łączył go romans.

- No dobrze, zapomnijmy o Lisie Marino - rzekł Martin. -

Znalazłem inną pacjentkę z tym samym obrazem radiologicznym, niejaką Ellen McCarthy. Na nieszczęście zginęła w wypadku samochodowym, ale jej sekcję przeprowadzono w naszym szpitalu, a mózg przekazano oddziałowi neurochirurgii. Chciałbym, by mi go udostępniono.

- A ja chciałbym, by mi pan nie włąził w drogę. Ja pracuję

i rzeczywiście troszczę się o pacjentów, a nie wysiaduję po całych dniach na tyłku, gapiąc się na zdjęcia. - Odwrócił się i zaczął odchodzić.

Philips poczuł przypływ wściekłości. Chciał krzyknąć: "Ty arogancki prowincjonalny skurczybyku", ale nie ośmielił się. Tego właśnie oczekiwał po nim Mannerheim, może nawet chciał to usłyszeć. Wiedział

jednak, jaka jest achillesowa pięta neurochirurga. Wykorzystał ją, mówiąc cichym, wyrozumiałym tonem:

- Doktorze Mannerheim, potrzebny panu jest psychiatra.

Mannerheim obrócił się na pięcie, gotowy do bójki, Philips zniknął

już jednak za drzwiami. Dla Mannerheima psychiatria stanowiła

absolutną antytezę wszystkich reprezentowanych przez niego wartości,

stanowiła dla niego bagno przeintelektualizowanych, beztreściowych

pojęć. Stwierdzenie, że potrzebował psychiatry, było dla niego najgorszą obrażą. W ślepym gniewie wpadł przez drzwi do przebieralni, zdarł

zakrwawione obuwie operacyjne i rzucił je przez cały pokój. Buty

uderzyły w rząd szafek i wjechały pod umywalki.

122

Potem chwycił słuchawkę i zaczął wydzwaniać z pretensjami.

Najpierw zadzwonił do dyrektora szpitala, Stanleya Drake'a, potem

do ordynatora oddziału radiologii, doktora Harolda Goldblatta. W obu

przypadkach upierał się, że natychmiast trzeba coś zrobić z tym całym Philipsem. Jego rozmówcy wysłuchali go w milczeniu: Mannerheim

był osobą bardzo wiele znaczącą w szpitalnym świecie.

Philips nie należał do bardzo często denerwujących się osób, do

czasu jednak, gdy dotarł do drzwi swego gabinetu, wręcz kipiał

gniewem. Gdy się pojawił, Helen podniosła wzrok.

- Proszę pamiętać, doktorze, że za piętnaście minut ma pan wykład.

Philips wymamrotał coś pod nosem, mijając ją. Ku swemu zaskoczeniu w gabinecie zastał Denise, przeglądającą na alternatorze klisze Ellen McCarthy i Katherine Collins. Gdy wszedł, odwróciła się.

- Co powiedziałbyś na obiadzik, staruszk?

- Nie mam czasu na obiad - wypalił Philips, zwalając się w fotel.

- Jesteś w cudownym nastroju.

Philips oparł łokcie na biurku i ukrył twarz w dłoniach. Zapadło milczenie. Denise wstała i wyciągnęła klisze z aparatu.

- Przepraszam! - powiedział zza złożonych dłoni Martin. -

Miałem wyczerpujący poranek. Szpital jest w stanie wznieść niewiarygodne bariery przed wszelkimi próbami śmielszych badań. Być może natknąłem się na odkrycie o wielkim znaczeniu, ale wygląda na to, że wszyscy sprzysięgli się, by nie dać mi się nim poważniej zająć.

- Hegel napisał, że niczego wielkiego nie osiąga się bez pasji - powiedziała Denise z błyskiem w oku.

Na ostatnim roku zdawała egzamin kierunkowy z filozofii. Martina zachwyciała jej zdolność cytowania wielkich myślicieli.

Wreszcie oderwał dłonie od twarzy i uśmiechnął się.

- Przydałoby mi się więcej pasji wczorajszej nocy.

- W tym kontekście tobie pozostawiam interpretację słowa

"pasja". Chyba nie o to Heglowi chodziło. W każdym razie idę na obiad. Na pewno nie przyłączysz się do mnie?

- Nie ma szansy. Mam wykład dla studentów.

Denise ruszyła ku drzwiom.

- Przy okazji, przeglądałam historie chorób Katherine Collins

i Ellen McCarthy. Obydwie miały atypowe rozmazy Papanicolaou. -

Przystanęła w drzwiach.

123

- Wydawało mi się, że konsultacje ginekologiczne nie wykazały tam żadnych problemów - rzekł Philips.

- Wszystko było w normie poza atypowymi rozmazami. To znaczy, że nie były patologiczne w ścisłym słowa tego znaczeniu, odbiegały jednak od normy.

- Często się to zdarza?

- Nie, ale powinno się wykonywać następne badania aż do powrotu do normy. Nie znalazłam potwierdzenia, że tak się stało.

Zresztą i tak pewnie nie ma to znaczenia, tak tylko o tym wspomniałam. Hej!

Philips machnął jej ręką, nie wstawał jednak od biurka. Usiłował sobie przypomnieć kartę Lisy Marino. Zdawało mu się, że w niej również wspomniano o rozmazach Papanicolaou. Wychylił się na korytarz i ściągnął na siebie uwagę Helen.

- Przypomnij mi, żebym wpadł dziś po południu do przychodni ginekologicznej.

O 1.05 uzbrojony w kołonotatnik z nadrukiem Wykład inauguracyjny o TK Philips wkroczył do sali konferencyjnej im. Wałowskiego.

Wyglądem odbiegała ona całkowicie od utilitarnej i zatłoczonej,

z racji braku miejsca, reszty oddziału radiologii. W całości była wyłożona pluszem, sprawiając wrażenie raczej hollywoodzkiej sali projekcyjnej niż audytorium akademii medycznej. Obite miękkim sztruksem, ustawione w rzędy, fotele dawały nie zakłócony widok na ekran projekcyjny. Gdy Philips wszedł do środka, sala była prawie pełna. Położył kołonożnik na projektorze i wszedł na podium. Studenci szybko usiedli w fotelach, poświęcając mu całą uwagę. Philips przytłumił światła i wyświetlił pierwszy slajd. Wykład był opracowany do perfekcji. Martin wygłaszał go już wielokrotnie. Zaczynał się od tego, jak niejaki Godfrey Hornsfield z Anglii wpadł na pomysł badania tomograficznego, po czym następowało chronologiczne wyliczanie kolejnych osiągnięć na tym polu. Dokładnie wyjaśnił studentom, że choć przy badaniu używano lampy rentgenowskiej, jego wyniki stanowiły matematyczne przetworzenie danych uzyskanych przez komputer. Był zdania, że jeśli studenci zakarbują sobie tę główną informację, wykład spełni swój cel. Im dalej w głąb wywodów, tym bardziej myśli Martina błędziły.

Tak dobrze znał te zagadnienia, że było to bez znaczenia: Jego podziw dla ludzi, którzy wymyślili tomograf, był podbarwiony zazdrością.

Uświadomił sobie, że jeśli jego badania się powiodą i na niego padną

124

światła reflektorów naukowej sceny. To, czym się zajmował, mogło mieć nawet bardziej rewolucyjny wpływ na radiologię. Bez wątpienia dałoby mu to szansę na otrzymanie Nagrody Nobla.

W połowie zdania poświęconego możliwości wykrywania dzięki

tomografii guzów nowotworowych zabręczał komunikator Philipsa.

Włączył światła, przeprosił studentów i wyszedł do telefonu. Wiedział, że Helen nie zadzwoniłaby po niego, chyba żeby zaszło coś bardzo

ważnego. Telefonistka powiedziała mu jednak, że telefon był spoza

szpitala. Nim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, połączyła go z doktorem

Donaldem Travisem.

- Donald - powiedział Martin, osłaniając dłonią słuchawkę. -

Jestem w środku wykładu, czy mógłbyś zadzwonić później?

- Cholera, nie! - wykrzyknął Travis. - Zmarnowałem masę

czasu, starając się wyśledzić twoje tajemnicze przeniesienie w środku nocy.

- Nie znalazłeś Lynn Annę Lucas?

- Nie. W zeszłym tygodniu w ogóle nie było żadnych przeniesień

z Centrum Medycznego.

- To dziwne. Wyraźnie powiedziano mi, że przewieziono ją do

Centrum Medycznego Nowego Jorku. Przedzwonię na izbę, ale proszę

cię, sprawdź raz jeszcze.

Philips odwiesił słuchawkę, nie zdejmując z niej jeszcze przez

chwilę ręki. Poranie się z biurokracją było prawie równie nieprzyjemne jak szarpanina z Mannerheimem i jemu podobnymi. Po powrocie na

podium auli starał się nawiązać do przerwane go wątku wykładu, nie

udawało mu się jednak na nowo skupić. Pierwszy raz w karierze

wykładowcy skłamał, że pilnie go wezwano do wypadku, i przerwał

wykład.

Gdy wrócił do biura, natknął się na Helen, tłumaczącą się, iż

Travis upierał się, żeby go połączyć. Philips odrzekł, że nic się nie stało. Helen weszła za nim do gabinetu, recytując strumień informacji.

Powiadomiła go, że dwukrotnie dzwonił dyrektor szpitala, Stanley Drake, i prosił, żeby Martin się z nim skontaktował najszybciej, jak to możliwe. Dzwonił również doktor Robert McNeally z Houston zapytaniem, czy Philips zgodzi się przewodniczyć sekcji neuro-radiologicznej na dorocznej konferencji radiologów w Nowym Orleanie.

Helen powiedziała, że chciał mieć w ciągu tygodnia odpowiedź.

Zaczęła przechodzić do kolejnej sprawy, gdy Martin przerwał jej podniesieniem ręki.

- Na razie wystarczy - powiedział.

- To nie wszystko.

125

- Wiem, że nie. Nie ma temu końca.

Helen zaniemówiła.

- Zamierza pan zadzwonić do dyrektora Drake'a, doktorze?

- Nie. Niech pani przekreśli do niego, że dziś nie mam czasu i zadzwonię jutro.

Helen miała na tyle zdrowego rozsądku, że od razu zorientowała się, iż pora zostawić szefa samego.

Philips powiódł wzrokiem po swoim gabinecie, nie schodząc z progu. Uprzątnięto bałagan powstały po ściągnięciu starych radiogramów, na ich miejsce zaś pojawiły się angiogramy wykonane tego dnia. Przynajmniej jego technik przełożony, Kenneth Robbins, jakoś sobie ze wszystkim radził.

Praca pomagała Philipsowi wrócić do równowagi. Usiadł więc

przy mikrofonie i zaczął dyktować opisy. Doszedł do ostatniego

angiogramu, gdy dotarło do niego, że ktoś stał za jego plecami.

Odwrócił się, spodziewając się, iż to Denise, spojrział jednak w uśmiechniętą twarz dyrektora szpitala, Stanleya Drake'a.

Drakę przypominał Philipsowi gładkiego, dobrze ułożonego polityka. Zawsze wyglądał bardzo schludnie, nosił ciemnoniebieskie, prążkowane trzyczęściowe garnitury, złotą cebulę, do tego jedwabne krawaty ze spinkami sterczącymi horyzontalnie do nakrochmalonych białych koszul. Był jedyną znaną Philipsowi osobą, noszącą wielkie spinki do mankietów. W jakiś sposób dyrektorowi zawsze udawało się wyglądać na opalonego, nawet w deszczowy nowojorski kwiecień. "

Philips odwrócił się do angiogramu i skończył dyktować:

- Wnioski: badanie uwidocznilo u pacjenta duzych rozmiarow

naczyniak tętniczo-żylny w zwojach podstawnych lewej półkuli, którego naczynia zaopatrujące odchodzą od lewej tętnicy środkowej i tylnej

mózgu oraz lewej tętnicy naczyniówkowej, kropka. Koniec opisu.

Dziękuję.

Martin odsunął mikrofon i odwrócił się w stronę dyrektora.

Zirykowało go, że w szpitalu tak niewiele zważano na poczucie prywatności, iż wejście do czyjegoś gabinetu bez pukania było rzeczą normalną.

- Doktorze Philips, miło mi pana widzieć - powiedział uśmiechnięty Drake. - Jak się miewa żona?

Philips spojrział na niego przez chwilę, niepewny, czy się rozgniewać, czy roześmiać. W końcu wybierając drogę pośrednią powiedział

pewnym tonem:

- Rozwiodłem się trzy lata temu.

Drakę przełknął, jego uśmiech zastygł na chwilę. Zmienił temat,-

126

rozwodząc się nad tym, jak bardzo rada szpitala zadowolona jest z funkcjonowania oddziału neuroradiologii od nominacji Martina.

Później zapadła cisza.

Philips zadowalał się przyglądaniem się dyrektorowi. Wiedział, dlaczego Drake się tu zjawiał, i nie zamierzał ułatwiać mu zadania.

- Cóż - powiedział dyrektor, przybierając poważniejszy ton i ściągając niewielkie wargi - przyszedłem do pana porozmawiać o tym nieszczęsnym przypadku Marino, doktorze.

- Rzeczywiście? - rzekł Philips.

- Mam na myśli, że obszedł się pan niedelikatnie z jej zwłokami, poddając je badaniom radiologicznym bez upoważnienia i usprawiedliwienia wynikającego z obdukcji.

- Usunięto jej mózg! - podkreślił Philips. - Wykonanie radiogramów i wycięcie mózgu nie mieszczą się w tej samej kategorii.

- Tak, oczywiście. To, czy jest pan związany ze zniknięciem mózgu, nie ma w tej chwili znaczenia. Chodzi o to, że...

- Chwileczkę! - Philips wyprostował się w fotelu. - Chciałbym wyjaśnić coś raz na zawsze. Prawdą jest, że prześwietliłem zwłoki, lecz nie ja usunąłem mózg.

- Doktorze Philips, nie interesuje mnie, kto usunął mózg. Interesuje mnie tylko to, że go usunięto. Ponoszę odpowiedzialność przed szpitalem i jego obsadą, by nie znalazł się pod ogniem krytyki

w środkach masowego przekazu i nie poniósł finansowego uszczerbku.

- Mnie zaś interesuje, kto mógł usunąć mózg, zwłaszcza jeśli ktoś może pomyśleć, że to moje dzieło.

- Doktorze, nie ma potrzeby wpadać w panikę. Porozumieliśmy się już z kostnicą. Rodzina zmarłej nie dowie się o tym pozałowania godnym epizodzie. Muszę jednak przypomnieć panu, jak dwuznaczna jest pańska rola w tej sprawie, i nalegam, by zaprzestał się nią pan zajmować. Nic więcej.

- Czy to doktor Mannerheim kazał panu wystąpić w roli inkwizytora? - spytał Philips, zaczynając tracić równowagę.

- Doktorze, proszę zrozumieć moje położenie - odpowiedział

Drake. - Jestem po pańskiej stronie. Usiłuję stłumić pożar w zarodku, by nie rozprzestrzenił się, wyrządzając masę szkód. Czynię to dla

dobra wszystkich. Proszę pana jedynie, by wykazał pan rozsądek.

- Dziękuję - powiedział Philips, wstając. - Dziękuję, że pan

wpadł, dyrektorze. Doceniam pańskie uwagi, postaram się je przemyśleć.

- Wyprowadził Drake'a ze swego gabinetu i zamknął za nim

drzwi.

Odtwarzając w myślach tę rozmowę, miał kłopoty z uwierzeniem,

127

że rzeczywiście mogła mieć miejsce. Słyszał zza drzwi Drake'a roz-

mawiającego z Helen, nie mógł się więc oszukiwać, że rozmowa była

złudzeniem. Bardziej niż cokolwiek do tej pory sprawiła ona, iż

zapragnął ostatecznie wyrwać się z oddziałowego szczurzego wyścigu.

Jeszcze dobitniej uświadomił sobie, że jego badania musiały się powieść.

Z nową motywacją Philips wrócił do głównej listy zdjęć czaszki wykonanych w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Sprawdziwszy numery kart z kolejnością, w jakiej były ułożone klisze, szybko ustalił, w jakim porządku były wyciągane. Wziął pierwszą kopertę, wykreślił numer na liście, i wyciągnął zdjęcia. Wybrał dwa radiogramy czaszki w projekcji bocznej, a resztę włożył do koperty. Wprowadził do komputera niezbędne dane i umieścił zdjęcie w czytniku, drugie zaś powiesił na negatoskopie. Opis starych rentgenogramów położył koło drukarki.

Jak większość osób o skłonnościach kompulsywnych Martin uciekał się bardzo często do sporządzania list. Wypisywał nazwiska Lisy Marino, Lynn Annę Lucas, Katherine Collins i Ellen McCarthy, gdy zadzwonił telefon. Była to Denise z wiadomością, że są gotowi do wykonania popołudniowej angiografii. Philips zastanowił się przez chwilę, po czym odpowiedział, że jego obecność nie jest niezbędna, niech więc zaczynają badania, a w razie czego dzwonią po niego. Jak przypuszczał, zadowolilo ją w ten sposób wyrażone wotum zaufania.

Wrócił do listy. Wykreślił Katherine Collins. Koło nazwiska Marino dopisał "spotkać się z Wernerem z kostnicy". Żywił silne przekonanie, że Werner wiedział, co stało się z ciałem Lisy Marino. Przy nazwisku McCarthy Philips dopisał: "laboratorium neurochirurgii". Została Lynn Annę Lucas. Po rozmowie z Travisem był pewny, iż nie ma jej w Centrum Medycznym Nowego Jorku, chyba że przyjęto ją pod innym nazwiskiem, co nie miało większego sensu, dopisał więc koło jej nazwiska: "pielęgniarka z nocnej zmiany w zachodnim skrzydle neurologii".

Następnie podniósł słuchawkę i wykręcił numer izby przyjęć.

Dopiero po trzydziestu sześciu sygnałach ktoś raczył podnieść słuchawkę. Osoba, z którą chciał

rozmawiać, znów była nieosiągalna. Zostawił swoje nazwisko z prośbą, by do niego oddzwoniono.

Do tego czasu komputer skończył opracowanie kliszy. Przeczytał z podnieceniem wydruk, porównując go z opisem i samą kliszą.

Komputer nie tylko potwierdził wszystko, co stwierdzano w opisie, wykrył też na dodatek zagęszczenia i silniejsze zacinienie zatok czołowych, o których w nim nie wspomiano. Przyjrząwszy się kliszy, Philips musiał stwierdzić, że rację miał komputer. Program był zdumiewający.

128

Zabrał się do następnej kliszy, gdy do drzwi zastukała Helen i powiadomiła go przepaszającym tonem, że "wielki szef chciał się widzieć z Martinem najszybciej, jak to tylko możliwe.

Gabinet doktora Harolda Goldblatta znajdował się w drugim końcu oddziału, w skrzydle budynku wystającym jak jakiś prostokątny guz na środkowy dziedziniec. Nietrudno było się zorientować, kiedy wchodziło się do tego skrzydła, na podłodze bowiem znajdował się dywan, a ściany wyłożone były mahoniową boazerią. Przypominało to Martinowi prawnicze firmy ze śródmieścia, w których nazwach zawierało się tyle nazwisk, ile na stronie książki telefonicznej.

Zastukał w ciężkie drzwi z drewna. Goldblatt siedział za swym masywnym mahoniowym biurkiem zwróconym ku wejściu. W pozostałych trzech ścianach znajdowały się okna. Podobieństwo gabinetu do Gabinetu Owalnego w Białym Domu było jak najbardziej zamierzone. Goldblatt oddawał cześć dekoracjom władzy i w ciągu żywota

spędzonego na makiawelicznych manewrach stał się międzynarodowego

formatu figurą w światku neuroradiologii. Był instytucją, której wiedza zawodowa nie wyszła poza pewien etap, przez co była ograniczona.

Choć osobiście Martin cynicznie odnosił się do możliwości, że

Goldblatt wyznaje się na takich nowinkach jak tomografia, jednak

podziwiał tego człowieka. Była to jedna z głównych osobistości, które nadały radiologii obecny prestiżowy status.

Goldblatt wstał, uściśnął silnie Martinowi rękę, i gestem wskazał

mu fotel po drugiej stronie biurka. Szef oddziału był rześkim sześć-

dziesięcioczerolatkiem. Wciąż ubierał się tak jak w 1939 roku, kiedy ukończył uniwersytet harwardzki. Spodnie trzyczęściowego garnituru

były workowate i miały wypchane kolana, a nogawki zaobrębione

były mniej więcej dwa i pół centymetra nad kostkami. Jego krawat był

ręcznie wiązany, przez co przekrzywiony i asymetryczny. Prawie

całkowicie siwe włosy były przystrzyżone w zmodyfikowaną grzywkę,

pozwalającą im schodzić na uszy. Spoglądał na Martina znad okularów

w drucianej oprawie, takich jakie nosił Benjamin Franklin.

- Doktorze Philips - zaczął Goldblatt, siadając i ściskając przed

sobą mocno dłonie po złożeniu łokci na stole - zwożenie do oddziału

w środku nocy jeszcze nie ostygłych zupełnie ciał z kostnicy klóci się nieco z moim pojmowaniem prawidłowego jego funkcjonowania.

Philips zgodził się, że istotnie wygląda to niedorzecznie. Swe

tłumaczenie zaczął nie od zniknięcia mózgu, lecz od programu kompu-

terowego czytającego zdjęcia rentgenowskie, który opracowali wspólnie z Williamem Michaelsem, po czym przeszedł do patologicznych zmian

zacienienia, które komputer stwierdził na rentgenogramach Lisy Ma-

rino. Powiedział Goldblattowi, że potrzebuje więcej klisz do scharak-

teryzowania tej patologii oraz iż czuje, że koniecznie należy iść śladem tego odkrycia, może ono bowiem skierować radiologię na zupełnie

nowe tory.

Gdy skończył, Goldblatt uśmiechnął się pobłażliwie i pokiwał głową.

- Słuchając pana, Martinie, można się zastanawiać, czy rzeczywiście wie pan, co pan robi.

- Sądzę, że tak. - Uwaga Goldblatta zaskoczyła Philipa, o mało co nie poczuł się urażony.

- Nie mam na myśli technicznej strony waszego przedsię-

wzięcia, lecz implikacje, jakie niesie ono dla naszej profesji. Szczerze mówiąc nie sądzę, by można dopuścić do prowadzenia na oddziale

badań, których celem jest jeszcze większa alienacja pacjenta od

klinicysty. Zamierzacie stworzyć system, w którym maszyna zastąpi radiologa.

Martin poczuł się oszołomiony. Nie był przygotowany do od-

parowania zarzutu herezji ze strony Goldblatta. Czegoś takiego

spodziewał się jedynie od mało kompetentnych przedstawicieli ich

zawodu, których, jak wiedział, było aż za wielu.

- Ma pan obiecującą przyszłość - kontynuował Goldblatt -

i miałbym ochotę, by się ona zrealizowała. Chciałbym panu pomóc,

muszę jednak dbać o spójność oddziału neuroradiologii naszej kliniki.

Moim zdaniem powinien pan skierować swoją aktywność badawczą

na inne, łatwiejsze do akceptacji pola. W żadnym razie nie wolno panu więcej dokonywać prześwietleń zwłok bez mojego zezwolenia, doktorze,

choć chyba tego nie muszę dodawać.

Philips doznał olśnienia. Mannerheim musiał się porozumieć z Goldblattem, nie było innego wyjaśnienia. Mannerheim był primadonną, która nie lubiła znajdować się z kimkolwiek innym w świetle reflektorów. Dlaczego teraz współdziałał z Goldblattem - i zapewne Drake'em? Nie miało to żadnego sensu.

- Ostatnia sprawa - powiedział Goldblatt, składając palce obu dłoni w szpic. - Doszło mej uwagi, że nawiązał pan osobiste stosunki z jedną z asystentek. Nie sądzę, by szpital mógł dać placet na tego rodzaju poufałość.

Philips wstał raptownie, ze zwężonymi powiekami i napiętymi mięśniami twarzy.

- Moje życie osobiste nie powinno nikogo obchodzić tak długo,

130

dopóki nie wpływa na moją pracę zawodową - wycedził, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł z gabinetu.

Goldblatt zawołał za nim jeszcze coś dotyczącego opinii o oddziale na zewnątrz, lecz Martin się nie zatrzymał.

Minał Helen bez słowa, choć na jego widok poderwała się z notesem w rękę. Zatrzaskał drzwi, zwałił się na krzesło przed alternatorem i wziął do ręki mikrofon. Najlepszym rozwiązaniem było zagłębienie się w pracy i wrócenie do swych uczuć po jakimś czasie. Zignorował dzwoniący telefon. W końcu odebrała go Helen i powtórnie przełączyła

na jego gabinet. Podszedł do drzwi i bez słowa, jedynie wyrazem

twarzy zapytał, kto dzwoni. Dowiedział się, że doktor Travis.

Martin usłyszał od niego, że w Centrum Medycznym Nowego

Jorku z całą pewnością nie było żadnej Lynn Annę Lucas. Travis

przeszukał cały szpital, sprawdzając wszelkie, nawet najbardziej

wydumane możliwości, w których można było coś pokręcić z dokumen-

tami przeniesienia. Spytał Philipsa, czego ten dowiedział się na izbie przyjęć.

- Niewiele - odrzekł niepewnie Philips. Głupio mu było powie-

dzieć Travisowi po wszystkich jego wysiłkach, że po prostu nie udało

mu się dodzwonić do izby.

Gdy tylko Travis rozłączył się, Martin natychmiast wykręcił numer

izby. Upór przyniósł owoce; w końcu udało mu się dopaść kobietę

zajmującą się wypisami i przeniesieniami. Zapytał ją, jak w ogóle

pacjentka mogła opuścić szpital w środku nocy.

- Pacjenci to nie więźniowie - dowiedział się od rejestratorki. -

Była u nas przyjęta?

- Tak, z izby - potwierdził Philips.

- No, to nic niezwykłego - powiedziała kobieta. - Często

przyjęcia z izby są po wpisie do książki szpitalnej przenoszone gdzie

indziej, jeśli pacjenci podpadają pod lekarza z prywatną praktyką,

który nie-może tu kierować.

Philips mruknął ze zrozumieniem i poprosił o szczegóły przeniesie-

nia Lynn Annę Lucas. Ponieważ komputer używany w rejestracji

nowo przyjętych pacjentów miał dostęp poprzez numery kart lub daty

urodzenia, kobieta powiedziała, że najpierw musi się dowiedzieć w izbie przyjęć, jaki był numer choroby Lynn Anne. Powiedziała, iż zadzwoni za jakieś pół godziny.

Martin próbował dyktować dalej, trudno mu było jednak się skupić. Tuż przed nosem miał karty leczenia Katherine Collins i Ellen 131

McCarthy. Przypomnił sobie uwagę Denise o rozmazach Papanicolaou. Wiedział o ginekologii ogólnie, a o rozmazach Papanicolaou

w szczególności, tyle co nic. Nałożył biały fartuch, wziął karty pacjentek i wyszedł z gabinetu. Mijając Helen powiedział jej, że wychodzi na

krótko, i by wzywała go tylko wtedy, jeśli wypadnie coś naprawdę pilnego.

Na wstępie skierował się do biblioteki. Po drodze natknął się na kilku solidnie opatulonych pacjentów, zdecydował się więc skorzystać z tunelu. Do nowego gmachu akademii medycznej szło się tym samym prawym odgałęzieniem co do bloku Martina. Wejście do nowego budynku znajdowało się tuż koło schodów prowadzących do starego, który opuszczono dwa lata wcześniej po zakończeniu budowy nowej siedziby.

Stary budynek miał być odremontowany, by przenieść do niego dotkliwie potrzebujące przestrzeni życiowej rozrastające się działy kliniki, takie jak radiologia, jednak za sprawą niewiarygodnych przekroczeń budżetu budowy pieniądze skończyły się jeszcze przed oddaniem nowego gmachu. Dwa lata później część nowego budynku

jeszcze czekała na dofinansowanie, tak więc projekt przebudowy starej akademii odłożono do odwołania, a oddziały kliniczne musiały

zaczekać.

Nowy gmach akademii medycznej, a zwłaszcza biblioteka, w niczym nie przypominały starego, który Martin pamiętał ze studenckich czasów. Nie liczone się z pieniędzmi, co stało się główną przyczyną, dla której stary gmach stał w opuszczeniu. Przestronny hol był wyłożony dywanami, a na pierwsze piętro pięła się para stanowiących swe lustrzane odbicie schodów.

Katalog biblioteki mieścił się pod występem balkonu na półpiętrze.

Philips wyszukał numer biblioteczny popularnego podręcznika gine-

kologii. Interesował go jedynie rozmaz Papanicolaou, nie miał zamiaru czytać całego podręcznika cytologii.

Pamiętał, do czego służył ten test: było to najskuteczniejsze,

a prawdopodobnie i najpewniejsze badanie przesiewowe wykrywające

raka szyjki macicy. Wykonał je nawet kiedyś za studenckich czasów,

wiedział więc, że jest wyjątkowo proste; polegało na zdjęciu szpatułką śluzu z tarczy szyjki macicy i rozproszaniu go na szkiełku pod-stawowym. Nie przypominał sobie jednak klasyfikacji wyników i nie

pamiętał, co należało zrobić w wypadku, gdy stwierdzono odchylenie

od normy.

Podręcznik nie okazał się jednak zbyt pomocny. Martin dowiedział

się z niego jedynie, że w wypadku wątpliwości należało wykonać próbę

132

Schiflera - to znaczy posmarować tarczę szyjki macicy roztworem

jodyny, co uwidaczniało pola nie pokryte typowym nabłonkiem.

Innymi badaniami były biopsja i kolposkopia. Martin nie miał pojęcia, czym jest kolposkopia, i musiał się uciec do skorowidza. Okazało się, że jest to badanie, w którym do oceny stanu szyjki macicy wykorzystywano przypominające mikroskop urządzenie dające czterdziesto-

krotne powiększenie.

Tym, co zaskoczyło Martina najbardziej, była informacja, że piętnaście procent przypadków raka szyjki macicy wykrywano u pacjentek w wieku od dwudziestu do dwudziestu dziewięciu lat. Miał błędne wrażenie, że rak szyjki jest schorzeniem kobiet w starszych przedziałach wiekowych. Stanowiło to najlepszy argument za przeprowadzaniem corocznych badań ginekologicznych.

Martin zwrócił podręcznik i poszedł do uniwersyteckiej przychodni

ginekologicznej. Przypomnił sobie, że wstęp do niej był zakazany dla grup studenckich z akademii medycznej, ponieważ śliczne i inteligentne dziewczyny z uniwersytetu działały na studentów jak świeże mięso

zawieszane przed nosami głodnych zwierzaków. Studenci mieli za zwyczaj do czynienia z regularnie uczęszczającymi do przychodni wieloródkami, w porównaniu z którymi wszystkie studentki prezentowały się jak dziewczyny z rozkładówek Playboya.

Podchodząc do rejestratorki, Philips czuł się zdecydowanie nie na

miejscu. Kiedy się przed nią zatrzymał, kobieta zatrzepotała powiekami i wciągnęła głęboko powietrze, wypinając płaską pierś. Martin utkwiał

w niej spojrzenie, ponieważ wydało mu się, że jest coś osobliwego w jej twarzy. Odwrócił wzrok, gdy uświadomił sobie, że uwagę zwracają jej

nienaturalnie blisko osadzone oczy.

- Jestem doktor Martin Philips.

- Dzień dobry, nazywam się Ellen Cohen.

Mimowolnie Martin znów spojrzał w oczy rejestratorki.

- Chciałbym porozmawiać z kierownikiem przychodni.

Ellen Cohen ponownie zatrzepotała rzęsami.

- Doktor Harper bada teraz pacjentkę, wkrótce będzie jednak

wolny.

W każdym innym dziale szpitala Martin najprawdopodobniej bez

wahania wszedłby do gabinetu. Tu jednak wrócił do poczekalni,

czując się tak nieswojo jak w wieku dwunastu lat, gdy wyczekiwał na

matkę w salonie fryzjerskim. Pół tuzina czekających tu kobiet utkwilo w nim wzrok. W momencie gdy się w tym zorientował, wróciły do

lektury czasopism.

Martin usiadł na krześle najbliższym rejestracji. Ellen Cohen

133

ukradkowo ściągnęła paperback z biurka i wsunęła do szuflady. Kiedy

Martin zwrócił wzrok- w jej kierunku, uśmiechnęła się.

Pozwolił swym myślom wrócić do Goldblatta. Zdumiewała go

bezczelność faceta myślącego, że ma prawo do dyktowania mu, jak ma

kierować swym życiem osobistym czy choćby badaniami. Gdyby

oddział finansował prace badawcze Martina, mogłoby to posłużyć

jako namiastka usprawiedliwienia, tak jednak nie było. Badania

prowadził w wolnym czasie, a znaczne sumy, potrzebne na sprzęt

i oprogramowanie, trafiały do niego poprzez Michaela i Wydział

Nauk Cybernetycznych.

W pewnym momencie Martin uświadomił sobie, że dziewczyna,

która podeszła do rejestratorki, pyta, co znaczy atypowość rozmazu

Papanicolaou. Pacjentka wydawała się mówić z wysiłkiem i opierała

się o biurko rejestratorki.

- O to będziesz musiała zapytać siostrę Blackman, złotko -

powiedziała Ellen Cohen, natychmiast wyczuwając zaciekawienie

Martina. - Nie jestem lekarką - zaśmiała się, właściwie wyłącznie na beneficis Philipsa. - Usiądź, siostra Blackman zaraz będzie wolna.

Te słowa przepełniły miarę zawodu, jaką Kristin Lindquist mogła znieść jednego dnia.

- Powiedziano mi, że zostanę przyjęta od razu - powiedziała,

i zaczęła tłumaczyć rejestratorce, że ma od rana zawroty i ból głowy, przez co nie może czekać tak jak wczoraj. - Proszę zaraz powiedzieć

siostrze Blackman, że przyszedłam. Kiedy do mnie dzwoniła, obiecała, że nie będzie żadnej zwłoki.

Kristin odwróciła się i przeszła do krzesła naprzeciw Philipsa.

Poruszała się powoli, jak ktoś niepewny, czy uda mu się zachować równowagę.

Napotkawszy spojrzenie Martina, Ellen Cohen przewróciła oczy,

sugerując, że dziewczyna stroi sobie fochy, wstała jednak, by zawołać pielęgniarkę. Martin wrócił spojrzeniem do Kristin. Gorączkowo

usiłował wymyślić jakieś logiczne połączenie między atypowymi rozmazami Papanicolaou i nieokreślonymi objawami neurologicznymi.

Kristin miała zamknięte oczy, mógł więc przyglądać się jej bez skrepowania. Oceniał, że ma około dwudziestu lat. Szybko otworzył historię choroby Katherine Collins i znalazł pierwszy wpis neurologa.

Wpis stwierdzał, że pacjentka uskarżała się na bóle głowy, zawroty i zaburzenia widzenia.

Wrócił spojrzeniem do Kristin Lindquist. Czyżby ta dziewczyna stanowiła kolejny przypadek o identycznym obrazie radiologicznym?

Czuł, że to możliwe. Po wszystkich kłopotach z uzyskaniem zdjęć od

134

innych pacjentek myśl, że odkrył nowy przypadek, była wyjątkowo kusząca. Miał szansę pełnego udokumentowania choroby od jej początku.

Nie potrzebując dalszej zachęty, podszedł do Kristin i poklepał ją po ramieniu. Podskoczyła z zaskoczenia i odgarnęła z twarzy kosmyk jasnych włosów. Lęk malujący się na jej obliczu dodawał mu wyjątkowej kruchości, przez co do Martina nagle dotarło, jak jest piękna.

Starannie dobierając słowa, przedstawił się i podał, że jest z oddziału radiologii. Powiedział, iż usłyszał, jak opisywała swoje objawy.

Stwierdził, że ponieważ widział już zdjęcia rentgenowskie czterech dziewcząt z identycznymi objawami, warto by w jej przypadku również ją prześwietlić. Starannie podkreślił, że miałyby to cel wyłącznie profilaktyczny, więc nie powinna czuć się zaalarmowana.

Dla Kristin szpital był nieustannym źródłem niespodzianek. Przy pierwszej wizycie poprzedniego dnia musiała wyczekiwać godzinami, a teraz stanął przed nią lekarz, który najwidoczniej szukał sobie pacjentek.

- Niezbyt lubię szpitale - powiedziała. Chciała dodać, że lekarzy również, uświadomiła sobie jednak, że zabrzmiałoby to niegrzecznie.

- Mówiąc szczerze ja również - powiedział Martin i uśmiechnął

się. Natychmiast polubił tę atrakcyjną dziewczynę i poczuł wobec niej opiekuńczy instynkt. - Zdjęcie nie zabierze pani dużo czasu.

- Wciąż czuję się chora. Chyba najlepiej będzie, jeśli jak najszybciej znajdę się w domu.

- Zrobimy to raz dwa - powiedział Philips. - Obiecuję to pani.

Jedną kliszę. Sam panią prześwietlę.

Kristin zawahała się. Z jednej strony nie znosiła szpitala, z drugiej czuła się chora i była podatna na troskę Philipsa.

- Więc jak w końcu? - spytał Martin z uporem.

- No dobrze - westchnęła Kristin.

- Cudownie. Jak długo będzie pani w przychodni?

- Nie wiem. Powiedziano mi, że niedługo.

- Dobrze. Proszę beze mnie nie wychodzić - powiedział Martin.

Po paru minutach Kristin została poproszona. Prawie równocześnie pojawił się doktor Harper.

Philips rozpoznał Harpera jako jednego z lekarzy, których widywał krzątających się po szpitalu. Nigdy nie miał okazji go poznać, nie sposób było jednak zapomnieć jego lśniącej jak wypolerowana gałka głowy. Philips wstał i przedstawił się. Zapadło niezręczne milczenie.

Jako asystent Harper nie miał własnego gabinetu, a ponieważ oba

135

gabiny lekarskie były zajęte, musieli rozmawiać na korytarzu. Stanęli w końcu pod ścianą..

- Czym mogę służyć, doktorze? - spytał podejrzliwie Harper.

To, że zastępca ordynatora oddziału neuroradiologii zjawiał się w przychodni ginekologicznej, było wyjątkowo osobliwe, ponieważ pola zainteresowania tych dziedzin znajdowały się na przeciwnych krańcach medycyny.

Philips zaczął rozmowę od nieokreślonych pytań, wyrażających zainteresowanie sposobem funkcjonowania przychodni takiej jak ta, tym, jak długo Harper tu pracował i czy mu się podobało. W zwięzły sposób, wodząc wzrokiem po twarzy Philipsa, Harper wyjaśnił mu, że przychodnię obejmowali co dwa miesiące na zmianę starsi asystenci oddziału ginekologii. Dodał, że był to symboliczny ostatni krok, dający możliwość wystąpienia o stały kontrakt z oddziałem.

- Proszę posłuchać - powiedział Harper po chwili milczenia - mam mnóstwo pacjentek.

Martin uświadomił sobie, że miast odprężyć, jego pytania wzbudziły w rozmówcy jedynie większy niepokój.

- Jeszcze tylko jedno pytanie - rzekł. - Co się robi w wypadku, gdy rozmaz Papanicolaou jest nieprawidłowy?

- To zależy - odrzekł ostrożnie Harper. - Są dwie grupy atypii.

Pierwsza obejmuje komórki nietypowe, nie mające jednak charakteru nowotworowych, druga zaś komórki wzbudzające podejrzenie procesu nowotworowego.

- Niezależnie od grupy, należy z tym coś zrobić, prawda? To znaczy, jeśli odbiegają od normy, należy to kontrolować, zgadza się?

- Tak - rzekł wymijająco Harper. - Dlaczego pan mnie o to pyta, doktorze? - Miał wyraźne uczucie, że jest zapędzany w kąt.

- Po prostu mnie to ciekawi - powiedział Martin i wyciągnął przed siebie kartę Katherine Collins. - Natrafiłem na kilka historii chorób pacjentek z tej kliniki, u których stwierdzono atypowe rozmazy.

W kartach przychodni ginekologicznej nie znalazłem jednak żadnych wzmianek o przeprowadzeniu próby Schillera czy planowaniu biopsji lub kolposkopii... tylko o powtórnych rozmazach. Czy to nie jest trochę... nieprawidłowe? - Martin utkwiał spojrzenie w Harperze, wyczuwając jego niezadowolenie. - Niech pan zważy, nikogo o nic nie oskarżam, jestem tylko zaniepokojony.

- Nie mogę nic powiedzieć, nie widząc karty - rzekł Harper.

Zamierzał tym komentarzem zakończyć rozmowę.

Philips podał mu kartę Katherine Collins i wpatrzył się w ginekologa. Gdy Harper przeczytał nazwisko na karcie, na jego twarzy

136

pojawił się wyraz napięcia. Martin przyglądał się z zaciekawieniem, jak ginekolog szybko kartkuje historię choroby, zbyt szybko, by cokolwiek porządnie przeczytać. Kiedy dotarł do końca, podniósł wzrok i oddał historię Martinowi.

- Nie wiem, co mam powiedzieć.

- Nie tak się robi, prawda? - spytał Martin.

- Ujmijmy to w ten sposób, że ja tak zwykle nie robię. Muszę jednak wracać do pracy. Przepraszam.

Wyminął Martina, który, by go przepuścić, musiał przycisnąć się do ściany. Zaskoczony nagłym końcem rozmowy, przyglądał się, jak asystent znika w jednym z gabinetów. Nie chciał, by ginekolog wziął

pytania do siebie, i zastanowił się, czy przypadkiem to, co powiedział, nie zabrzmiało bardziej oskarżycielsko, niż zamierzał. Mimo to reakcja lekarza, gdy otworzył kartę, była niezwykła - co do tego nie miał

żadnych wątpliwości.

Oceniwszy, że nie ma żadnego sensu starać się o dalszą rozmowę

z Harperem, Martin wrócił do rejestracji i zapytał o Kristin Lindquist.

Ellen Cohen z początku zachowała się tak, jak gdyby nie usłyszała

pytania. Kiedy je powtórzył, odburknęła, że panna Lindquist jest

z pielęgniarką i pewnie wkrótce od niej wyjdzie. Od początku Kristin

jej się nie spodobała, po tym, jak Martin okazał jej zainteresowanie, zaczęła żywić do niej nienawiść. Nie zdając sobie sprawy z zawiści

Ellen Cohen, Martin poczuł się jeszcze bardziej nie na miejscu

w uniwersyteckiej przychodni ginekologicznej.

Parę minut później Kristin Lindquist wyszła z gabinetu w towarzys-

twie pielęgniarki. Martin widział już tę siostrę, zapewne w kawiarence; przypomniał sobie jej smolistoczarne włosy, które nosiła spiętrzone

w ciasny kok na czubku głowy.

Wstał, gdy dwie kobiety podeszły do biurka rejestratorki. Pielęg-

niarka poleciła umówić Kristin wizytę za cztery dni. Kristin była

bardzo blada.

- Panno Lindquist - zwrócił się do niej Martin - skończyła

pani?

- Chyba tak - powiedziała Kristin.

- Co z tym prześwietleniem? - spytał. - Czuje się pani na siłach?

- Chyba tak - zdołała powtórzyć Kristin.

Kruczowłosa pielęgniarka niespodziewanie zawróciła do biurka.

- Jeśli wolno zapytać, o jakim zdjęciu pan mówi, doktorze?

- Czaszki, w projekcji bocznej - powiedział Martin.

- Rozumiem - odrzekła pielęgniarka. - Pytam, ponieważ panna

Lindquist ma atypowy rozmaz Papanicolaou i wolelibyśmy, by do

137

powrotu do normy nie przeprowadzano u niej zdjęć jamy brzusznej ani miednicy.

- Nie ma sprawy - powiedział Philips. - Na naszym oddziale zajmujemy się tylko głową. - Nigdy nie słyszał o takim związku między rozmazami Papanicolaou i zdjęciami diagnostycznymi, brzmiało to jednak sensownie.

Pielęgniarka skinęła głową i odeszła. Ellen Cohen trzepnęła kartę z datą wyznaczonej wizyty w nadstawioną dłoń Kristin i odwróciła się, udając, że zabiera się do pisania na maszynie.

- Kalifornijska dziwka - burknęła przez zęby.

Martin wyprowadził Kristin z zatłoczonej przychodni i przepuścił drzwiami łączącymi ją ze szpitalem. Gdy tylko je minęli, ich otoczenie jak gdyby nabrało pogodniejszych barw. Kristin była zaskoczona.

- Tu mieszczą się gabinety niektórych chirurgów - wyjaśnił jej

Martin, gdy szli długim, pokrytym dywanem korytarzem. Na świeżo pomalowanych ścianach wisiały nawet olejne obrazy.

- Myślałam, że cały szpital jest stary i sypie się - powiedziała

Kristin.

- Raczej nie - odrzekł Martin. Przez głowę przemknął mu obraz podziemnej kostnicy, stapiając się z innym - przychodni, z której właśnie wyszli. - Niech pani mi powie, Kristin, jako pacjentka, co pani sądzi o przychodni uniwersyteckiej?

- Trudne pytanie - powiedziała Kristin. - Tak bardzo niena-

widzę badań ginekologicznych, że pewnie nie mogę obiektywnie odpowiedzieć.

- Jak wypada w porównaniu z innymi, w których pani była?

- Leczyłam się u lekarza domowego. Przychodnia wydaje się

strasznie bezduszna, przynajmniej sądząc po wczorajszej wizycie. Dziś widziałam tylko pielęgniarkę, i było lepiej, nie musiałam czekać, jak wczoraj, a poza tym znów pobrano mi tylko krew i sprawdzono

powtórnie wzrok. Nie miałam, dzięki Bogu, kolejnego badania.

Dotarli do wind. Martin nacisnął wzywający je guzik.

- Siostra Blackman miała też czas, by wyjaśnić mi, o co chodzi

w rozmazie Papanicolaou. Powiedziała, że mój jest typu drugiego,

dość pospolitego, który prawie zawsze sam wraca do normy. Powie-

działa, że prawdopodobnie spowodowała go moja niewielka nadżerka

oraz bym stosowała słabe podmywanie i unikała seksu.

Martina na chwilę oszołomiła otwartość Kristin. Jak większość

klinicystów nie zdawał sobie sprawy, że fakt, iż jest lekarzem, sprawia, że ludzie są często gotowi powierzyć mu swoje najintymniejsze sekrety.

Dotarłszy do oddziału radiologii, Martin znalazł Kennetha Rob-

138

binsa i powierzył mu wykonanie zdjęcia czaszki Kristin w projekcji

bocznej. Ponieważ było już po czwartej, na oddziale panował względny

spokój, a jedna z głównych sal z aparatami rentgenowskimi była

wolna. Robbins zrobił zdjęcie i zniknął w ciemni, by umieścić kliszę

w automatycznej wywoływarce. Podczas gdy Kristin czekała na wynik,

Martin ustawił się przy okienku w głównym holu, w którym powinno

pojawić się opracowane zdjęcie.

- Wygląda pan jak kot czyhający przy mysiej dziurze, doktorze -

powiedziała Denise. Zaskoczyła go, zachodząc go od tyłu,

- I tak się czuję. Znalazłem w przychodni ginekologicznej

pacjentkę o identycznych objawach jak u Marino i reszty dziewczyn.

Tak bardzo liczę, iż ma ten sam obraz radiologiczny, że aż wstrzymuję dech. Jak ci poszło z popołudniowymi angiografiami?

- Dziękuję, bardzo dobrze. Doceniam, że pozwoliłeś mi przeprowadzić je samej.

- Nie dziękuj mi, zasłużyłaś sobie na to.

W tym samym momencie w szczelinie pojawił się skraj kliszy.

Wysunęła się z wałeczków i wypadła do znajdującej się pod spodem skrzyneczki. Martin chwycił ją natychmiast i włożył na negatoskop.

Przesunął w tę i z powrotem po polu mniej więcej w okolicach ucha

Kristin Lindquist.

- Cholera! - wykrzyknął. - Jest jak byk.

- Och, przestań - zaprotestowała Denise. - Nie powiesz mi, że rzeczywiście chcesz, by u dziewczyny wyszła patologia!

- Oczywiście - powiedział Martin - nie życzę tego nikomu.

Chcę tylko znaleźć przypadek, w którym mógłbym dysponować prawidłową dokumentacją radiologiczną.

Z ciemni wyszedł Robbins.

- Życzy pan sobie więcej zdjęć, doktorze?

Martin pokręcił głową, wziął zdjęcie i przeszedł do sali, w której czekała na niego Kristin. Denise podążyła za nim.

- Dobre wieści - powiedział Martin, potrząsając kliszą - pani rentgenogram nie wykazuje zmian. - Powiedział Kristin, że powinni odczekać około tygodnia, gdyby jej objawy nie mijały. Poprosił ją o numer telefonu i podał numer bezpośredni do swego gabinetu na wypadek, gdyby miała jeszcze jakieś kłopoty.

Kristin podziękowała mu i spróbowała wstać. Natychmiast ogarnęły ją mdłości i musiała się przytrzymać stołu, na którym wykonywano zdjęcia. Martin pospieszył jej na pomoc. Pokój zdawał się dziewczynie wirować zgodnie z kierunkiem ruchu wskazówek zegara.

139

- Dobrze się pani czuje? - spytał Martin, przytrzymując jej ramię.

- Chyba tak - powiedziała Kristin mrugając. - Miałam takie same zawroty głowy, ale już mi przeszły. - Nie powiedziała, że poczuła tę samą nieprzyjemną, znajomą woń. Był to zbyt dziwaczny objaw, by chciała się do niego przyznawać. - Nic mi nie będzie. Chyba już pójdę do domu.

Philips nalegał, że ściągnie dla niej taksówkę, Kristin uparła się jednak, iż poradzi sobie. Gdy zamykały się za nią drzwi windy, zdobyła się nawet na uśmiech.

- W bardzo sprytny sposób udało ci się zdobyć numer telefonu

atrakcyjnej dziewczyny - powiedziała Denise, wracając za Martinem do gabinetu. Gdy minęli zakręt korytarza, Martin odczuł ulgę, że nie

było tam Helen. Denise obrzuciła spojrzeniem jego gabinet i westchnęła głęboko ze zdumienia.

- Co się tu wyprawia?

- Lepiej nic nie mów - powiedział Martin, torując sobie drogę przez bałagan do biurka. - Wszystko mi się wali i nie życzę sobie żadnych zmyślnych komentarzy.

Wziął kartkę z wiadomościami, którą zostawiła mu Helen. Jak spodziewał się, dzwoniли Drake i Goldblatt; ich telefony zostały określone jako pilne. Wpatrzył się przez chwilę w kartkę, po czym pozwolił jej dwóm, świeżo powstałym, nierównym częściom łagodną spiralą opaść do wielkiego biurowego kosza na śmieci. Potem podszedł do komputera i wprowadził do czytnika kliszę Kristin.

- Cześć! Jak leci? - powiedział od drzwi Michaels. Oceniał, że niewiele zmieniło się w panującym od rana bałaganie.

- Zależy, co masz na myśli - powiedział Philips. - Jeśli

program, to świetnie. Przepuściłem przez niego dopiero kilka klisz, ale jak na razie działa z około stu procentową skutecznością.

- Cudownie - powiedział Michaels, klaszcząc w dłonie.

- Nawet więcej - powiedział Martin. - Fantastycznie! To

jedyne, co w tym całym bajzlu jako tako trzyma się kupy. Przepraszam, że nie mam więcej czasu, by nad nim popracować. I tak się spóźniam

ze swoją pracą. Zostanę tu trochę po godzinach i przepuszczę tyle

klisz, ile zdołam.

Philips dostrzegł, że Denise odwraca się i wpatruje w niego ostrym

wzrokiem. Usiłował odczytać wyraz jej twarzy, lecz nim zdążył się

skupić, klekocząca drukarka zaczęła wypluwać wstęgę zadrukowanego

papieru. Michaels zauważył to w tej samej chwili i podszedł do

Martina, zaglądnąjąc mu przez ramię. Z miejsca, w którym stała

Denise, obydwaj wyglądali jak dumni rodzice.

140

- Właśnie odczytuje zdjęcie czaszki, które zrobiłem młodej dziewczynie - powiedział Martin. - Nazywa się Kristin Lindquist.

Wydaje mi się, że może mieć takie same zmiany patologiczne, jak inne pacjentki, o których ci mówiłem. Okazuje się jednak, że chyba nie.

- Dlaczego tak skupiłeś się właśnie na tej sprawie? - zapytał

Michaels. - Osobiście wolałbym, żebyś poświęcał więcej czasu samemu programowi. Na takie badania będziesz miał dość czasu później.

- Wiesz, jacy są doktorzy - powiedział Martin. - Kiedy

ujawnimy możliwości tego komputera przed niczego nie podejrzewającym światkiem medycyny, będzie to jak postawienie średniowiecznego Kościoła katolickiego przed kopernikańską astronomią. Jeśli zaprezentujemy dowód, że dzięki komputerowi dokonaliśmy jakiegoś odkrycia na polu radiologii, o wiele łatwiej będzie go przyjąć.

Kiedy drukarka skończyła pisać, Martin oderwał wydruk. Przebiegł po nim błyskawicznie wzrokiem, po czym utkwiał znieruchomiłe spojrzenie w środkowym akapicie.

- Niewiarygodne!

Schwycił kliszę i powiesił ją z powrotem w negatoskopie. Zasłaniając dłonią większą część zdjęcia, przyjrzał się niewielkiemu polu z tyłu czaszki.

- Jest! Mój Boże! Wiedziałem, że dziewczyna ma te same objawy.

Program pamiętał pozostałe przypadki i znalazł minimalne zmiany

o tym samym charakterze!

- A wydawało się, że są subtelne na innych zdjęciach - dokoń-

czyła Denise, spoglądając Martinowi przez ramię. - W tym przypadku

są zlokalizowane na wierzchołku płata potylicznego, a nie w okolicach skroniowych i ciemieniowych.

- Może jest to dowód na to, że choroba znajduje się we

wcześniejszym stadium - zasugerował Philips.

- Jaka choroba? - spytał Michaels.

- Nie wiemy na pewno - powiedział Martin. - Jednak u kilku

dziewczyn z tym samym obrazem radiologicznym podejrzewano

stwardnienie rozsiane. Na razie strzelamy w ciemno.

- Nic nie widzę - przyznał się Michaels. Przysunął twarz bardzo

blisko, nic mu to jednak nie dało.

- To zmiana faktury zdjęcia - powiedział Martin. - Musisz

dobrze wiedzieć, jak cieniuje zwykła tkanka mózgowa, by wychwycić

różnicę. Wierz mi, daje się ją dojrzeć, program sobie tego nie wymyślił.

Zadzwoń do pacjentki, żeby jutro wróciła, i zrobię jej zdjęcie

celowane na tę okolicę. Może przy użyciu lepszych klisz da się

zobaczyć coś więcej.

141

Michaels przyznał, że to, iż on nic nie dostrzegł, jeszcze niczego

nie dowodziło. Podziękował za zaproszenie na kolację do szpitalnej

kawiarenki i pożegnał się. W drzwiach jeszcze raz poprosił Martina,

by poświęcił więcej czasu na przepuszczanie przez urządzenie starych

klisz, twierdząc, że istnieje duża szansa, iż program wychwyci najróżniejszego rodzaju nowe objawy radiologiczne, a jeśli Philips zacznie się grzebać tylko z jednym, nigdy nie uda się im wychwycić wszystkich wad programu. W końcu machnąwszy po raz ostatni dłonią, wyszedł.

- Gorliwiec, nie? - rzekła Denise.

- Ma po temu powody - odrzekł Martin. - Powiedział mi dziś, że do realizacji tego programu zaprojektowali nowy procesor o szybszym dostępie do danych. Prawdopodobnie już niedługo będzie gotowy. Jeśli to im się rzeczywiście uda, stanę się dla nich zawadą.

- Zamierzasz więc pracować dziś wieczorem? - spytała Denise.

- Oczywiście.

Martin przyjrzał się jej i po raz pierwszy dostrzegł, że jest bardzo znużona. Prawie nie spała poprzedniej nocy, a cały dzisiejszy dzień pracowała.

- Miałam nadzieję, że może zainteresujesz się przyjściem do mnie na kolację i dokończeniem tego, co zaczęliśmy wczoraj.

Zachowywała się rozmyślnie kusząco, na co Martin był bardzo podatny. Seksualne spełnienie byłoby cudownym sposobem odreagowania całodziennych frustracji i zawodów. Wiedział jednak, że musi trochę popracować, a Denise była zbyt ważna, by wykorzystywać ją tak jak pielęgniarki, z których pociechy korzystał w czasie stażu dla rozładowania napięcia.

- Muszę trochę nadgonić - powiedział w końcu. - Idź wcześniej

do domu, dobrze? Zadzwońę później do ciebie, może uda mi się przyjść.

Denise uparła się jednak, że wytrzyma do czasu przejrzenia wszystkich tomografii i angiografii z tego dnia, zleconych i przeprowadzonych przez kolegów z neurologii. Choć nazwisko Martina nie pojawiało się na tych opisach, uparł się, że będzie sprawdzał wszystko, co wykonywano na oddziale.

Był kwadrans po siódmej, gdy ze skrzypieniem odsunęli fotele i wstali przeciągając się. Martin odwrócił się ku Denise, ona jednak ukryła przed nim twarz.

- O co chodzi?

- Nie chcę, byś na mnie patrzył, gdy tak okropnie wyglądam.

142

Z niedowierzaniem kręcąc głową, wyciągnął dłoń i spróbował unieść jej podbródek, odtrąciła jednak jego rękę. Zdumiewające było,

jak w ciągu kilku sekund dokonała się w niej metamorfoza z pogrążonej w pracy lekarki we wrażliwą kobietę. Według Martina wyglądała na

zmęczoną, lecz pociągającą jak zawsze. Usiłował jej to powiedzieć, nie chciała mu jednak uwierzyć. Pocałowała go szybko i powiedziała, że

idzie do domu wziąć długą kąpiel, a później będzie czekać na niego,

po czym zniknęła jak zrywający się do lotu ptak.

Minęło parę chwil, nim Martin wziął się w garść. Denise obdarzona

była zdolnością wywoływania w jego umyśle krótkich snów. Był w niej zakochany i zdawał sobie z tego sprawę.

Znalazł numer telefonu do Kristin Lindquist i spróbował się do

niej dodzwonić, nikt jednak nie odbierał. Zdecydował się pójść na kolację do kawiarenki, zabierając ze sobą stertę korespondencji do korekty.

Dopiero piętnaście po dziewiątej uporał się z całą korespondencją i dyktowaniem. Do tego czasu udało mu się przepuścić dwadzieścia pięć starych zdjęć przez funkcjonujący bez zarzutu komputer, a Randy Jacobs wielokrotnie odbył drogę do archiwum radiologicznego i z powrotem. Odnosił koperty z wykorzystanymi zdjęciami, ponieważ jednak znów zniósł kilkaset nowych, w gabinecie Martina zapanował jeszcze większy chaos i bałagan niż przedtem.

Z telefonu na swoim biurku Martin ponownie spróbował połączyć się z Kristin Lindquist. Odpowiedziała przy drugim sygnale.

- Trochę mi głupio - powiedział - ale przy bliższym spraw-

dzeniu pani zdjęcia stwierdziłem, że należałoby się dokładniej przyjrzeć niewielkiemu obszarowi mózgu. Czy mogłaby pani zjawić się u nas raz

jeszcze, powiedzmy jutro rano?

- Rano nie - powiedziała Kristin. - Przez dwa dni z rzędu nie

byłam na zajęciach i nie chciałam opuścić trzeciego.

Umówili się, że przyjdzie o wpół do czwartej. Martin zapewnił ją,

iż nie będzie musiała czekać. Po przybyciu miała zgłosić się bezpośrednio do jego gabinetu.

Odłożywszy słuchawkę, Martin odchylił się w fotelu i pozwolił

dziennym problemom spływać po sobie. Rozmowy z Mannerheimem

i Drake'em doprowadziły go do irytacji, były jednak zgodne z tym,

czego można było od tych ludzi oczekiwać.

Inaczej było w przypadku Goldblatta. Philips nie spodziewał się

takiego ataku po kimś, kto był niegdyś jego mentorem. Był zupełnie pewny, że to Goldblatt sprawił, iż cztery lata temu został mianowany

143

zastępcą ordynatora. Cała sprawa nie trzymała się więc kupy. Jeśli za zachowaniem Goldblatta kryła się niechęć wobec komputerów, czekały

go z Michaelsem większe kłopoty, niż się spodziewali. Sama myśl o tym sprawiła, że Martin wyprostował się i zaczął szukać na biurku

listy pacjentek ze stwierdzonymi przezeń odchyleniami w obrazie radiologicznym. Potwierdzenie skuteczności nowej metody diagnos-

tycznej nabierało coraz większej wagi. Znalazł listę i dopisał do niej nazwisko Kristin Lindquist.

Jeśli nawet dopuścić hipotezę o wrogości Goldblatta wobec nowego komputerowego urządzenia, jego zachowanie i tak nie miało sensu.

Sugerowało porozumienie z Mannerheimem i Drake'em, a jeśli

Goldblatt stał po stronie Mannerheima, to w szpitalu działo się zaiste coś niezwykłego. Coś wręcz niesamowitego.

Philips wyprostował się i jeszcze raz przejrzał swą listę: Lisa

Marino, Lynn Annę Lucas, Katherine Collins, Ellen McCarthy

i Kristin Lindquist. Koło nazwiska McCarthy widniał dopisek:

"laboratorium neurochirurgii". Jeśli Mannerheim zachowywał się podstępnie, dlaczego Martin nie miałby sobie na to pozwolić?

Wyszedł z pogrążonego w półmroku gabinetu na zalany światłem korytarz. Koło sal fluoroskopii dostrzegł to, czego szukał: wózki sprzątaczek.

Przywykły do pracy przez wiele godzin, Martin zdołał zapoznać się ze sprzątaczkami i sprzątacami. Kilkakrotnie wspólnie sprząkali jego gabinet, przerzucając się żartami, że po godzinach wiódł w nim

drugie życie. Tę interesującą grupę tworzyło dwóch około dwudzie-

topięcioletnich mężczyzn, biały i czarny, oraz dwie kobiety w starszym wieku: Portorykanka i Irlandka.

Philips wpadł na pomysł, że porozmawia z Irlandką. Pracowała tu czternaście lat i nominalnie była przełożoną sprzątajacej ekipy.

Znalazł sprzątaczy i sprzątaczkę w sali fluoroskopii; zrobili sobie przerwę na kawę.

- Słuchaj, Kochaneczko, masz klucze do laboratorium na neurochirurgii? - spytał Irlandkę. Nazywano ją Kochaneczką, bo tak właśnie zwracała się do wszystkich.

- Mam klucze do wszystkiego w tym szpitalu z wyjątkiem szafek z narkotykami - powiedziała dumnie kobieta.

- Wspaniale - rzekł Martin. - Zamierzam ci złożyć propozycję nie do odrzucenia. - Wyjaśnił jej, że potrzebuje na kwadrans klucza uniwersalnego, by zabrać z laboratorium okaz, który chce prześwietlić.

W zamian proponował darmową tomografię.

144

Minęła minuta, nim Kochaneczka przestała się śmiać.

- Nie powinnam go nikomu dawać, zważywszy jednak, kim pan jest, doktorze... Proszę go tylko oddać, nim skończymy w radiologii.

Zostało nam jeszcze jakieś dwadzieścia minut.

Philips przeszedł podziemnym łącznikiem do Budyńku Naukowo-Badawczego im. Watsona. Winda znajdowała się na poziomie opuszczonego korytarza. Martin dotarł bezpośrednio na właściwe piętro. Choć znajdował się w samym środku ruchliwego szpitala

klinicznego ludnego i rozprzestrzeniającego się miasta, czuł się odizolowany i wyalienowany. Prace badawcze prowadzone były między ósmą a piątą; o tej porze gmach był pusty. Jedynym dźwiękiem, jaki do niego dobiegał po drodze na górę, był świst wiatru w szybie windy.

Drzwi otwały się. Wyszedł do mętnie oświetlonego holu. Przeszedł wyjściem awaryjnym i znalazł się w ciągnącym się przez całą długość budynku korytarzu. Dla oszczędności prawie wszystkie światła były wygaszone. Kochaneczka dała mu klucz wraz z całym pękiem, który brzękał głośno wśród ciszy panującej w opustoszałym budynku.

Laboratorium oddziału neurochirurgii znajdowało się za trzecimi drzwiami na lewo, bliżej końca korytarza. W miarę zbliżania się do nich w Martinie narastało napięcie. W metalowych drzwiach znajdowała się tafła mlecznego szkła. Obejrzawszy się przez ramię, Martin wsunął klucz w zamek. Wszedł szybko do środka i zamknął drzwi za sobą. Usiłował wykić w myślach swe zdenerwowanie, jednak bez powodzenia. Odczuwał napięcie nieproporcjonalne do sytuacji, w jakiej się znajdował. Stwierdził, że byłby z niego marny rabuś.

Przy przekręceniu przełącznik światła przytknął niesamowicie głośno. Pod sufitem laboratorium zapaliły się rzędy świetlówek. Przez środek sali biegły dwa główne stoły laboratoryjne, wyposażone w zlewy, palniki oraz półki ze szkłem laboratoryjnym. W przeciwnym końcu znajdowała się wydzielona część służąca zabiegom chirurgicznym na zwierzętach, wyglądająca jak pomniejszona o jedną czwartą nowoczesna sala operacyjna. Był tam niewielki stół operacyjny, bateria reflektorów i nawet aparat do znieczulenia. Między nią a resztą

laboratorium nie było żadnej przegrody, jedynie posadzka koło stołu była wyłożona płytkami. Całość wywierała imponujące wrażenie i miała służyć jako dowód talentów Mannerheima w zdobywaniu funduszy na badania.

Philips nie miał pojęcia, gdzie mogą być zgromadzone okazy mózgów, spodziewał się jednak, że będzie ich cała kolekcja, zaglądał

145
więc najpierw tylko do większych szaf. Doznał zawodu. Spostrzegł jednak, że koło kącika operacyjnego znajdują się jeszcze jedne drzwi.

W szybie zatopiona była drucziana siatka. Philips przybliżył do niej twarz i zajrzał do ciemnego pomieszczenia. Bezpośrednio za drzwiami dostrzegł rzędy półek, na których były ustawione słoje; część z nich zawierała mózgi w płynie konserwującym.

Z każdą mijającą sekundą zdenerwowanie Martina narastało.

W chwili gdy zobaczył mózgi, chciał jedynie znaleźć ten, który należał do Ellen McCarthy, i uciekać.

Pchnął drzwi i zaczął szybko odczytywać tabliczki. W jego nozdrza uderzyła silna woń. W ciemnościach dostrzegł zarysy klatek ze zwierzętami. Skupił jednak uwagę na słojach; każdy był zaopatrzony

w tabliczkę z nazwiskiem, datą i numerem historii choroby. Domyślając się, że daty dotyczyły zgonów, szybko zorientował się, w jakim

porządku są ustawione słoje. Ponieważ jedyne światło padało zza

szklanej tafli w drzwiach, z każdym krokiem musiał się coraz bardziej nachylać ku słojom. Ten, w którym znajdował się mózg Ellen

McCarthy, znajdował się w przeciwnym końcu pomieszczenia, koło

kolejnych drzwi.

Gdy sięgał po słój, ciszę rozdarł mrozący krew w żyłach wrzask, odbijający się echem w małej salce. Natychmiast po nim rozległ się łomot metalu o metal. Kolana Martina ugięły się pod nim. Odwracając się, by się bronić, wyrzwał barkiem w ścianę. Powietrze przeszył kolejny wrzask, atak jednak nie nastąpił, Martin natomiast stwierdził, że znalazł się przed zamkniętą w klatce małpą. Zwierzę ogarnięte było niepoahamowaną wściekłością. Jego oczy płonęły jak dwa węgle, wargi były rozciągnięte, obnażające zęby. Dwa spośród nich małpa złamała sobie, usiłując przegryźć pręty klatki. Z czubka jej łba, jak garść różnokolorowego makaronu, sterczało kilkanaście elektrod.

Philips uświadomił sobie, że patrzy prosto na jedno ze stworzeń, które Mannerheim i jego chłopcy zamienili w wyjące monstra.

W szpitalu wiadano powszechnie, że neurochirurg zainteresował się ostatnio zlokalizowaniem w mózgu ośrodków odpowiedzialnych za gniew i agresję. Fakt, iż większość badaczy uważała, że nie istnieje jeden taki ośrodek, bynajmniej go nie zniechęcał.

Gdy oczy Philipsa przystosowały się do mętnego oświetlenia, dostrzegł więcej klatek. W każdej z nich znajdowały się małpy o rozmaicie okaleczonych głowach. U niektórych usunięto całe wierzchy czaszek, zastępując je pleksiglasowymi półkulami, przez

146

które przechodziły setki elektrod. Kilka wykazywało takie otępienie, jak gdyby zostały poddane lobotomii.

Philips odepchnął się od ściany. Nie spuszczał wzroku z szalejącego, nie przestającego wrzeszczeć i hałaśliwie potrząsać klatką zwierzęcia, zdjął z półki poddany częściowej sekcji mózg Ellen McCarthy. Za nim znajdowała się, spięta gumką, seria szkiełek z preparatami. Zabrał również i je. Ruszył ku wyjściu, gdy usłyszał, że drzwi otwierają się i zamykają, a w środku rozlegają się stłumione głosy.

Wpadł w panikę. Starając się nie dopuścić, by wypadł mu pęk kluczy, słój z mózgiem czy szkiełka z preparatami, otworzył tylne drzwi za zwierzętami. Znalazł się na schodach pożarowych, zbiegających się perspektywicznie w dół. Zatrzymał się na półpiętrze i uświadomił sobie, że ucieczka nie jest żadnym wyjściem. Chwycił za klamkę, nim drzwi się zamknęły, i wrócił do środka.

- Doktorze Philips - powiedział przestraszony strażnik. Nazywał się Peter Chobanian, grał w szpitalnej drużynie koszykówki i zdarzyło mu się parę nocnych rozmów z Martinem. - Co pan tu robi?

- Wpadłem coś przekąsić - powiedział Martin z kamienną twarzą i wystawił przed siebie słój z mózgiem.

- Eee - powiedział Chobanian, odwracając wzrok. - Zanim zacząłem tu pracować, myślałem, że tylko psychiatrzy to świry.

- Mówiąc poważnie zamierzam przeświecić ten okaz - powiedział Martin, ruszając przed siebie na gumowych nogach. - Miałem go wziąć za dnia, ale nie zdążyłem... - Skinął głową drugiemu strażnikowi, którego nie znał.

- Powinien nas pan powiadomić, że tu idzie - powiedział

Chobanian. - Kilka mikroskopów już wymaszerowało z tego budyn-

ku, staramy się trochę przykręcić śrubę,
Philips ściągnął z dyżuru jednego z techników radiologów na
oddział neuroradiologii, w przerwie między wykonywaniem zdjęć
kolejnym ofiarom wypadków, by mu pomógł. Wyjął mózg ze słoja,
położył go na papierowej tacce, ale bez względu na to, jak się starał, zdjęcia nie wychodziły. Na
żadnych kliszach nie dawało się odróżnić
wewnętrznych struktur. Zmniejszył kilowoltaż, lecz nic to nie poma-
gało. Technik raz rzucił okiem na częściowo pokrojony mózg i zrobił
się zielony na twarzy. Po jego wyjściu Martin ostatecznie rozstrzygnął, na czym polegają jego
kłopoty. Choć mózg został zakonserwowany
w formalinie, musiał ulec rozkładowi na tyle, że na zdjęciach nie
147
dawało się uwidocznic jego struktury. Wrzucił go z chłupnięciem do
słoja, po czym ruszył z nim i szkiełkami na patologię.
Laboratorium było otwarte, w środku nie było jednak nikogo. Jeśli
ktoś chciał świsnąć mikroskopy, właśnie tu powinien przyjść, pomyślał
Philips. Otworzył drzwi do sali sekcyjnej. W niej również było pusto.
Przechodząc koło stołu laboratoryjnego ciągnącego się środkiem sali,
z rozstawionymi mikroskopami i magnetofonami, przypomniał sobie,
jak po raz pierwszy oglądał rozmaz swej krwi. Pamiętał, jak się bał, że okaże się, iż ma białaczkę.
Cierpiał na klasyczny dla studentów
medycyny objaw: wyobrażanie sobie, że cierpi się na prawie każdą
chorobę z podręcznika.
W głębi sali natrafił na palnik bunsenowski, na którym rażno
parkotała zlewka z wodą. Odstawił słój i szkiełka, po czym zaczął
czekać. Nie trwało to długo. Kaczkowatym chodem podszedł do niego

nader otyły patolog. Nikogo się nie spodziewał, dlatego zamek

błyskawiczny w spodniach dopiął dopiero po wyłonieniu się zza drzwi.

Nazywał się Benjamin Barnes.

Philips przedstawił się i zapytał, czy Barnes nie wyświadczyłby mu przysługi.

- Jakiej przysługi? Chcę odwalić sekcję i zabierać stąd tyłek.

- Mam kilka szkiełek; nie dałby pan rady rzucić na nie okiem, doktorze?

- Stoi tu od groma mikroskopów. Może pan sobie sam zajrzeć.

Był to zbyt poufały sposób odnoszenia się do pracownika szpitala, choćby był z innego oddziału, lecz Martin zmusił się do pohamowania irytacji.

- Od paru lat się w to nie bawiłem - powiedział. - Poza tym to mózg, a nigdy nie byłem z niego dobry.

- Nie byłoby lepiej, gdyby poczekał pan z tym do rana i zahaczył kogoś z neuropatologii?

- Potrzebna mi szybka ocena. Nie musi być dokładna - rzekł

Martin. Nigdy nie sądził, że otyli ludzie są jowialni, a patolog jedynie potwierdził to wrażenie.

Barnes niechętnie wziął od niego szkiełka i włożył jedno pod obiektyw mikroskopu. Przejrzał je szybko, po czym zmienił na kolejne. Przejrzenie wszystkich zajęło mu około dziesięciu minut.

- Interesujące - powiedział. - Proszę na to popatrzeć. -

Odsunął się, przepuszczając Martina. - Widzi pan to puste pole?

- Tak.

- Po komórce nerwowej.

Philips spojrział na Barnesę.

148

- Na wszystkich szkiełkach oznaczonych czerwonym ołówkiem widać bądź miejsca po neuronach, bądź zdeformowane neurony - powiedział patolog. - Ciekawe jest to, że prawie wcale nie ma śladów reakcji zapalnej. Nie mam pojęcia, co to może być. Opisałbym to jako "rozsiana, wielogniskowa martwica pojedynczych neuronów o nieznannej etiologii".

- Nie domyśla się pan, jaka może być tego przyczyna, doktorze? - spytał Philips.

- Absolutnie.

- Może stwardnienie rozsiane?

Patolog zrobił dziwną minę, marszcząc czoło.

- Może. W stwardnieniu rozsianym czasami zdarzają się ubytki w istocie szarej, choć przeważnie dotyczą istoty białej, doktorze.

Wyglądają jednak zupełnie inaczej. Odczyn zapalny byłby większy.

Żeby się upewnić, musiałbym wybarwić mielinę.

- A zwapnienia? - spytał Philips. Wiedział, że jest niewiele substancji w organizmie, które mogły rzutować się na zdjęciu rentgenowskim. Wapń był jedną z nich.

- Nie widziałem nic, co mogłoby sugerować zwapnienia, ale i w tym przypadku również musiałbym wybarwić preparat.

- Jeszcze jedna prośba, doktorze - powiedział Philips. - Nie

mógłby pan zrobić kilku preparatów z płata potylicznego? - Poklepał pokrywę szklanego słoja.

- Myślałem, że chodziło panu jedynie o ocenę szkiełek.

- Zgadza się. Nie chcę, żeby pan robił sekcję mózgu, a tylko zrobił kilka wycinków. - Martin nie chciał po złym dniu użerać się jeszcze z leniwymi asystentami patologii.

Barnes miał na tyle przyzwoitości, by powstrzymać się od dalszych komentarzy. Wziął słoje i ruszył brodzącym krokiem do sali sekcyjnej. Philips podążył za nim. Patolog wyjął hakiem chirurgicznym mózg z formaliny i położył go na blacie ze stali koło zlewu. Trzymając w dłoni jeden z wielkich noży sekcyjnych, poprosił Martina, by pokazał, o które pole mu chodzi, po czym pobrał pół tuzina centymetrowych wycinków i wrzucił je do parafiny.

- Preparaty będą gotowe na jutro. Jakie barwienie pan sobie życzy, doktorze?

- Wszystkie, jakie panu przyjdą do głowy - powiedział Martin. - I jeszcze jedno: zna pan człowieka, który pracuje w kostnicy na nocną zmianę?

- Wenera?

149

Martin skinął głową.

- Słabo. Trochę cudak, ale porządny pracownik; można na nim polegać. Siedzi tu od lat.

- Jak się panu wydaje, może być podkupiony?

- Nie mam pojęcia. Po co miałby go ktoś podkupywać?

- Bóg jeden wie. Żeby wyjmował złote zęby, przysadki dla izolowania z nich hormonu wzrostu, może coś na specjalne życzenie.

- Nie wiem, ale pewnie by mnie to nie zdziwiło.

Po nieprzyjemnym wydarzeniu w laboratorium na oddziale neurochirurgii Martin odczuwał wyjątkowe zdenerwowanie, schodząc wzdłuż czerwonej linii do podziemnej kostnicy. Olbrzymia, pogrążona w mroku, przypominająca pieczarę sala przed kostnicą wyglądała jak wymarzona sceneria dla gotyckiej opowieści grozy. Kvarcowe okienko w drzwiach krematorium płonęło w ciemnościach jak cyklopowe oko potwora.

- Na miłość boską, Martin, co się z tobą dzieje? - zadał sobie na głos pytanie, by podbudować słabnącą pewność siebie.

Kostnica wyglądała identycznie jak poprzedniego wieczora. Mętne światło padające z odrutowanych lamp rzucało upiorną poświatę.

W powietrzu unosiła się słaba woń rozkładu. Drzwi do lodowni były uchylone; w świetle padającym zza nich było widać wylewającą się z wnętrza zimną mgiełkę.

- Werner! - zawołał Philips. Jego głos odbił się echem w starej, wyłożonej płytkami sali. Odpowiedzi nie było. Philips wszedł do środka, a drzwi zamknęły się natrętnie za nim. - Werner!

Ciszę przerywał jedynie odgłos wody ciurkającej z kranu. Philips

podszedł ostrożnie do lodowni i zajrzał do środka. Werner siłował się z jednym z ciał. Najwidoczniej spadło z wózka noszowego, ponieważ

pracownik kostnicy starał się niezgrabnie wepchnąć sztywne białe zwłoki z powrotem. Przydałaby mu się pewnie pomoc, Philips jednak zadowolili się przyglądaniem się zmaganiom z ciałem. Kiedy Wernerowi udało się wsunąć je na wózek, Martin wszedł do wnętrza lodowni.

- Werner! - głos Martina miał drewnianą tonację.

Pracownik kostnicy ugiął kolana i uniósł dłonie jak zwierzę z dżungli szykujące się do ataku. Philips poczuł przerażenie.

- Chcę z panem porozmawiać - powiedział. Zdecydował się przybrać autorytatywną pozę, jego głos zabrzmiał jednak słabo. Hart

150

ducha zniknął w otoczeniu zmarłych. - Rozumiem pana położenie i nie chcę sprawiać kłopotów, chciałbym się jednak dowiedzieć od pana kilku rzeczy.

Rozpoznawszy Philipsa, Werner odprężył się, nie ruszył się jednak z miejsca. Jego spieszny oddech wydobywał się w postaci niewielkich kłębow oparu.

- Muszę odnaleźć mózg Lisy Marino. Nie obchodzi mnie, kto go zabrał ani z jakich powodów. Chcę jedynie rzucić na niego okiem, bo jest mi potrzebny do badań naukowych.

Werner stał jak posąg. Gdyby nie para z oddechu, można by go potraktować jak jedne ze zwłok.

- Proszę posłuchać, zapłacę - rzekł Martin. Jeszcze nikogo w życiu nie przekupywał.

- Ile? - spytał Werner.

- Sto dolarów.

- Nic nie wiem o żadnym mózgu.

Philips spojrział na kamienne rysy Wenera. W tych okolicznościach czuł się bezradny.

- No dobrze, proszę do mnie zadzwonić na radiologię, jeśli pan sobie coś przypomni. - Odwrócił się i wyszedł równym krokiem z kostnicy, w połowie drogi do windy zerwał się jednak do biegu.

Wszedłszy na ganek bloku Denise, Martin przystanął koło tabliczek

z nazwiskami lokatorów. Wiedział mniej więcej, gdzie znajduje się jej tabliczka, jej odnalezienie zawsze mu jednak zajmowało kilka chwil.

Po naciśnięciu czarnego guzika odczekał na brzęczyk aparatu otwierającego drzwi wejściowe.

W środku pachniało tak, jak gdyby wszyscy jedli na kolację sałatkę

z cebuli. Philips ruszył po schodach. Była i winda, jeśli jednak nie

znajdowała się akurat na parterze, czekanie na nią zabierało zbyt dużo czasu. Denise mieszkała na drugim piętrze, a Martin nie miał oporów

wobec chodzenia po schodach. Na ostatnim półpiętrze dotarło do

niego jednak, jak bardzo jest znużony. Miał za sobą ciężki, szarpiący nerwy dzień.

Denise uległa kolejnej metamorfozie. Nie wyglądała już na zmę-

czoną; powiedziała, że po kąpieli zdrzemnęła się trochę. Zdjęła zapinkę z lśniących włosów, opadających teraz łagodnymi falami. Miała na

sobie różową kamizelkę z atłasu i pasujące do niej obcisłe spodnie,

pozostawiające wyobraźni tyle, ile potrzeba. Znużenie Martina częś-

ciowo ustąpiło. Zawsze go zdumiewało, z jaką łatwością Denise

zrzucała oficjalną szpitalną pozę, choć rozumiał, że była dostatecznie pewna swych zdolności intelektualnych, iż mogła pozwolić sobie na

pobłażanie kobiecym fantazjom. Rzadko spotykał się z równie wspa-
niałą równowagą.

Uścisnęli się w wejściu, po czym bez słowa przeszli, trzymając się
pod ramię, do sypialni. Martin pociągnął ją na łóżko. Z początku
jedynie z zachwytem ulegała jego zapalom. Później przyłączyła się do
niego z równą namiętnością, dopóki nie nasycili się aż do wyczer-
pania.

Przez jakiś czas leżeli koło siebie, ciesząc się swoją bliskością
i pragnąc zachować w myślach zadowolenie, jakie sobie dali. W końcu
Martin podparł się na łokciu i-przesunął palcami po jej delikatnie
ukształtowanym nosie i wargach.

- Uważam, że ten związek całkowicie wymyka się nam spod
kontroli - powiedział z uśmiechem.

- Zgadza się.

- Stwierdziłem objawy już parę tygodni temu, ale dopiero od
dwóch dni jestem pewny diagnozy. Jestem w tobie zakochany,
Denise.

Dla Denise te słowa nigdy nie mogły mieć większego, pełniejszego
znaczenia. Martin nigdy wcześniej nie mówił o miłości, choć powiedział
jej, ile dla niego znaczyła.

Pocałowali się delikatnie. Wypowiedziane słowa nie były potrzebne,
dodały jednak nowego wymiaru ich bliskości.

- Aż się boję przyznać do tej miłości - powiedział Martin po

paru chwilach. - Medycyna zniszczyła mój poprzedni związek

i obawiam się, że może zrobić to znowu.

- Nie sędzę.

- Ale ja owszem. Medycyna ma zwyczaj czynić z człowieka zakładnika, żądając coraz większego okupu.

- Wiem, czego wymaga.

- Nie jestem pewny. Jeszcze nie - powiedział Martin. Wiedział,

że jego słowa brzmią protekcyjnie, miał jednak świadomość, iż na

tym etapie kariery zawodowej Denise Sanger trudno byłoby ją

przekonać, że jeśli się jest zastępcą ordynatora, to medycyna staje się takim samym szczerzym wyścigiem jak większość innych profesji.

Poza tym bardzo świeżo tkwiło mu w myśli ostrzeżenie Goldblatta,

więc zmartwienie nie miało charakteru hipotetycznego.

- Myślę, że rozumiem więcej, niż ci się wydaje - powiedziała

Denise. - \$- Uważam, iż zmieniłeś się od rozvodu. Sędzę, że przedtem

żywiłeś fałszywe przekonanie, iż spełnienie w pracy zawodowej pozwoli 152

ci również spełnić się jako mężczyźnie. Myślę, że teraz to się zmieniło.

Wierzę, że uświadomiłeś sobie, iż znacznie większe zadowolenie sprawi ci radość czerpana ze stosunków międzyludzkich.

Zapadła cisza. Martin był zaskoczony zarówno przenikliwością

Denise, jak własną podatnością na nią. Milczenie przerwała Denise.

- Jedyne, czego nie potrafię zrozumieć, to tego: dlaczego,

jeśli zamierzasz żyć pełniej poza szpitalem, nie popuścisz z badaniami?

- Bo to klucz do mojej wolności - powiedział Martin, przytulając

ją do siebie. - Stałaś się moją obietnicą zaspokojenia, a po badaniach spodziewam się, że dadzą mi więcej czasu z tobą, a jednocześnie to,

czego chcę od medycyny.

Pocałowali się, odczuwając płynące z bliskości poczucie bezpieczeństwa. Lecz gdy leżeli w swoich ramionach, zaczęli odczuwać znużenie, obydwójce wiedzieli, że powinni iść spać.

Denise poszła umyć zęby, a Martin zamyślił się nad tajemniczym

zniknięciem Lynn Annę Lucas. Spojrzawszy na zamknięte drzwi do

łazienki, zdecydował się błyskawicznie zadzwonić do szpitala. Przypo-

mniał pielęgniarkę, że Lynn Annę była tą pacjentką, którą przeniesiono natychmiast po przyjęciu. Siostra pamiętała ją, ponieważ po dziewczynę przyjechano natychmiast po tym, jak zakończyła wypełniać jej papiery.

Martin zapytał, czy pielęgniarka przypomina sobie, dokąd została

przeniesiona pacjentka. Nie pamiętała. Philips podziękował jej i odłożył

słuchawkę.

Wrócił do łóżka i przytulił się do pleców Denise, miał jednak

kłopoty z zaśnięciem. Zaczął opowiadać o niesamowitych przeży-

ciach z pozamykanymi w klatkach małpami z elektrodami po-

wtykanymi w głowy. Spytał Denise, czy uważa, że informacje, które

w ten sposób uzyskuje Mannerheim, są tego warte. Zasypiająca

Denise odpowiedziała jedynie niewyraźnym pomrukiem. Rozbudzo-

ny umysł Martina przeskoczył zaś z powrotem do wizyty w przycho-

dni ginekologicznej.

- Słuchaj, byłaś kiedyś w szpitalnej przychodni ginekologicz-

nej? - Podparł się na łokciu, przez co Denise przetoczyła się na plecy, co wytrąciło ją ze snu.

- Nie, nie byłam,

- Poszedłem tam dzisiaj. Wywarła na mnie dziwne wrażenie.
- To znaczy?
- Bo ja wiem? To trudno określić, ale przecież nie byłem w wielu przychodniach ginekologicznych.

153

- Można się w nich setnie ubawić - powiedziała sarkastycznie Denise, odwracając się plecami do Martina.
- Wyświadczyłabyś mi przysługę i zajrzała tam?
- Jako pacjentka?
- Nieważne. Chciałbym tylko dowiedzieć się, co sądzisz o jej personelu.
- Hmm, trochę się spóźniłam z doroczną kontrolą. Myślę, że mogę ją przejść i tam. Dobrze, umówię się jutro na wizytę.
- Dzięki - powiedział Martin, wreszcie układając się do snu.

ROZDZIAŁ 10

Minęła siódma, gdy Denise obudziła się i złapała za zegarek.

Przeraziła się, że jest tak późno. Przyzwyczaiała się, iż Martin wstawał przed szóstą, i nie nastawiała budzika, gdy zostawał u niej na noc.

Odrzuciła pościel, zerwała się z łóżka i wskoczyła pod prysznic. Philips otworzył oczy na czas, by dostrzec jeszcze jej nagi grzbiet znikający w korytarzyku - cudowny widok na rozpoczęcie dnia.

Ze strony Martina zaspanie było rozmyślnym gestem przekory wobec dawnego życia. Przeciągnął się swobodnie w łóżku. Pomyślał, czyby nie zasnąć ponownie, zdecydował jednak, że wspólny prysznic z Denise to lepszy pomysł.

Okazało się, że Denise już prawie skończyła i nie była w nastroju

do figłów. Wszedłszy do kabiny prysznic, zagroził jej drogę.

Przypomniała mu z rozdrażnieniem, że musiała o ósmej zaprezentować klisze na kominku radiologicznym.

- Nie będziemy się kochać? - powiedział udawanie żalonym głosem Martin. - Dam ci zwolnienie lekarskie na spóźnienie.

Denise zawinęła głowę Martina w swój wilgotny ręcznik i wyszła na matę kąpielową. Wycierając się do sucha, powiedziała do Martina poprzez odgłos lejącej się wody:

- Zrobię kolację, jeśli skończysz dziś o przyzwoitej godzinie.

- Nie biorę żadnych łąpówek! - zawołał Martin. - Dowiem się,

co na patologii ustalili na moich preparatach z mózgu Ellen McCarthy, zrobię też TK i politomografię Kristin Lindquist. Poza tym muszę

przerzucić trochę starych klisz przez komputer. Na dziś badania mają dla mnie klauzulę najwyższego uprzywilejowania.

- Uparciuch - skomentowała Denise.

- Muszę - powiedział Martin.

155

- Kiedy chcesz, żebym poszła do przychodni ginekologicznej?

- Kiedy tylko będziesz mogła.

- Dobrze, umówię się na jutro.

Gdy Denise włączyła suszarkę do włosów, rozmowa stała się niemożliwa. Philips wyszedł spod prysznic i ogolił się jedną z jej żyletek. Obydwoje musieli zataczać skomplikowany taniec we wnętrzu ciasnej łazienki.

Gdy Denise nachyliła się do lustra, by nałożyć cienie na powieki,

zapytała:

- Jak sądzisz, co powoduje te zmiany zacielenia na radiogramach?

- Naprawdę nie wiem - powiedział Philips, usiłując poskromić grzywę jasnych włosów. - Dlatego właśnie dałem skrawki patologom.

Denise odchyliła się, by ocenić skutek swych starań.

- Wygląda na to, iż odpowiedź na to pytanie prędzej okaże się pierwszym krokiem do powiązania tych zmian z konkretną jednostką chorobową niż strzelanie w ciemno, że to na przykład stwardnienie rozsiane.

- Masz rację - powiedział Philips. - Na pomysł, że to stwardnienie rozsiane, wpadłem po przeczytaniu kart. Rzeczywiście strzelałem na chybił trafił. Jednak wiesz co? Właśnie podrzuciłaś mi kolejny pomysł.

Philips przeszedł tunelem do starego budynku akademii medycznej.

Wejście od ulicy już dawno temu opieczętowano. Wspinając się po schodach do holu, odczuwał niespodziewany sentyment do czasów,

gdy w przyszłości nie kryło się nic prócz obietnic. Przystanął, kiedy dotarł do znajomych, ciemnych, drewnianych drzwi, obitych kwadratami starej czerwonej skóry. Tabliczkę ze starannie wykaligrafowa-

nym napisem AKADEMIA MEDYCZNA profanowała krzywo przy-

bita deska, do której przyczepiono pinezkami kartonową planszę

głoszącą: "Akademia Medyczna przeniesiona do budynku im. Burgera".

Za czcigodnymi starymi drzwiami znajdowało się wnętrze w stadium rozkładu. Stary hol został uprzątnięty, dębową boazerię sprze-

dano na licytacji. Pieniądze na remont skończyły się, nim jeszcze dokończono niszczenia starego wystroju.

Martin podążył ścieżką, uprzątniętą z odłamków tynku i śmieci, ciągnącą się koło budki, w której niegdyś udzielano informacji, i po

156

wijących się łukiem schodach. Spoglądając z góry, widział bramę od ulicy. Jej wieże skończono łańcuchem.

Philips zmierzał do Auli im. Barrowa. Na jej drzwiach widniał obecnie nowy napis: WYDZIAŁ NAUK CYBERNETYCZNYCH; DZIAŁ SZTUCZNEJ INTELIGENCJI. Otworzył drzwi i spoglądając znad metalowych rur poręczy, popatrzył w głąb auli.

Siedzenia usunięto, a na półkolistej widowni w rozmaitych odstępach rozstawiono różne urządzenia. Na podium stały dwa zespoły komputerów, z grubsza przypominające procesor zainstalowany w gabinecie Martina. Przy jednym z nich pracował młody mężczyzna w fartuchu z krótkimi rękawami. W jednej dłoni trzymał lutownicę, a w drugiej lut.

- W czym mogę pomóc?! - zawołał.

- Szukam Williama Michaela! - odkrzyknął Martin.

- Nie przyszedł jeszcze. - Mężczyzna odłożył swe narzędzia

i podszedł do Philipa. - Chce pan mu przekazać jakąś wiadomość?

- Proszę mu tylko powiedzieć, żeby przedzwonił do doktora

Philipa.

- To pan jest doktorem Philipem? Miło mi pana poznać.

Nazywam się Carl Rudman, jestem jednym z absolwentów pracujących

z panem Michaelsem. - Rudman wystawił rękę przez rury poręczy.

Philips chwycił ją, rozglądając się po imponujących urządzeniach.

- Nieźle macie wyposażenie. - Martin jeszcze nigdy nie był

w laboratorium komputerowym i nie miał pojęcia, że może w nim być

tak wiele sprzętu. - Dziwnie się tu czuję - przyznał. - Studiowałem

w tej akademii, a w tej sali w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym

pierwszym miałem wykłady z mikrobiologii.

- No cóż, przynajmniej dobrze ją wykorzystujemy - powiedział

Rudman. - Prawdopodobnie nigdzie nie dostalibyśmy miejsca, gdyby

nie skończyły się pieniądze na renowację. Ponieważ nikt się tu nie

kręci, idealnie się tu pracuje z komputerami.

- Nikt nie ruszał laboratoriów mikrobiologicznych z tyłu auli?

- Na pewno. Wykorzystujemy je na banki danych, są idealnie

odizolowane. Na pewno nie ma pan pojęcia, jak wiele szpiegostwa

uprawia się w świecie komputerów.

- Zgadza się - powiedział Philips. W tej samej chwili natarczywie

zaczął brzęczeć jego komunikator. Wyłączył go i zapytał: - Wie pan

coś o programie odczytującym radiogramy czaszek?

- Oczywiście. To nasz prototypowy program z zakresu sztucznej

inteligencji. Wszyscy gadamy tylko o tym.

- Hmm, może zdoła pan odpowiedzieć mi na takie pytanie: czy

nienia kliszy? Chciałem o to zapytać Michaela.

- Oczywiście. Proszę tylko wydać komendę komputerowi. Zrobi prawie wszystko, z wyjątkiem wyczyszczenia panu butów.

O ósmej piętnaście na patologii wrzał ruch. Długi stół laboratoryjny z mikroskopami szczelnie obsiedli asystenci. Od piętnastu minut przybywały mrożone wycinki z chirurgii. Martin znalazł Reynoldsa w jego gabinecie przed wyrafinowanym mikroskopem zaopatrzonym w trzydziestopięciomilimetrową kamerę, pozwalającą filmować wszystko, na co się patrzyło.

- Masz minutę? - zapytał Martin.

- Pewnie. Prawdę mówiąc właśnie patrzyłem na jeden z preparatów, które tu przytachałeś wczoraj wieczór. Benjamin Barnes podrzucił mi je rano.

- Bardzo miły facet - powiedział sarkastycznie Martin.

- Maruda, ale wyśmienity patolog. Poza tym lubię go mieć pod ręką. W porównaniu z nim czuję się chudzielcem.

- Znalazłeś coś na szkiełkach?

- Bardzo interesujące rzeczy. Chciałbym, by popatrzył na to ktoś

z neuropatologii, bo nie mam pojęcia, o co tu chodzi. Ogniskowe

widać komórki nerwowe z silnie barwiącymi się jądrami w stanie

rozpadu, a same komórki są zdeformowane. W niektórych miejscach

zaś widać tylko puste miejsca po neuronach. Odczyn zapalny jest nikły lub żaden. Najciekawsze jest jednak to, iż ubytki neuronów przebiegają w wąskich kolumnach prostopadłych do powierzchni mózgu. Nigdy

nie widziałem niczego podobnego.

- Próbowałaś z różnymi barwieniami? Dały coś?

- Nic. Żadnego wapnia ani metali ciężkich, jeśli o to ci chodzi.

- Więc nie znalazłeś nic, co mogłoby uwidocznić się na radiogramie? - zapytał Philips.

- Absolutnie nic - odpowiedział Reynolds. - Na pewno nie

były w stanie dokonać tego sznury obumarłych komórek. Barnes powiedział, że wspominałeś o stwardnieniu rozsianym. Nie da rady.

Nie ma żadnych zmian w mielinie.

- Jeśli miałbyś wysunąć jakąś diagnozę, co zaproponowałbyś?

- Byłoby ciężko. Chyba jakiś wirus, ale nie dałbym za to głowy.

Te szkiełka wyglądają dziwnie.

158

Gdy Philips wrócił do gabinetu, Helen czekała na niego, zastawiw-

szy prawdziwą zasadzkę. Poderwała się na jego widok i spróbowała

mu zagrozić drogę z garścią korespondencji i przekazanych telefonicznie wiadomości. Philips jednak, nie przestając się uśmiechać, zamar-

kował zwód w lewo i wyminął ją z prawej strony. Noc spędzona

z Denise całkowicie go odmieniła.

- Gdzie się pan podziewał, doktorze? Dochodzi dziewiąta. -

Helen zaczęła przekazywać mu nowe wieści, podczas gdy Martin

grzebał na biurku w poszukiwaniu rentgenogramów Lisy Marino.

Znalazł je pod historiami chorób, wsadzonymi z kolei pod wydruk

listy pacjentów, którym robiono zdjęcia czaszki. Wetknąwszy klisze

pod ramię, Martin włączył komputer. Zirytował Helen tym, że nie

zważając na nią zaczął stukać w klawiaturę. Poleciał urządzeniu

wyświetlić podprogram interpretujący różnice zacięnienia.

- Sekretarka doktora Goldblatta dzwoniła dwa razy - powiedziała Helen. - Ma pan tam zadzwonić natychmiast po przybyciu.

Drukarka ożyła i zadała Martinowi pytanie, czy życzy sobie wersji analogowej czy także i cyfrowej? Martin nie miał pojęcia, więc poprosił o obie. Drukarka wystukała prośbę o wprowadzenie kliszy.

- Dzwonił również doktor Clinton Clark, ordynator oddziału ginekologicznego. Nie sekretarka, lecz on sam we własnej osobie - brzęczała Helen. - Zdawało się, że jest bardzo zły. Chce, by pan do niego zadzwonił. Dyrektor Drake również.

Drukarka ożyła ponownie i zaczęła wypluwać stronę po stronie wypełnione cyframi. Philips utkwiał w nich wzrok z narastającym oszołomieniem. Wyglądało to tak, jakby maszynka doznała załamania nerwowego.

Helen podniosła głos, współzawodnicząc z szybkim staccatem drukarki.

- Dzwonił William Michaels i przepraszał, że nie zastał go pan podczas swej nie zapowiedzianej wizyty. Prosił, by pan do niego oddzwonił. Telefonowano również z Houston w sprawie przewodniczenia sekcji podczas krajowego zjazdu radiologów. Twierdzą, że muszą mieć dzisiaj odpowiedź. Zobaczmy, co tam jeszcze.

Podczas gdy Helen kartkowała swoje zapiski, Martin przeglądał niepojęte wydruki wypełnione tysiącami cyfr. Drukarka wreszcie skończyła wydruk i wykreśliła schemat boczego zdjęcia czaszki, na

którym różne pola były przedstawione w postaci cyfr. Philips zdał sobie sprawę, że za pomocą tego schematu może odnaleźć w wydruku części odpowiadające różnym polom czaszki. Okazało się jednak, iż drukarka nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. Zaczęła drukować

159

schematy różnych pól czaszki, na których różnice zacielenia przedstawione były w cyfrowej skali szarości. Był to wydruk analogowy, w którym łatwiej się było zorientować.

- A, tak - powiedziała Helen. - Druga sala angiografii

będzie nieczynna cały dzień, ponieważ instalują w niej nowy podajnik kaset.

W tym momencie Martin już w ogóle jej nie słuchał. Porównując

pola na wydruku analogowym, zauważył, że patologiczne obszary

wykazują ogólnie mniejsze zacielenie niż przyległe pola zdrowe. Było to dla niego niespodzianką, choć bowiem zdawał sobie sprawę, że

zmiany są subtelne, wydawało mu się błędnie, iż zacielenie tych pól

jest jednak większe. Spoglądając na wydruk cyfrowy, zorientował się

dłaczego. W postaci scyfrowanej różnice między liczbami określającymi pola zdrowe i patologiczne znacznie się różniły; dlatego właśnie

pomyślał, że na zdjęciu mogą się uwidaczniać złogi wapnia lub innych

radiologicznie gęstych substancji. Urządzenie jednak stwierdziło, iż

pola patologiczne były przejrzystsze, czyli o mniejszym zacieleniu, co oznaczało, że promienie rentgenowskie łatwiej przez nie przechodziły.

Philips pomyślał o martwicy komórek nerwowych, którą stwierdzono

na patologii, zdecydowanie jednak nie wystarczała ona do wyjaśnienia

różnicy w pochłanianiu promieni rentgenowskich. Była to zagadka,

której Martin nie potrafił wyjaśnić.

- Popatrz na to - powiedział, pokazując Helen cyfrowy wydruk.

Helen skinęła głową, udając, że rozumie.

- Co to oznacza? - spytała.

- Nie wiem, chyba że... - Martin urwał w pół zdania.

- Chyba że co? - spytała Helen.

- Daj mi nóż, jakikolwiek - w głosie Martina zabrzmiało podniecenie.

Helen wyjęła nożyk ze słoika z masłem orzechowym, zastanawiając

się nad niezwykłym zachowaniem swojego szefa. Kiedy wróciła do

gabinetu, zakrztusiła się, nie przygotowana na to, co ujrzała. Martin wyjmował właśnie ludzki mózg ze słoja z formaliną. Gdy położył go

na gazecie, jego zwoje zaśniły w poświacie padającej z negatoskopu.

Zwalczając mdłości, Helen podeszła do szefa, który wyciął z mózgu

nierówny skrawek. Wrzucił mózg z powrotem do słoja z formaliną

i skierował się ku drzwiom ze skrawkiem na gazecie.

- Czeka też na pana w sali mielografii żona doktora Thomasa -

powiedziała Helen słabo, gdy zorientowała się, że Martin wychodzi.

Martin nie odpowiedział. Przeszedł szybko do ciemni. Przystoso-

wanie się do mętnego światła zabrało jego oczom parę minut. Kiedy

160

zorientował się już w otoczeniu, wyjął nie naświetloną kliszę, położył

na niej skrawek mózgu i wsadził na najwyższą półkę. Zakleił szafkę

taśmą i doczepił kartkę: Nie wywołany film. Nie otwierać! Dr Philips.

Denise zadzwoniła do przychodni ginekologicznej po kominku

radiologicznym. Zdecydowawszy, że lepiej jej się powiedzie, jeśli nie poda swego zawodu, powiedziała jedynie, że pracuje w akademii.

Zaskoczyło ją, gdy rejestratorka kazała jej zaczekać. Kiedy słuchawkę przejęła następna osoba, zaskoczyła Denise ilością informacji, których sobie od niej zażyczyła przed wyznaczeniem wizyty w przychodni.

Nalegano, by prócz wywiadu ginekologicznego podała wszystkie istotne dane dotyczące jej stanu zdrowia, nawet neurologiczne.

- Bardzo będzie nam miło przyjąć panią - powiedziała w końcu

kobieta. - Mamy jeszcze dziś po południu okienko.

- Niestety, nie zdołam przyjść - powiedziała Denise. - A jutro?

- Świetnie - odrzekła kobieta. - O jedenastej czterdzieści pięć,

dobrze?

- Doskonale - powiedziała Denise. Odwieszając słuchawkę

zastanowiła się, dlaczego Martin wykazywał podejrzliwość wobec przychodni. Jej pierwsze wrażenie było bardzo pozytywne.

Nachylając się nad zawieszoną na negatoskopie mielografią, Martin próbował ustalić, co zrobił chirurg z kręgosłupem pani Thomas.

Wyglądało na to, że przeszła rozległą laminektomię czwartego kręgu lędźwiowego.

W tym momencie drzwi do gabinetu Martina otworzyły się i do

środka jak burza wtargnął gniewny Goldblatt. Okulary siedziały na

samym koniuszku nosa jego zarumienionej twarzy. Martin obrzucił go

pobieżnym spojrzeniem i wrócił do radiogramu.

Lekceważenie jedynie nasiliło furję Goldblatta.

- Pańska bezczelność jest zdumiewająca! - warknął.

- Mam wrażenie, że wpadł tu pan bez pukania, doktorze. Szanuję

pański gabinet i mam nadzieję, iż będzie się pan tak samo zachowywał w stosunku do mojego.

- Nie zasługuje pan na takie względy po tym, jak pan ostatnio traktuje prywatną własność. Mannerheim dodzwonił się do mnie o bladym świcie z wieścią, że włamał się pan do jego laboratorium i ukradł okaz. Zgadza się?

- Pożyczyłem go - powiedział Philips.

161

- Pożyczył go pan. O Jezus! - wykrzyknął Goldblatt. - A wczoraj pożyczał pan zwłoki z kostnicy. Co pana, do diabła, napadło, Philips? Chce pan popełnić zawodowe samobójstwo? To niech mi pan to powie. Obydwóm będzie nam łatwiej.

- To wszystko? - zapytał Martin z wykalkulowanym spokojem.

- Nie! Nie wszystko! - krzyknął Goldblatt. - Clinton Clark dzwonił do mnie, że nęka pan w przychodni jednego z jego najlepszych asystentów. Zwariował pan, Philips?! Jest pan neuro-radiologiem! I gdyby nie był pan tak dobry, wyleciałby pan stąd w trymiga!

Philips nie odpowiedział.

- Kłopot polega na tym, że jest pan wybitnym radiologiem - powiedział Goldblatt. - Niech pan posłucha, Martin, spuść pan trochę z tonu na jakiś czas, dobrze? Wiem, że Mannerheim potrafi zaleźć człowiekowi za skórę. Niech pan mu nie wchodzi w drogę i, na miłość boską, niech pan nie zakrada się do jego laboratorium! Facet

nie lubi, jak się tam kręci ktokolwiek obcy, zwłaszcza po nocy.

Po raz pierwszy od wejścia spojrzenie Goldblatta poblądziło po zabałaganionym gabinecie Philipisa. Szczęka powoli opadła mu w bezbrzeżnym zdumieniu. Odwrócił się z powrotem do Philipisa i przez chwilę wpatrywał się w niego w milczeniu.

- W zeszłym tygodniu jeszcze cudownie radził sobie pan w pracy.

Od początku szykowano pana na szefa tego oddziału. Chcę, żeby pan stał się tym samym starym doktorem Martinem Philipsem. Nie rozumiem pańskiego ostatniego zachowania i nie mam pojęcia,

dłaczego w pańskim gabinecie panuje taki bajzel, ale mówię panu, jeśli nie weźmie się pan w garść, będzie musiał pan sobie poszukać innej

pracy, doktorze! - Goldblatt obrócił się na pięcie i wymaszerował z gabinetu.

Philips spoglądał za nim w milczeniu. Nie wiedział, czy ma się gniewać, czy śmiać. Mimo wszelkich rozważań o uniezależnieniu się myśl o wyrzuceniu z pracy przeraziła go. W rezultacie Martin wpadł

w szał aktywności. Obiegł cały oddział, sprawdzając, jak idą wszystkie zabiegi, w razie potrzeby udzielając stosownych wskazówek. Odczytał

wszystkie poranne klisze, których jeszcze nie opracowano. Następnie osobiście przeprowadził angiografię w problematycznym przypadku,

ostatecznie rozstrzygając, że pacjent nie potrzebuje zabiegu operacyjnego. Zebrał z powrotem studentów medycyny i dokończył wykład

o tomografii, pozostawiając ich albo w podziwieniu, albo w stanie

ostatecznego oszołomienia - zależnie od stopnia ich koncentracji.

W przerwach zaganiał Helen do odpowiadania na wszelką korespon-

dencję i wysłuchiwał wiadomości, które nazbierały się w ciągu ostatnich dni. Na dodatek kazał którejś z sekretarek oddziału usystematyzować

zwalone w gabinecie klisze, a po południu przepuścił przez komputer sześćdziesiąt zdjęć, porównując je z poprzednimi odczytami. Program sprawował się wyśmienicie.

O trzeciej trzydzieści wytknął głowę z gabinetu i zapytał Helen, czy dzwoniła Kristin Lindquist. Helen pokręciła przecząco głową. Przeszedł po salach z aparatami rentgenowskimi, znalazł Kennetha Robbinsa i spytał go, czy dziewczyna pokazała się. Odpowiedź była również przecząca.

Do czwartej po południu Martin przepuścił przez komputer jeszcze sześć starych zdjęć. Raz jeszcze maszyna okazała się lepsza od niego, wykrywając ślady zwapnień sugerujące nowotwór zwany oponiakiem.

Przyglądając się kliszy, Martin musiał przyznać rację komputerowi.

Odłożył zdjęcie, by sprawdzić, czy Helen udało się skontaktować z dziewczyną.

O czwartej piętnaście Helen dodzwoniła się pod numer podany przez Kristin Lindquist. Telefon odebrała po drugim dzwonku jej koleżanka z pokoju.

- Przykro mi, panie doktorze, ale nie widziałam Kristin, odkąd poszła do Metropolitan Museum. Nie było jej na zajęciach ani o jedenastej, ani o pierwszej piętnaście. To do niej niepodobne.

- Spróbowałaby pani ją znaleźć i dać mi znać o wynikach? - spytał Philips.

- Bardzo chętnie. Prawdę mówiąc trochę się o nią martwię.

Za kwadrans piąta Helen weszła do gabinetu Martina z całodzienną korespondencją do podpisu, by mogła ją wysłać po drodze do domu.

Parę minut po wpół do szóstej wpadła Denise.

- Wygląda na to, że jakoś dochodzisz do ładu - powiedziała, z uznaniem rozglądając się po gabinecie.

- To tylko pozory - powiedział Martin.

Laserowy czytnik wyrwał mu kliszę z dłoni. Zamknął drzwi i przytulił Denise do siebie. Nie chciał jej wypuścić z objęć. Gdy wreszcie musiał to zrobić, spojrzała na niego i powiedziała:

- Rany, czym sobie na to zasłużyłam?

- Myślałem o tobie cały dzień, rozpamiętywałem ubiegłą noc.

Desperacko chciał z nią porozmawiać o lękach, które rozbudził

Goldblatt, chciał jej powiedzieć, że marzy o tym, by została z nim na resztę życia. Kłopot polegał na tym, iż nie miał czasu tego przemyśleć, a bez względu na to, jak bardzo chciał się z nią wszystkim podzielić, czuł, że musi przynajmniej krótko przetrwać to w samotności. Kiedy

163

przypomniała mu o obietnicy, iż zrobi kolację, zawahał się. Widząc jej urażoną minę, powiedział:

- Myślałem tylko, że jak się rozpędzę i wrzucę dziś do komputera sporo zdjęć, damy radę wyjechać w sobotę wieczór na wyspę.

- To byłoby cudowne - powiedziała ułagodzona Denise. - Aha, przy okazji, dodzwoniłam się do przychodni i umówiłam się na jutro.

- Dobrze. Z kim rozmawiałaś?

- Nie mam pojęcia. W każdym razie byli bardzo mili i jak mogli, szli mi na rękę. Słuchaj, przyjdiesz, jeśli uda ci się w miarę wcześniej skończyć?

Minęła mniej więcej godzina od wyjścia Denise, kiedy zjawił się

Michaels, zachwycony, iż Martin wreszcie zabrał się poważnie do pracy nad programem. Spytał, jak idzie.

- Jak w dowcipie: wyglądam przez okno, a tam przechodzi ludzkie pojęcie - powiedział Martin. - Nie było ani jednego fałszywie ujemnego wyniku.

- Bajecznie - odrzekł Michaels. - Może zaszliśmy dalej, niż nam się wydawało.

- Z pewnością na to wygląda. Jeśli tak dalej pójdzie, będziemy mieli na początku jesieni w pełni sprawdzony, gotowy do wypuszczenia na rynek program. Moglibyśmy przedstawić go na krajowym zjeździe radiologów. - Myśli Martina galopowały, kreśląc przed nim wizje wrażenia, jakie by wywarł. Sprawilo to, że chybotliwość jego pozycji zawodowej, którą usiłowano mu dziś wmówić, wydawała się śmieszna.

Po wyjściu Michaela Martin wrócił do pracy. Wymyślił znacznie usprawniający robotę system wprowadzania klisz do czytnika. Coraz bardziej go niepokoiło jednak niezjawienie się Kristin Lindquist.

Początkową irytację z faktu, iż nie można było na niej polegać, zastąpiło uczucie troski. Byłoby aż nazbyt niewiarygodne, gdyby i jej stało się coś, co uniemożliwiłoby wykonanie kolejnych zdjęć.

Okolo dziewiątej Martin ponownie wykręcił numer Kristin. Jej koleżanka odpowiedziała po pierwszym sygnale.

- Przepraszam, panie doktorze, powinnam była zadzwonić, ale nigdzie mi się nie udało znaleźć Kristin. Nikt jej nie widział przez cały dzień. Dzwoniłam nawet na policję.

Philips odłożył słuchawkę, starając się zaprzeczyć rzeczywistości wmawianiem sobie, że to nieprawda. Niemożliwe... Lisa Marino,

Lynn Annę Lucas, Katherine Collins, Ellen McCarthy, a teraz Kristin Lindquist! Nie, to nieprawdopodobne, niedorzeczne. Nagle przypomniał sobie, że nikt do niego nie oddzwonił z rejestracji przyjęć. Był zaskoczony, iż na jego telefon odpowiedziano już po czwartym sygnale.

164

Dowiedział się jednak, że kobieta, która zajmowała się tym przypadkiem, wyszła o piątej i będzie uchwytana dopiero następnego dnia o ósmej, a nikt inny nie był w stanie mu pomóc. Grzmotnął słuchawkę na widełki.

- Cholera! - burknął i wstał rozprostować nogi. Spacerując po gabinecie, przypomniał sobie o wycinku mózgu Ellen McCarthy, który schował w ciemni.

Gdy do niej dotarł, musiał odczekać, aż technik skończy wywoływać klisze z izby przyjęć. Jak tylko technik wyszedł, Martin otworzył szafkę i wyjął kliszę ze skrawkiem mózgu, który zdążył już wyschnąć.

Nie wiedząc, co z nim zrobić, w końcu zdecydował się wyrzucić go do kosza na śmieci. Kliszę włożył do wywoływacza.

Stojąc na korytarzu przy szczelinie, w której powinien pojawić się wywołany film, rozmyślał, czy zniknięcie Kristin można było potrak-

tować jako jeszcze jeden przypadek. Jeśli zaś nie, co to oznaczało? Co ważniejsze, co powinien w takim razie zrobić?

W końcu zdjęcie wypadło do skrzyneczki. Martin spodziewał się, że klisza będzie całkowicie czarna, kiedy jednak włożył ją na negatoskop, doznał wstrząsu.

- Jezu Chryste! - szepnął i otworzył usta z niedowierzania.

Na kliszy widać było przejrzyste miejsce dokładnie odpowiadające kształtem skrawkowi mózgu. Istniała tylko jedna możliwa przyczyna takiego stanu rzeczy. Promieniowanie! Jasne pole na kliszy spowodowała znaczna dawka promieniowania.

Przez całą drogę do pracowni medycyny jądrowej Martin biegł.

W laboratorium przy betatronie znalazł, czego szukał: detektor promieniowania i sporych rozmiarów kasetę w ołowianej osłonie.

Zdołał ją dźwignąć, ale nie miał zamiaru nieść jej przez całą drogę, więc postawił ją na wózku noszowym.

Pierwszym przystankiem był jego gabinet. Słój z mózgiem był

zdecydowanie gorący, włożył go więc do ołowianej kasety, wdziawszy

gumowe rękawiczki. Znalazł również gazetę, na której stał, i ją także schował. Tak samo postąpił z nożem, którym odciął skrawek tkanki.

Następnie za pomocą detektora sprawdził gabinet. Był czysty.

Zawróciwszy do ciemni, wywalił do kasety zawartość kosza na

śmieci, po czym skontrolował pusty kosz. Wrócił do gabinetu, ściągnął

rękawiczki, wrzucił je do kasety i zabezpieczył ją. Jeszcze raz sprawdził

gabinet. Ku swemu zadowoleniu stwierdził jedynie niewielkie nasilenie promieniowania. Potem wyjął dozymetr, który nosił przyczepiony do

pasa, i przygotował go do wywołania. Chciał wiedzieć dokładnie, jaką

dawkę promieniowania pochłonął od słoja z okazem.

165

Przez cały czas gorączkowej krzątaniny starał się powiązać nie

trzymające się siebie fakty: pięć młodych kobiet, najprawdopodobniej

z solidnie napromieniowanymi głowami i zapewne innymi częściami

ciała... objawy neurologiczne mogące sugerować stwardnienie rozsiane... wszystkie dziewczyny po wizytach w przychodni ginekologicznej, w której stwierdzono atypowe rozmazy Papanicolaou...

Nie potrafił wyjaśnić tych faktów, miał jednak wrażenie, że promieniowanie było w tym wszystkim kluczowe. Wytłumaczył sobie, że naświetlenie całego ciała sporą dawką mogło wywołać zmiany w nabłonku szyjki macicy, a co za tym szło, atypowość rozmazów.

Osobliwe było jednak to, iż rozmazy wykazywały odchylenie od normy u wszystkich dziewczyn. To również trudno było wyjaśnić przypadkowym zbiegiem okoliczności. Jaka była jednak alternatywa?

Posprzątawszy wszystko, Martin zapisał na swej liście numery kart Katherine Collins i Ellen McCarthy oraz daty ich wizyt w przychodni ginekologicznej. Wyszedł na korytarz i ruszył na skróty przez główną opisownię. Guzik windy naciskał z narastającym zniecierpliwieniem.

Uświadomił sobie, że Kristin była chodzącą bombą zegarową. Musiała pochłonąć bardzo dużą dawkę, by uwidoczniło się to na zwykłym zdjęciu czaszki. Martin miał przeczucie, że aby ją znaleźć, będzie musiał rozwikłać wszystkie zagadkowe wydarzenia tego tygodnia.

Ku swemu zaskoczeniu zastał Benjamina Barnesę na stołku koło mikroskopu. Być może asystent nie był obdarzony czarującą osobowością, Martin musiał docenić jednak jego pracowitość.

- Co pana sprowadza tu przez dwie noce z rzędu, doktorze? - zapytał patolog.

- Rozmazy Papanicolaou - powiedział Martin bez wstępów.

- Podejrzewam, że ma pan dla mnie jakiś rozmaz do odczytania

na cito - powiedział sarkastycznie Barnes.

- Nie, chciałbym jedynie zapytać pana o coś. Czy promieniowanie wywołuje zmiany w rozmazie?

Barnes pomyślał chwilę przed odpowiedzią.

- Na radiologii diagnostycznej nigdy o tym nie słyszałem, ale radioterapia na pewno wpływa na stan szyjki macicy, a przez to na rozmaz.

- Gdyby pan miał przed oczyma nieprawidłowy rozmaz, czy dałby pan radę ustalić, że wywołany jest on przez promieniowanie?

- Może - odrzekł Barnes.

- Przypomina sobie pan te szkiełka, które oglądał pan dla mnie wczoraj? - ciągnął Philips. - Wycinki mózgu? Czy uszkodzenia tkanki mogły być w nich wywołane promieniowaniem?

166

- Raczej w to wątpię - powiedział Barnes. - Wiązka promieniowania musiałaby zostać wycelowana z niewiarygodną dokładnością.

Neurony w sąsiedztwie uszkodzonych komórek wyglądają na nie zmienione.

Twarz Philipsa nabrała nieobecnego wyrazu, podczas gdy usiłował

pogodzić ze sobą te nie przystające do siebie fakty. Pacjentki wchłonęły wystarczającą dawkę promieniowania, by uwidoczniło się to na

prześwietleniu, a jednocześnie na poziomie komórkowym jeden neuron

był kompletnie zniszczony, podczas gdy sąsiedni nie wykazywał zmian.

- Czy rozmazy Papanicolaou przechowuje się? - spytał na

koniec Martin.

- Chyba tak. Przynajmniej jakiś czas, ale nie tutaj. Przechowuje się je w laboratorium cytodiagnostyki, jest czynne od dziewiątej do piątej. Wtedy będzie mógł pan coś stamtąd wyciągnąć.

- Dziękuję - powiedział z westchnieniem Martin. Zastanawiał się, czy nie powinien spróbować od razu dostać się do laboratorium.

Miał już wychodzić, gdy do głowy przyszło mu coś jeszcze. - Czy przy odczycie rozmazów Papanicolaou podaje się tylko, do której grupy należą, czy też opisuje się zmiany?

- Chyba opisuje - odrzekł Barnes. - Wyniki nagrywa się na taśmę. Żeby do niej dotrzeć, potrzebuje pan jedynie numeru karty pacjentki, doktorze.

- Wielkie dzięki - powiedział Philips. - Wiem, że jest pan zajęty, doktorze, i doceniam pańskie poświęcenie.

Barnes skinął minimalnie głową na potwierdzenie i wrócił do mikroskopu.

Terminal komputerowy oddziału patologii dzieliła od laboratorium seria przegródek. Martin przyciągnął sobie krzesło i usiadł przed klawiaturą. Terminal z dużym monitorem przypominał ten, który znajdował się na oddziale radiologii. Wyjął listę pięciu pacjentek i wystukał nazwisko Katherine Collins, numer jej karty i kod rozmazu Papanicolaou. Nastąpiła chwila przerwy, po czym na monitorze zaczęły pojawiać się litery, jak gdyby ktoś niewidoczny wypisywał je na maszynie. Najpierw od nowa pojawiło się nazwisko Katherine

Collins, po czym, po krótkiej przerwie, opatrzonej datą wynik pierwszego rozmazu:

Rozmaz odpowiedni, utrwalenie właściwe, barwienie prawidłowe.

Komórki wykazują normalne dojrzewanie i różnicowanie. Wpływ estrogenów prawidłowy: 0/20/80. W preparacie kilka drożdżaków.

Nieprawidłowości: brak.

167

Philips sprawdził datę pierwszego rozmazu, podczas gdy na ekranie pojawiał się wynik kolejnego. Data zgadzała się z zapisaną na liście.

Nie dowierzając własnym oczom, wpatrzył się w ekran, na którym wynik kolejnego rozmazu był również prawidłowy.

Wyczyścił ekran i raptownie wprowadził nazwisko Ellen McCarthy, jej numer karty i właściwy kod. Czuł, jak żołądek zaczyna wywijać mu kozła, gdy urządzenie zaczęło podawać informacje. Były takie same: rozmazy były prawidłowe!

Oszołomiony zszedł po schodach. Nauczył się w pracy wierzyć temu, co widział na papierze, zwłaszcza jeśli dotyczyło to wyników badań laboratoryjnych. Stanowiły one dane obiektywne, podczas gdy wrażenia pacjentów i lekarzy były subiektywne. Wiedział, iż istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, że wyniki badań laboratoryjnych są błędne, podobnie jak tego, iż czegoś nie zauważy lub błędnie opisze na zdjęciach rentgenowskich. Niewielka możliwość omyłki była jednak

czymś zupełnie innym od celowego podawania fałszywych danych. Do tego potrzebna była konspiracja, co Philips odczuł bardzo boleśnie.

Usiadłszy przy biurku, ścisnął głowę dłońmi i zaczął masować

powieki. W pierwszym impulsie chciał powiadomić władze szpitala, to jednak oznaczało Stanleya Drake'a, więc się wstrzymał. Drake zareagowałby wyciszeniem sprawy, niedopuszczeniem jej do wiadomości ogółu. Policja? Za nic!

Wyobraził sobie otwarcie hipotetycznej rozmowy. "Dzień dobry, moje nazwisko Martin Philips, jestem lekarzem ze Szpitala Klinicznego Akademii Medycznej imienia Hobsona. Chciałbym donieść, że dzieje

się tu coś dziwnego. Dziewczynom z normalnymi wynikami rozmazów

Papanicolaou wpisuje się do kart, że są one nieprawidłowe". Philips pokręcił głową. Brzmiało to zbyt nedorzecznie. Nie, musiał zgromadzić więcej informacji, nim mógłby zaangażować w to policję.

Intuicyjnie czuł, że sprawa napromieniowania się z tym wiąże, choć nie miał pojęcia, w jaki sposób. Promieniowanie mogło na dobrą sprawę wywołać zmiany patologiczne w rozmazach Papanicolaou, lecz gdyby ktoś chciał uniknąć wykrycia faktu, że wobec dziewczyn stosowano radiację, powinien podawać nieprawidłowe wyniki jako normalne, ale nie odwrotnie.

Jeszcze raz przyszedł mu do głowy pracownik kostnicy. Po ich nieudanym spotkaniu poprzedniego wieczora Martin był przekonany, że Werner wiedział o sprawie Lisy Marino więcej niż chciał ujawnić. Może sto dolarów było za małą sumą. Może powinien mu zaoferować więcej. Cała sprawa mimo wszystko wykraczała poza ramy akademickiej ciekawostki.

168

Martin zdawał sobie sprawę, że miał znikome szanse w pojedynku woli zwyciężyć Wenera na jego własnym gruncie. W otoczeniu

zmarłych Werner był w swoim żywiole, podczas gdy Martin czuł się

tam kompletnie wytracony z równowagi. Wiedział, że jeśli chciał

zmusić Wenera do mówienia, musiał wykazać wobec niego stanow-

czość i siłę charakteru. Spojrzał na zegarek. Była dziewiąta dwadzieścia pięć. Werner na pewno pracował na popołudniowej zmianie, od

czwartej do północy. W jednej chwili Martin podjął decyzję, że pójdzie za Wernerem do domu i zaoferuje mu pięćset dolarów.

Z niejaką obawą wykręcił numer Denise. Dopiero po sześciu

sygnałach odpowiedział jej rozespany głos:

- Idziesz?

- Nie - odpowiedział Martin wymijająco. - Siedzę w środku

roboty i zamierzam ją skończyć.

- Czeka na ciebie zagrzane miejsce.

- Nadrobimy to podczas weekendu. Słodkich snów.

Wyciągnął z szafy ciemnoniebieską narciarską kurtkę i włożył

czapkę z daszkiem, którą wydobył z kieszeni. Był kwiecień, jednak

siąpiło, a wiatr z północnego wschodu przywiał ziąb.

Opuścił szpital przez izbę i zeskoczył z rampy na pokryty kałużami

asfalt parkingu. Nie wyszedł jednak na ulicę, lecz skręcił w prawo, za róg szpitalnego budynku, w tunel między jego ścianą i Kliniką

Pediatric im. Brennera. Po pięćdziesięciu metrach dotarł na wewnętrzny dziedziniec kliniki.

Szpitalne zabudowania dźwigały się w mglistej nocy jak pionowe

urwiska tworzące nieregularną cementową dolinę. Klinika była budo-

wana rzutami bez dobrodziejstwa spójnego ogólnego planu. Bez

wątpienia było to widać na dziedzińcu, gdzie chaotycznie rozstawione

budynki schodziły się pod osobliwymi kątami, wystawiając ku sobie

dobudówki. Philips rozpoznał niewielkie skrzydło, w którym mieścił się gabinet Goldblatta, i dzięki temu zorientował się we własnym położeniu. Ledwie dwadzieścia pięć metrów od tego miejsca natrafił na nie oznakowaną rampę, która, jak wiedział, prowadziła do czeluści kostnicy. Szpital nie lubił rozgłaszać, że zdarzały się w nim zgony, ciała więc były ukradkiem wydalane z jego trzewi do podstawionych z dala od oczu ogółu czarnych karawanów.

Martin oparł się o ścianę i wetknął ręce w kieszenie. Czekał próbował uporządkować skomplikowane wydarzenia, jakie miały miejsce od chwili, gdy Kenneth Robbins wręczył mu radiogram Lisy Marino. Nie minęły dwa dni, jemu zaś zdawało się, jakby upłynęły dwa tygodnie. Początkowe podniecenie, jakie odczuwał po odkryciu

169

osobliwych zmian radiologicznych, zastąpiło gnębiące uczucie lęku.

Niemalże bał się odkryć, co działo się w szpitalu. Było to jak choroba w rodzinie. Medycyna była jego życiem. Gdyby nie poczucie odpowiedzialności za Kristin Lindquist, być może zapomniałby o

wszystkim, co wiedział. Wciąż dźwięczała mu w uszach tyrada Goldblatta na temat zawodowego samobójstwa.

O właściwej godzinie ze środka wyłonił się Werner i odwrócił, by zamknąć drzwi za sobą. Philips pochylił się w przód i osłonił oczy

dłonią, by upewnić się, że to rzeczywiście Werner. Pracownik kostnicy zmienił strój na ciemny garnitur z białą koszulą i krawatem. Ku

zaskoczeniu Martina wyglądał jak zadowolony z życia sklepikarz zamykający na noc interes. Jego wychudła twarz, wywierająca odpychające wrażenie w kostnicy, nadawała mu teraz prawie arysto-

kratyczny wygląd.

Werner odwrócił się i zawahał przez chwilę, wyciągając przed siebie dłoń, by sprawdzić, czy pada. Usatysfakcjonowany, ruszył ulicą.

W prawej ręce niósł czarny neseser, a przez zgięte ramię miał przełożony ciasno spięty parasol.

Podążając za nim w bezpiecznej odległości, Martin zauważył, że

pracownik kostnicy ma dziwny chód. Nie kulał; sprawiało to raczej

wrażenie, jak gdyby bardziej sprężyste odbijał się z nogi silniejszej od drugiej. Szedł jednak szybko, równym krokiem.

Nadzieja Martina, że Werner mieszkał w pobliżu szpitala, rozwiąła

się, gdy mężczyzna skręcił w Broadway i zszedł po schodach do

stacji metra. Przyspieszając kroku, Martin zmniejszył odstęp, biorąc

po dwa stopnie naraz. Na chwilę stracił Wenera z oczu; najwidocz-

niej miał gotowy żeton. Philips spiesznie kupił bilet i przeszedł przez bramkę. Schody na peron dla pociągów na przedmieścia były puste,

pospieszył więc do drugich. Gdy do nich dotarł, udało mu się jeszcze

ujrzeć znikającą na peronie dla pociągów do śródmieścia sylwetkę

Wenera.

Philips wyciągnął gazetę z kosza na śmieci i udał, że czyta. Werner

usiadł na profilowanym plastikowym siedzeniu zaledwie dziewięć

metrów dalej i otworzył książkę zatytułowaną - nie do uwierzenia -

Szachowe otwarcia. W beżowobiałym świetle peronu Martin miał

możność lepiej się przyjrzeć jego ubiorowi. Ciemnoniebieski garnitur

miał edwardiański krój, był wcięty z boków. Krótko ostrzyżone włosy

były świeżo wyszczotkowane; opalone policzki o wysokich kościach

jarzmowych nadawały Wernerowi wygląd pruskiego generała. Wrażenie

psuły jedynie jego buty. Fatalnie znoszone, na gwałt potrzebujące wypastowania.

170

Świeżo po zmianie peron przyszpitalnej stacji roił się od pielęgniarek, salowych i techników. Kiedy pociąg przyspieszonej linii wtoczył się z grzmotem na peron, Werner wszedł do środka.

Philips podążył za nim. Pracownik kostnicy siedział przez całą drogę jak posąg z książką rozłożoną na kolanach; jego głęboko osadzone oczy przemykały w tę i z powrotem po stronach. Neserer postawił sobie między nogami i ścisnął go kolanami. Pół wagonu dalej Philips usiadł koło przystojnego Latynosa w poliestrowym garniturze.

Lud nocy masowo wyległ na ulice. Mimo pory i przejmującego chłodu na Czterdziestej Drugiej roiło się od dziwacznych typów ludzkich. Schludnie ubrany Werner ignorował groteskowe, w pawie barwy ubrane postacie tłoczące się przed pornograficznymi księgarniami i kinami. Zdawał się przyzwyczajony do najrozlicniejszych psychoseksualnych perwersji. Z Philipsem było całkowicie inaczej. Miał wrażenie, jak gdyby obce istoty celowo utrudniały mu przejście, zmuszając go do manewrowania i przeciskania się wśród grupiek zgromadzonych na chodnikach i na jezdni. Na końcu dostrzegł, jak Werner raptownie skręca i wchodzi do księgarni "dla dorosłych". Martin zatrzymał się na zewnątrz. Zdecydował, że da Wernerowi godzinę na te idiotyzmy. Jeśli Werner do tego czasu nie wróci do

siebie, da spokój. Czekając na jego wyjście, Martin wkrótce zorientował się, że staje się łatwym żerem dla zbiorowiska handlarzy, naganiaczy i nie kryjących się wcale kieszonkowców. Byli tak natarczywi, że by się od nich uwolnić, zmienił zdanie i wszedł do księgarni.

Tuż za wejściem w podwieszanej pod sufitem, przypominającej ambonę kopule siedziała kobieta z lawendowymi włosami, spoglądająca z góry hardo na Martina. Jej oczy, zapadnięte i podbite, świdrowały Philipa, by ocenić, czy zasługuje na wpuszczenie. Odwróciwszy spojrzenie, zakłopotany, że znalazł się w takim miejscu, Martin wszedł w najbliższe przejście między półkami. Wenera nigdzie nie było widać.

Koło niego przecisnął się jakiś typ z rękami zwieszonymi luźno wzdłuż boków, którymi przejechał po jego plecach. Dopiero gdy go minął, Martin uświadomił sobie, co się stało. Zrobiło mu się niedobrze, o mało co nie zaczął krzyczeć, ale zwrócenie na siebie uwagi byłoby ostatnią rzeczą, o jakiej by marzył.

Przeszedł przez sklep, by upewnić się, że Werner nie kryje się za półkami z książkami i magazynami. Kobieta o lawendowych włosach zdawała się śledzić każdy ruch Martina, by więc nie wydać się jej podejrzanym, wziął do ręki jakiś magazyn. Odłożył go, gdy zorientował

171

się, że jest zapakowany w folię. Na okładce widnieli dwaj spółkujący w akrobatycznej pozycji mężczyźni.

Werner wyłonił się niespodziewanie zza drzwi. Przeszedł koło zaskoczonego Martina, który odwrócił się i przejechał dłonią po

rzędzie pornograficznych kaset wideo. Werner jednak nie oglądał się na boki, jak gdyby miał założone klapki na oczy. W ciągu kilku sekund zniknął ze sklepu.

Martin zwlekał tak długo, jak mógł w swej ocenie pozwolić sobie, by nie stracić Wenera z oczu. Nie chciał, by ktoś zorientował się, że śledzi Wenera, gdy jednak wychodził, kobieta wychyliła się z kopuły i utkwiała w nim baczne spojrzenie. Zorientowała się, że nie wszedł do sklepu po zakupy.

Po wyjściu Martin dostrzegł, że Werner łapie taksówkę. Przestraszony, że mimo wszystkich wysiłków, może go zgubić, Philips zeskoczył z krawężnika i gorączkowo zaczął machać ręką. Jakaś taksówka zatrzymała się po drugiej stronie ulicy. Martin pomknął ku niej gorączkowo, nie zważając na ruch uliczny.

- Niech pan jedzie za tą taksówką za autobusem - rzucił z podnieceniem, gdy wsiadł do środka.

Taksiarz jedynie obrócił głowę ku niemu.

- Niech pan jedzie - ponaglił go Martin.

Kierowca wzruszył ramionami i wrzucił bieg.

- Pan glina czy co?

Martin nie odpowiedział. Czuł, że im mniej mówi, tym lepiej.

Werner wysiadł na rogu Pięćdziesiątej Drugiej i Second Avenue.

Martin wysiadł mniej więcej trzydzieści metrów dalej i pobiegł do rogu, rozglądając się za śledzonym mężczyzną. Werner wchodził do sklepu troje drzwi dalej.

Martin przeszedł przez aleję i spojrzął na wywieszkę sklepu.

Głosiła: "Przybory seksualne". Całkowicie odmienny od pornograficznej księgarni na Czterdziestej

Drugiej Ulicy sklep miał bardzo

konserwatywny wystrój. Rozejrzawszy się Martin zorientował się, że położony jest między antykwariatami, modnymi restauracjami i drogimi butikami. Mieszkania nad sklepami bez wątpienia należały do dobrze sytuowanej klasy średniej. Była to dobra dzielnica.

Werner wrócił do drzwi w towarzystwie roześmianego mężczyzny, który trzymał rękę na jego ramieniu. Przed wyjściem Werner uśmiechnął się i uściśnął rękę swemu towarzyszowi, po czym ruszył Second Avenue. Philips zrównał z nim krok, utrzymując stały dystans.

Gdyby miał jakiegokolwiek pojęcie, że śledzenie Wenera pociągnie za sobą taką wyprawę, nigdy by się go nie podjął. Teraz miał jedynie

172

nadzieję, że odyseja wkrótce się skończy. Werner miał jednak inne

plany. Przeszedł na Third Avenue i dotarł do Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy, gdzie zniknął w małym budynku skulonym pod drapaczami

chmur z betonu i szkła. Był to saloon przypominający wyglądem te ze zdjęć z 1920 roku.

Stoczywszy wewnętrzną walkę, Martin wszedł do środka. Bał się, że straci z oczu Wenera, jeśli nie będzie go pilnował. Ku swemu zaskoczeniu stwierdził, iż pomimo późnej pory w środku jest pełno klientów, między którymi przyszło mu się przeciskać. Okazało się, że to popularny bar dla samotnych, teren również nie znany Philipsowi.

Przeglądając tłum w poszukiwaniu Wenera, z przerażeniem stwierdził, że ten rozmawia tuż koło niego z jasnowłosą sekretarką, trzymając w dłoni kufel piwa. Philips naciągnął czapkę głębiej na czoło.

- Co porabiasz? - spytała sekretarka, przekrzykując zgiełk.

- Jestem lekarzem - powiedział Werner. - Patologiem.

- Naprawdę? - spytała sekretarka, na której wywarło to mocne wrażenie.

- Ma to swoje dobre i złe strony - powiedział Werner. -

Zwykle muszę pracować do późna, może jednak od czasu do czasu uda mi się coś ci zafundować.

- Byłoby cudownie! - wykrzyknęła kobieta.

Martin przepchnął się do baru, zastanawiając się, czy ta dziewczyna

ma jakiegokolwiek pojęcie, w co się ładuje. Zamówił piwo i przepchnął

się pod przeciwną ścianę, gdzie udało mu się znaleźć miejsce, z którego mógł obserwować Wenera. Popijając piwo, uświadomił sobie cały

absurd sytuacji, w której się znalazł. Mimo wykształcenia znalazł się w środku nocy w barze dla samotnych, śledząc dziwaczne indywiduum,

które wyglądało zaskakująco normalnie. Rozejrzawszy się Martin

musiał przyznać, że Werner wyjątkowo udanie wtapiał się w otoczenie ludzi interesów i prawników.

Zanotowawszy numer telefonu sekretarki, pracownik kostnicy

wysuszył piwo, zebrał swe rzeczy, wyszedł i na Third Avenue złapał

kolejną taksówkę. Martin musiał się pokłócić z taksówkarzem, żeby

nakłonić go do śledzenia, udało mu się jednak rozwiązać kłopot

pięciodolarowym banknotem.

Jazda przebiegała w milczeniu. Philips wpatrywał się w rozmazane

nagłą mżawką światła uliczne. Wycieraczki taksówki ledwie sobie

radziły ze zgarbianiem wody. Przejechali całą Pięćdziesiątą Siódmą,

skręcili po przekątnej na północ Broadwayem za Columbus Circle, po czym wjechali w Amsterdam Avenue. Philips rozpoznał mijany po lewej stronie Uniwersytet Columbia. Deszcz ustał równie gwałtownie,

173

jak się zaczął. Na Sto Czterdziestej Pierwszej skręcili w prawo. Philips pochylił się na siedzeniu i spytał, w jakiej dzielnicy się znajdują.

Dowiedział się, że w Hamilton Heights. Skręcili w Hamilton Terrace i zwolnili.

Taksówka Wenera zatrzymała się przed nimi. Philips zapłacił i wysiadł. Choć otoczenie pogarszało się od zjechania z Amsterdam Avenue na północ, Martin stwierdził, że znaleźli się w zaskakująco nieźle wyglądającej dzielnicy. Po obu stronach ulicy ciągnęły się domki, których rozmaite fasady reprezentowały prawie każdą szkołę architektoniczną od czasów renesansu. Większość budynków wyraźnie była świeżo odnowiona, inne były w trakcie konserwacji. Na końcu ulicy, wychodzącej na Hamilton Terrace, Werner wszedł do budynku oblicowanego białym piaskowcem, którego okna obramowane były motywami w stylu weneckiego gotyku.

Do czasu gdy Martin dotarł do budynku, zapaliły się światła na drugim piętrze. Z bliska okazało się, że budynek jest w gorszym stanie, niż się wydawało, jednakże zapuszczenie w niczym nie ujmowało mu wdzięku. Gmach wywarł na Martinie wrażenie spłowiałej elegancji. Zaskoczyło go, że Werner potrafił zapewnić sobie tak dobre lokum. Wszedłszy do przedsionka, uświadomił sobie, że nie będzie w stanie zaskoczyć Wenera, stukając prosto do jego drzwi. Podobnie jak

u Denise znajdował się tu domofon z dzwonekami do poszczególnych mieszkań. Nazwisko Helmuta Wenera znajdowało się przy trzecim dzwonku od dołu.

Kładąc palec na guziku, Martin zawahał się, niepewny, czy rzeczywiście ma ochotę na rozmowę z pracownikiem kostnicy. Nie wiedział nawet dokładnie, co powinien powiedzieć. Myśl o Kristin Lindquist dodała mu jednak odwagi. Nacisnął guzik i odczekał.

- Kto tam? - dobył się z głośnika głos Wenera przerywany trzaskami zakłóceń.

- Doktor Philips. Mam dla pana pieniądze, Werner. Sporo pieniędzy.

Na jakiś czas zapadła cisza. Martin czuł swój puls.

- Kto jeszcze jest z panem?

- Nikt.

Hałaśliwe brzęczenie wypełniło niegdyś wystawny hol. Philips pchnął drzwi. Wszedł po schodach na drugie piętro. Usłyszał, jak za drzwiami Werner odsuwa liczne zamki. Drzwi uchylły się i na twarz Martina padła wiązka światła. Dostrzegł wpatrzone w niego oko Wenera. Brew miał wyraźnie uniesioną z zaskoczenia. Zdjął łańcuch i wpuścił Philipsa do środka.

174

Martin wszedł szybko, zmuszając Wenera do odsunięcia się dla uniknięcia kolizji, i zatrzymał się na środku pokoju.

- Mam dość pieniędzy, przyjacielu - powiedział, starając się

technąć w swój głos jak najwięcej pewności siebie. - Muszę dowiedzieć

się, co stało się z mózgiem Lisy Marino.

- Ile jest pan gotów zapłacić? - Dłonie Wenera otwierały się i zamykały rytmicznie.

- Pięćset dolarów - powiedział Philips. Chciał, by ta suma zabrzmiała kusząco, a jednocześnie nie niewiarygodnie.

Cienkie usta Wenera rozciągnęły się w uśmiechu tworzącym na zapadniętych policzkach głębokie rysy. Jego zęby były małe i kwadratowe.

- Na pewno jest pan sam? - spytał.

Philips skinął głową.

- Gdzie pieniądze?

- Tu - Philips poklepał się po lewej piersi.

- Zgoda - powiedział Werner. - Co pan chce wiedzieć?

- Wszystko - rzekł Philips.

Werner wzruszył ramionami.

- To długa historia.

- Mam czas.

- Zamierzałem właśnie coś zjeść. Chce pan?

Martin pokręcił głową. Żołądek ścisnął mu się w ciasną kulę.

- Jak pan sobie życzy.

Werner obrócił się na pięcie i charakterystycznym krokiem ruszył do kuchni. Philips podążył za nim, szybko obrzuciwszy wzrokiem mieszkanie. Ściany pokrywał czerwony aksamit, meble były wik-

toriańskie. Pokój przenikała leniwa, ociążała elegancja, co wzmagało oświetlenie pochodzące jedynie ze stojącej lampy od Tiffany'ego.

Neseser Wenera stał na stoliku. Koło niego leżał, najwidoczniej wyciągnięty z niego, aparat fotograficzny typu Polaroid i kupka zdjęć.

W niewielkiej kuchence znajdował się zlew, mały piecyk i lodówka tego typu, jakiego Martinowi nie było dane widzieć od czasów dzieciństwa. Miała porcelanową powierzchnię, a na górze znajdowała się cylindryczna spirala. Werner wyciągnął z niej kanapkę i butelkę piwa. Wyjął otwieracz z szuflady pod zlewem i zdjął kapsel, po czym schował otwieracz z powrotem. Podnosząc butelkę, zapytał:

- Napije się pan?

Philips pokręcił głową i cofnął się przed wychodzącym z kuchni pracownikiem kostnicy. W saloniku Werner odepchnął aparat i zdjęcia

175

na bok, dając Martinowi znak, by usiadł. Werner pociągnął głęboki

haust piwa i czknął, odstawiając butelkę. Im więcej czasu mijało, tym Martin czuł się mniej pewnie. Stracił szansę wynikającą z zaskoczenia.

Usiłując nie dopuścić do drżenia rąk, położył je na kolanach. Nie spuszczał oka z Wenera, obserwując każdy jego ruch.

- Nikt nie dałby rady wyżyć z płacy pracownika kostnicy - powiedział Werner.

Philips skinął głową, czekając na ciąg dalszy. Werner ugryzł kanapkę.

- Przyjechałem ze Starego Kontynentu, wie pan - ciągnął Werner

z pełnymi ustami. - Z Rumunii. To nieprzyjemna historia. Niemcy

zabili moich rodziców i zabrali mnie do Niemiec, kiedy miałem pięć

lat. Wtedy zacząłem pomagać przy trupach w Dachau... - Werner nie

oszczędzał Martinowi koszmarnych detali tego, jak zginęli jego rodzice, jak go traktowano w obozach koncentracyjnych, jak zmuszono go żyć

wśród umarłych. Zdawało się, iż makabryczna historia nie będzie

miała końca. Philips próbował parokrotnie mu przerwać, jednak bez

powodzenia. Czuł, że jego zdecydowanie mięknie jak wosk przy

gorących węglach.

- Później przyjechałem do Ameryki - powiedział Werner,

z głośnym siorbnięciem kończąc butelkę piwa.

Skrzypnąwszy nóżkami krzesła, wstał z niego i przeszedł do kuchni

po następne piwo. Zdrętwiały po jego opowieści Philips przypatrywał

mu się zza stołu.

- Udało mi się dostać pracę w kostnicy akademii medycznej! -

krzyknął Werner otwierając szufladę przy zlewie. Znajdowało się

w niej prócz otwieracza kilka wielkich noży sekcyjnych, które Werner

świsnął jeszcze w czasach, gdy na marmurowym stole w starej kostnicy

wykonywano sekcje. Wyjął jeden z nich i wsunął go w rękaw

koniuszki do przodu.

- Potrzebowałem jednak więcej pieniędzy. - Otworzył butelkę

i schował otwieracz. Zamknął szufladę i wrócił do pokoju.

- Interesuje mnie tylko Lisa Marino - powiedział niepewnie

Martin. Opowieść Wenera o jego życiu uświadomiła mu, jak jest

znużony.

- Dochodzę do tego - powiedział Werner. Pociągnął łyk piwa

i odstawił butelkę na stół. - Zacząłem sobie dorabiać w kostnicy,

kiedy jeszcze anatomia była bardziej popularna. Na drobiazgach.

Później wpadłem na patent ze zdjęciami. Sprzedaję je na Czterdziestej Drugiej. Robię to od lat. -
Ręką zatoczył w geście obejmującym jego

mieszkanie.

176

Philips powiódł wzrokiem po ścianach. Tak jak mu się wydało

w mętnym świetle, na ścianach widniały fotografie. Gdy się teraz

przyjrzał, zorientował się, że przedstawiają nagie kobiece zwłoki. Były odrażające i lubieżne.
Powoli wrócił wzrokiem do wyszczerzonej

w uśmiechu twarzy Wenera.

- Lisa Marino była jedną z moich najlepszych modelek -

powiedział. Wziął kopczyk zdjęć i rzucił je Martinowi na kolana. -

Proszę je obejrzeć. Zarabiam na nich masę forsy, zwłaszcza na Second

Avenue. Niech się pan nie spieszy. Idę do łazienki. Piwo mnie

popędziło, zawsze tak jest. - Przeszedł koło oszołomionego Philipsa

i zniknął w drzwiach łazienki.

Martin z odrazą opuścił oczy na zniechęcająco sadystyczne zdjęcia

zwłok Lisy Marino. Bał się ich dotykać, jak gdyby umyślowe zboczenie, których były dowodem,
mogło pozostać mu na palcach. Werner

najwyraźniej niewłaściwie ocenił jego zainteresowanie. Być może

pracownik kostnicy nie wiedział nic o zniknięciu mózgu, a jego

podejrzliwe zachowanie wyływało jedynie z faktu, iż handlował

zakazanymi fotografiami. Philips poczuł wzbierające mdłości.

Werner przeszedł z sypialni do łazienki, odkręcił wodę tak, by

ciekła strumieniem wydającym identyczny odgłos jak oddawany mocz, i wyciągnął z rękawa długi, wąski nóż sekcyjny. Ujął go prawą dłonią jak sztylet i wrócił do sypialni.

Philips siedział około pięciu metrów od niego z głową pochyloną nad fotografiami na kolanach. Werner zatrzymał się w wejściu do sypialni. Zacisnął szczupłe palce na drewnianej rękojeści noża i ściągnął wargi.

Martin podniósł zdjęcia, by odłożyć je na stolik. Miał je na wysokości piersi, gdy uświadomił sobie, że ktoś się za nim porusza.

Gdy zaczął się odwracać, rozległ się wrzask.

Ostrze noża pogrzyżyło się u podstawy szyi tuż nad prawym obojczykiem, przechodząc przez szczyt płuca przed rozcięciem prawej tętnicy płucnej. Krew zalała światło oskrzela, wywołując odruchowy agonalny kaszel, przez co struga krwi wzbiła się łukiem nad głową Philipa i zalała stół koło niego.

Wiedziony zwierzęcym instynktem Martin uskoczył w prawo, po drodze chwytając za szyjkę butelkę po piwie. Gdy się odwrócił, zobaczył, że zataczający się Werner nadaremnie usiłuje schwytać

rękojeść sztyletu wbitego w szyję. Rzężąc słabo, zwałił się z drgawkami na stół, z którego osunął się z łoskotem na podłogę. Nóż sekcyjny

wypadł mu z ręki, zadźwięczał na blacie stolika i spadł na podłogę.

- Proszę się nie ruszać i niczego nie dotykać! - krzyknął zabójca

177

Wenera, który wyłonił się z otwartych drzwi korytarzyka. - Dobrze, że zdecydowaliśmy się pana śledzić. - Był to ten sam Latynos

z obfitym wąsem w poliestrowym garniturze, którego Martin przypomniał sobie z metra. - Sztuka polega na przebiciu jednego z głównych naczyń lub serca, ale ten gość nie dał mi wiele czasu. - Mężczyzna nachylił się i spróbował wyciągnąć sztylet, który utkwił między przekrzywioną w prawo głową Wenera a obojczykiem. Napastnik ominął podrygującego jeszcze pracownika kostnicy, by wygodniej uchwycić rękojeść.

Philips na tyle doszedł do siebie, by zadziałać, kiedy mężczyzna nachylił się koło stolika. Wziąwszy szeroki zamach, wyrzucił go w głowę butelką piwa. Mężczyzna zorientował się w kierunku spadającego ciosu i zaczął obracać się, przez co siłę uderzenia częściowo przejęło ramię. Mimo to jednak zważył się na konającą ofiarę.

Ogarnięty krańcową paniką Martin rzucił się do ucieczki, nie wypuszczając butelki z ręki. Przy drzwiach wydało mu się jednak, że słyszy hałasy na korytarzu. Przestraszył się, że zabójca nie był sam. Zawrócił, chwytając się framugi drzwi, i przemknął w drugi koniec mieszkania Wenera. Dostrzegł, że wciąż oszołomiony zabójca podniósł się na nogi, ściskając głowę dłońmi.

Philips rzucił się do okna w sypialni i podciągnął je w górę.

Usiłował to samo zrobić z siatką na zewnątrz, ale bez powodzenia.

Wybił ją stopą. Wypadł na schody pożarowe i pomknął w dół. Miał niesamowite szczęście, że się nie potknął, bo jego ucieczka przypominała raczej kontrolowany upadek. Po zejściu ze schodów nie miał żadnego wyboru; musiał pobiec na wschód. Za sąsiednim budynkiem

wbiegł do ogrodu warzywnego na pustej parceli. Po prawej stronie miał ogrodzenie dzielące go od Hamilton Terrace.

Grunt opadał ostro na wschód. Martin pośliznął się i zaczął zsuwać się stromym kamienistym zboczem. Światło latarni miał za plecami, kierował się w ciemność. Po chwili wpadł na drucianą siatkę.

Za nią, trzy metry niżej, znajdowało się składowisko starych samochodów, a jeszcze dalej widać było słabe latarnie szerokiej St Nicholas Avenue. Już miał się wspiąć na siatkę, kiedy zobaczył, że w jednym miejscu jest rozpruta. Korzystając z nadarżającej się okazji, przecisnął się przez dziurę, zwiesił na murze i zeskoczył na ślepo w dół.

W zasadzie nie było to złomowisko, jedynie miejsce, gdzie rdzewiały stare samochody, na które nikt nie miał ochoty. Uważnie kluczył między poskręcany metalowymi kadłubami w kierunku światła alei znajdującej się wprost przed nim. W każdej chwili spodziewał się prześladowców.

178

Wydostawszy się na ulicę, zaczął biec szybciej. Chciał się jak najrychlej oddalić od mieszkania Wenera. Na próżno oglądał się za wozami patrolowymi. Budynki po obu stronach ulicy rozsypywały się. Po drodze zorientował się, że spora część z nich jest porzucona i wypalona. Kobyłaste kamienice czynszowe wyglądały w ciemnościach mglistej nocy jak szkielety. Chodniki pokrywały zwały śmieci i odłamków tynku.

Nagle uświadomił sobie, gdzie się znalazł. W Harlemie. Natychmiast zwolnił kroku. Ciemność i opuszczona sceneria jedynie wzmagały jego

obawę. Dwie przecznice od siebie dostrzegł grupkę czarnoskórych uliczników, których nieco przestraszył widok jego pędzącej sylwetki. Przerwali sprzedaż narkotyków, by przyjrzeć się, jak biały człowiek przebiegł koło nich prosto ku centrum Harlemu.

Choć Martin utrzymywał się w dobrej kondycji, narzucone sobie tempo sprawiło, że wkrótce poczuł się, jakby lada chwila miał upaść.

Przy każdym kroku czuł przeszywający ból w piersiach. W końcu zdesperowany zanurkował w ciemną bramę pozbawioną drzwi, głośno dysząc i potykając się o luźne cegły. Wyprostował się przytrzymując się wilgotnej ściany. Jego nozdrza natychmiast zaatakowała ohydna woń, ale zlekceważył ją czując ulgę, że wreszcie się zatrzymał.

Ostrożnie wychylił się usiłując wypatrzeć, czy ktoś za nim biegł.

Panował spokój, śmiertelny spokój. Philips wywęszył czyjąś obecność,

nim z czarnego wnętrza wysunęła się ręka i chwyciła go za ramię. Z jego gardła zaczął wydobywać się krzyk, który jednak bardziej przypominał

beczenie jagnięcia. Wyskoczył z wejścia, wymachując ręką, jakby

obsiadły ją jadowite owady. Pociągnął za sobą właściciela ręki. Okazało się, że to naćpany narkoman, ledwie trzymający się na nogach.

- Jezu Chryste! - krzyknął Martin, obrócił się na pięcie i pomknął dalej.

Podjąwszy decyzję, że nie będzie się więcej zatrzymywać, zaczął

biec w zwykłym tempie joggingu. Nie miał najmniejszego pojęcia,

gdzie jest, był jednak pewny, że jeśli będzie biec prosto, w końcu trafi do jakichś zaludnionych dzielnic.

Zaczęło znów padać. Drobnutka mżawka wirowała w świetle ulicznych latarni.

Dwie przecznice dalej Philips znalazł dla siebie oazę. Dotarł do

szerokiej alei, na której rogu znajdował się otwarty przez całą noc bar z krzykliwą reklamą piwa marki Budweiser, mrugającą nad skrzyżowaniem jak krwawoczerwone oko. Koło drzwi przycupnęło kilka

sylwetek, jak gdyby czerwony neon stanowił przystań wśród rozkładającego się miasta.

179

Przegarniając dłonią włosy, poczuł, że się lepia. W świetle reklamy

budweisera zorientował się, że to rozchlapana krew Wenera. Nie

chcąc wyglądać jak ktoś, kto brał udział w bójce, usiłował zetrzeć krew ręką. Po paru ruchach włosy przestały się lepować. Wszedł do środka.

W zawieszistej atmosferze baru aż gęsto było od tytoniowego dymu.

Wibrująca, ogłuszająca muzyka disco dudniła w piersi Martina.

W lokalu znajdowało się mniej więcej tuzin osób, wszyscy czarni

i wszyscy do połowy pogrążeni w otępieniu. W dodatku do dysko-

tekowej muzyki niewielki kolorowy telewizor transmitował film

gangsterski z lat trzydziestych. Jediną osobą, która go oglądała, był

barman w brudnobiałym fartuchu.

Klienci zwrócili twarze w stronę Philipsa. Napięcie wypełniło salę

jak statyczna elektryczność przed burzą. Nawet mimo paniki Martin

wyczuł to natychmiast. Choć mieszkał w Nowym Jorku dwadzieścia

lat, izolował się od desperackiej nędzy charakteryzującej to miasto tak samo jak ostentacyjne bogactwo.

Podchodząc ostrożnie do baru, spodziewał się, że w każdej chwili

może zostać zaatakowany. Twarze o groźnych wyrazach wiodły za

nim wzrokiem. Brodaty mężczyzna obrócił się na barowym stołku,

zagradzając mu drogę. Jego muskularne czarne ciało lśniło w stłumionym świetle skoncentrowaną siłą.

- Chodź no, białasie - warknął Murzyn.

- Flash, daj spokój - wypalił barman, po czym rzekł do

Philipsa: - Panie, co pan tu robisz, do kurwy nędzy? Życie panu niemiłe?

- Chcę zadzwonić - zdołał wyjąkać Martin.

- Z tyłu - powiedział barman, kręcąc z niedowierzaniem głową.

Mijając mężczyznę nazywanego Flashem, Philips wstrzymał oddech.

Wygrzebał dziesięciocentówkę z kieszeni, po czym rozejrzał się za

telefonem. Znalazł go koło toalet, okupował go jednak klient wy-

kłócający się ze swoją dziewczyną: - Słuchaj, dzieciно, po co od razu beczeć?

Wcześniej, nim jeszcze minęła panika, pewnie wyszarpnąłby słu-

chawkę temu człowiekowi, teraz jednak opanował się, przynajmniej

częściowo. Wrócił do baru i stanął przy jego końcu, czekając, aż

telefon będzie wolny. Napięcie częściowo ustąpiło, rozległ się ponownie szmer rozmów.

Barman zażyczył sobie gotówki z góry, po czym podał Martinowi

brandy. Ognisty płyn podziałał kojąco na jego zszarpane nerwy

i pomógł mu skupić myśli. Po raz pierwszy od niewiarygodnego

zabójstwa mógł rozważyć, co się stało. W momencie śmierci Wenera

180

wydawało mu się, że stał się jedynie przypadkowym świadkiem walki

pracownika kostnicy z jego mordercą. Przypomniał sobie jednak, że

napastnik powiedział coś o śledzeniu Martina. To wszak było bez

sensu! To Martin śledził Wenera. I widział jego nóż. Czyżby Wener

chciał go zaatakować? Usiłując przemyśleć całą sprawę, popadał

w coraz pełniejszą dezorientację, zwłaszcza gdy przypominał sobie, że widział napastnika tego wieczora w metrze. Dokończył brandy

i zamówił następną. Dowiedział się od barmana, gdzie jest. Nazwy ulic nic mu nie mówiły.

Murzyn, który wyklócał się przez telefon, minął Philipa i wyszedł

z baru. Martin zwlókł się ze stołka i zabierając brandy ze sobą,

skierował się w głąb lokalu. Uspokoił się trochę i pomyślał, że

zdołałby nieco składniej przedstawić swoją sprawę policji. Odstawił

szklankę na niewielką półeczkę pod telefonem, wrzucił monetę i wy-

kręcił 911.

Usłyszał sygnał w słuchawce mimo muzyki i odgłosu telewizora.

Zastanowił się, czy powinien opowiedzieć, co działo się w szpitalu,

zdecydował jednak, że to jedynie niepotrzebnie skomplikuje i tak

zagnatwaną sytuację. Postanowił nic nie mówić o zdarzeniach w szpi-

talu do chwili, gdy ktoś nie zada mu jasnego pytania, co robił

w środku nocy w mieszkaniu Wenera. W końcu telefon odebrał

policjant o znudzonym, chrapliwym głosie:

- Posterunek szósty. Przy telefonie sierżant McNeally.

- Chcę zgłosić morderstwo - powiedział Martin, starając się

zachować spokój w głosie.

- Gdzie? - spytał sierżant.

- Nie jestem pewny adresu, zdołam jednak wskazać budynek,

jeśli się tam znów znajdę.

- Czy grozi panu teraz niebezpieczeństwo?

- Sądzę, że nie. Jestem w barze w Harlemie...

- W barze! Dobrze, szpeniu - przerwał sierżant. - Ile kolejek wypiłeś.

Philips uświadomił sobie, że policjant bierze go za dowcipnisa.

- Proszę posłuchać, widziałem, jak zasztyletowano człowieka.

- Mnóstwo ludzi obrywa majchrami w Harlemie, mój dobry człowieku. Jak się nazywasz?

- Jestem doktor Martin Philips, pracuję jako radiolog w Szpitalu Klinicznym Akademii Medycznej imienia Hobsona.

- Powiedział pan: Philips? - ton sierżanta uległ zmianie.

- Zgadza się - rzekł Martin zaskoczony jego reakcją.

- Dlaczego pan od razu tak nie powiedział? Proszę posłuchać,

181

czekaliśmy na pański telefon. Mamy natychmiast połączyć pana z kimś z Biura. Niech pan zaczeka! Jeśli nas rozłączą, niech pan zadzwoni ponownie, dobrze?

Policjant nie czekał na odpowiedź. Rozległo się brzęknięcie, zaczęto przełączać linię Martina. Odsuwając słuchawkę od ucha, Martin

zajrzał w nią, jak gdyby mogła mu wyjaśnić dziwaczną rozmowę. Nie

mylił się, sierżant powiedział, że spodziewali się jego telefonu! A co miała znaczyć wzmianka o Biurze? Jakim Biurze?

Serię elektronicznych sygnałów przerwał głos kogoś innego, kto podniósł słuchawkę z drugiej strony. Głos tej osoby był napięty i kategoryczny.

- No dobrze, Philips, gdzie pan jest?

- W Harlemie. Z kim rozmawiam?

- Agent Sansone. Jestem zastępcą dyrektora Biura w tym mieście.

- Jakiego Biura? - Nerwy Martina, które zaczęły się uspokajać, znów zaczęły go świerzbic jak podłączone do ognia galwanicznego.

- FBI, idioto! Niech pan posłucha, nie mamy wiele czasu. Musi się pan wydostać z tamtego terenu.

- Dlaczego? - Oszołomiony Martin czuł jednak powagę Sansone'a.

- Nie mam czasu tego wyjaśniać. Ten facet, któremu pan dał w łeb, był jednym z moich ludzi, których wysłałem, by pana chronili. Właśnie się zameldował. Nie rozumie pan? Udział Wenera w całej sprawie to jedynie nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

- Nic nie rozumiem! - krzyknął Philips.

- Nieważne - odpalił Sansone. - Najważniejsze, by pan wy dostał się stamtąd najszybciej, jak to możliwe. Niech pan chwilę zaczeka, sprawdzę, czy to bezpieczna linia.

Rozległo się jeszcze jedno brzęknięcie i połączenie urwało się.

Naprężony do ostatnich granic Martin, wpatrując się w słuchawkę, zaczął odczuwać gniew. Cała sprawa wydawała się okrutnym żartem.

- Linia nie jest bezpieczna - powiedział Sansone, łącząc się z nim ponownie. - Niech pan poda swój numer, oddzwonię do pana.

Philips podał mu numer i odwiesił słuchawkę. Jego gniew zaczął od nowa rozpadać się w kawałki, pozostawiając czysty strach. Było nie było, rozmawiał z FBI.

Przeraziło go dzwonienie telefonu. Poderwał słuchawkę. Dzwonił

Sansone.

- No dobrze, Philips, niech pan słucha. Od dawna śledzimy pewną konspirację, zaangażowane są w nią różne osoby ze Szpitala Klinicznego Hobsona.

182

- Ma to coś wspólnego z substancjami promieniotwórczymi - wydusił z siebie Martin. Wszystko zaczynało mieć ręce i nogi.

- Jest pan pewny?

- Absolutnie.

- Bardzo dobrze. Proszę słuchać, Philips. Potrzebujemy pana w śledztwie, obawiamy się jednak, że może być pan obserwowany.

Musimy pana przesłuchać. Potrzebujemy kogoś w szpitalu, rozumie pan?

- Sansone nie czekał na odpowiedź Martina. - Nie możemy

dopuścić, by pan wrócił do domu, na wypadek, gdyby był pan

śledzony. Za wszelką cenę nie chcemy, by się dowiedzieli, że FBI ma

ich na oku. Niech pan zaczeka. - Sansone przerwał, lecz Martin

słyszał, że rozmawia z kimś w tle. - Cloisters, Philips. Wie pan, gdzie jest Cloisters? - spytał Sansone.

- Oczywiście - odpowiedział zdezorientowany Martin.

- Tam się spotkamy. Niech pan weźmie taksówkę i podjedzie pod główne wejście. Niech pan odeśle taksówkę. Da nam to szansę

upewnienia się, że jest pan czysty.

- Czysty?

- Nie śledzony, na miłość boską! Proszę to zrobić, Philips.

Martinowi została w ręku głucha słuchawka. Sansone nie czekał na pytania czy zgodę. Jego instrukcje nie były sugestiami, lecz rozkazami. Krańcowa powaga agenta, zgodnie z zamierzeniem, wywarła wrażenie na Philipsie. Wrócił do baru i zapytał barmana, czy można tu ściągnąć taksówkę.

- Trudno o nie po nocy w Harlemie - rzucił barman.

Pięciodolarowy banknot sprawił, że zmienił zdanie i sięgnął po telefon pod kasą. Martin dostrzegł, że trzymał tam również rewolwer kalibru czterdzieści pięć.

Nim kierowca zgodził się przyjechać, Philips musiał mu obiecać dwudziestodolarowy napiwek i powiedzieć, że jedzie do Washington Heights. Spędził nerwowy kwadrans, zanim ujrzał zatrzymującą się taksówkę. Wsiadł i taksówka z piskiem opon wyrwała z krawężnika niegdyś eleganckiej alei. Gdy tylko ruszyli, kierowca kazał Martinowi pozamykać wszystkie drzwi.

Minęli dziesięć przecznic, nim otoczenie zaczęło wyglądać mniej groźnie. Wkrótce znaleźli się w dzielnicach znanych Martinowi. Rudery zostały zastąpione przez oświetlone fasady sklepów. Udało mu się

nawet dostrzec kilkoro ludzi spacerujących pod parasolami.

- No dobrze, gdzie jedziemy? - spytał taksówkarz. Jego ulga była wyraźna, jakby się właśnie przedarł przez wrogie okopy.

- Cloisters - rzucił Philips.

183

- Cloisters?! Człowieku, jest wpół do czwartej nad ranem. Nie ma tam o tej porze żywej duszy.

- Płacę - przypomniał mu Martin, nie życząc sobie dyskusji. -

Chwila, moment - powiedział taksówkarz, zatrzymując się na

czerwonym świetle. Odwrócił się i utkwiał w Martinie spojrzenie przez pleksiglasową przegródkę. - Nie życzę sobie żadnych kłopotów. Nie mam pojęcia, co się panu tam merda, ale nie mam ochoty się władować w kłopoty.

- W nic się pan nie ładuje. Chcę tylko, by mnie pan wyrzucił przy głównym wejściu, później jest pan wolny.

Światła się zmieniły. Kierowca ruszył z miejsca. To, co usłyszał, musiało go usatysfakcjonować, ponieważ więcej nie narzekał. Philips był z tego zadowolony, bo miał czas pomyśleć.

Bardzo mu pomogło autorytatywne zachowanie Sansone'a. W danych okolicznościach sam nie byłby w stanie podjąć jakiegokolwiek decyzji. To, co się działo, było zbyt niesamowite. Od momentu

opuszczenia szpitala znalazł się w świecie, w którym nie obowiązywały normalne zasady rządzące rzeczywistością. Do chwili, w której dojrzał

na sobie krew Wenera, podejrzewał nawet, że to wszystko wydarzyło się jedynie w jego wyobraźni. W pewnym sensie to uspokajało; stanowiło przynajmniej dowód, że nie zwariował.

Wyglądając przez okno, wpatrywał się w uliczne światła i usiłował przemyśleć nieprawdopodobną interwencję FBI. W szpitalu dość się

napatrzył na funkcjonowanie wielkich organizacji, by zorientować się, że działały one w swoim własnym interesie, a nie dla dobra jednostki. Jeśli ta sprawa, bez względu na to, o co w niej chodziło, interesowała FBI, Martin mógł mieć znikomą nadzieję, że Biuro będzie miało jego dobro

na względzie. Właściwie żadnej. Te myśli sprawiały, że z niepokojem czekał na spotkanie w Cloisters. Zastanawiało go, że wybrano tak

odludne miejsce. Spojrzał badawczo z taksówki do tyłu, starając się

zorientować, czy ktoś ich śledzi. Ruch był znikomy i nikogo takiego nie dostrzegł, nie mógł być

jednak całkowicie pewny. Miał już powiedzieć

kierowcy, żeby jechał gdzie indziej, gdy z poczuciem niemocy uświadomił

sobie, że właściwie nie ma dokąd się wybrać. Siedział w napięciu, dopóki nie dojechali do Cloisters, po czym pochylił się w przód i powiedział:

- Niech pan się nie zatrzymuje.

- Powiedziałeś pan, żeby tu pana wyrzucić - zaprotestował

taksjarsz.

Taksówka właśnie wjechała na wykładane kostką owalne pole

przed głównym wejściem. Nad średniowieczną bramą wisiała wielka

lampa, której światło odbijało się na mokrym granitowym bruku.

184

- Niech pan zrobi jeszcze jedno koło - powiedział Philips,

rozglądając się dookoła. Dwie ulice rozbiegały się w ciemność. W górze widać było kilka świateł w środku budynku. W nocy kompleks

zabudowań wyglądał groźnie jak zamek krzyżowców.

Taksówkarz zaklął, ale pojechał okrężną drogą, z której otwierała

się panorama na Hudson. Martin nie widział samej rzeki, na tle nieba

dawało się jednak odróżnić wdzięczne parabole mostu George'a

Washingtona. Obracając się na siedzeniu, rozglądał się za jakimikol-

wiek śladami życia. Nie było żadnych, brak było nawet zwykłego

widoku samochodów z zakochanymi, zaparkowanych nad rzeką. Było

zbyt późno lub zbyt zimno, a może i to, i to. Kiedy po zatoczeniu koła wrócili pod wejście, taksówka zatrzymała się.

- No dobra, czego pan jeszcze chcesz, do cholery? - spytał

taksówkarz, mierząc Martina wzrokiem z lusterka.

- Jedziemy - powiedział.

Kierowca skręcił kierownicę i ruszył, błyskawicznie przyspieszając.

- Chwileczkę! Niech się pan zatrzyma! - krzyknął Martin.

Taksówkarz nacisnął hamulce. Philips dostrzegł trzech włóczęgów, wyglądających zza murka ograniczającego podjazd. Odskoczyli, słysząc pisk opon. Do chwili gdy taksówka stanęła, oddalili się około trzydziestu metrów.

- Ile? - spytał Martin, wyglądając na zewnątrz.

- Nic. Wsiadaj pan.

Philips wsunął dziesięć dolarów w przesuwaną pleksiglasową skrzyneczkę i wysiadł. Taksówka ruszyła w chwili, gdy zamykał drzwi.

Odgłos samochodu szybko ucichł w wilgotnym nocnym powietrzu.

Jego miejsce zastąpiła ciężka cisza, zakłócana jedynie szmerem wozów przejeżdżających niewidoczną Henry Hudson Parkway. Philips ruszył prosto w stronę włóczęgów. Po prawej stronie odchodząca od szosy brukowana ścieżka zbiegała w dół między pączkujące drzewa. Martin dostrzegł, że ścieżka rozgałęzia się i jedna odnoga zawraca do wejściowego łuku.

Zszedł w jar i zajrzał pod mostek. Było tu czterech, nie trzech

włóczęgów. Jeden chrapał orbitując na wznak. Trzech pozostałych

rznąło jeszcze w karty. Paliło się niewielkie ognisko, oświetlające dwa dwulitrowe, puste gąsiorki po winie. Philips przyjrzał się im, by

upewnić się, że są tymi, na których wyglądali - włóczęgami. Usiłował

wymyślić jakiś sposób wykorzystania ich jako buforu między nim

a Sansone'em, nie dlatego, żeby spodziewał się aresztowania, ale

doświadczenie z instytucjami nauczyło go ostrożności. Wiedział, czego się po nich spodziewać, i

użycie pośredników było jedynym pomysłem,

185

jaki mu obecnie wpadł do głowy. Poza tym nawet jeśli spotkanie w środku nocy w Cloisters miało sens, raczej nie należało do normalnych metod postępowania.

Po przyjrzeniu się włóczęgom jeszcze przez parę chwil Martin wszedł pod mostek, udając, że jest nieco zawiany. Trzech łachmaniarzy przyglądało mu się przez moment, po czym uznawszy, że nie stanowi dla nich zagrożenia, wróciło do kart.

- Chce któryś z was zarobić dychę? - zapytał.

Trzy ludzkie wraki ponownie podniosły głowy.

- Co trza zrobić? - spytał najmłodszy.

- Być mną przez dziesięć minut.

Trzech włóczęgów spojrzęło po sobie i roześmiało się. Najmłodszy wstał.

- Taa... i co mam robić, jak będę tobą?

- Podejdiesz do Cloisters i zaczniesz spacerować dookoła. Jeśli ktoś zapyta cię/jak się nazywasz, powiesz, że Philips.

- Pokaż tę dychę.

Philips wyciągnął pieniądze.

- Może ja? - dołączył się jeden ze starszych mężczyzn, z trudnością się podnosząc.

- Zamknij się, Jack - powiedział młodszy. - Jak masz na imię, panie szanowny?

- Martin Philips.

- Dobra, Martin, umowa stoi.

Martin ściągnął kurtkę i czapkę. Gdy włóczęga założył je na siebie, ściągnął mu czapkę na oczy, po czym niechętnie założył płaszcz włóczęgi - stary chesterfield z wąskimi aksamitnymi wyłogami.

W kieszeni natrafił na kawałek nie zawiniętej w nic kanapki.

Mimo sprzeciwu Martina dwóch starszych włóczęgów uparło się, że pójdzie z młodszym. Przerzucali się żartami, dopóki Philips nie zagroził, że odwoła całą umowę, jeśli nie będą siedzieć cicho.

- Mam iść, jakbym był trzeźwy jak świnia? - zapytał mężczyzna przebrany za Philipsa.

- Tak - odrzekł Martin, żałując, że wdał się w tę całą maskaradę.

Zbliżyli się ścieżką do dziedzińca przy głównym wejściu. Dojście do brukowanego dziedzińca było tak strome, że na jego skraju umieszczono ławeczkę dla zmęczonych pieszych. Na skrzyżowaniu mur ogradzający dziedziniec urywał się raptownie. Dokładnie naprzeciw znajdowało się wejście do gmachu Cloisters.

- W porządku - wyszeptał Martin. - Podejdź tylko do drzwi, spróbuj je otworzyć, wróc tutaj, i dycha jest twoja.

186

- Skąd wiesz, że nie bryknę z twoją kurtką i czapką? - spytał włóczęga.

- Zaryzykuję. Poza tym i tak cię dogonię - rzekł Philips.

- Jeszcze raz, jak się nazywasz?

- Philips, Martin Philips.

Włóczęga ściągnął jeszcze bardziej czapkę Martina na czoło, tak, iż gdy chciał coś zobaczyć, musiał podnosić głowę. Ruszył pod górę i stracił równowagę. Martin pchnął go w grzbiet. Mężczyzna rymnął przed siebie. Na kolanach i łokciach dotarł na poziom bruku.

Philips podszedł po stoku tak, iż jego oczy znajdowały się tuż powyżej poziomu kamiennego murku. Tramp przeszedł już jezdnię i wszedł na granitowe kostki. Nieregularna powierzchnia sprawiała, że ciągle tracił równowagę, udawało mu się jednak utrzymać na nogach.

Ominął środkową wysepkę służącą jako przystanek autobusowy i dotarł do drewnianych wierzei.

- Jest tu kto?! - zawołał. Jego głos odbił się echem na dziedzińcu.

Potykając się wszedł na jego środek i krzyknął: - Jestem Martin

Philips!

Słysząc było jedynie słabe ciurkanie deszczu, który właśnie zaczął padać od nowa. Średniowieczny klasztor o grubo ciosanych blankach sprawiał, że wszystko wydawało się odrealnione, poza zasięgiem czasu. Martinowi znów przemknęło przez głowę, iż padł ofiarą gigantycznej halucynacji.

Niespodziewanie ciszę przerwał wystrzał. Włóczęgę zmiotło z nóg

i cisnęło na granitowy dziedziniec. Kula o dużej prędkości początkowej spowodowała taki efekt, jakby trafiła w dojrzały melon. Otwór

wejściowy był nakreślonym z chirurgiczną precyzją krążkiem; natomiast przy wylocie pocisk wydarł ze straszliwą siłą większość twarzy

mężczyzny, rozrzucając ją po trzydziestostopniowym łuku.

Philips był tak samo wstrząśnięty jak dwóch towarzyszących mu

włóczęgów. Kiedy uświadomili sobie, że ktoś zastrzelił ich kolegę,

rzucili się do ucieczki, potykając się na stromym stoku zbiegającym od klasztoru.

Martin jeszcze nigdy nie doznał równej desperacji. Nie bał się tak, nawet uciekając z mieszkania Wenera. W każdej chwili spodziewał się odgłosu powtórnego strzału, po którym poczułby przeszywający ból wywołany śmiertelnościan kulą. Wiedział, że ktokolwiek go tropi, natychmiast sprawdzi ciało na dziedzińcu i uświadomi sobie pomyłkę. Musiał uciekać.

Strome zbocze jednak było niebezpieczne samo w sobie. Potknął się i poleciał głową naprzód, o mało co nie trafiając nią w głaz.

187

Zbierając się dostrzegł ścieżkę odchodzącą w prawo. Ruszył w jej stronę, przeciskając się przez krzewy.

Po drugim strzale rozległ się mrozący krew w żyłach krzyk. Serce Martina podskoczyło do gardła. Gdy tylko wyrwał się z zarośli, pomknął najszybciej, jak mógł, byle oddalić się od światła.

Nim uświadomił sobie, co się dzieje, wyskoczył w powietrze nad szczytem schodów. Zanim spadł, minęło pozornie niewiarygodnie wiele czasu. Instynktownie wetknął głowę w ramiona i wykonał akrobatyczne salto, by zaabsorbować siłę uderzenia. Wylądował na plecach i usiadł oszołomiony. Za sobą słyszał odgłos biegnącego po ścieżce człowieka.

Mimo mdłości zmusił się do poderwania na nogi i rzucenia do biegu.

Następnym razem dostrzegł schody na czas i zwolnił. Zbiegł, biorąc naraz trzy - cztery stopnie, po czym na gumowych nogach pobiegł dalej. Ścieżka przecięła się z drugą, dochodzącą do niej pod

kątem prostym. Przebiegł przez skrzyżowanie tak szybko, że nawet nie miał czasu na decyzję, czy nie skręcić.

Na następnym skrzyżowaniu ścieżka, którą biegł Martin, kończyła się. Chwilę się zawahał. Po prawej stronie, w dole, widział skraj lasu, gdzie znajdował się jak gdyby taras z cementową balustradą. Nagle znów usłyszał kroki. Tym razem brzmiały, jakby należały do kilku osób. Nie miał czasu na zastanowienie. Skręcił i rzucił się w stronę tarasu. Poniżej niego znajdował się betonowy plac zabaw z ławeczkami i huśtawkami, ciągnący się przez prawie dziewięćdziesiąt metrów. W jego środku widać było zagłębienie, w lecie stanowiące zapewne brodzik. Za placem widać było ulicę, po której właśnie przejeżdżała żółta taksówka.

Słyszając zbliżające się kroki, zaczął zbiegać schodami zlokalizowanymi na skraju tarasu. Dopiero po chwili dotarło do niego, że nie zdąży przeciąć placu zabaw, nim ścigający go ludzie dotrą do skraju tarasu. Znalazłby się na całkowicie odsłoniętym terenie.

Szybko zanurkował w ciemny zakątek pod balustradą, nie zważając na zastarzały odór uryny. W tym momencie usłyszał w górze ciężkie kroki. Potykając się cofnął się na ślepo, dopóki nie poczuł za plecami ściany. Obrócił się i osunął powoli po niej, usiłując przytłumić głośny, zdyszany oddech.

Na beton placu zabaw padał mętny cień kolumnienek balustrady.

W oddali widać było parę latarni. Ciężkie kroki zadudniły po tarasie, po czym rozległy się na schodach. Do Martina dochodziło dyszenie

mężczyzny. Dostrzegł jego niewyraźną sylwetkę, gdy zbiegał po schodach, po czym mógł swobodnie obserwować, jak potykając się przemierza boisko, kierując się ku ulicy po drugiej stronie.

Nad głową Martina rozległy się kolejne, lżejsze kroki. Usłyszał stłumione słowa, po których zapadła cisza. Mężczyzna na placu przebiegał właśnie na ukos przez brodzik.

Nie opodał odezwał się karabin. Równocześnie figurka przemierzająca boisko upadła na twarz. Człowiek nawet nie poruszył się na ziemi; zginął od razu.

Martin pogodził się z losem. Dalsza ucieczka była niemożliwa.

Został zagnany w kąt jak ścigany lis. Pozostało jedynie wymierzenie ostatecznego ciosu. Gdyby nie był krańcowo wyczerpany, może myślałby jeszcze o oporze, a tak znieruchomiał tylko, nasłuchując lekkich kroków osób przemierzających taras i zaczynających zstępować po schodach.

Spodiewając się lada chwila ujrzeć sylwetki ludzi w cieniu rzucanym przez kolumnienki balustrady, Philips wstrzymał oddech.

ROZDZIAŁ 11

Denise Sanger obudziła się w jednej chwili. Leżała nieruchomo, ledwie oddychając, wsłuchując się w odgłosy nocy. Czuła puls w skroniach, łomoczący pod wpływem wyrzuconej do krwiobiegu adrenaliny.

Wiedziała, że ze snu wyrwał ją jakiś obcy dźwięk, który się jednak nie powtórzył. Do jej uszu dochodził jedynie świszczący szum stareńkiej

lodówki. Oddech powoli wracał do normy. Nawet lodówka z ostatecznym sieknięciem wyłączyła się i mieszkanie pogrążyło się w ciszy.

Przewróciła się na drugi bok, myśląc, że pewnie miała zły sen, gdy uświadomiła sobie, iż musi iść do łazienki. Nacisk na pęcherz powoli

narastał, nie mogła go dłużej ignorować. Bez względu na to, jak jej się nie chciało, musiała wstać.

Zwlokła się z ciepłego łóżka i poczłapała do łazienki. Zebrawszy poły szlafroka na kolanach, usiadła na zimnej muszli. Nie włączyła światła ani nie zamknęła drzwi.

Krążąca w ustroju adrenalina uniemożliwiała rozluźnienie zwieraczy pęcherza. Musiała odsiedzieć kilka chwil na muszli, nim zdołała sobie z tym poradzić. Właśnie skończyła, gdy usłyszała głuchoe tąpnięcie,

mogące być skutkiem rąbnięcia w ścianę przez kogoś z sąsiedztwa.

Denise wyteżyła słuch, w mieszkaniu nadal jednak panowała cisza.

Zebrawszy się na odwagę, wyszła na korytarzyk i wyjrzała w stronę drzwi wejściowych. Poczowała ulgę, gdy stwierdziła, że zamek policyjny jest zamknięty.

Odwróciła się i ruszyła z powrotem do sypialni. Właśnie w tej chwili poczuła przeciąg nad podłogą i usłyszała lekki szelest notatek przyczepionych przez nią do niewielkiej tablicy. Zawróciła i zajrzała do saloniku. Okno na schody pożarowe w szybie wentylacyjnym było

otwarte!

190

Usiłowała nie wpadać w panikę, jednak groźba wtargnięcia intruza stanowiła jej największą obawę od czasu zamieszkania w Nowym Jorku. Prawie cały pierwszy miesiąc po przeprowadzce miała ustawiczne kłopoty z zasypianiem. Otwarte na oścież okno zdawało się teraz potwierdzać jej najgorsze lęki. Ktoś był w jej mieszkaniu!

Po paru sekundach przypomniała sobie, że ma dwa telefony - jeden przy łóżku, drugi w kuchni tuż przed nią. Jednym krokiem przecięła korytarzyk, czując pod stopami stare, wytarte linoleum.

Przechodząc koło zlewu, schwyciła niewielki nóż do skrobania warzyw.

Na jego ostrzu zamigotał słaby świetlny refleks. Marna to była broń, dała jej jednak poczucie bezpieczeństwa.

Dotarła do lodówki i chwyciła za słuchawkę. W tym momencie włączyła się sprężarka i lodówka ożyła z postukiwaniem przypominającym metro. I tak napięta już jak struna, upuściła słuchawkę, chcąc krzyknąć.

Nim jednak zdołała wydać z siebie jakikolwiek odgłos, obca dłoń zacisnęła się na jej ustach i uniosła ją w górę, pozbawiając wszelkich sił. Rozluźniła dłonie i nożyk do obierania upadł ze szczęknięciem na posadzkę.

Jak szmacianą laleczkę przepchnięto ją korytarzem w stronę drzwi.

Ledwie dotykała podłogi stopami. Wepchnięto ją do sypialni, zobaczyła kilka błysnięć. Poczowała przeszywające ciepło na skroni i usłyszała

odgłos, jaki wydaje pistolet z tłumikiem.

Kule trafiły w stertę kocy na łóżku. Kolejne pchnięcie rzuciło

Denise na kolana. Napastnik zdarł koce z łóżka.

- Gdzie on jest? - warknął jeden z intruzów. Drugi zaczął otwierać przegrody szafy.

Skuliwszy się przy łóżku, podniosła wzrok. Przed nią stało dwóch mężczyzn ubranych na czarno z szerokimi skórzanymi pasami.

- Kto? - wydusiła z siebie mdlejącym głosem.

- Twój kochaś, Martin Philips.

- Nie wiem. W szpitalu.

Jeden z mężczyzn złapał ją za szlafrok, podciągnął i rzucił na łóżko.

- No to zaczekamy.

Czas dla Philipa mijał jak we śnie. Po ostatnim wystrzale z karabinu nie słyszał już nic. Panowała nocna cisza, przerywana jedynie sporadycznie szumem samochodów przejeżdżających z drugiej strony placu zabaw. Uświadomił sobie, że jego puls powrócił do normy, wciąż jednak nie mógł zebrać myśli. Dopiero gdy słońce

191

zaczęło się niepostrzeżenie wznosić nad placem, jego umysł począł funkcjonować od nowa. Z nastaniem świtu mógł wyróżnić więcej szczegółów otoczenia, jak choćby rząd betonowych koszy na śmieci odlanych tak, by imitowały skały. Nagle nad plac zleciały się ptaki; kilka gołębi zawędrowało do ciała rozpostartego w brodziku.

Martin spróbował rozprostować zeszywniałe nogi. Nagle uświadomił sobie, że zwłoki na placu zabaw stanowiły nowe zagrożenie.

Ktoś je zauważył i wezwie policję; po wydarzeniach ubiegłej nocy Philip żywił przed nią uzasadniony lęk.

Dźwignął się na nogi i oparł o ścianę, dopóki nie powróciło krążenie w podudziach. Cały obolały przekradł się z powrotem na betonowe schody, rozglądając się na wszystkie strony. Wyrzwał na ścieżkę, którą w panice uciekł zeszłej nocy. Ktoś spacerował po niej z psem. Ciało na placu zabaw na pewno zostanie niedługo odkryte.

Zszedł po schodach i pospieszył w przeciwny koniec parku, mijając zwłoki. Gołębie pożywiały się strzępami tkanki wyrwanymi przez pocisk. Odwrócił wzrok.

Wynurzając się z parku, odwrócił na drugą stronę wąskie klapy płaszcza włóczugi. Okazało się, że jest na Broadwayu. Przeszedł na drugą stronę. Na rogu znajdowało się wejście na stację metra, bał się jednak zostać odcięty pod ziemią. Nie miał pojęcia, czy jego prześladowcy opuścili już ten teren.

Wszedł w jakąś bramę i rozejrzał się po ulicy. Z każdą minutą stawało się jaśniej, a ruch zaczynał się nasilać. Poprawiło to jego samopoczucie. Im więcej ludzi, tym bezpieczniej; nie dostrzegł poza tym nikogo szwendającego się bez celu czy przesiadującego beczynnienie w zaparkowanym samochodzie.

Na światłach tuż przed nim zatrzymała się taksówka. Wypadł z bramy i spróbował otworzyć tylne drzwi. Okazało się, że są zamknięte. Kierowca odwrócił się w jego stronę i nacisnął na gaz mimo czerwonego światła. Zdezorientowany Martin zatrzymał się na środku ulicy, patrząc za znikającym samochodem. Dopiero gdy wrócił do bramy i złowił swoje odbicie w szybie, uświadomił sobie, dlaczego taksówkarz odjechał. Wyglądał na trampa z prawdziwego zdarzenia.

Beznadziejnie splątane włosy miał zlepione na skroni zaschniętą krwią ze strzępkami liści. Na brudnej twarzy widniała dwudziestoczworo-dzinna szczecina. Nędznego obrazu dopełniał wystrzępiony chesterfield.

Sięgnąwszy do tylnej kieszeni, uspokoił się, że tkwi w niej kojąco działający portfel. Wyjął go i przeliczył gotówkę. Miał trzydzieści jeden dolarów. W obecnej sytuacji nie miał co liczyć na skorzystanie

192

z kart kredytowych. Schował pieniądze, zostawiając jedną pięciodolarówkę.

Mniej więcej pięć minut później pojawiła się kolejna taksówka.

Tym razem Martin podszedł do niej z przodu, by taksówkarz mógł się mu przyjrzeć. Doprowadził jako tako do ładu włosy i rozpiął płaszcz, by nie było od razu widać, jaki jest znoszony. Co najważniejsze, wyciągnął przed siebie pięciodolarowy banknot. Taksiarz dał mu znak, by wsiadał.

- Dokąd, panie szanowny?

- Przed siebie - powiedział Martin. - Po prostu przed siebie.

Choć taksówkarz zmierzył go podejrzliwym spojrzeniem we wstecznym lusterku, wrzucił jednak bieg i po zmianie świateł ruszył Broadwayem.

Philips obrócił się na siedzeniu i wyjrzał tylnym oknem. Fort

Tryon Park i niewielki plac zabaw zniknęły szybko. Wciąż nie był pewien, dokąd jechać, czuł jednak, że w tłumie będzie bezpieczniejszy.

- Na Czterdziestą Drugą - powiedział wreszcie.

- Dlaczegoś mi pan wcześniej nie powiedział? - uskarżył się taksiarz. - Mogliśmy skręcić w Riverside Drive.

- Nie, nie chcę tamtędy jechać - powiedział Philips. - Chcę, żeby pan zajechał od East Side.

- To będzie gdzieś dziesięć dolarów, panie szanowny.

- Niech będzie - powiedział Martin. Wyjął portfel i wetknął kolejny banknot oglądającemu się na niego we wstecznym lusterku kierowcy.

Odpnął się, kiedy samochód ruszył znowu. Wciąż nie mógł

uwierzyć w to, co się wydarzyło w ciągu ostatnich dwunastu godzin.

Miał wrażenie, jak gdyby cały świat się zawalił. Musiał tłumić naturalny instynkt, by udać się na policję po pomoc. Dlaczego przekazali go

FBI? I dlaczego, na miłość boską, Biuro chciało go zlikwidować bez

zadawania jakichkolwiek pytań? Gdy samochód śmignął na Second

Avenue, uczucie grozy powróciło.

Czterdziesta Druga dawała tę anonimowość, której potrzebował.

Sześć godzin temu było tu obco i groźnie, teraz te same cechy stawały się źródłem komfortu. Kręcący się tu ludzie otwarcie obnosili swoje

psychozy. Nie ukrywali się za fasadą normalności. Tych, którzy byli

niebezpieczni, można było rozpoznać i wyminąć.

Kupił wielką butelkę świeżego soku pomarańczowego i natychmiast

ją wysuszył. Wypił następną i ruszył ulicą. Chciał się zastanowić. Cała sprawa musiała mieć jakieś racjonalne uzasadnienie. Jako lekarz

wiedział, że bez względu na to, jak rozmaite były w danym przypadku

193

7 - Mózg

objawy, zawsze dawało się je powiązać z jedną chorobą. Zbliżając się

do Fifth Avenue, skręcił na niewielki skwerek koło biblioteki. Znalazł

pustą ławkę i usiadł na niej. Ściągnął poły wyświechtanego chesterfielda, by zapewnić sobie jak najwięcej ciepła, i wrócił myślami do wszystkiego, co się wydarzyło. Zaczęło się w szpitalu...

Obudził się, gdy słońce znajdowało się prawie prosto nad nim.

Rozejrzał się, czy ktoś mu się przypatruje. W parku było mnóstwo

ludzi, nie wyglądało jednak, by ktokolwiek zwracał na niego uwagę.

Zrobiło się ciepło; Martin pocił się obficie. Kiedy wstał, uświadomił

sobie, jak ohydnie od niego zalatuje. Po drodze do wyjścia z miniatu-

rowego parku spojrzął na zegarek. Ze wstrząsem stwierdził, że jest wpół do jedenastej.

Kilka przecznic dalej natrafił na grecką kawiarenkę. Zwinął w kłęb stary płaszcz i wetknął go pod stół. Wyglodniały zamówił jaja z boczkiem, tosty, ciasteczka i kawę. Poszedł do niewielkiej męskiej toalety, zdecydował się jednak nie doprowadzać się do ładu. Patrząc na niego, nikt by się nie domyślił, że jest lekarzem. Jeśli chciał się ukryć, nie mógł wymyślić lepszego przebrania.

Kończąc kawę, wygrzebał pomietą listę pięciu dziewczyn: Marino, Lucas, Collins, McCarthy i Lindquist. Czy w jakiś sposób te dziewczyny i to, co im się przytrafiło, wiązało się z niesamowitym faktem, iż był ścigany przez władze? Czy zostały zamordowane? Czy cała sprawa łączyła się w jakiś sposób z prostytutką i światem przestępczym?

Jeśli tak, co z tym wszystkim miało wspólnego promieniowanie?

I dlaczego było w to zaangażowane FBI! Może spisek obejmował cały kraj, szpitale na całym jego terenie?

Zamawiając kolejną kawę, Martin był pewny, że rozwiązanie zagadki znajdowało się w Szpitalu Klinicznym Akademii Medycznej imienia Hobsona, wiedział jednak, że władze będą się spodziewały, że tam przede wszystkim się uda. Innymi słowy szpital był dla niego najniebezpieczniejszym miejscem, a mimo to jedynym, w którym mógł znaleźć odpowiedź na pytanie o sens całej afery. Odszedł od nie dopitej kawy do automatu telefonicznego. Najpierw zadzwonił do Helen.

- Doktorze Philips! Cieszę się, że pan dzwoni. Gdzie pan jest? -

W głosie sekretarki brzmiało napięcie.

- Poza szpitalem.

- Domyślam się, ale gdzie?

- Dlaczego pytasz?

- Po prostu chciałabym wiedzieć.

- Powiedz mi, Helen, czy ktoś mnie szukał... na przykład FBI?

194

- Dlaczego FBI miałyby pana szukać, doktorze?

Martin był już właściwie pewny, że Helen jest obserwowana.

Odpowiadanie pytaniem na pytanie nie należało do jej zwyczajów, zwłaszcza na tak niedorzeczne jak o FBI. W normalnych okolicznościach Helen po prostu powiedziałaby Martinowi, że pewnie oszalał.

Musiał z nią być Sansone lub jeden z jego agentów. Philips z pasją odwiesił słuchawkę. Musiał wymyślić inny sposób wyciągnięcia ze swego gabinetu historii chorób i innych potrzebnych mu dokumentów.

Zadzwoił do szpitala i poprosił o przywołanie doktor Denise

Sanger. Ostatnią rzeczą, jakiej by sobie teraz życzył, było, by szła do przychodni ginekologicznej. Denise się jednak nie zgłosiła, a Martin

obawiał się zostawić jej wiadomość. W końcu zadzwonił pod numer

Kristin Lindquist. Już po pierwszym sygnale odebrała jej koleżanka,

gdy jednak Martin przedstawił się i zapytał o Kristin, dowiedział się, że dziewczyna nie miała o niej żadnych wiadomości i wolałaby, żeby

nie dzwonił, po czym rozłączyła się.

Wróciwszy do stolika, rozłożył przed sobą listę pacjentek. Wyjął

pióro i zanotował: "silna radioaktywność w mózgach młodych kobiet (innych narządach?); wyniki rozmazów Papanicolaou podawane jako

nieprawidłowe, podczas gdy były normalne; objawy neurologiczne

niewielko przypominające stwardnienie rozsiane". Zapatrzył się w zapisane słowa. Jego umysł wyczytniał zwariowane koziółki. Dopisał jeszcze

"Neurologia-ginekologia-policja-FBI" oraz "Nekrofilia Wenera".

Wyglądało na to, że nic nie może łączyć tego wszystkiego w jedną całość, zwracało uwagę jednak to, że w środku tkwiła ginekologia.

Może dałoby mu coś, gdyby ustalił, dlaczego stwierdzono, że wyniki rozmazów są nieprawidłowe.

Nagle ogarnęła go rozpacz. Najwyraźniej natrafił na coś, co przerastało jego możliwości pojmowania. Dawny świat ze zwykłymi bólami nie wydawał się już tak okropny. Chętnie wróciłby do codziennej rutyny, gdyby tylko mógł zasypiać z Denise w ramionach.

Nie był religijny, zorientował się jednak, że próbuje zrobić z Bogiem interes: jeśli On ocali go z tego koszmaru, nigdy więcej nie będzie się uskarżał.

Opuścił wzrok na kartkę i zorientował się, że oczy wypełniły mu łzy. Dlaczego właśnie policja, nikt inny, uwięziła się na niego? Nie miało to żadnego sensu.

Wrócił do telefonu i jeszcze raz spróbował połączyć się z Denise, i tym razem jednak nie odpowiadała na wezwanie. Zdesperowany zadzwonił

do przychodni ginekologicznej. Telefon odebrała rejestratorka.

- Czy Denise Sanger zjawiała się już na wizytę?

195

- Jeszcze nie - powiedziała rejestratorka. - Spodziewamy się jej łąda chwila.

Martin zastanowił się szybko.

- Jestem doktor Martin Philips. Proszę jej powiedzieć, kiedy

przyjdzie, że ma zrezygnować z wizyty i spotkać się ze mną.

- Powtórzę - powiedziała rejestratorka. Martin wyczuł, że jest autentycznie zdezorientowana.

Wrócił do niewielkiego parku i usiadł na ławce. Stwierdził, że nie jest w stanie podjąć jakiegokolwiek sensownej decyzji. Dla człowieka, który wierzył w ład i porządek, niemożność skontaktowania się z policją po tym, jak do niego strzelano, wydawała się szczytem irracjonalności.

Popołudnie spędził na przerywanej drzemce i dręczących rozmyśleniach w czasie czuwania. Jego brak decyzji stał się sam w sobie decyzją. Zaczęła się godzina szczytu i osiągnęła swe największe nasilenie. Wreszcie tłumy zaczęły się przerzedzać. Martin wrócił do kawiarenki na obiad. Było parę minut po szóstej.

Zamówił talerz rolady mięsnej i podczas gdy go przygotowywano,

jeszcze raz spróbował się połączyć z Denise. I tym razem nie odebrała telefonu. Odłożywszy słuchawkę, zdecydował się zadzwonić do niej do

mieszkania, zastanawiając się, czy policja ma na tyle dobre informacje, by urządzić tam na niego pułapkę.

Odebrała telefon po pierwszym sygnale.

- Martin? - W jej głosie brzmiała desperacja.

- Tak, to ja.

- Dzięki Bogu! Gdzie jesteś?

Martin zignorował jej pytanie i powiedział:

- Gdzie byłaś? Cały dzień starałem się ciebie złapać.

- Nie czułam się najlepiej. Zostałam w domu.

- Nie powiadomiłaś o tym telefonistki w szpitalu.

- Wiem, że... - nagle głos Denise uległ zmianie - nie przychodź!... - krzyknęła.

Nie dokończyła, ktoś zatkał jej usta. Martin dosłyszał odgłosy szamotaniny. Serce podskoczyło mu do gardła.

- Denise! - krzyknął.

Wszyscy w kawiarence zamarli i poodwracali głowy w jego kierunku.

- Philips? Tu Sansone. - Słuchawkę przejął agent. Martin wciąż słyszał Denise krzyczącą w tle. - Poczekaj chwilę, Philips - powiedział Sansone i rzekł od telefonu. - Wyprowadźcie ją i uspokójcie. - Z powrotem do słuchawki powiedział: - Słuchaj, Philips...

196

- Co się dzieje, Sansone, do cholery?! - zawołał Martin. - Co zrobiliście Denise?

- Uspokój się, Philips, dziewczynie nic nie jest. Musimy ją chronić. Co się stało wczorajszej nocy w Cloisters?

- Zwariował pan? Jeszcze pan pyta, co się stało? Pana ludzie chcieli mnie rozwalić!

- Bzdura, Philips. Wiemy, że nie było pana na dziedzińcu.

Myśleliśmy, że już został pan schwytany.

- Przez kogo?! - krzyknął oszołomiony Martin.

- Nie będę o tym rozmawiał przez telefon, Philips.

- Niech mi pan tylko powie, co tu się dzieje, do jasnej cholery!

Klienci w kawiarence siedzieli nieruchomo. Znajdowali się w Nowym Jorku i byli przyzwyczajeni do najosobliwszych zdarzeń, jednak nie w swojej kawiarence.

Sansone powiedział zimno, z opanowaniem:

- Przepraszam, Philips. Musi pan tu przyjść, i to zaraz. Działając na własną rękę, jedynie komplikuje pan sprawę. Wie pan przecież, ilu niewinnych ludzi życie jest zagrożone.

- Jestem dwie godziny drogi poza miastem! - zawołał Philips.

- No dobrze, czekam na pana dwie godziny, ale ani sekundy dłużej.

Szczęknęła odkładana słuchawka. Połączenie zostało przerwane.

Martin wpadł w panikę. Jego niezdecydowanie zniknęło w jednej chwili. Rzucił na blat pięciodolarowy banknot i wypadł na ulicę w stronę stacji metra na Eight Avenue.

Jechał do kliniki. Nie miał pojęcia, co zrobi, gdy się tam znajdzie, ale jechał do szpitala. Miał dwie godziny na zdobycie jakichś od-

powiedzi. Istniała szansa, że Sansone mówił prawdę. Może rzeczywiście uważali, że pochwyciła go jakaś potężna nieznana siła. Nie mógł być

jednak tego pewny, a niepewność napawała go strachem. Intuicja

podpowiadała mu, że Denise jest w niebezpieczeństwie.

Choć popołudniowa godzina szczytu już dawno minęła, w metrze do

centrum były jednak tylko miejsca stojące, co jednak nie przeszkadzało Martinowi. Pohamowało to jego panikę i zmusiło go do uruchomienia

swej niemałej inteligencji. Zdążył po drodze do szpitala obmyślić metodę dostania się do środka i to, co powinien zrobić później.

Wyszedł za tłumem po schodach na ulicę i skierował się do

pierwszego przystanku swej trasy: sklepu monopolowego. Sprzedawca obrzucił jednym spojrzeniem jego zaniedbany strój, wyskoczył zza kontuaru i spróbował wyrzucić go ze sklepu. Dał spokój, kiedy Martin wyciągnął pieniądze.

197

Wybranie półlitrowej butelki whisky i zapłacenie za nią zabrało mu nie więcej jak trzydzieści sekund. Wyszedł ze sklepu, skręcił z Broadwayu w boczną uliczkę i doszedł do koszy na śmieci. Zdjął korek z butelki, zaczerpnął łyk i przepłukał gardło. Część przełknął, większość jednak wypluł na trotuar. Używając whisky jako wody kolońskiej

natarł twarz i szyję, a do połowy opróżnioną butelkę wetknął w kieszeń.

Potyając się koło beczek na śmieci, dotarł do skrzyni z piachem, używanym w zimie do posypywania chodników. Wykopał w piasku płytką jamę i schował w niej portfel, przełożywszy uprzednio resztę gotówki do tej samej kieszeni co whisky.

Następnie wpadł do małego, lecz ruchliwego sklepu spożywczego.

Gdy wchodził, ludzie wymijali go szerokim łukiem. Z powodu tłoku musiał się przeciskać, by znaleźć się wreszcie bezpośrednio przed kasami.

- Aaach! - krzyknął, zatoczył się na rozstawioną piramidę puszkowanej fasoli z przeceny i zwałił na ziemię, udając, że się dusi.

Wił się z bólu wśród rozlatujących się na wszystkie strony puszek.

Kiedy kasjer nachylił się nad nim, pytając, czy nic mu nie jest, Martin wychrypiał:

- Boli! Serce!

Po paru chwilach zjawiała się karetka. Na krótkiej trasie do Szpitala

Klinicznego Akademii Medycznej imienia Hobsona Martinowi przy-
mowano do twarzy maskę tlenową, a na pierś przyczepiono
odprowadzenia kardiomonitora. Zasadniczo nie odbiegający od normy
zapis EKG został skonsultowany przez radiotelefon, dzięki czemu
ustalono, że nie ma potrzeby podawać mu jakichkolwiek leków
nasercowych.

Gdy noszowi przewozili go do izby przyjęć, dostrzegł na rampie
kilku policjantów. Nawet nie raczyli na niego spojrzeć. Przewieziono
go do jednej z dużych sal izby przyjęć i przełożono na leżankę.

Pielęgniarka przeszukała jego kieszenie, by znaleźć jakieś dokumenty
ubezpieczeniowe, podczas gdy stażysta wykonywał mu kolejne EKG.

Ponieważ zapis nie odbiegał od normy, zespół kardiologiczny rozszedł
się, pozostawiając jedynie internistów.

- No co, facet, boli? - spytał lekarz, nachylając się nad Phi-
lipsem.

- Dajcie mi maalox - jęknął Martin. - Czasami, jak wypiję
jakiś zajzajer, potrzebuję maaloxu.

- Niezły pomysł - powiedział lekarz.

Philips dostał lekarstwo zobojętniające treść żołądkową od trzy-
dziestopięcioletniej pielęgniarki, sprawiającej, mimo hardej miny,

198

wrażenie, jak gdyby miała ochotę wyrzucić go w pysk za stan, do
jakiego się doprowadził. Zebrała od niego krótki wywiad. Podał, że
nazywa się Harvey Hopkins. Miał takiego kolegę z pokoju w college'u.

Pielęgniarka powiedziała, że dadzą mi parę minut odpoczynku i sprawdzą, czy bóle w klatce piersiowej nie powróciły, po czym zaciągnęła dookoła leżanki parawan.

Philips odczekał parę minut, po czym zszedł z leżanki. Na wózku koło ściany znalazł żyletkę w oprawie i niewielką laseczkę mydła, wykorzystywanego do oczyszczania ran. Ściągnął jeszcze parę ręczników oraz chirurgiczny czepek i maseczkę, po czym tak uzbrojony wyrzwał zza parawanu.

Jak zwykle o tej porze nocy na izbie przyjęć panował beznadziejny chaos. Kolejka do rejestracji ciągnęła się prawie do drzwi, a karetki podjeżdżały regularnie jak w zegarku. Nikt nie zwrócił uwagi na

Martina, gdy przeszedł środkiem i pchnął szare drzwi koło obłożonego biurka. W gabinecie lekarzy był tylko jeden mężczyzna, który nawet nie oderwał wzroku od EKG, gdy Martin za jego plecami przeszedł do łazienki.

Błyskawicznie wykapał się i ogolił, porzucając łachy w rogu. Koło umywalek znalazł stertę kostiumów chirurgicznych - ulubionego stroju obsady izby przyjęć. Założył spodnie i bluzę oraz czepek na mokre włosy. Zawiązał nawet maseczkę. Personel często ich używał poza salami operacyjnymi, zwłaszcza w czasie przeziębień.

Przyglądając się sobie w lustrze, stwierdził, że ktoś musiałby go bardzo dobrze znać, by go rozpoznać. Nie tylko dostał się do środka szpitala, ale i wyglądał jak ktoś stąd. Jeśli zaś chodziło o Harveya Hopkinsa, pacjenci bardzo często uciekali z izby przyjęć. Spojrzał na zegarek. Zużył prawie godzinę. Wyszedł spieszenie z pokoju lekarzy, przeciął izbę, mijając po

drodze jeszcze dwóch policjantów. Tylnymi schodami za kawiarenką wszedł na górę. Potrzebny był mu czujnik promieniowania, nie miał jednak zamiaru ryzykować wyprawy do swojego gabinetu. Udało mu się go znaleźć na oddziale radioterapii. Zbiegł po schodach na parter i ruszył spieszenie do budynku przychodni.

W starych dźwigach w ciągu dnia jeździli windziarze. Skończyli już pracę, przyszło mu więc pokonać cztery kondygnacje po schodach.

Wciśnięty w metrze między dwóch bardzo nieszczęśliwych z tego powodu biznesmenów nabrał przekonania, że w przychodni muszą się znajdować substancje promieniotwórcze, gdy jednak do niej dotarł, jego pewność poczęła ustępować. Nie miał pojęcia, gdzie i czego szukać.

Minął główną poczekalnię przychodni ginekologicznej i przeszedł

199

do mniejszej, dla studentek. Nie dotarły tu jeszcze sprzątaczk, i z popielniczek oraz koszy wysypywały się śmiecie. W podłym świetle wszystko wyglądało bardzo pospolicie i nieszkodliwie.

Spróbował otworzyć biurko rejestratorki, było jednak zamknięte.

Po kolei przekonał się, że wszystkie drzwi są pozamykane. Zamki jednak były bardzo prostego typu, takiego, w którym klucz wsadzało się do gałki w drzwiach. Plastikowa karta z biurka rejestratorki wystarczyła do ich otwarcia. Wszedł do środka, zamknął drzwi za sobą i włączył światło.

Znalazł się na korytarzu, w którym rozmawiał z doktorem

Harperem. Na lewo znajdowały się dwa gabinety, a na prawo laboratorium bądź też magazynek. Na pierwszy ogień wybrał gabinety.

Za pomocą detektora bardzo dokładnie je skontrolował, obchodząc z nim wszystkie szafki, zakątki, sprawdzając nawet same fotele ginekologiczne. Gabinety były czyste. To samo zrobił w laboratorium, zaczynając od szafek na stołach laboratoryjnych i szuflad. Otwierał wszystkie szafki po kolei. W końcu skontrolował stojącą w kącie szafę z narzędziami. Odczyty wszędzie były negatywne.

Wreszcie natrafił na coś w koszu na śmieci. Promieniowanie było bardzo słabe i całkowicie nieszkodliwe, jednak było. Spoglądając na zegarek, uświadomił sobie, że jego czas raptownie umyka. Za pół godziny musiał zadzwonić do mieszkania Denise. Zdecydował, że pokaże się tam jedynie wtedy, jeśli upewni się, że Sansone jej nie więzi.

Po stwierdzeniu promieniowania w koszu na śmieci zdecydował się jeszcze raz skontrolować laboratorium. Nic nie znalazł, dopóki nie wrócił do szafki pod ścianą. Dolne półki wypełnione były płótnem i fartuchami, a na górnych rozstawione były rozmaite narzędzia laboratoryjne i przybory biurowe. Pod półkami był kosz na brudną bieliznę. Gdy opuścił koło niego detektor prawie do podłogi, stwierdził kolejny słaby, dodatni odczyt.

Wyrzucił brudne prześcieradła i fartuchy, po czym jeszcze raz skontrolował kosz. Nic. Wetknąwszy głębiej czujnik znów udało mu się znaleźć ślady promieniowania przy dnie. Wsunął tam dłoń. Ścianka i dno drewnianego kosza wydawały się lite, lecz gdy uderzył w dno, wyczuł wibrację. Obstukał dno po obwodzie. Kiedy dotarł do przeciwnej strony, dno przechyliło się lekko, po czym wróciło na miejsce.

Martin nacisnął ponownie w to samo miejsce, uniósł dno i zajrzał pod

spód. Znalazł dwie opancerzone kasety z ołowiu z powszechnie

znanymi symbolami ostrzegającymi przed promieniowaniem.

Tabliczki na kasetach stwierdzały, że materiały pochodzą z Laboratoriów Brookhaven, wytwarzających wszelkiego rodzaju izotopy

200

stosowane w medycynie. Tylko jedna tabliczka dawała się odczytać.

Kaseta zawierała 2-(18F)-fluoro-2-dezoksy-D-glukozę. Druga tabliczka

była porysowana, zorientował się jednak, że kaseta również zawierała

jakiś izotop dezoksyglukozy.

Szybko otworzył kasety. Ta, na której tabliczka była czytelna, była

jedynie umiarkowanie radioaktywna. Przy drugiej, solidniej opan-

cerzonej, detektor promieniowania oszalał. Cokolwiek było w środku,

było bardzo gorące. Philips zamknął i uszczelnił pojemnik, zgarnął

z powrotem brudną bieliznę i zamknął drzwi szafki.

Nigdy nie słyszał o izotopach dezoksyglukozy, jednak sam fakt, iż

znalazł je w przychodni ginekologicznej, potwierdzał jego podejrzenia.

Wewnątrzszpitalne reguły określające zasady nadzoru nad substancjami

radioaktywnymi stosowanymi w radioterapii były bardzo surowe,

podobnie było z izotopami wykorzystywanymi w celach diagnostycz-

nych i badawczych. Nic jednak z tego nie miało odniesienia do

przychodni ginekologicznej; na radioaktywną dezoksyglukozę po

prostu nie było tam miejsca. Musiał się dowiedzieć, do czego można

ją było stosować.

Zabierając ze sobą detektor promieniowania, zszedł po schodach

do podziemia. Znalazłszy się w tunelu, musiał zwolnić, by nie wystraszyć grupki studentów. Kiedy jednak dotarł do nowego gmachu akademii medycznej, przyspieszył ponownie kroku i w rezultacie do biblioteki dotarł z zadyszką.

- Dezoksyglukoza - wydyszał. - Chcę sprawdzić, do czego jest wykorzystywana. Gdzie mam szukać?

- Nie wiem - powiedziała wystraszona bibliotekarka.

- Cholera - powiedział Philips, odwrócił się na pięcie i ruszył do katalogu.

- Niech pan spróbuje w katalogu działowym, doktorze! - zawołała za nim kobieta.

Martin skręcił i ruszył w stronę drugiej części katalogu. Siedząca

tam dziewczyna, nie wyglądająca na więcej niż piętnaście lat, usłyszawszy zamęt, poderwała się i przyglądała zbliżającemu się Philipsowi.

- Chodzi mi o dezoksyglukozę - rzucił. - Szybko, gdzie mogę się zorientować, co to jest?

- A co to takiego? - dziewczyna wpatrywała się w niego z lękiem.

- Jakiś cukier, pewnie pochodna glukozy. Proszę posłuchać, nie wiem, co to jest, dlatego właśnie chcę to sprawdzić.

- Niech pan spróbuje w dziale chemii ogólnej, a jeśli się nie uda, to w indeksie internistyki, a jak i to...

201

- Niech będzie chemia ogólna! Gdzie jej szukać?

Dziewczyna wskazała długi stół sąsiadujący z półkami. Philips

podszedł do niego i zaczął wyciągać szufladki. Bał się spojrzeć na zegarek. Znalazł odnośnik pod hasłem ogólnym "glukoza" oraz tom i stronę podręcznika Chemical Abstracts. Wyszukał hasło i zaczął je gorączkowo przeglądać, lecz słowa zamieniały się w niezrozumiałe bełkot. Zmusił się do skupienia i zwolnienia tempa lektury. Dowiedział się, że dezoksyglukoza była cukrem na tyle podobnym do glukozy, chemicznego paliwa dla mózgu, że była transportowana przez barierę krew-mózg i wychwytywana przez czynne komórki nerwowe. Nie mogła być w nich jednak zmetabolizowana i odkładała się w nich. Ostatnie zdanie hasła głosiło: "...znakowana radioaktywnie dezoksyglukoza okazała się bardzo obiecującą substancją w badaniach mózgu".

Martin zatrasnął książkę. Ręce mu dygotały. Cała sprawa zaczęła nabierać sensu. Ktoś w szpitalu przeprowadzał badania nad ludzkim mózgiem, wykorzystując do tego niczego nieświadome pacjentki. Mannerheim! - pomyślał, tak rozwścieczony, że czuł w ustach smak żółci.

Nie był chemikiem, przypominał sobie jednak, że jeśli substancja taka jak dezoksyglukoza została w wystarczającym stopniu oznakowana izotopem radioaktywnym, można było po wstrzyknięciu śledzić jej absorpcję przez mózg. Jeśli była bardzo radioaktywna - jak izotop, który znalazł w przychodni ginekologicznej - uśmiercała komórki, do których się dostawała. Jeśli komuś zależało na prześledzeniu dróg nerwowych w mózgu, mógł je za pomocą tej metody skutecznie niszczyć. Selektywna eliminacja szlaków nerwowych w mózgach zwierząt legła u podstaw neuroanatomii. Dla wystarczająco

bezwzględnej badaczki użycie tej techniki wobec ludzi było jedynie

krokiem dalej. Philips zadrzał. Jedynie taki egocentryk jak Mannerheim mógł cynicznie zlekceważyć moralne aspekty takiego postępowania.

Oszłomiło go to odkrycie. Nie miał pojęcia, w jaki sposób

Mannerheimowi udało się namówić ginekologów do współuczestnictwa, wiedział jednak, że musieli działać z nimi ręką w rękę. Administracja szpitala również musiała się orientować w tym, co się działo.

W przeciwnym razie, dlaczego Drake broniłby Mannerheima, neurochirurga - primadonnę, półboga szpitala? Martin zgarbił się, gdy dotarły do niego implikacje tego, czego się dowiedział.

Wiedział, że do badań Mannerheima solidnie dokładały agendy rządowe, w jego prace łądowano miliony dolarów z publicznych funduszy. Czy to wyjaśniało interwencję FBI? Czy Martina oskarżono o próbę sabotowania arcyważnych programów naukowo-badawczych

202

finansowanych przez rząd? FBI mogło nie mieć pojęcia, że obejmowały one eksperymenty na ludziach. Philips nie był prawiczką, jeśli chodziło o organizacyjne machlojki, gdzie prawica nie wiedziała, co robi lewica. Odczuwał jednakże rozżalenie, że na ołtarzu naukowych badań składano ofiary z ludzi za nieświadomym poparciem rządu.

Powoli obrócił nadgarstek, by sprawdzić, która godzina. Do telefonu do Denise zostało jeszcze pięć minut. Nie był pewny, czy agenci gotowi są wyrządzić jej krzywdę, jednakże po tym, jak postąpiono z włóczęgami, nie zamierzał ryzykować. Zastanowił się, co powinien zrobić. Wiedział, co się działo... nie wszystko, jednak dość dużo. Wystarczająco dużo, by

mieć szansę unicestwić konspirację, jeśli uda mu się dotrzeć do kogoś wysoko postawionego. Musiałby być to

ktoś spoza szpitalnej hierarchii, znający się jednak na niej i na

regułach gry. Naczelnik Wydziału Zdrowia? Ktoś z ratusza? Komisarz

policji? Bał się, że ci ludzie mogli się już nasłuchać tylu kłamstw o nim, że jego apele byłyby jedynie wołaniem na puszczy.

Nagle Philipsowi przyszedł do głowy Michaels, cudowne dziecko

nauki. On mógłby dotrzeć do rektora akademii! Jego słowo wystar-

czyłoby do wszczęcia dochodzenia. Mogło się udać. Ruszył do

telefonów i podniósł słuchawkę aparatu miejskiego. Nakręcając numer

Michaelsa, modlił się, by był w domu. Był gotów zgotować naukowcowi

owacje, gdy usłyszał jego znajomy głos.

- Michaels, jestem w strasznych kłopotach.

- Co się stało? - spytał Michaels. I po chwili: - Gdzie jesteś?

- Nie mam czasu na tłumaczenia. Wykryłem w szpitalu straszną aferę związaną z badaniami naukowymi. Wygląda na to, że FBI to kryje. Nie pytaj dlaczego.

- Co mam zrobić?

- Zadzwoń do rektora. Powiedz mu, że dopuszczono się skandalicznych doświadczeń na ludziach. To powinno wystarczyć, chyba że rektor również bierze w tym udział. W takim razie niech Bóg nas ma w opiece. Przede wszystkim jednak martwię się o Denise. FBI trzyma ją w jej mieszkaniu. Niech rektor zadzwoni do Waszyngtonu i załatwi, by ją wypuszczono.

- A co z tobą?

- O mnie się nie martw, nic mi się nie stało. Jestem w szpitalu.

- Może przyjdiesz do mnie?

- Nie mogę. Idę do laboratorium na neurochirurgii. Spotkamy się za piętnaście minut w twojej pracowni. Pospiesz się!

Przerwał połączenie i wykręcił numer Denise. Ktoś podniósł słuchawkę, ale się nie odzywał.

203

- Sansone?! - zawołał Martin. - To ja, Philips.

- Gdzie pan jest, Philips? Mam nieprzyjemne uczucie, że nie bierze pan poważnie swojego położenia.

- Oczywiście, że biorę. Jestem na północnych rogatkach miasta.

Potrzebuję więcej czasu, jeszcze ze dwudziestu minut.

- Kwadrans - powiedział Sansone i rozłączył się.

Na gumowych nogach Martin wypadł z biblioteki. Był teraz jeszcze bardziej pewny, że Sansone trzyma Denise jako zakładniczkę, by oddał się w jego ręce. Chcieli go uśmiercić; pewnie by ją zabili, byleby tylko dorwać się do niego. Wszystko zależało teraz od Michaela. Musiał dotrzeć do jakichś nie związanych z tą sprawą władz. Martin miał jednak świadomość, że dla potwierdzenia swoich oskarżeń potrzebuje więcej dowodów. Mannerheim na pewno dysponował jakąś przykrywką. Musiał się dowiedzieć, ile w laboratorium neurochirurgii było radioaktywnych mózgów.

Wjechał pustą windą na piętro neurochirurgii w budynku naukowym. Wyrzucił czepek chirurgiczny i nerwowo przegarniał dłonią

splątane włosy. Zostało mu tylko parę minut do telefonu do mieszkania Denise.

Drzwi do laboratorium Mannerheima były zamknięte. Rozejrzał się za czymś, czym mógłby wybić szkło. Jego spojrzenie natrafiło na małą gaśnicę. Zdjął ją ze ściany i rzucił nią w szklaną tafłę. Nogą wygniół resztki szkła, włożył dłoń i od środka otworzył drzwi.

W tej samej chwili stanęły otworem drzwi w przeciwnym końcu korytarza. Wypadło z nich dwóch mężczyzn z pistoletami. Nie należeli do straży szpitala; mieli na sobie poliestrowe garnitury.

Jeden z mężczyzn przypadł na kolano, uniósł oburącz pistolet i krzyknął:

- Nie ruszaj się, Philips!

Martin rzucił się na potłuczone szkło na podłodze laboratorium i odcoczył od wejścia. Usłyszał głucho łupnięcie tłumika. Kula zrykoszetowała od stalowej ościeżnicy drzwi. Poderwał się i zatrzaskał drzwi, przy czym wypadła resztką szkła.

Rzucił się w głąb laboratorium, słysząc za sobą ciężkie kroki łomoczące w korytarzu. W sali było ciemno. Pamiętał jednak układ wnętrza i przemknął się między pokrytymi blatami przegrodami.

Dotarł do drzwi po przeciwnej stronie, gdy jego prześladowcy dobiegli do wejścia. Jeden z nich walnął w kontakt. Wnętrze zalało martwe światło neonówek.

Ogarnęła go furia. Wpadł do zwierzętarni, chwycił klatkę, w której

204

siedziała małpa z wetkniętymi w mózg elektrodami zamieniającymi ją w szalejące monstrum. Zwierzę usiłowało przez druty złapać dłoń

Martina i ugryźć ją. Przepchnął klatkę w stronę wejścia do zwierzętarni.

Ujrzał, że prześladowcy mijają ostatnią przegrodę. Wstrzymując oddech, wypuścił małpę.

Z wrzaskiem, który wprawił w rezonans szkło laboratoryjne, zwierzę wypadło ze swego więzienia. Jednym skokiem wpadło na półki przy przegrodzie, rozrzucając instrumenty na wszystkie strony. Przerażeni widokiem wściekłego stwora ciągnącego za sobą kable elektrod dwaj mężczyźni zawahali się. Zwierzę tego tylko potrzebowało.

Wiedzione rozkiełznaną furią rzuciło się z blatu na ramiona najbliższego Martinowi prześladowcy, potężnymi pazurami rozrywając jego skórę i zatapiając kły w szyi. Drugi mężczyzna próbował pomóc swemu koledze, małpa działała jednak zbyt szybko.

Philips nie zatrzymywał się, by przyjrzeć się, co z tego wyniknie.

Przebiegł przez zwierzętarnię koło długich rzędów rozstawionych na półkach mózgów i wypadł na klatkę schodową. Rzucił się po schodach tak szybko, jak tylko mógł. Pokonywał w jednym skoku półpiętra, zawracał i zeskakiwał dalej.

Kiedy wysoko nad sobą usłyszał łomoczące drzwi na klatkę schodową, przywarł do ściany, nie zatrzymywał się jednak. Nie był pewny, czy można go zobaczyć, nie przystawał jednak, by to sprawdzić.

Powinien był się domyślić, że laboratorium Mannerheima będzie strzeżone. Usłyszał łomot stóp na schodach, były jednak o wiele pięter powyżej niego. Dotarł do podziemia i wpadł do tunelu, nie słysząc dalszych strzałów.

Stareńkie zawiasy wahadłowych drzwi do tunelu skrzypnęły, gdy

je rozwierał. Pędem pokonał łukowate marmurowe schody, pobiegł przez rozwalający się korytarz i w końcu dotarł do wejścia do starej auli. Zatrzymał się gwałtownie. Było ciemno, co znaczyło, że Michaels jeszcze nie przybył. Z tyłu panowała cisza. Prześcignął swych prześladowców. Zdawał sobie jednak sprawę, że ścigający go wiedzą, iż znajduje się na terenie zabudowań szpitalnych, i znalezienie go pozostawało jedynie kwestią czasu.

Spróbował złapać dech. Jeśli Michaels się wkrótce nie zjawi, będzie musiał pójść do mieszkania Denise bez względu na to, w jak beznadziejnym stawiało go to położeniu. Ostrożnie otworzył drzwi auli. Ku jego zaskoczeniu nie były zamknięte. Wszedł do środka i znalazł się w zimnie i ciemności.

Ciszę przerwało stłumione poprzytykiwanie, dobrze mu znane ze studenckich czasów. Ktoś włączył światła. Jak za dawnych lat, sala 205

wypełniła się lśnieniem. Kącikiem oka dostrzegłszy ruch, zszedł na dół.

Michaels machnął ku niemu dłonią.

- Martin! Co za ulga cię widzieć.

Philips pomagał sobie w zejściu, przytrzymując się poręczy biegnącej kiedyś w przejściu między rzędami foteli służących studentom w czasach, gdy aula była salą wykładową. Michaels ustawił się u podnóża schodów i dał znak Martinowi, by do niego dołączył.

- Porozumiałeś się z rektorem?! - zawołał Martin. Ujrzawszy

Michaelsa, poczuł pierwszy od wielu godzin przebłysk nadziei.

- Wszystko w porządku! - odkrzyknął Michaels. - Zejdź na dół.

Philips zapatrzył się w wąskie schody, które przecinały kable prowadzące do elektronicznych urządzeń rozstawionych tam, gdzie niegdyś były siedzenia. Z Michaelsem czekało trzech mężczyzn.

Najwidoczniej ściągnął pomoc.

- Musimy natychmiast jakoś uwolnić Denise. Oni...

- Już się tym zajęliśmy - rzekł Michaels.

, - Nic się jej nie stało? - spytał Martin, przystając na moment.

- Nic. Jest bezpieczna. Zejdź wreszcie.

Im niżej schodził, tym trudniej było mu manewrować wśród coraz gęstszego nagromadzenia kabli.

- Właśnie uciekłem dwóm ludziom, którzy strzelali do mnie w laboratorium neurochirurgii. - Wciąż brakowało mu tchu, mówił urywanie.

- Jesteś tu bezpieczny - powiedział Michaels, obserwując zbliżającego się przyjaciela.

Gdy Philips znalazł się tuż przed podium dla wykładowcy, oderwał wzrok od schodów i spojrzał w twarz Michaela.

- Nie miałem czasu niczego znaleźć w laboratorium - powiedział.

Widział teraz wyraźnie trzech pozostałych mężczyzn. Jednym z nich był miły student, którego spotkał przy pierwszym pobycie w laboratorium cybernetycznym, Carl Rudman. Dwóch pozostałych, ubranych w ciemne kombinezony, nie znał.

Ignorując ostatnią uwagę Martina, Michaels zwrócił się do jednego z nieznajomych:

- No i co, jest pan zadowolony? Mówiłem, że go tu ściągnę.

Nie odrywając wzroku od Philipisa, mężczyzna powiedział:

- Ściągnął go pan, ale czy zdoła sobie pan z nim poradzić?

- Myślę, że tak - rzekł Michaels.

Martin przysłuchiwał się dziwnemu dialogowi, przenosząc spojrzenie z Michaelisa na obcego w kombinezonie. Nagle rozpoznał jego twarz. Był to człowiek, który zabił Wenera!

206

- Martin - powiedział miękko, niemal ojcowskim tonem Michaels - muszę ci pokazać to i owo.

- Doktorze Michaels, mogę zagwarantować, że FBI nie będzie działać pochopnie. Nie mam jednak kontroli nad CIA. Mam nadzieję, że pan to rozumie.

Michaels obrócił się na pięcie.

- Panie Sansone, uświadamiam sobie, że CIA nie podpada pod pańską jurysdykcję. Potrzebuję jeszcze trochę czasu z doktorem Philipsem. - Odwróciwszy się z powrotem do Martina, powiedział: - Chcę ci coś pokazać. Chodź ze mną. - Ruszył w stronę drzwi prowadzących do sąsiedniej sali wykładowej.

Philips stał sparaliżowany. Ścisnął w dłoni brązową poręcz ograniczającą podium dla wykładowcy. Ulgę zastąpiła dezorientacja, a tę odzywający na nowo strach.

- Co się tu dzieje? - zapytał z narastającym lękiem, powoli artykułując każde słowo.

- To właśnie chcę ci pokazać - powiedział Michaels. - Chodź!

- Gdzie Denise? - Martin nawet nie drgnął.

- Jest całkowicie bezpieczna, uwierz mi. No chodź! - Michaels

zawrócił do Martina i ujął go za nadgarstek, by zachęcić go do zejścia ze schodów. - Zaprezentuję ci co nieco. Odpręż się, zobaczysz Denise

za kilka minut.

Philips pozwolił się przeprowadzić koło Sansone'a do sąsiedniej

auli. Młody student wszedł tu przed nimi i włączył światło. W tej sali wykładowej również wymontowano siedzenia. Na podium stał wielki

ekran wykonany z milionów fotokomórek, których kable prowadziły

prosto do procesora. Z procesora wychodziło znacznie mniej kabli,

które zbiegały się w dwa pęki, prowadzące do dwóch komputerów.

Kable wybiegające z tych komputerów, przemieszane ze sobą, do-

chodziły do jeszcze innych komputerów, zapełniających całą aulę.

- Masz pojęcie, na co patrzysz? - spytał Michaels.

Martin pokręcił głową.

- Masz przed sobą pierwszy skomputeryzowany model ludzkiego

układu optycznego. Jest wielki, według naszych obecnych standardów

prymitywny, ale zaskakująco funkcjonalny. Ekran odbiera informacje,

a te komputery je przetwarzają. - Michaels wykonał obszerny

gest. - To, na co patrzysz, można porównać z pierwszym stosem

atomowym zbudowanym w Princeton. To jeden z największych

przełomów w historii nauki.

Philips utkwiał wzrok w Michaelsie. Może miał do czynienia

z szaleńcem?

- Stworzyliśmy komputer czwartej generacji! - powiedział Michaels i poklepał Martina po plecach. - Posłuchaj: pierwsza generacja to komputery, które nie były jedynie kalkulatorami. Druga generacja

pojawiła się wraz z tranzystorami. Trzecia nadeszła ze scalakami. My stworzyliśmy czwartą generację, a procesor, który masz w swym gabinecie, to jedno z pierwszych jej zastosowań. Masz pojęcie, czego dokonaliśmy?

Philips pokręcił głową. Michaels rozpalał się własną ekscytacją.

- Stworzyliśmy prawdziwą sztuczną inteligencję! Myślące komputery! Uczą się i logicznie myślą. To musiało się stać i my tego dokonaliśmy!

Złapał Martina za rękę i pociągnął za sobą do korytarza łączącego dwie aule. Znajdowały się w nim drzwi prowadzące do starych laboratoriów katedry mikrobiologii i fizjologii. Kiedy je otworzył, Philips spostrzegł, że od środka są wyłożone stalową płytą. Za nimi znajdowały się drugie drzwi, również wzmocnione i zamknięte. Za pomocą specjalnego klucza Michaels otworzył je i uchylił przed Martinem, który czuł się, jak gdyby wstępował do bankowego skarbcza.

To, co zobaczył, sprawiło, że ugięły się pod nim nogi. Stare laboratoria z niewielkimi stołami pokrytymi łupkiem zdemontowano, ściany wyburzono. Rozpościerała się teraz przed nim trzydziestometrowej długości pozbawiona okien sala. W środku stał rząd wielkich szklanych cylindrów wypełnionych przejrzystym płynem.

- To nasze najcenniejsze i najwydajniejsze preparaty - powiedział

Michaels, poklepując bok pierwszego z brzegu cylindra. - Wiem, że zrazu zareagujesz emocjonalnie. Tak było z nami wszystkimi. Wierz mi jednak, efekty okazały się warte ofiar.

Martin zaczął powoli okrążyć pojemnik. Miał przynajmniej sto osiemdziesiąt centymetrów wysokości i dziewięćdziesiąt szerokości.

W środku, pogrążone w, jak się później dowiedział, płynie mózgowo-rdzeniowym, pływały żywe szczątki Katherine Collins, skulonej w siedzącej pozie z rękami wyciągniętymi nad głową. Respirator pracował, udowadniając, że ciało wciąż jeszcze żyje. Mózg dziewczyny był jednak odsłonięty, pokrywa kostna prawie całkowicie usunięta.

Podobnie było z prawie całą twarzą, powieki były rozcięte, a na gałki oczne nałożone soczewki kontaktowe. Z jej szyi wystawała rurka

dotchawicza. Ramiona miała starannie rozpreparowane, by odsłonić nerwy czuciowe. Wyizolowane, ciągnęły się jak pajęczyna do kabli elektrod umieszczonych w mózgu.

Philips dokończył okrążanie cylindra. Ogarnęła go straszliwa słabość, bał się, że osunie się na ziemię.

208

- Wiadomo ci zapewne - powiedział Michaels - że podstawowe postępy w cybernetyce, jak sprzężenie zwrotne, są skutkiem analizy systemów biologicznych. W zasadzie właśnie na tym opiera się cybernetyka. Cóż, zrobiliśmy naturalny krok naprzód i przeszliśmy do mózgu samego człowieka. Jednak badamy go nie jak psycholog, dla których jest on tajemniczą czarną skrzynką.

Philips przypomniał sobie nagle, że właśnie tego terminu użył

Michaels w dniu, gdy zaprezentował mu nowy procesor. Wreszcie pojął, o co mu chodziło.

- Badamy mózg tak jak wszystkie inne niezwykle skomplikowane układy. I powiodło się nam w sposób przerastający nasze najśmielsze marzenia. Ustaliliśmy, w jaki sposób mózg gromadzi informację, jak przetwarza ją w sposób równoczesny, a nie mało wydajnie po kolei,, jak dotychczasowe komputery, oraz jak mózg jest zorganizowany w hierarchiczny system funkcjonalny. Co więcej, nauczyliśmy się projektować i tworzyć mechaniczne układy stanowiące odwzorowanie mózgu i pełniące jego funkcje. One działają, Martin! Działają tak, jak nawet się nam nie śniło! Szturchnął przyjaciela, by szedł dalej wzdłuż rzędu cylindrów.

Philips spoglądał na odsłonięte mózgi młodych kobiet w różnych stadiach wiwisekcji. Przy ostatnim pojemniku zatrzymał się. Preparat był w najwcześniejszych stadiach przygotowania. Rozpoznał resztki twarzy dziewczyny. Była to Kristin Lindquist.

- Posłuchaj mnie uważnie - powiedział Michaels. - Wiem, że z początku może ci się to wydawać szokujące, ale to przełom w nauce tak doniosły, że wręcz nie sposób ocenić choćby doraźnych korzyści zeń płynących. Nawet na polu medycyny zrewolucjonizuje to wszystkie jej dziedziny. Widziałeś już, co nasz wstępny program potrafi wyciągnąć ze zdjęć rentgenowskich. Nie chcę, byś podjął pochopną decyzję, rozumiesz?

Skończyli obchód sali stanowiącej miazę szpitala i laboratorium komputerowego. W kącie znajdowała się bateria urządzeń przypominających skrzyżowanie aparatury do reanimacji i systemów pod-

trzymywania życia. Przed jednym z monitorów siedział mężczyzna w długim białym fartuchu. Był tak skupiony, że zdawał się nie dostrzegać obecności Martina i Michaela.

Stanąwszy znów przed Katherine Collins, Martin wreszcie odzyskał głos.

- Co się stało z mózgiem tej pacjentki? - spytał matowym pozbawionym wyrazu tonem.

- To nerwy czuciowe - powiedział gorliwie Michael. - Ironiczne,

209

ale mózg nie jest w stanie czuć, co się z nim dzieje, musieliśmy więc podłączyć za pomocą elektrod nerwy czuciowe Katherine do jej

mózgu, by w każdej chwili mogła nam powiedzieć, która część jej

mózgu właśnie pracuje. Stworzyliśmy sprzężenie zwrotne.

- To znaczy, że ten preparat kontaktuje się z wami? - Martin był szczerze zaskoczony.

- Oczywiście. Na tym polega piękno całego układu. Wykorzystaliśmy ludzki mózg do badania samego siebie. Pokażę ci coś.

Poza cylindrem, jednak w osi wzroku Katherine, znajdowało się urządzenie przypominające terminal komputerowy. Wyposażone było w duży stojący ekran i klawiaturę podłączoną do urządzeń cylindra oraz do centralnego komputera z boku sali. Michael wprowadził za pomocą klawiatury na ekran migające pytanie: Jak się czujesz,

Katherine?

Pytanie zniknęło z ekranu, a na jego miejsce pojawiło się: Świetnie.

Chcę zacząć pracę. Stymuluj mnie, proszę.

Michaels uśmiechnął się i spojrział na Martina.

- Ta dziewczyna nigdy nie ma dość, dlatego jest taka dobra.

- Co to znaczy "stymuluj mnie"?

- Umieściliśmy elektrodę w jej ośrodku rozkoszy. W ten sposób nagradzamy ją za gotowość współpracy. Kiedy włączamy elektrodę, przeżywa równoważnik stu orgazmów. Pewnie to niesamowite, bo bez przerwy się tego domaga.

Michaels wystukał na klawiaturze: Tylko raz, Katherine. Musisz być cierpliwa. Następnie nacisnął czerwony klawisz z boku klawiatury.

Philips dostrzegł, że ciało Katherine powoli wypręża się w łuk i drży.

- Wiesz - powiedział Michaels - dowiedziono, że ośrodek rozkoszy mózgu jest największą siłą motywującą organizmu, większą nawet niż instynkt samozachowawczy. Znaleźliśmy nawet sposób wykorzystania tego faktu w naszym najnowszym procesorze. Dzięki temu urządzenie funkcjonuje znacznie wydajniej.

- Kto to wszystko wymyślił? - spytał Martin, nie wiedząc, czy rzeczywiście powinien wierzyć własnym oczom.

- Nikt nie może sobie przypisać zasługi ani winy - powiedział Michaels. - To wszystko działo się stopniowo, jedno odkrycie prowadziło do następnego. Dwie najbardziej odpowiedzialne osoby to jednak ty i ja.

- Ja?! - wykrzyknął Philips; wyglądał, jak gdyby został spoliczkowany.

- Owszem - rzekł Michaels. - Wiedziałeś, że zawsze intereso-

wała mnie sztuczna inteligencja; dlatego właśnie od początku myślałem 210

o współpracy z tobą. Problem odczytywania zdjęć rentgenowskich,

który przedstawiłeś, skryształizował się wokół kluczowej kwestii rozpoznawania wzorców. Człowiek bez trudności identyfikuje po-wtarzalne układy elementów, komputery miały z tym jednak nie-

prawdopodobne kłopoty. Dzięki twojej starannej analizie meto-

dologii, którą stosowałeś do odczytywania zdjęć radiologicznych,

udało nam się wyodrębnić logiczne kroki, które trzeba było sko-

piować elektronicznie, jeśli mieliśmy powielić tę zdolność. Brzmi

to zawile, w rzeczywistości jest jednak proste. Musieliśmy ustalić

parę rzeczy na temat tego, w jaki sposób ludzki mózg rozpoznaje

stałe elementy obrazu. Skrzyknąłem paru fizjologów zaintereso-

wanych mózgiem i zaczęliśmy skromne badania z wykorzystaniem

radioaktywnej dezoksyglukozy, a pacjentki, którym ją wstrzyki-

waliśmy, poddawaliśmy później stałym badaniom wzroku. Sto-

sowaliśmy tablice z literą "E", często wykorzystywane w okulistyce.

Radioaktywny analog glukozy wywoływał w mózgach pacjentek

mikroskopijne uszkodzenia w komórkach zaangażowanych w iden-

tyfikację kształtu i położenia litery E. Kwestia ustalenia, w jaki

sposób mózg rozpoznaje tę literę, polegała jedynie na stworzeniu

mapy tych ubytków. Technikę selektywnego niszczenia neuronów

stosuje się od lat w badaniach nad zwierzętami. Różnica w od-

niesieniu jej do ludzkiego mózgu polegała na tym, że w bardzo

krótkim czasie dowiedzieliśmy się bardzo wiele, co pobudziło nas

do dalszych wysiłków.

- Ale dlaczego młode kobiety? - spytał Martin. Docierało do

niego, że koszmar jest jednak rzeczywistością.

- Wyłącznie ze względu na wygodę. Potrzebowaliśmy populacji

zdrowych osób, które moglibyśmy wezwać w każdej chwili. Klientela

przychodni ginekologicznej odpowiadała naszym wymogom. Kobiety

bardzo rzadko pytają, co się z nimi robi, a uciekając się zaledwie do zmiany zapisów dotyczących wyników rozmazów Papanicolaou, mogliśmy wyznaczać im wizyty kontrolne, kiedy tylko było to nam potrzebne. Moja żona od lat pracuje w przychodni uniwersyteckiej.

Wybierała pacjentki, po czym wstrzykiwała im materiał radioaktywny przy pobieraniu krwi do analiz. Wszystko szło bardzo łatwo.

Philipsowi nagle stanęła przed oczami czarnowłosa kobieta o surowym wyglądzie z przychodni ginekologicznej. Nie kojarzył jej

z Michaelsem, doszło jednak do niego po chwili, że w to już najłatwiej uwierzyć ze wszystkiego.

Ekran przed Katherine Collins ożył ponownie: Stymuluj mnie, proszę.

211

Michaels wystukał na klawiaturze: Znasz zasady. Później, po rozpoczęciu doświadczeń. Odwrócił się do Martina i powiedział:

- Program okazał się tak prosty i skuteczny, że zachęciło to nas

do rozszerzenia zakresu badań. Następowало to jednak stopniowo,

w ciągu lat. Zdecydowaliśmy się wykorzystać duże dawki izotopów,

by określić lokalizację końcowych pól asocjacyjnych w mózgu. Na

nieszczęście wywoływało to niepożądane objawy u niektórych pacjen-

tek, zwłaszcza gdy zajęliśmy się płatem skroniowym. Była to bardzo

delikatna robota, bo musieliśmy równoważyć zniszczenia tkanki

mózgowej z objawami, które pacjentki jeszcze tolerowały. Jeśli objawy u pacjentki występowały w

zbyt dużym nasileniu, musieliśmy ją

zabierać tutaj, co dało początek temu stadium naszych badań. -

Michaels objął gestem rząd cylindrów. - W tej właśnie sali dokonaliśmy naszych największych odkryć. Tego jednak nawet sobie oczywiście nie wyobrażaliśmy w momencie startu.

- A co z ostatnimi pacjentkami, jak Lisa Marino, Lynn Annę Lucas czy Kristin Lindquist?

- Ach, one. Sprawily nam trochę kłopotów. W ich przypadku użyliśmy największych dawek izotopów, a ich objawy nasilały się tak raptownie, że niektóre zasięgnęły porad lekarskich, nim zdołaliśmy się nimi zająć. Interniści jednak w ogóle nie mieli pojęcia, co rozpoznać.

Tak samo Mannerheim.

- To znaczy, że on nie bierze w tym udziału? - zapytał zaskoczony Martin.

- Mannerheim? Żartujesz? Wciągać takiego egoistycznego sukina w badania tej wielkości? Zażyczyłby sobie, żeby uważano go za autora każdego odkrycia.

Philips rozejrzał się po sali. Był przerażony i oszołomiony. To, co miał przed oczyma, w ogóle nie powinno się wydarzyć, zwłaszcza w samym środku kliniki akademii medycznej.

- To, co mnie najbardziej zdumiewa - powiedział - to to, że działacie bezkarnie. Byle tandeciarz z farmakologii zamęczy szczura i od razu wsiada mu na kark Towarzystwo Ochrony Zwierząt.

- Otrzymujemy rozległą pomoc. Być może zauważyłeś, że ci ludzie na zewnątrz to agenci FBI.

Philips przyjrzał się Michaelsowi.

- Nie musisz mi o tym przypominać. Usiłowali mnie zabić.

- Bardzo mi przykro z tego powodu. Nie miałem pojęcia, co się dzieje, dopóki do mnie nie zadzwoniłeś. Już ponad rok jesteś pod obserwacją. Powiedziano mi, że to dla twojej ochrony.

- Byłem obserwowany? - spytał z niedowierzaniem Martin.

212

- Jak my wszyscy. Pozwolisz, że coś ci powiem, Philips. Wynikiem tych badań będzie całkowita przebudowa społeczeństwa. Nie zgrywam się na tragika. Na początku było bardzo niewielkie przedsięwzięcie, wkrótce jednak doszliśmy do rezultatów, które udało się nam opatentować. Sprawilo to, że wielkie firmy komputerowe zasypały nas forszą na badania i propozycjami nawiązania współpracy. Nie obchodziło ich, w jaki sposób dokonujemy naszych odkryć. Chciały jedynie

wyników i prześcigały się w dopieszczaniu nas. Później jednak nadeszło nieuniknione. Jako pierwszy z zamówieniem na nasz komputer czwartej

generacji wystąpił Departament Obrony. Rewolucjonizowało to ich

wszystkie koncepcje strategiczne. Zaprojektowaliśmy pierwszy rzeczy-

wiście inteligentny system naprowadzania raket, opierający się na

niewielkim procesorze oraz molekularnym systemie pamięci holo-

graficznej. Armia testuje teraz swoją "inteligentną raketę". To największy przełom w dziedzinie zbrojeń od wynalezienia broni

jądrowej. A rząd jest jeszcze mniej zainteresowany pochodzeniem

naszych odkryć niż firmy komputerowe. Czy nam się podobało, czy

nie, otoczono nas najściślejszą kontrolą, jaką kiedykolwiek stosowano, ściślejszą nawet niż w Programie Manhattan, kiedy tworzone bombę

atomową. Nawet prezydent nie mógłby tu wejść. Wszyscy jesteśmy więc pod nadzorem, i mówię ci, ci goście to jeden w drugiego paranoicy. Ani na chwilę nie wychodzi im z głów myśl, że Ruscy mogą napaść na laboratorium. Wczoraj w nocy twierdzili, że dostałeś amoku i stanowisz zagrożenie dla bezpieczeństwa badań. Udało mi się ich jednak powstrzymać, przynajmniej do pewnych granic, ale i od ciebie bardzo dużo zależy. Musisz podjąć decyzję.

- Jaką decyzję? - spytał Martin ze znużeniem.

- Musisz zdecydować, czy jesteś w stanie żyć z tym wszystkim.

Wiem, że to dla ciebie wstrząs. Przyznaję, że nie miałem zamiaru

powiadamiać cię, jak dokonujemy naszych odkryć. Musiałeś się jednak

tego dowiedzieć, skoro wykryłeś tyle, iż wystarcza to do zlikwidowania cię. Słuchaj, Martin, jestem świadomy, że eksperymentowanie z użyciem ludzi, zwłaszcza gdy stają się oni ofiarami, jest sprzeczne z pod-stawowymi wymogami etyki lekarskiej. Wierzę jednak, że efekty to

-usprawiedliwiają. Siedemnaście młodych kobiet oddało życie, nie

wiedząc, w jakiej sprawie. To prawda. Ale stało się to dla ulepszenia społeczeństwa i dla zagwarantowania w przyszłości wyższości systemów

obrony Stanów Zjednoczonych. Z punktu widzenia każdej z tych

kobiet to wielka ofiara, ale z punktu widzenia dwustu milionów

Amerykanów - znikoma. Pomyśl, ile kobiet co roku świadomie

odbiera sobie życie, ilu ludzi ginie na autostradach - i po co? Tych

213

siedemnaście kobiet przyczyniło się do dobra społeczeństwa i było

traktowane ze współczuciem. Bardzo dobrze o nie dbano, troszczono

się, by nie doznawały bólu. Wręcz przeciwnie - zaznawały czystej

rozkoszy.

- Nie mogę się z tym pogodzić. Dlaczego nie pozwoliłeś mnie po prostu zabić? - powiedział znużonym głosem Philips. - Nie musiałbyś się wtedy martwić moją decyzją.

- Lubię cię, Philips. Pracowaliśmy wspólnie od wielu lat. Jesteś inteligentny, twój wkład w rozwój sztucznej inteligencji był i może być dalej niezmierny. Zastosowania medyczne, zwłaszcza na polu radiologii, stanowią przykrywkę całej operacji. Potrzebujemy cię, Philips. Nie mówię przez to, że bez ciebie sobie nie poradzimy. Nikt z nas nie jest niezastąpiony, jesteś nam jednak potrzebny.

- Nie potrzebujecie mnie - rzekł Martin.

- Nie zamierzam się z tobą sprzeczać. Naprawdę cię potrzebujemy. Pozwól, że podkreślę coś jeszcze. Nie potrzebujemy więcej ludzi do doświadczeń. Prawdę mówiąc, odchodzimy już od biologicznego aspektu zagadnienia; otrzymaliśmy już informacje, których potrzebowaliśmy, teraz nadeszła pora na doszlifowanie naszych osiągnięć za pomocą elektroniki. Eksperymenty z wykorzystaniem ludzi dobiegły kresu.

- Ilu badaczy bierze w tym udział? - zapytał Philips.

- Piękno programu polega między innymi na tym, że obsada jest bardzo niewielka w porównaniu z ogromem wykonanej pracy - powiedział z dumą Michaels. - Mamy ekipę fizjologów, zespół cybernetyków i informatyków oraz kilka dyplomowanych pielęgniarek.

- Żadnych lekarzy? - spytał Philips.

- Nie - odrzekł Michaels z uśmiechem. - Nie, chwileczkę!

To niezupełnie prawda. Jeden z fizjologów ma dyplom akademii medycznej.

Na parę chwil zapadło milczenie. Obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem.

- Jeszcze jedno - powiedział Michaels. - Z zupełnie zrozumiałych powodów i całkowicie zasłużenie tobie przypadnie zasługa na polu medycyny, gdy tylko świat dowie się o możliwościach nowej technologii komputerowej.

- To łapówka? - spytał Martin.

- Nie, fakt. Sprawi to jednak, że staniesz się jednym z najślawniejszych badaczy Ameryki. Będziesz miał możliwość opracować programy do wszelkich dziedzin radiologii tak, iż komputery będą w stanie wykonywać całą pracę diagnostyczną ze stuprocentową skutecznością.

214

Będzie to niezwykłym dobrodziejstwem dla ludzkości. Sam mi powiedziałeś, że radiolodzy, nawet najlepsi, stawiają słuszne rozpoznanie jedynie w siedemdziesięciu pięciu procentach przypadków. I jeszcze ostatnia sprawa... - Michaels opuścił wzrok i w zakłopotaniu szurnął nogami. - Jak powiedziałem, sprawuję kontrolę nad agentami jedynie do pewnego stopnia. Jeśli nabiorą przekonania, że ktoś stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa programu, wszystko wymknie mi się z rąk. Na nieszczęście w tę sprawę została wciągnięta również Denise Sanger. Nie zna szczegółów dotyczących badań, ale wie wystarczająco dużo, by wystawić je na szwank. Innymi słowy, jeśli nie przystaniesz na udział w tym programie, zostaniesz zlikwidowany nie tylko ty, ale i Denise. Nic na to nie poradzę.

Na wzmiankę o niebezpieczeństwie grożącym Denise oburzenie

Martina wynikające z pogwałcenia zasad etycznych zmiotło inne

uczucie - nienawiść. Z wielkim wysiłkiem powstrzymał się, by w ślepej furii nie rzucić się na Michaela. Był wyczerpany, wszystkie nerwy

miały napięte jak struny. Resztką sił zmusił się do powrotu do

racjonalnego myślenia. Kiedy mu się to udało, poczuł się przytłoczony rozmiarami potęg zaangażowanych w badania. Uświadomił sobie

daremność próby sprzeciwu wobec nich. Byłby w stanie poświęcić

siebie, ale nie Denise. Smętne uczucie rezygnacji opadło na niego jak duszący całun.

Michaela położył mu rękę na barku.

- I jak, Martin? Powiedziałem ci wszystko. Co ty na to?

- Chyba nie mam wyboru - rzekł powoli Philips.

- Owszem, masz - powiedział Michael. - Tyle że bardzo

niewielki. Oczywiście i ty, i Denise pozostaniecie pod ścisłym nadzorem.

Nie będziecie mieli żadnej możliwości przekazania tej historii prasie czy Kongresowi, zresztą na taki wypadek również mamy odpowiednie

plany. Masz do wyboru albo życie swoje i Denise, albo bezcelową

śmierć. Przykro mi, że muszę być tak okrutny. Jeśli podejmiesz taką

decyzję, na jaką liczę, Denise dowie się tylko, że naszymi badaniami

interesuje się Departament Obrony, który błędnie potraktował cię

jako ich zagrożenie. Złoży przysięgę zachowania tajemnicy i tak się to dla niej skończy. Na tobie spocznie odpowiedzialność, by nie dowiedziała się o tym, jakie były początki naszego programu.

Philips zaczerpnął głęboko tchu i odwrócił się od rzędu szklanych cylindrów.

- Gdzie jest Denise? - zapytał.

Michaela uśmiechnął się.

- Chodź ze mną.

Wrócili przez podwójne wejście kojarzące się ze skarbcem i wyszli z auli. Obydwaj przeszli zawałonymi odłamkami tynku korytarzem do dawnego skrzydła administracyjnego starego gmachu akademii medycznej.

- Martin! - krzyknęła Denise. Poderwała się ze składanego fotela, na którym siedziała między dwoma agentami, i rzuciła się ku niemu. Zarzuciwszy mu ręce na szyję, wybuchnęła płaczem. - Co się tu dzieje? - wyszlochała.

Philips nie był w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Na widok Denise wezbrały w nim stłumione emocje. Żyła i była bezpieczna! Jak mógłby wziąć na siebie odpowiedzialność za jej śmierć?

- FBI starało się mnie przekonać, że jesteś jakimś niebezpiecznym zdrajcą - powiedziała Denise. - Nie uwierzyłam w to ani na moment, ale powiedz mi, że to nieprawda. Powiedz mi, że to wszystko jest złym snem.

Philips przymknął oczy. Otworzył je, kiedy odzyskał głos. Z wielką troską dobierając słowa, przemówił powoli, zdając sobie sprawę, że życie Denise jest w jego rękach.

- Tak, to wszystko zły sen. Zdarzyła się straszna pomyłka, ale już po wszystkim. - Czuł, że tymczasem jest spętany, znajdzie jednak jakiś sposób na zerwanie tych więzów, nawet gdyby miało mu to zabrać całe lata.

Nachylił się i pocałował Denise w usta. Oddała pocałunek,

zadowolona, że nie myliła się co do niego, że będzie bezpieczna tak

długo, dopóki będzie mu ufać. Martin zanurzył na chwilę twarz w jej

włosach. Jeśli życie jednej osoby coś znaczyło, dotyczyło to zwłaszcza jej. Dla niego bardziej niż dla kogośkolwiek.

- Już po wszystkim - powtórzyła.

Philips spojrzał nad ramieniem Denise na Michaela. Cybernetyk

zgodził się z nią skinieniem głowy. Martin jednak wiedział, że wcale

nie było po wszystkim...

The New York Times

WZBURZENIE W ŚWIECIE NAUKI:

ZNANY BADACZ PROSI

O AZYL POLITYCZNY W SZWECJI

SZTOKHOLM (AP) -

Doktor Martin Philips, lekarz, który dzięki swym odkryciom stał się

ostatnio międzynarodową sławą, zniknął wczoraj po południu w tajemniczych okolicznościach w Szwecji. Słynny neuroradiolog nie pojawił się o pierwszej po południu w osławionym Instytucie Karolińska, gdzie wypełniona do

ostatniego miejsca sala oczekiwała na jego wykład. Wraz z nim zniknęła doktor Denise Sanger, jego żona od czterech miesięcy.

Wstępnie rozważano możliwość, że małżeństwo naukowców szukało schro-

nienia od gradu zaszczytów i odium sławy, które spadło na nich od czasu, gdy sześć miesięcy temu dr Philips zaczął ujawniać przed światem swe rewelacyjne odkrycia. Spekulacje te zarzucono jednak, gdy okazało się, że małżeństwo znajdowało się pod zdumiewająco ścisłym nadzorem licznych służb specjalnych.

Wynika z tego, że ich zniknięcie zdecydowanie wymagało współdziałania szwedzkich władz.

Indagacje wobec Departamentu Stanu spotkały się z zaskakującym mil-

zeniem, co staje się jeszcze dziwniejsze w świetle poufnych informacji, iż zniknięcie pary naukowców wywołało gorączkową aktywność wielu departamentów amerykańskiego rządu, wydającą się nieproporcjonalnie intensywną wobec rozmiarów zdarzenia. Już zaostrzona ciekawość społeczności międzynarodowej osiągnęła szczyt wczoraj, gdy władze szwedzkie opublikowały specjalne oświadczenie następującej treści:

Dr Martin Philips zwrócił się do szwedzkiego rządu z prośbą o udzielenie azylu politycznego. Rząd Szwecji przychylił się do tej prośby, wskutek czego para naukowców znalazła się w strzeżonym odosobnieniu. W ciągu dwudziestu czterech godzin zostanie opublikowany dokument pióra dr. Philipsa, ujawniający przed opinią międzynarodową rażące naruszenia praw człowieka, których dopuszczano się pod egidą eksperymentów medycznych. Do tej pory wyrażenie swych opinii uniemożliwiali dr. Philipsowi określone grupy nacisku, 217

wśród których znajdują się również agendy rządu Stanów Zjednoczonych. Po opublikowaniu oświadczenia pod auspicjami telewizji szwedzkiej zostanie przeprowadzona konferencja prasowa z dr. Philipsem.

Na czym dokładnie polegały "rażące naruszenia praw człowieka", jeszcze nie wiadomo, choć tajemnicze okoliczności zniknięcia dr. Philipsa rozbudziły najprzeróżniejsze spekulacje. Dziedzina, którą zajmuje się dr Philips, obejmuje komputerową interpretację badań wykorzystujących

obrazowanie, stosowanych w medycynie, i trudno dopatrzeć się na tym gruncie możliwości naruszenia prawideł etyki dotyczących eksperymentów naukowych. Jednakże reputacja dr. Philipsa (poważni badacze sądzą, że bez wątpienia otrzyma on tegoroczną Nagrodę Nobla z zakresu medycyny) gwarantuje mu olbrzymi i niekwes-tionowany posłuch. Najwidoczniej to, czego był świadkiem dr Philips, tak dalece wstrząsnęło jego poczuciem moralności, że zdecydował się wystawić na szwank swoją karierę tym drastycznym i dramatycznym krokiem. Sugeruje to również, że i na polu medycznym może być miejsce na odpowiednik afery Watergate.

Od autora

Od czasów drugiej wojny światowej wykorzystywanie pacjentów jako

obiektów eksperymentalnych stawało się coraz poważniejszym problemem, zwłaszcza dlatego, iż z pewnością większość osób, którym je poddawano, na pewno nie wyraziłaby zgody na udział w nich, gdyby w pełni zdawali sobie sprawę z ich charakteru i konsekwencji*.

Komentarz ten pochodzi od szanowanego profesora zajmującego

się badaniami z zakresu anestezjologii na Akademii Medycznej

w Harvardzie; umieścił go on na wstępie artykułu opisującego

dwadzieścia dwa przypadki eksperymentów naukowych, w których

w jego przekonaniu doszło do naruszenia etyki zawodowej. Wybrał te

przykłady spośród pięćdziesięciu, powołując się również na listę

pięciuset przypadków, sporządzoną przez angielskiego profesora

M. H. Pappwortha**. Sprawa nie dotyczy więc izolowanych, spora-

dycznych epizodów. Ma charakter endemiczny, wypływający z systemu

wartości nieodłącznie związanego z wizerunkiem lekarza-eksperymen-

tatora, a rozpowszechnionym przez zorientowane badawczo środowis-

ko medyczne.

Zwróćmy uwagę na kilka przypadków...

Jeden z nich, opisywany w środkach masowego przekazu w ostatnich

latach, któremu poświęcono również reportaż telewizyjny w programie

Sześćdziesiąt Minut, polegał na tym, iż rozmaite agendy rządu Stanów

* Beecher H.K.: "Ethics and Clinical Research", New England Journal of Medicine, t.

274,

1966, ss. 1354-1360.

** Pappworth M.H.: "Human Guinea Pigs : Experimentation on Man", Beacon Press, Boston, 1967.

219

Zjednoczonych podawały nieświadomym tego żołnierzom służby zasadniczej środki halucynogenne, by ustalić siłę i charakter ich działania. Bardziej niepokojący i zbliżony do wątku Mózgu przykład dotyczy eksperymentu, w którym starszym pacjentom, bez ich świadomej zgody, wstrzykiwano komórki nowotworowe*. Przy podejmowaniu tych badań naukowcy nie wiedzieli jeszcze, czy w ten sposób można wywoływać chorobę nowotworową. Najwidoczniej badacze sami zdecydowali, iż pacjenci są w tak podeszłym wieku, że i tak nie ma to znaczenia.

Udokumentowane są liczne przypadki podawania niczego nieświadomym i niepodejrzewającym osobom preparatów zawierających izotopy promieniotwórcze. Ofiarami takiego postępowania padały przeważnie osoby niedorozwinięte psychicznie, nie ominęło to jednak i noworodków**. Eksperymentów tych nie da się w żaden sposób usprawiedliwić dobrem chorego, nie ma również wątpliwości, że poddane im osoby były wystawione na ryzyko choroby i uszczerbku na zdrowiu, nie mówiąc o niewygodzie i bólu. Na domiar wszystkiego rezultaty takich eksperymentów są przeważnie mało znaczące i służą raczej wydłużaniu bibliografii zaangażowanych w badania

naukowców niż postępowi wiedzy medycznej. Wiele spośród tych badań z premedytacją popierały agendy rządu Stanów Zjednoczonych.

W innym z eksperymentów celowo podano opóźnionym w rozwoju umysłowym siedmiuset-ośmiuset dzieciom zakażone osocze, by wywołać u nich zapalenie wątroby***. Badania te były najprawdopodobniej przeprowadzone za zgodą między innymi Rady Epidemiologicznej Sił Zbrojnych. Wzmiankowano, że uzyskano zgodę rodziców, okoliczności każą jednak zastanawiać się, w jaki sposób tego dokonano i w jakim stopniu była to, wedle prawniczego

sformułowania, "zgoda świadoma". Jeśli nawet tak było, czy zgoda rodziców chroniła w tym wypadku prawa osób poddanych eksperymentowi? Powstaje również pytanie, czy którykolwiek z badaczy

dopuszczyłby do przeprowadzenia takiego eksperymentu na upośledzonym umysłowo członku własnej rodziny, czy w ogóle jakiegokolwiek eksperymentu w tym rodzaju? Szczerze w to wątpię.

Intelektualny elitaryzm, do którego prowadzi wykonywanie profesji

* Barber B.: "The Ethics of Experimentation with Human Subjects", Scientific American, t. 234, nr 2, luty 1976, ss. 25-31.

** Pappworth M.H.: Ibid.

*** Veatch R.M.: "Case Studies in Medical Ethics", Harvard University Press, 1977, ss. 274-277.

220

lekarza i prowadzenie badań medycznych, wywołuje uczucie wszechwładzy i wynikającą z tego podwójną moralność.

Nieodpowiedzialna byłaby sugestia, że większość badań, które

wykonuje się w Stanach Zjednoczonych z ludźmi jako obiektami eksperymentów, jest oparta na nieetycznych przesłankach, jest to bowiem zdecydowana nieprawda. Pozostaje jednak przerażająca mniejszość, na którą należy zwrócić uwagę ogółu. Nacisk na badania kładziony w akademickich centrach medycznych i idący za tym entuzjizm badawczy oraz atmosfera zawodowego współzawodnictwa mogą prowadzić do zapominania o negatywnych skutkach dla pacjentów. Poza tym nie rozstrzygnięto jeszcze ostatecznie konfliktu między ryzykiem dla pacjenta/obiektu eksperymentu a korzyścią społeczną*.

Fałszywe okazało się również przekonanie, że zgoda pacjenta definitywnie rozstrzyga sprawę. Jako przykład może posłużyć przypadek

pięćdziesięciu jeden kobiet, u których badano nowy lek indukujący poród. Wszystkie one wyraziły zgodę, lecz w odbiegających od ideału warunkach. Przy dokładnym zbadaniu tej sprawy okazało się, że wiele spośród nich podpisało formularz zgody podczas przyjęcia do izby porodowej lub nawet na sali porodowej **. W czasie przeprowadzonych po fakcie przesłuchań okazało się, że prawie czterdzieści procent pacjentek nie miało pojęcia, że uczestniczy w badaniach nad nowym

lekiem, choć wyraziły "świadomą zgodę". Jednym z subtelnych sposobów na uzyskanie zgody było stwierdzenie, że zostanie za-stosowany "nowy", a nie "eksperymentalny" lek, przy czym badacze mieli pełną świadomość, że określenie "nowy" implikuje, iż eksperymentalny lek jest lepszy niż "stary".

By uzyskać zgodę, nie trzeba się zresztą uciekać do wybiegów.

Najczęściej używa się subtelnych aluzji, iż opieka nad chorym nie

będzie maksymalna, jeśli pacjent nie będzie "współpracował". Następnym w kolejności wybiegiem badaczy jest sugerowanie, iż nowy

sposób leczenia przyniesie choremu korzyść, choć brak jest jeszcze

danych na potwierdzenie tej tezy. Badacz może wreszcie nie poinformować chorego, że ma jakiś wybór i może zdecydować się na inne, często sprawdzone sposoby leczenia.

Wszystko to nie jest sprawą nową. W pismach medycznych od dwudziestu lat napomyka się o naruszaniu etyki zawodowej w trakcie eksperymentów na ludziach, wyrażając dla nich jak najsurowsze, choć jedynie formalne, potępienie. Fakt, że trwają one nadal, urasta do

* Jonas H.: "Philosophical Reflections on Experimenting with Human Subjects", (w.) Experimentation with Human Subjects, pod red. P. A. Freuda, George Braziller, 1969.

** Barber B.: Ibid.

221

rozmiarów tragedii. U progu dekady lat osiemdziesiątych, gdy medycyna rozpoczyna romans z fizyką, sposobności do naruszenia praw chorego osiągają nowy, przerażający wymiar. Sceną główną mariażu medycyny z fizyką będzie neurologia, a głównym aktorem mózg ludzki, uważany przez wielu za najbardziej tajemniczy i zdumiewający twór we wszechświecie. Etyczne i moralne problemy związane z wykorzystywaniem ludzi w eksperymentach naukowych należy rozwiązać teraz... nim fikcja i fantazja staną się faktem.

Dr ROBIN COOK

Spis treści

Rozdział 1.....	7
Rozdział 2.....	16
Rozdział 3.....	18
Rozdział 4	33

Rozdział 5.....	56
Rozdział 6.....	64
Rozdział 7.....	77
Rozdział 8.....	109
Rozdział 9.....	116
Rozdział 10.....	155
Rozdział 11.....	190

The New York Times

Wzburzenie w świecie nauki:

Znany badacz prosi o azyl polityczny

w Szwecji..... 217

Od autora..... 219

Koniec